

Manel Loureiro

# APOKALIPSA

DRUGI TOM TRYLOGII ZOMBIE



MROCZNE DNI

Manel Loureiro

**APOKALIPSA Z**  
**Mroczne dni**

Tytuł oryginału: *Apocalypse Z*

*Los días oscuros*

Projekt okładki: *Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN*

Redakcja: *Irma Iwaszko*

Redakcja techniczna: *Zbigniew Katafiasz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Redaktornia.com*

Zdjęcia na okładce

© stokkete/Fotolia.com

© Andrey Yurlov/Shutterstock

© 2010, Manel Loureiro Doval

All rights reserved

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2013

© for the Polish translation by Maria Mróz

ISBN 978-83-7758-545-0

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Warszawa 2013

Wydanie I

# Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[Motto](#)

[Wprowadzenie](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[32](#)

[33](#)

[34](#)

[35](#)

[36](#)

[37](#)

[38](#)

[39](#)

[40](#)

[41](#)

[42](#)

[43](#)

[44](#)

[45](#)

[46](#)

[47](#)

[48](#)

[49](#)

[50](#)

[51](#)

[52](#)

[53](#)

[54](#)

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)

[Wydawca](#)

*Dla Maribel,  
której – bardziej niż komukolwiek  
innemu – ta książka by się podobała*

Zabici ich leżą porzuceni, rozchodzi się zaduch z ich trupów; od krwi ich rozmiękły góry...<sup>[1]</sup>

*(Księga Izajasza, 34,3)*

# Wprowadzenie

## Gdzieś w Saharze Zachodniej

Niewielka jaszczurka od wielu godzin trwała nieruchomo pod nagrzanym przez słońce głazem. Powietrze paliło, jakby pochodziło wprost z głębin piekła. Boki gada pulsowały w rytm oddechu. Od czasu do czasu jaszczurka wysuwała szorstki język i cierpliwie czekała na czas polowania, który nadejdzie, gdy nad tym niegościnnym, pustynnym zakątkiem zapadnie noc.

Nagle poczuła drgania niesłyszalne dla ludzkich uszu; zresztą nie było tam nikogo, kto mógłby coś usłyszeć. Skuliła się instynktownie w zagłębieniu pod kamieniem, a jej maleńki mózg pracował nad rozpoznaniem zagrożenia i sposobem ocalenia przed nieznanym, lecz z pewnością niebezpiecznym drapieżnikiem.

Wkrótce infradźwięki zamieniły się w słyszalne odgłosy. Z początku był to niski pomruk, który stopniowo narastał, aż na kilka sekund przeszedł w ogłuszający warkot tuż ponad kryjówką gada. Następnie dźwięk stawał się coraz słabszy, a w końcu ucichł na zawsze.

Jaszczurka wychyliła ostrożnie łepkę spod głazu. Przymknęła błoniaste powieki, aby dostosować wzrok do ostrego południowego blasku. Przez chwilę przez powietrze falujące od upału patrzyła w przejrzyste, bezlitośnie błękitne niebo zachodniej Sahary.

Gdyby wyjrzała pół minuty wcześniej, stałaby się świadkiem spektaklu niezwykłego w tym zapadłym zakątku świata. Ujrzałaby przelatujący ogromny śmigłowiec, pomalowany na żółto i białą, ozdobiony na jednym z boków wytartym logo Xunta de Galicia i dźwigający podwieszony pod podwoziem dziwny ładunek wielkich kanistrów, zresztą już w większości opróżnionych. Bardziej uważny obserwator dostrzegłby także pilota, niskiego czterdziestoletniego blondyna z sumiastym wąsem i bez dwóch palców u lewej dłoni, który wykonywał swoje zadanie automatycznie i z wyrazem zmęczenia na twarzy, oraz pasażerów – dwie kobiety w różnym wieku i mężczyznę z niechlujnym parodniowym zarostem. Za to ktoś, kto mógłby zajrzeć do wnętrza śmigłowca, zauważyłby, że mężczyzna głaszcze ogromnego perskiego kota spokojnie śpiącego mu na kolanach i – spoglądając w roztargnieniu na pustynny krajobraz, który otwiera się przed jego oczyma – błądzi myślami bardzo daleko.

Ów mężczyzna, tuż po trzydziestce, był wysoki i szczupły, twarz miał



kościstą. Wyraz jego oczu wskazywał na skrajne wyczerpanie. Jeszcze nie tak dawno nasz bohater wiódł nudne, niewykraczające poza rutynę życie prawnika w małym mieście na północy Hiszpanii.

Dni mijały mu na pracy, na kontaktach z rodziną i przyjaciółmi oraz na próbach radzenia sobie z ogromnym żalem i pustką po śmierci żony, która zginęła dwa lata wcześniej. Aż nagle pewnego dnia – przed dziesięcioma miesiącami – rozpętała się apokalipsa i wszystko diabli wzięli. Wszystko się zmieniło.

Wszystko.

Na początku były tylko niejasne wiadomości prasowe, krótkie notki, którym nie poświęca się najmniejszej uwagi. Jakaś mała grupka muzułmańskich rebeliantów wpadła na wspaniały pomysł, żeby zaatakować bazę wojskową w Dagestanie, odległej republice Federacji Rosyjskiej. Czy chcieli zdobyć broń chemiczną, czy jeńców, czy po prostu broń konwencjonalną, aby ją sprzedać na czarnym rynku – tego nie wiadomo.

Napastnicy nie zdawali sobie sprawy, że baza ta była w swoim czasie eksperymentalnym ośrodkiem badawczym broni bakteriologicznej i że drzemały tam spokojnie w szklanych próbkach najgroźniejsze na świecie bakterie i wirusy, czekając na swój wielki dzień. Należy wszakże oddać sprawiedliwość terrorystom: nawet zachodnie służby wywiadowcze nie miały pojęcia o istnieniu tej zapomnianej schedy po byłym imperium radzieckim. Zresztą w świetle tego, co stało się później, to i tak nie miało najmniejszego znaczenia.

A to dlatego, że tak czy owak napad okazał się sukcesem. Lub też całkowitą i straszliwą porażką, zależy, jak się na to spojrzy. Napastnikom udało się bowiem opanować bazę, ale też niechcący i przypadkowo uwolnić z próbek szczep drobnoustrojów, które nigdy nie powinny były zostać stworzone. I dlatego, zanim upłynęły dwie doby od ataku, wszyscy rebelianci byli już martwi. No, prawie martwi...

Najgroźniejsze jednak było to, że niedostrzegalne ludzkim okiem tajemnicze wirusy rozprzestrzeniały się niekontrolowanie, jak pożar na afrykańskiej sawannie.

Oczywiście początkowo nikt o tym nie wiedział. W starej, zapatrzonej w siebie Europie, w Ameryce i w Azji życie toczyło się swoim biegiem, spokojnie i przyjemnie. W ciągu pierwszych siedemdziesięciu dwóch godzin można było jeszcze coś zrobić, można było opanować epidemię, ale Dagestan to mała i biedna republika, a jego władze, nawet gdyby chciały coś uczynić, nie miały ku temu środków. Faza propagacji choroby już się rozpoczęła.

Przez pierwsze parę dni nikt (w tym prawnik o kościstej twarzy) niczym się nie martwił. Wiadomości o dziwnej gorączce krwotocznej gdzieś w górach Kaukazu, docierające poprzez prasę i telewizję, ginęły wśród informacji o

wynikach mistrzostw Europy w piłce nożnej i doniesień o kolejnych skandalach politycznych.

To jednak postępowało.

Dopiero po jakimś czasie zaczęto się orientować, że coś jest bardzo, bardzo nie w porządku. Duże obszary Dagestanu stały się ciemne i milczące, jakby nie było tam już nikogo żywego. Władze tej małej republiki dokonały rozpoznania i tak wystraszyło je to, co odkryły, że niezwłocznie zaapelowały do rządu Federacji Rosyjskiej, aby się zajął tym problemem. Przerażeni Rosjanie natychmiast zamknęli granice, nie tylko Dagestanu, ale i całego państwa.

Ale wtedy było już za późno.

Początkowo pojawiły się nieskładne plotki, następnie całe serie sprzecznych komunikatów władz Rosji, Centrum Zwalczania i Profilaktyki Chorób z Atlanty oraz siedmiu innych organizacji światowych, które twierdziły, że chodzi o wybuch epidemii ebola, ospy, gorączki Zachodniego Nilu, choroby marburskiej lub też o żadną z wyżej wymienionych. Wieści, coraz straszniejsze i bardziej niepokojące, rozchodziły się po świecie, w miarę jak strefa cienia rozszerzała się z Dagestanu na sąsiednie kraje, a rzesze uciekinierów starały się zbiec przed „tym czymś”, czymkolwiek ono było. Na koniec Putin i podległe mu władze zarządzili blokadę informacji w kraju, znieśli wolność prasy w Federacji Rosyjskiej i mimochodem, jakby niechcący, poprosili o pilną pomoc zagraniczną.

Lecz i na to było za późno.

W tym czasie już nie tylko nasz prawnik, ale i połowa ludzkości śledziła, co działo się w tamtym rejonie świata. Wiadomości o epidemii przeszły z ostatnich stron na czołówki gazet. Zdjęcia, które wyciekły mimo ostrej cenzury, pokazywały niezliczone tłumy uciekinierów zdążające w jednym kierunku i równie nieprzebrane szeregi wojska udające się w stronę przeciwną. Niektórych, co bardziej dociekliwych i nieufnych, dziwiło niepomiernie, że epidemię zwalcza się przy pomocy armii, ale ich głos ginął przytłoczony oficjalnym przekazem. W końcu wysłano do ogniska epidemii wyspecjalizowane służby międzynarodowe. Gdyby nastąpiło to dwa tygodnie wcześniej, miałyby może pewną szansę na powodzenie.

Ale wówczas naprawdę było już za późno.

Po kilku dniach oddziały międzynarodowe musiały wracać do rodzinnych krajów. Zabierały ze sobą rannych, którzy ucierpieli w potyczkach z tymi, którym mieli nieść pomoc. Problem przybrał wymiar globalny. Choć jeszcze nikt o tym nie wiedział, epidemia ostatecznie wymknęła się spod kontroli i przerodziła się w pandemię. Najrozsądniejsze, co można było wtedy zrobić, to fizycznie unicestwić zarażonych (a władze już zaczynały sobie zdawać sprawę, z czym mają do czynienia), ale interesy polityczne i lęk przed opinią publiczną przeważały nad zdrowym rozsądkiem.

I tak zaprzepaszczono ostatnią szansę kontroli nad pandemią, a wirus rozpoczął swą śmiertelną galopadę, przekształcając pandemię w apokalipsę.

Wtedy to prawnik był już tak samo przerażony jak reszta świata, jak wszyscy, którzy mieli dostęp do telewizji, radia czy internetu. Środki komunikacji nieustannie nadawały wiadomości o pandemii. Nasz bohater bezradnie śledził, dzień po dniu, jak wirus podbija nowe terytoria. Wkrótce nie było już żadnych wiadomości z Dagestanu. Po paru dniach ucichła cała Federacja Rosyjska... I Polska, Finlandia, Turcja, Iran, a następnie wszystkie państwa świata. Wirus rozprzestrzenił się po całej planecie jak plama ropy po morzu, ale nawet wtedy cenzura nadal panowała nad obiegiem informacji. Władze Unii Europejskiej w bezprecedensowym akcie powołały wspólny sztab antykryzysowy, który dawkował wiadomości jak kroplomierzem, podczas gdy połowa krajów Europy zamykała szczelnie granice i ogłaszała stan wyjątkowy. To właśnie wtedy w internecie pojawiły się pierwsze szaleńcze plotki o chodzących żywych trupach lub o chorych przejawiających potworną agresję. Nie brak było także doniesień o ataku cywilizacji pozaziemskiej, nadejściu Antychrysta, skutkach eksperymentów genetycznych lub potworach z piekielnych czeluści. Było niemal tyle teorii, ile stron w sieci.

Wszyscy natomiast zgadzali się co do jednego, że – czymkolwiek było – zagrożenie okazało się niesłychanie zaraźliwe i śmiertelnie niebezpieczne. I że choroba rozprzestrzeniała się poprzez bezpośredni kontakt z zakażonymi.

Pewnego dnia nasz prawnik ujrzał w telewizji króla Hiszpanii, który – ubrany w mundur jak podczas zamachu stanu w 1981 roku – ogłosił stan wojenny. Zrozumiał, że to, co sygnalizowała mała notka prasowa dwa tygodnie wcześniej, dotarło także do jego kraju.

A władze ze wszystkich złych rozwiązań wybrały najgorsze. Powodowane przytłaczającą logiką procedur sanitarnych (odizolować zdrowych od błakających się chorych), zdecydowały się skoncentrować wszystkich jeszcze niezarażonych w azylach urządzonych w tym celu w całym kraju, nazwanych Bezpiecznymi Strefami. Były to całe kwartały miast, odpowiednio ogrodzone i odizolowane, gdzie obywatele pozostawaliby z dala od „czynnika infekcji”. W tym czasie już wszyscy bowiem zdawali sobie sprawę, że spotkanie z zarażonymi kończy się naprawdę źle.

Nasz prawnik natomiast ze wszystkich pomysłów, które mu przychodziły do głowy, wybrał na swoje szczęście najlepszy. Nie chciał trafić do żadnej z Bezpiecznych Stref (wydały mu się podejrzanie podobne do warszawskiego getta), więc kiedy wojskowe oddziały ewakuacyjne przeszukiwały jego dzielnicę, ukrył się i czekał, aż wszyscy odejdą, po czym zabarykadował się we własnym domu.

Został sam.

Ale nie na długo.

Teraz było już kwestią chwili, aby posady świata zaczęły się kruszyć. Prąd i media szwankowały, ponieważ pracownicy odpowiedzialni za ich utrzymanie nie pojawiali się w swoich miejscach pracy lub po prostu znikali bez śladu. Wkrótce kanały telewizji na całym świecie nadawały jedynie stare filmy przerywane od czasu do czasu przez krótkie programy informacyjne, w których historycznie nakazywano obywatelom koncentrację w Bezpiecznych Strefach. Cenzura podupadła całkowicie. Przyznawano jawnie, że zarażeni po śmierci powracają do życia, napędzani jakimś impulsem, który wywoływał straszliwą agresję wobec żywych istot. Brzmiało to jak wątek zaczerpnięty z kiepskiego filmu i wydawałoby się śmieszne, gdyby nie było prawdziwe. I gdyby w ciągu kilku dni nie doprowadziło do upadku świata.

Potworny mały wirus uwolniony przypadkiem z próbówki przed dwudziestoma dniami pokazał, do czego jest zdolny.

Bardzo trudno opisać to, co zdarzyło się w ciągu następnych czterdziestu ośmiu godzin. System padł, na całym niemal świecie zabrakło prądu i nie znalazł się nikt, kto wiedziałby, co robić. Bezpieczne Strefy okazały się śmiertelną pułapką dla tych, którzy się w nich schronili. Hałas i skupienie ludzi w jednym miejscu działały jak magnes na Nieumarłych, a ci kłębili się już wszędzie. W niektórych strefach oblężenia wybuchła panika, co ułatwiło tym istotom ich zdobycie i opanowanie, z takim skutkiem, że większość chroniących się tam osób także przeistoczyła się w Nieumarłych. Oficjalny przekaz, docierający z rzadka przez nieliczne działające jeszcze media zmienił się: należało trzymać się z daleka od Bezpiecznych Stref.

Teraz jednak było już za późno na cokolwiek. O wiele za późno. Sytuacji nie dało się opanować w żaden sposób.

Prawnik, który pozostał w domu sam, w dzielnicy opuszczonej przez mieszkańców i jedynie w towarzystwie leniwego perskiego kota o imieniu Lukullus, obserwował klęskę w osłupieniu. Kiedy przestał działać nawet internet, szykował się na najgorsze.

I najgorsze wkrótce nadeszło. Nie minęły nawet dwie doby, kiedy pierwsi Nieumarli pojawili się na ulicach spokojnego osiedla na obrzeżach niewielkiego miasta w północnej Hiszpanii. Przerażony prawnik zdał sobie sprawę, że ocalał tylko po to, żeby tkwić uwięziony we własnym domu jak w śmiertelnej pułapce. Przez następne dni ze zgrozą obserwował przez okno swojego schronienia przemarsz nieskończonych szeregów Nieumarłych.

To było piekło na ziemi.

Dopiero po kilku dniach zdecydował się uciec z domu i przedostać do Vigo, do najbliższej Bezpiecznej Strefy, ponadto chciał ujrzeć jakąś ludzką twarz. Skończyły mu się zapasy pożywienia i wody. Miał do wyboru: albo podjąć próbę wymknięcia się Nieumarłym i dotarcia do bezpieczniejszego miejsca, albo też szczeznąć we własnym domu. Mimo oficjalnych ostrzeżeń schronienie się w

Bezpiecznej Strefie wydawało mu się jedynym możliwym sposobem ocalenia.

I tak, w każdej chwili igrając ze śmiercią, rozpoczął niebezpieczną, długą podróż przez wyludnione wsie, szosami zablokowanymi przez porzucone lub roztrzaskane samochody, których pasażerom nikt nie przyszedł z pomocą. Kiedy na koniec dotarł do Bezpiecznej Strefy w Vigo, płynąc wzdłuż brzegu bezpieczną zagłówką zdobytą w porcie Pontevedra, runęła jego ostatnia nadzieja. Bezpieczna Strefa w Vigo, zlokalizowana w dawnej strefie wolnościowej portu, była całkowicie i bezpowrotnie spustoszona. Nie pozostał żaden żywy człowiek, za to po całej okolicy błąkały się bez celu tysięczne rzesze Nieumarłych.

Był bliski popełnienia samobójstwa, gdy zauważył oznaki ludzkiej bytności na stojącym na redzie starym skorodowanym statku towarowym „Zaren Kibish”. Udało mu się tam dostać. Załoga statku, a właściwie grupa zgromadzonych na nim ocalonych, opowiedziała mu o potwornościach, które rozegrały się w ostatnich godzinach istnienia Bezpiecznej Strefy w Vigo, o jej zagładzie pod nawalą Nieumarłych, o głodzie i chorobach; jednym słowem streściła mu historię tysięcy podobnych miejsc na całym świecie.

Ale raz jeszcze fortuna mu sprzyjała. Na pokładzie „Zaren Kibish” poznał wąsatego, niskiego Ukraińca o niewiarygodnie niebieskich oczach, Wiktora Pritczenkę, pilota śmigłowca. Pritczenkę, jak wielu pilotów z Europy Wschodniej, władze Galicji zatrudniały co roku w sezonie letnim do zwalczania pożarów lasu. Uwięziony przez apokalipsę w Vigo, z dala od domu i rodziny, Ukrainiec jako jeden z niewielu ocalał z ataku na Bezpieczną Strefę. Zaprzyjaźnił się z naszym bohaterem, tak jak i on samotnym, zabłąkanym w chaosie tych dni grozy.

Przetrwali kilka upiornych tygodni, podczas których nie tylko musieli bronić się przed Nieumarłymi, lecz i stawić czoło despotycznemu i nie zrównoważonemu kapitanowi statku, po czym wspólnie opracowali plan ucieczki. Śmigłowiec Ukraińca, przystosowany do prowadzenia akcji gaśniczych, nadal znajdował się w bazie leśnej o kilka kilometrów od portu. Chcieli do niego dotrzeć, aby następnie spróbować dolecieć na Wyspy Kanaryjskie, jedno z nielicznych miejsc na świecie, które z racji swego oddalenia uchroniło się przed pandemią. To właśnie tam, jak wynikało z ostatnich wiadomości docierających tuż przed absolutną zagładą systemu, hiszpańskie władze i ocaleni usiłowali pozbierać do kupy szczątki upadłej cywilizacji.

Najpierw jednak należało odwrócić uwagę kapitana i jego uzbrojonej załogi, planujących ocalić własną skórę kosztem życia Prita i prawnika. Naszym bohaterom udało się uciec ze statku oraz – wielokrotnie ryzykując życie – przemierzyć spustoszone miasto. Wydawało się, że najgorsze już za nimi.

Jednak los nie szczędził im dalszych prób.

W opuszczonym salonie samochodowym, który wybrali na prowizoryczne schronienie na noc, Wiktor Pritczenko uległ wypadkowi, próbując otworzyć zabezpieczoną mechanizmem pirotechnicznym walizeczkę, na której odzyskaniu bardzo zależało kapitanowi statku. Wymagał niezwłocznej pomocy lekarskiej.

Prawnikowi nie pozostało nic innego, jak spróbować dotrzeć do jakiegoś szpitala. Jego towarzysz stracił dwa palce i cierpiał na poparzenia drugiego stopnia. Było oczywiste, że w szpitalu nie ma już żadnego lekarza i że najprawdopodobniej kłębią się tam tłumy Nieumarłych, lecz przynajmniej liczyli na znalezienie niezbędnych materiałów opatrunkowych i lekarstw.

Nasz bohater nie wziął pod uwagę, że ogromny, opuszczony i pogrążony w ciemnościach szpital, z dziesiątkami korytarzy, sal i klatek schodowych, może się okazać śmiertelną pułapką. Otoczeni przez Nieumarłych i zagubieni w czeluściach budynku mężczyźni tracili wszelką nadzieję, lecz kiedy sytuacja wydawała się bez wyjścia, pojawiła się Lucía. To ona ich ocaliła.

W ponurym gmachu opanowanym przez Nieumarłych spodziewali się wszystkiego, tylko nie spotkania z żywą dziewczyną. Miała siedemnaście lat, była wysoka i szczupła, a długie czarne włosy podkreślały urok jej lekko skośnych zielonych oczu. Jej obecność w tych ciemnych korytarzach była tak niedorzeczna, że wydała się adwokatowi i Pritczence przywidzeniem. Ale Lucía, podobnie jak oni sami, była po prostu przerażoną istotą ludzką, którą łaskawy los ocalił i umieścił w tym właśnie miejscu.

W końcowych dniach chaosu dziewczyna, szukając rodziców, od których się odłączyła, trafiła do szpitala. Nie udało jej się odnaleźć nikogo z rodziny, za to przez kilka dni pomagała nielicznym, skrajnie wyczerpanym lekarzom, którzy za wszelką cenę usiłowali podtrzymać funkcjonowanie placówki sanitarnej.

Podziemia szpitala stanowiły coś w rodzaju bunkra, do którego prowadziło jedynie kilkoro pancernych drzwi. Kiedy rzesze Nieumarłych otoczyły budynek, dziewczynie w ostatniej chwili udało się tam ukryć. Towarzyszyła jej siostra Cecilia, zakonnica, która też pracowała do końca jako pielęgniarka wolontariuszka. Od tej chwili obie kobiety mieszkały zabarykadowane w szpitalnej piwnicy, czekając na brygady ratunkowe, które nigdy nie nadeszły. Kiedy Lucía usłyszała wystrzały i ludzkie głosy rozbrzmiewające w korytarzach, odważyła się opuścić bezpieczne schronienie.

Jej zdumienie dorównywało temu, którego doświadczyli prawnik i pilot. Zamiast na uzbrojoną grupę ratowników – na co liczyła – natknęła się na uciekinierów, brudnych, głodnych, zagubionych i na granicy załamania nerwowego, z których jeden dodatkowo był ciężko ranny.

Młodziutka dziewczyna wykazała się doświadczeniem godnym dorosłych. Zaciągnęła mężczyznę wraz z ich puszystym rudym kocurem do piwnicy, gdzie siostra Cecilia, ostatnia żywa sanitariuszka w promieniu setek kilometrów,

zajęła się rannym Ukraińcem. W końcu, po wielu tygodniach koszmaru, prawnik i jego przyjaciel odnaleźli bezpieczny, ciepły i wygodny azyl.

Następne miesiące minęły im jak we śnie. Czwórka ocalonych, komfortowo zainstalowana w piwnicy zabezpieczonej przed Nieumarłymi, wyposażonej w wodę i żywność dla setek osób oraz własne generatory energii elektrycznej, prowadziła spokojne życie i czekała, aż sytuacja na powierzchni pozwoli opuścić podziemia.

Lecz zdarzyło się coś nieprzewidzianego, co zmusiło ich do nagłego opuszczenia szpitala i podjęcia próby dotarcia na Wyspy Kanaryjskie. Podczas silnej burzy kilka kilometrów od szpitala wybuchł pożar wzniecony piorunem. W opuszczonym przez ludzi świecie, pełnym łatwopalnych szczątków i suchej roślinności, ogień rozprzestrzenił się swobodnie, aż dotarł niemal do drzwi jeszcze nie tak dawno supernowoczesnego szpitala. Na szczęście czworo ocalonych zdało sobie sprawę z zagrożenia, zanim ogarnęła ich pożoga. W ostatniej chwili, kiedy pierwsze płomienie pełzały już po ścianach, szczęśliwie udało im się opuścić budynek.

Tak więc już od paru dni podróżowali śmigłowcem. Napełnili po brzegi zbiorniki paliwem i zabrali w sieć ładunkową tyle zapasowych kanistrów z benzyną, ile się dało, po czym skierowali się ku Wyspom Kanaryjskim, gdzie spodziewali się znaleźć ocalałe resztki ludzkiej cywilizacji. Prowadziła ich jedna jedyna myśl.

Chcieli przeżyć.

# 1

– Prit! Prit! Słyszysz mnie? Cholerny ukraiński psychopata!

Zakląłem pod nosem. Pieprzony interkom znowu się zepsuł. Po raz trzeci, od kiedy wylecieliśmy z okolic Vigo. Nagle ciężka maszyna podskoczyła do góry, dostawszy się w komin ciepłego powietrza. Złapałem się z całej siły bocznej poręczy. Prit, obojętny na harce śmigłowca, pełnym gazem radośnie pruł do przodu, bez litości katując moje uszy okropną słowiańską wersją piosenki o ciele Johna Browna.

Włożyłem Lukullusa do koszyka. Kot przeciągnął się z gracją właściwą swojemu gatunkowi i ponownie spokojnie usnął, niewrażliwy na potworny ryk silników naszego wehikułu. Spoglądałem z zazdrością na wielką kulę rudego futra. Po pięciu dniach lotu ten dźwięk, nawet przefiltrowany przez słuchawki interkomu, doprowadzał mnie do szału. Jak, do diabła, Lukullus to znosi? No cóż, koty chyba po prostu tak mają.

Odwróciłem się w kierunku kabiny pasażerskiej. Siostra Cecilia, starannie przypięta pasem do fotela, mamrotała monotonnie modlitwy, prawą ręką przesuwając paciorki różańca. Niziutka zakonnica wyglądała nieco surrealistycznie w swym nienagannie czystym habicie i ogromnych czerwonych słuchawkach na głowie. Jedyne, co można było jej zarzucić, to z lekka pozieleniałą cerę i wyraz lęku, który pojawiał się na jej twarzy za każdym razem, gdy śmigłowiec dostawał się w strefę turbulencji. Najwyraźniej latanie nie należało do jej ulubionych zajęć, ale ze spokojem znosiła niewygody podróży. Przez te pięć dni z jej ust nie dobyła się ani jedna skarga.

Na fotelach po przeciwnej stronie przejścia leżała wygodnie wyciągnięta Lucía. Miała na sobie obcisłe beżowe szorty i koszulkę na ramiączkach ubrudzoną smarem z wirnika (uparła się, żeby pomóc Pritowi sprawdzić działanie wirników śmigłowca podczas ostatniego postoju). Spała głębokim snem, a niesforne pasmo włosów spadało jej na oczy. Wyciągnąłem rękę i odgarnąłem jej włosy z twarzy, starając się nie obudzić dziewczyny.

Westchnąłem. Miałem z nią kłopot i nie wiedziałem, co robić. W ciągu tych ostatnich dni Lucía przywiązała się do mnie... a ja do niej. Było jasne, że jej się podobam i że szuka sposobu, aby mnie uwieść. Nie zaprzeczam, też odczuwałem silny pociąg do tej czarnulki ze zniewalająco długimi nogami, o kuszących kształtach i kocich oczach, mimo wszystko starałem się zachować zimną krew.



Po pierwsze, to naprawdę nie był czas ani miejsce na romans. Ponadto, co wydawało mi się nie mniej ważne, dzieliła nas zbyt duża różnica wieku. Szesnastoletnia smarkula (no, siedemnastoletnia, poprawiłem się w myślach) i ja, trzydziestolatek. Na Boga, to prawie czternaście lat różnicy.

Lucia poruszyła się przez sen, mruczając coś z wyrazem zadowolenia na twarzy. Przełknąłem ślinę. Lepiej pójdę trochę odetchnąć, pomyślałem...

Minąłem wąski korytarzyk, który łączył strefę bagażową i pasażerską z kokpitem, i opadłem na siedzenie drugiego pilota obok Pritczenki. Ukraińiec odwrócił się i uśmiechnął promiennie. Z niewielkiego pokrowca przewieszzonego przez ramię wyjął termos z kawą i wyciągnął w moim kierunku. Machinalnie podniosłem go do ust i łyknąłem trochę płynu. Natychmiast do oczu napłynęły mi łzy. Nie mogłem złapać tchu, zakrztusiłem się i zakaszlałem. Niech mnie, jeśli ta kawa nie była pół na pół zmieszana z wódką.

– Kawa z prądem – zakomunikował Ukraińiec, wyrwał mi z ręki naczynie i bez mrugnięcia okiem pociągnął długi łyk. Jednym haustem opróżnił pół termosu, uderzył się w pierś i głośno beknął. – Dużo lepiej się prowadzi. – Oddał mi termos. – Tak, proszę pana. Dużo lepiej. – Mlasnął z zadowoleniem i obdarzył mnie kolejnym wspaniałym uśmiechem. – W Czeczenii cały mój batalion pił samą wódkę... No, ale tam było o wiele zimniej – dodał, rechocząc.

Pokiwałem głową, nie komentując jego wynurzeń. Wiktor bywał nieznośny, a w kabinie było gorąco, bardzo gorąco. Ukraińiec miał na sobie zniszczone wojskowe spodnie, od pasa w górę był nagi. Jego ciało błyszczało od potu. Strój uzupełnił okropnym czarnym kowbojskim kapeluszem, który znalazł na wieszaku w jakimś barze, i okularami przeciwsłonecznymi z zielonymi odbłaskowymi szklami. Jego imponujące wąsiska sterczały na wszystkie strony. Przypominał postać z filmu *Czas Apokalipsy*.

Należało jednak przyznać, że był doskonałym pilotem. Pierwszego dnia, gdy opuszczaliśmy Vigo, jak gdyby nigdy nic podniósł sokoła ze zbiornikami wypełnionymi po wręby i ponad dwiema tonami paliwa w kanistrach, szczelnie upchanych w sieci załadunkowej uwieszanej u podbrzusza maszyny. Coś niesamowitego.

Przed oczyma przesuwały mi się obrazy widziane podczas podróży. W ciągu tych ostatnich dni w całej rozciągłości zdaliśmy sobie sprawę z rozmiarów apokalipsy. Gdybyśmy mieli jeszcze jakieś wątpliwości, raz na zawsze uzyskaliśmy straszliwą pewność, że cała ludzka cywilizacja definitywnie poszła w rozsypkę.

Najgorsze były pierwsze godziny. Śmigłowiec kierował się na południe, lecąc na wysokości kilkuset metrów wzdłuż portugalskiego wybrzeża, a my rozglądaliśmy się wokół z przerażeniem. Wszędzie panowały chaos i pustka. Jednak pierwsze, co nas zdziwiło, to światło. Powietrze było niezwykle jasne,

przejrzyste. No tak, przestały działać fabryki i ruch kołowy już od miesiący nie zatrzymał atmosfery. To niesłychanie czyste powietrze miało w sobie coś nierzeczywistego i fantastycznego. Można by pomyśleć, że znajdujemy się na dziewiczych terenach przed pięcioma tysiącami lat. Rzecz jasna, efekt psuł nieco unoszący się zewsząd odór zepsutego mięsa, śmieci i resztek organicznych. Zresztą już jeden rzut oka na snujących się wszędzie zgniluchów skutecznie rozwiewał iluzję.

Szosa wyglądała na całkowicie nieprzejezdne. Ciemne wstęgi asfaltu znaczyły plamy pozostawionych tu i ówdzie samochodów, gdzieś z powodu potwornych karamboli droga była nieprzejezdna na całej szerokości. Widzieliśmy też parę wiaduktów, które całkiem się zapadły, i leżące wszędzie zwały ziemi. Górski odcinek autostrady łączącej Porto i Lizbonę na długości kilku kilometrów zamienił się w dziki potok, którego wzburzone wody przelewały się przez zaporę i tworzyły kłębowiska piany wokół resztek karoserii, niczym dookoła dziwacznych skalnych odłamów.

Przyroda upominała się o swoje. Wyniosłe budowle, dumne dzieła inżynierów i konstruktorów powoli pochłaniały roślinność, woda, ziemia i wszystko to, czego Bogu spodobało się użyć w tym celu.

Trzaski w słuchawkach interkomu nagle wyrwały mnie z zamyślenia i kazały wrócić na Saharę. Cholerna aparatura postanowiła znowu działać.

– Lecimy na resztkach paliwa – głos Wiktora metalicznie rozbrzmiewał w moich uszach. – Zrobię koło. Uważaj. Szukaj dobrego miejsca do lądowania.

I miej oczy szeroko otwarte, powiedziałem sam do siebie. Tego by tylko brakowało, żeby coś spieprzyć teraz, kiedy już prawie jesteśmy na miejscu.

Cóż, ostrożności nigdy nie za wiele.

Wystarczy przypomnieć sobie, co zdarzyło się poprzedniego dnia.

## 2

To był jeden z ostatnich postojów, gdzieś na zapadłej wsi, na granicy między Portugalią a Estremadurą. Wylądowaliśmy na zakurzonej parkingu przydrożnej restauracji. Betonowa płyta była niemal pusta, stały tam tylko zardzewiały volkswagen polo i seat leon na sflaczałych oponach. Neon restauracji pokrywała gruba warstwa kurzu, a wszystko wokół było zaniedbane i opuszczone. Najwyraźniej byliśmy pierwszymi ludźmi, którzy się tam pojawili od prawie roku.

Sokół usiadł, wzniecając gigantyczną chmurę pyłu. Jeszcze zanim opadł pył, zeskoczyliśmy z Pritem na ziemię z karabinami automatycznymi Heckler & Koch, wymierzonymi do strzału. W ustach czuliśmy gorzki smak strachu. Rozpaczliwie próbowaliśmy przebić wzrokiem kłębiastą zasłonę, wypatrując, czy nie zbliża się chwiejnym krokiem jakiś umarłak.

Po chwili stwierdziliśmy, że parking jest pusty. Szaleńcze bicie mojego serca powoli się uspokajało. Wirnik sokoła przestał się kręcić i wokół zapadła grobowa cisza. Nie było słyhać nawet śpiewu ptaków.

Z pewnością wszystkie pierzaste stworzenia wystraszyły się lądującego śmigłowca. Lub, co gorsza, poprawiłem się w myśli, w całej okolicy nie został już ani jeden cholerny ptak. Tak też mogło być.

Przez moment miałem niepokojące wrażenie, że jesteśmy ostatnimi ludźmi na Ziemi. Nagle zamiauczał Lukullus i przerwał mój dziwny nastrój. Trzeba było wziąć się do roboty.

Pritchenko zwawo podszedł do sieci ładunkowej i z pomocą Lucii odczepił jej górne mocowanie. Gruba, wytrzymała sieć ześlizgnęła się po stercie żółtych kanistrów. Odsunąwszy kilka pustych, Ukrainiec popchnął kanister wypełniony po brzegi kerozyną CB-1-A w kierunku wlewu paliwa, odkorkował go i wprawnym ruchem podłączył gumową rurę, przez którą paliwo popłynęło do zbiornika.

Tankowanie zajmowało zaledwie parę chwil, ale były to chwile szczególnie niebezpieczne. Siedzieliśmy na ziemi, z odczepioną siecią ładunkową i otwartym wlewem paliwa, łatwopalny płyn lał się strumieniem. Gdyby zniecka pojawili się jacyś Nieumarli, mielibyśmy się z pyszna.

Upewniłem się więc, że w okolicy nie widać żadnego ruchu, dałem znać Pritowi i wróciłem do kabiny po papierosa. Zmarszczyłem brwi rozczarowany. W schowku było tylko kilka cameli, pokruszonych i zawilgoconych. W szpitalu

zdożyliśmy wystarczające zapasy żywności i leków, ale nasze zasoby tytoniu były bardziej niż skromne.

Z namysłem popatrzyłem na restaurację po drugiej stronie parkingu. Była to dość podła przydrożna knajpa, ale założyłbym się o milion euro, że mieli automat z papierosami przy drzwiach wejściowych lub też w głębi, pod wiszącym telewizorem. Mógłbym tam zajrzeć, pomyślałem. Przecież na tym pustkowiu nic się nie dzieje.

Chciałem uprzedzić o swoim zamiśle towarzyszy podróży, ale Lucía i Prit stali do mnie tyłem, namiętnie dyskutując o najlepszym sposobie załadunku pustych kanistrów do sieci. Siostra Cecilia spokojnie spała, wykorzystując chwilę odpoczynku od przerażających ją podniebnych przestworzy, a Lukullus... no cóż, Lukullus mył się starannie, jak to koty mają w zwyczaju, całkowicie obojętny na resztę świata. Wzruszyłem ramionami i skierowałem się w stronę restauracji. To potrwa chwilę, pomyślałem.

Drzwi były zamknięte. Rozejrzałem się dookoła. Fasadę budynku ozdabiała donice z wyschniętymi roślinami i zakurzona markiza. Na ziemi leżał przewrócony, wypłowiały od słońca baner reklamujący lody. Porwany parasol, kilka plastikowych krzeseł i zasypany piaskiem stół dopełniały obrazu opuszczenia. Pod ścianą, zbierając kurz i powoli zamieniając się w szmatę, leżała nieokreślonego koloru kurtka dżinsowa, porzucona przez kogoś, kto ewidentnie nie miał czasu, aby odłożyć ją w lepsze miejsce.

Drzwi wyglądały na dość solidne, ale na bocznej fasadzie tuż obok było kuchenne okno starego typu z drewnianą ramą. Z biegiem lat i od gorąca bijącego od rusztu stojącego w środku tuż obok okna rama wypaczyła się i między jej dolną krawędzią a ościeżnicą powstała kilkucentymetrowa szpara.

Wyciągnąłem nóż, który nosiłem z tyłu za paskiem, i wsunąłem ostrze w szparę. Podważyłem zasuwkę i usłyszałem cichy trzask. Droga wolna. Skrzydło okienne otworzyło się bezdźwięcznie – ktoś kiedyś solidnie naoliwił zawiasy.

Ostrożnie wskoczyłem do chłodnej kuchni, starając się przeniknąć wzrokiem półmrok. Kontrast między słonecznym blaskiem i ciemnym wnętrzem na sekundę mnie oślepił. Ale niemal nie zwróciłem na to uwagi. Dużo gorszy był panujący w środku potworny, duszący odór zgnilizny. Usiłowałem zakryć sobie nos rękawem, z oczu popłynęły mi łzy, czułem, że niechybnie zaraz się porzygam.

Kiedy mój wzrok przywykł do półmroku, przyjrzałem się dokładniej wnętrzu kuchni. Smród bił z ogromnej przemysłowej zamrażarki, otwartej na oścież, w której od miesięcy rozkładały się półcie wieprzowego i wołowego mięsa. Na stole kuchennym leżało coś, co było kiedyś dużym kawałem schabu, a obecnie mrowiem białych robaków, które wspinały się nawet po nożu opartym o stolnicę. Tuż obok zastygł na wieczność stos zgniłych pomidorów, oczekując pokrojenia na sałatkę, która nigdy nikomu nie zostanie podana. Na kuchence

stała spalona patelnia, a na suficie ponad nią widniał wielki krąg sadzy. Kurek gazu był odkręcony. Gaz skończył się już dawno, choć z pewnością przedtem palił się przez kilka dni. Tylko jakimś cudem cały budynek doszczętnie nie spłonął.

Obraz całości świadczył o pospiesznej ucieczce. O panice, która nie pozwala zadbać o najprostsze rzeczy. Nietrudno mi było sobie wyobrazić, co tak przeraziło klientelę i personel.

Ostrożnie otworzyłem kuchenne drzwi. W jadalni, też pogrążonej w półmroku, było kilkanaście stolików; na niektórych stały talerze z zaschniętymi resztkami potraw. Samotna torebka zwisała z oparcia krzesła, pozostawiona tam przez uciekającą w popłochu właścicielkę.

Obrzuciłem uważnym spojrzeniem nieprzyjemnie wyglądające pomieszczenie i wreszcie dostrzegłem automat z papierosami. Stał w rogu przy wejściu, tuż obok ekspresu do kawy. Za kontuarem, pomiędzy butelkami koniaku oraz zdjęciami i szalikami Realu Madryt, na poczesnym miejscu wisiał kalendarz, na którym czas w lutym zatrzymał się na zawsze. Wszedłem za ladę i zacząłem przeszukiwać szuflady, aż w trzeciej, obok stosu rachunków, odnalazłem pęk kluczy. Uśmiechnąłem się z zadowoleniem. Z pewnością był wśród nich klucz od automatu.

Już otwierałem maszynę, gdy z zewnątrz dobiegł mnie stłumiony brzęk uderzających o siebie pustych metalowych beczek. Oznaczało to, że Prit i Lucía zamykają sieć bagażową, szykując się do odlotu. Nagle ogarnął mnie absurdalny lęk. Wyobraziłem sobie, że odlecą beze mnie i zostawią mnie w tym brudnym, cuchnącym miejscu, zapomnianym przez Boga i ludzi. Myśli te były całkowicie nieuzasadnione, ale jak wszystkie głupie pomysły, które lęgną się w przemęczonych głowach, nabrały nagle pozoru rzeczywistości. Musiałem się pospieszyć. Błyskawicznie, jak leci wrzuciłem papierosy do plecaka, nie zwracając na nic uwagi i w pośpiechu zrzucając część paczek na ziemię. Nie wiedziałem, czy w tej podróży gdzieś jeszcze uda mi się zdobyć tytoń.

Miałem już wychodzić, kiedy uświadomiłem sobie, że strasznie chce mi się sikać. Po siedmiu godzinach lotu mój pęcherz pękał. Prit twierdził, że w śmigłowcach sika się do butelki, ale do pomysłu, by robić to na oczach zakonnic i siedemnastoletniego podlotka, nie do końca byłem przekonany, tak więc powstrzymywałem się. Aż do teraz.

Przerzuciłem karabin przez plecy i w marszu odpinając rozporek, aby nie tracić czasu, poszedłem do łazienki. Stałem przed pisuarem i wkrótce poczułem zdecydowaną ulgę.

Właśnie miałem zapiąć spodnie, kiedy w lustrzanej powierzchni ścianki nad pisuarem zobaczyłem tuż za sobą odbicie dłoni. Dłoni, ramienia i reszty kobiety. Grubej kobiety ze sztywnymi kręconymi włosami, a raczej strzępami włosów. Brakowało jej też połowy twarzy. Coś (lub ktoś) ją wyżarło,

przypuszczalnie to samo, co oderwało jej ręce od tułowia. W przelocie zobaczyłem rozszarpaną kończynę, leżącą na podłodze w kałuży zaschłej krwi. Druga, ta, której odbicie najpierw ujrzałem, zwisała z ramienia na kilku włóknach i huśtała się w makabryczny sposób, w rytm ruchów swojej właścicielki.

Nie zdołałem się nawet odwrócić, gdy bestia rzuciła się na mnie i przycisnęła do ściany. Czułem jej odór z tyłu, na karku, i usłyszałem, jak wgryza się w lufę karabinu, który miałem przewieszony przez plecy. Była ogromna, ważyła z pewnością sporo ponad setkę i poruszała się ociężale, tak jak wszyscy Nieumarli.

Na moje szczęście nie miała rąk, bo inaczej załatwiłaby mnie w mgnieniu oka. Udało mi się odeprzeć pierwszy atak, ale sytuacja nadal wyglądała bardzo groźnie. Opierając się rękoma o ścianę, silnie odepchnąłem ciało do tyłu, jednak zgnilucha ciągle zaciskała zęby na moim karabinie, a nogi ślizgały mi się rozpaczliwie po posadzce.

Zwaliliśmy się na podłogę. Uwolniłem się jakoś od tego martwego ciężaru i zacząłem odczołgiwać się tyłem, plecami do drzwi, ale – ku swemu przerażeniu – poczułem, że potwór wgryza mi się dziko w stopę, szczęśliwie solidnie obutą. W napadzie hysterii zacząłem kopać drugą nogą w brunatną masę, która kiedyś była kobiecą twarzą.

Nie chciałem umierać. Na pewno nie tak. Nie w brudnym kiblu baru na zadupiu, z rozpiętymi spodniami, czołgając się po ziemi. Nie w ten sposób.

Ująłem obiema rękami bełt, których kilka zawsze nosiłem ze sobą w przypiętym do nogi pokrowcu (kuszę zostawiłem w śmigłowcu, niestety), i wbiłem go z całej siły w głowę poczwary. Metalowy grot z cichym mlaskiem wślizgnął się do środka i utknął na twardej kości czaszki.

Opierając się o ścianę, zdołałem się podnieść, ani na chwilę nie tracąc z oczu ciała Nieumarłej. Jak zawsze w takich przypadkach, kiedy było już po wszystkim, poczułem się naprawdę źle. To zdarzyło się tak nagle. Oblany zimnym potem, trzęsącymi się rękami próbowałem zapalić papierosa, musiałem jednak zrezygnować. Nie dałem rady przekreślić kółka zapalniczki. Piętnaście sekund, nie więcej, coś jak mgnienie oka. Boże ty mój, nadal nie mogłem w to uwierzyć!

Opuściłem łazienkę, słaniając się na nogach. Czułem gorzki posmak w ustach, adrenalina odpłynęła. Nie przywykłem i nigdy się chyba nie przyzwyczaję do zabijania tych istot. Wiedziałem, że nie są żywe, ale za każdym razem czułem się chory. Za każdym razem zagrożenie życia wywoływało u mnie przejściowy paraliż i głęboki lęk. Noc w noc, od miesięcy, moimi nieodstępnymi towarzyszami w łóżku były okropne, przerażające sny.

I nie tylko moimi. Widziałem, jak Lucía rzuca się przez sen, usiłując uciec przed niekończącym się koszmarem. Widziałem, jak Prit budzi się nagle, zlany

zimnym potem i z błyskiem szaleństwa w oczach. Zastygał potem na całe godziny, patrząc w pustkę z nieobecnym wyrazem na twarzy, lub chwycił butelkę wódki i opróżnił ją kilkoma łykami. Ja tak pewnie wyglądam, kiedy budzę się w nocy. Zresztą żadnemu z nas od miesiący nie zdarzyło się przespać więcej niż pięć godzin naraz.

Wreszcie, pomimo dygotu rąk, udało mi się zapalić papierosa, otworzyć frontowe drzwi i wyjść na zewnątrz. W świetle słońca na chwilę musiałem zmrużyć oczy, po czym lekko zdezorientowany popatrzyłem wokół. Łopaty sokoła już powoli kreśliły ogromne koła w powietrzu. Lucía obserwowała mnie uważnie z fotela drugiego pilota, Pritczenko był zajęty odczytywaniem wskazań instrumentów pokładowych przed startem.

Podszedłem do śmigłowca, powłóczę w pyle nogami i czując na sobie przenikliwy wzrok dziewczyny. Zauważyła, że coś złego spotkało mnie w tej porzuconej, zakurzonej restauracji. Czułem się zmęczony, bardzo zmęczony i wyczerpany. Ten drobny epizod był symbolem mojego obecnego życia.

Koszmar. Niekończący się koszmar.

### 3

– Odbiór! *Dawaj! Dawaj!* Słyszysz mnie?

Głos Prita przebijał się przez trzaski i zakłócenia interkomu. Byłem tak pogrążony w myślach, że aż do tej chwili zupełnie go nie słyszałem. Potrząsnąłem głową, odrzucając upiorne wspomnienia, i powróciłem do rzeczywistości, do sokoła, który jak ogromny ptak leciał nad Saharą.

– No co tam, Prit? – wrzasnąłem, przekrzykując wycie silników. Śmigłowiec schodził w dół po szerokiej spirali.

– Myślę, że to będzie dobre miejsce, żeby wylądować – stwierdził Ukrainiec, kiedy wślizgnąłem się do kokpitu.

Popatrzyłem w kierunku, który wskazał. Lecieliśmy nad zabitą dechami wioską nad samym brzegiem Atlantyku, gdzie piaski Sahary pogrążyły się w zimnych morskich wodach. Wieś liczyła nie więcej niż kilkanaście domów, był tam też meczet z cegieł suszonych na słońcu, pobielony wapnem, pół tuzina długich łodzi rybackich suszących się na plaży i rachityczne pola uprawne obok zabudowań. Zasypana piaskiem droga, prowadząca z północy na południe, przecinała wioskę wzdłuż i gubiła się w oddali.

Na południowym krańcu osady, ponad dwieście metrów od najbliższych zabudowań, znajdował się obszerny plac otoczony żywopłotem z kolczastych drzew i krzewów. W swoim czasie teren ten z pewnością służył za zagrodę dla kóz, ale teraz nie było ani śladu zwierząt. Doskonałe miejsce, aby wylądować.

Kreśląc z wdziękiem w powietrzu przedłużoną literę „S”, Prit zszedł niżej i na chwilę zawiśliśmy jakieś pięć, sześć metrów nad ziemią, tuż nad dawną kozią zagrodą. Kanistry – już w większości puste – zagrzechotały metalicznie, gdy ogromna sieć oparła się o powierzchnię lądowiska. Lekkim dotknięciem manetki Ukrainiec przesunął śmigłowiec tak, aby znalazł się tuż obok sieci. Po chwili sokół po raz kolejny w tej podróży osiadł na ziemi, wzniecając wokół siebie prawdziwą burzę piaskową i podmuchem powietrza częściowo rujnując ogrodzenie.

Kiedy piasek opadł, mogliśmy spokojnie przyjrzeć się otoczeniu. Jedyne odgłosy wiatru świszczącego między chatami z niewypalanej cegły zakłócały panującą we wsi grobową ciszę. Natychmiast poczuliśmy duchotę i gorąco. Temperatura na bank dochodziła do czterdziestu pięciu stopni. Od upału powietrze było gęste i gorące jak rosół, oddychało się z trudem. Z całą pewnością nawet w swych najlepszych latach ta wieś na skraju pustyni nie



była miłym miejscem zamieszkania, a teraz, zrujnowana i opustoszała, wyglądała złowieszczo.

Mając się na baczności, wyszliśmy z Pritem z zagrody. Chcieliśmy się rozejrzeć i przy okazji trochę rozprostować nogi, czego bardzo potrzebowaliśmy po wielogodzinnej podróży. Główna i jedyna ulica wioski, nędzna szosa pokryta asfaltem w zaniku, już ginęła pod ogromnymi piaszczystymi wydrami. Nikt jej nie konserwował od miesięcy.

Ostrożnie szliśmy środkiem jezdni ku zabudowaniom. Wieś znajdowała się blisko terenów, na których przed apokalipsą działał Front Polisario, i pobocza nielicznych szos w tej okolicy nadal mogły być zaminowane. Byłoby ironią losu zginąć wypatroszony przez minę teraz, gdy już tak niewiele dzieliło nas od Wysp Kanaryjskich.

Spomiędzy pierwszych domów dotarł do nas silny odór jakby skwaśniałego mleka. Popatrzyliśmy na siebie bardzo zdziwieni. Nie był to typowy smród rozkładu, który towarzyszył nam od początku podróży. Był mniej intensywny, kwaskowaty, ostry.

W milczeniu przeładowaliśmy broń, co Ukraińcowi poszło o wiele sprawniej niż mnie. Odetchnęliśmy głęboko i raptownie skrzyliśmy za róg domu, celując na chybił trafił we wszystkie strony.

– Ależ... – Wyraz twarzy Pritczenki świadczył o całkowitym zaskoczeniu. – Co to jest, do diabła?

– Nie mam najmniejszego pojęcia, Prit. – Opuściłem broń i poskrobałem się po głowie. – Ale za cholere nie chciałem tu być wtedy, kiedy to się wydarzyło.

Na wąskiej uliczce przed nami leżał stos kilkunastu ciał rzuconych jak bądź na ziemię. Widzieliśmy już mnóstwo takich podczas naszej podróży.

Różnica polegała na tym, że ciała te – zresztą niewątpliwie martwe – nie były w rozkładzie, jak należało się tego spodziewać. Wysoka temperatura, suchy klimat i upalne powietrze pustyni dokonały dzieła. Doskonale z mumifikowane wyschnięte trupy koloru hebanu, pocerniałe i spalone przez słońce, z przypominającą pergamin skórą, napiętą jak na bębnie, były obleczone w resztki podartych ubrań.

Ostrożnie zbliżyliśmy się do zwłok, które wydzielały charakterystyczny kwaśno-gorzki zapach. Trupy przypominały mumie faraonów eksponowane w muzeum w Kairze. Trąciłem nogą tego, który leżał najbliżej. Zupełnie jakbym kopnął kawałek drewna. Byli wyschnięci na wiór.

Niemal wszyscy mieli w głowach otwory od kul oraz wiele innych ran i okaleczeń. Ich ubrania były sztywne od zakrzepłej krwi. Po tylu doświadczeniach z Nieumarłymi nie mieliśmy wątpliwości, czym były te istoty, zanim ktoś je zlikwidował.

Prit schylił się i podniósł z ziemi błyszczącą miedzianą łuskę. – Pięć koma

pięćdziesiąt sześć milimetra, NATO – powiedział, obrzuciwszy ją szybkim spojrzeniem. – Przypuszczalnie z takiego HK416, jaki nosisz na plecach – dodał. Potem zamilkł. Nie było potrzeby mówić więcej.

Żołnierze marokańscy używali jeszcze starych karabinów Cetme kaliber 7,62 mm, których Hiszpania dostarczała tysiącami w latach pięćdziesiątych, kiedy Maroko modernizowało armię. A więc nie zrobili tego Marokańczycy, a przynajmniej nie ich regularne oddziały. Kto i kiedy załatwił te poczwary, pozostawało zagadką.

Nagle ze stosu trupów po prawej dobiegło nas głucho rżenie. Obydwaj z Ukraińcem podskoczyliśmy jak rażeni prądem. Rżenie powtórzyło się raz jeszcze, głębokie i ochryple, ale stos zwłok trwał w całkowitym bezruchu.

Nerwowo dotknąłem bezpiecznika HK416, patrząc pytająco na Prita. Ukrainiec oblizwał zaschnięte wargi, zastanawiając się, co począć. Wreszcie podszedł bliżej do trupów, tak ostrożnie, jakby były bombą atomową.

Pomruk powtórzył się po raz trzeci i tym razem udało nam się zlokalizować, skąd pochodzi. Wydobywał się z ciała, które leżało oparte plecami o ścianę, z nogami wyciągniętymi na ziemi, rękoma opuszczonymi wzdłuż boków i głową przekrzywioną na pierś, podziurawione serią z karabinu. Mur pobrudzony był zaschniętą krwią w miejscu, po którym się osuwało, aż upadło w tej pozycji. Obydwa kolana były całkowicie zdruzgotane przez kule, jedną nogę łączyło z resztą ciała jedynie kilka wyschniętych ścięgien.

Zaskoczony gwizdnąłem cicho. Ależ miał pecha ten Nieumarły. Został rozstrzelany, ale żadna z kul nie trafiła go w głowę. Nieszczęśnika, nieruchomego i uznanego przez oprawców za całkiem nieżywego, pozostawiono swojemu losowi w zapomnianej uliczce, gdzie całymi miesiącami wysychał w palącym słońcu pustyni, nie mogąc umrzeć.

Przyjrzałem mu się z bliska. Jego kończyny były pozbawione życia i sztywne, ciało, schnąc, powoli zanikało, zamieniając się w twór przypominający rzemień czy deskę. Nie mógł poruszyć żadnym mięśniem, ale w głębi jego wyschniętych gałek ocznych błyszczała jeszcze iskra życia (raczej nieżycia, poprawiłem się w myślach). Po raz pierwszy, od kiedy to wszystko się zaczęło, szczerze współczułem tym istotom. Nie wiedziałem, czy mają one świadomość, ale nie umiałem wyobrazić sobie piekła, jakim było zamieszkiwać ciało zamienione w kawałek drewna. W jakimś zakamarku tej wysuszonej czaszki gnieździła się esencja życia, wściekła i oszalała z powodu uwięzienia tam na zawsze.

Pieprzony Nieumarły zwariowany do szczeru. Ale numer.

Jednakże to odkrycie sprawiło, że wyraźnie się odprężyliśmy. Jeśli ten stwór znajdował się w tak opłakanym stanie, to oznaczało, że każdy Nieumarły, który przebywałby w tej okolicy od ponad kilku tygodni, powinien być wyschnięty jak trawa ostnica i podobnie jak ona nieruchomy.

Była w tym ironia losu. Jedynymi bezpiecznymi miejscami na świecie stały się te najmniej nadające się do zamieszkania. Oczywiście fakt, że pustynie nie nadawały się do zamieszkania, eliminował je całkowicie jako tereny, gdzie mogliby osiedlić się ludzie. Sytuacja tak czy inaczej bez wyjścia.

Prit przez chwilę milczał, przyglądając się potwornej postaci. Coś mu świtało w głowie, nie było co do tego wątpliwości.

– Wiktor... przyjacielu, co się dzieje? – Położyłem mu rękę na ramieniu. Ukraińiec aż podskoczył.

– Myślałem... – obliznął wargi w zamyśleniu – ...pomyślałem, że jeśli krańcowy upał tak działa na te istoty, to przypuszczalnie minusowa temperatura może je zamrozić. Rozumiesz?

– Nie wiem, do czego zmierzasz, Prit, ale nie wydaje mi się, aby...

– Zima w Niemczech jest surowa, bardzo surowa. – Oczy zabłyśły mu w podnieceniu. – Moja żona i syn byli w Düsseldorfie, a tam temperatury sięgają dziesięciu stopni poniżej zera! Jeśli wszyscy Nieumarli zamrzli, to istnieje szansa, że mojej rodzinie nic się nie stało! – Mały Ukraińiec aż podskakiwał z podniecenia. – Może powinniśmy tam lecieć?!

Popatrzyłem skonsternowany na swojego przyjaciela. Jak tonący brzytwy uczepił się nadziei, że jego rodzina pozostała przy życiu.

– Prit, sądzę, że się mylisz i że sam o tym wiesz – sprzeciwiłem się łagodnie, starając się nie zranić jego uczuć. – Ekstremalne gorąco i ekstremalne zimno to nie to samo. Te istoty, Nieumarli, nie mogą umrzeć z zimna, a dopóki się ruszają, nie mogą też całkiem zamrznąć. Przypuszczam, że przy temperaturach pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu stopni poniżej zera zamrzliby, ale tam, gdzie żyją ludzie, nie ma takich temperatur. Na twarzy Wiktora pojawiła się rozpacz.

– No to dlaczego... Nie rozumiem, jak...

– Prit, pomyśl tylko. Nie chodzi o temperaturę, ale o wilgotność powietrza – tłumaczyłem cierpliwie. – Ciało składa się w dziewięćdziesięciu procentach z wody i kiedy traci ją pod wpływem gorąca, zostaje coś takiego. – Wskazałem gestem na Nieumarłych leżących pokotem u naszych stóp. – Na północy, nawet jeśli temperatury są bardzo niskie, jest nadal wilgotno, i te skurwysyny mogą się poruszać bez końca. Tak mi się przynajmniej wydaje – zakończyłem, opuszczając bezradnie rękę.

Ze współczuciem popatrzyłem na Pritczenkę. Wyraz jego twarzy pokazywał jasno, że zdaje sobie sprawę ze znaczenia moich słów. Te przekłete poczwary nie umierały ani z zimna, ani z głodu, ani z pragnienia, ani od gorąca. Nadzieja, że jego rodzina w Niemczech żyje, skurczyła się do zera. Tak jak i nadzieja na to, że żyją moi bliscy, pomyślałem rozgoryczony. Zostaliśmy sami, samotni jak kołki w płocie.

Odeszliśmy stamtąd powoli, ale przedtem Prit, z nienawiści, przezorności lub litości, przez oczodół wbił ostrze noża w mózg Nieumarłego. Rzeźenie natychmiast ucichło.

Przeszukanie pozostałej części wioski obyło się bez większych niespodzianek. Ktoś (przypuszczalnie ci sami, którzy wykończyli wszystkich Nieumarłych) opróżnił doszczętnie to miejsce. Nie znaleźliśmy niczego, co by się nam mogło przydać, ani jedzenia (które nam się niepokojąco kończyło), ani paliwa, ani broni, ani też wody. Wioskowa studnia, potwornie głęboka, ocieniona daszkiem, usytuowana była naprzeciwko drzwi do meczetu. Mieszkańcy ciągnęli wodę za pomocą pompy motorowej, lecz jedynym po niej śladem były śruby, którymi kiedyś przymocowano ją do ziemi. Ci, którzy spustoszyli wieś, zabrali ze sobą wszystko, pompę również.

Ściany domów z gliny zaczynały już pękać w tym duszącym pustynnym upale. Niektóre budynki miały zerwane dachy od silnego oceanicznego wiatru i ukazywały naszym oczom wnętrza. Przypuszczalnie za kilka lat, o ile nikt temu nie zaradzi, pustynia pożre osadę i zniknie ona tak, jakby nigdy nie istniała.

Słońce zachodziło już ponad oceanem, zabarwiając niebo na wspaniałą czerwony kolor, i robiło się nieco chłodniej. Zdecydowaliśmy się tu nocować. Nie licząc stosu ciał w zaułku i jeszcze paru trucheł w jednym z domów, nie napotkaliśmy innych Nieumarłych. Postanowiliśmy rozbić obóz w meczecie, jedynym budynku wioski, którego podłoga była pokryta dywanami.

Tej nocy, siedząc w ciemnościach na plaży, z papierosem w ręce i pod niebem usianym gwiazdami, po raz pierwszy od długich miesięcy poczułem odprężenie. Udało mi się, nadal żyję.

I po raz pierwszy, od kiedy wyruszyłem w podróż, wybuchnąłem płaczem.

## Wyspy Kanaryjskie

– Matko Przenajświętsza! Jesteśmy ocaleni! – Głos siostry Cecylia zadrżał z emocji. Dostrzegliśmy właśnie majaczący na horyzoncie mglisty kontur Lanzarote, najdalej na wschód wysuniętej wyspy archipelagu.

Spojrzałem z zaciekawieniem na niziutką zakonnice. Oto na widok bliskiej już ziemi porzuciła swoją zwykłą rezerwę i opanowanie i w ciasnym pomieszczeniu kabiny pasażerskiej wznosiła entuzjastyczne okrzyki. Lucía natomiast obdarzyła zarówno mnie, jak i Wiktora kilkoma głośnymi pocałunkami i uściskami, które odebrały nam dech.

Miała ku temu dobry powód. Cel był już blisko.

Kilka godzin wcześniej opuściliśmy kontynent afrykański. Lecieliśmy z wiatrem i pokonaliśmy dystans szybciej, niż przypuszczaliśmy, a teraz wyspa Lanzarote lśniła w południowym słońcu jak fatamorgana na tle morza o głębokiej turkusowej barwie. Był to najpiękniejszy obraz, jaki było mi dane widzieć od miesięcy.

Spojrzałem z zadowoleniem w stronę Prita, który spokojnie poinformował, że za jakieś dwadzieścia minut będziemy lądować.

– A za trzy kwadranse mam zamiar raczyć się zimnym piwem – dodał. – Chcę całą beczkę zimnego piwa i skrzynkę kanaryjskich cygar – sprecyzował po sekundzie, uśmiechając się szelmowsko.

Z tyłu dobiegł mnie głos Lucii, która pospiesznie tłumaczyła siostrze Cecylia, że nie może się już doczekać, żeby zdobyć jakieś ubrania, które nie będą na nią o trzy rozmiary za duże. Coś młodzieżowego i podkreślającego figurę, tak dokładnie powiedziała.

Wewnątrz sokoła panował świąteczny nastrój. Podniecenie udzieliło się nawet Lukullusowi i biedaczek zaczął skakać po całej kabinie. Musieliśmy go wsadzić z powrotem do koszyka, ku jego wielkiemu zresztą niezadowoleniu wyrażonemu głośnym miauknięciem. Ja sam odczuwałem głęboką ulgę. Wyruszyliśmy w podróż bez powrotu i udało nam się przebyć ponad dwa tysiące kilometrów bez większych przygód, co – zważywszy na okoliczności – bez wątpienia było wybitnym osiągnięciem. Byłem zadowolony.

Przeszukiwałem częstotliwości radiowe w nadziei na kontakt z wyspą. Zamierałem uprzedzić o naszym przybyciu. Ostatnia rzecz, na jakiej nam

zależało, to żeby ktoś nerwowo nie wytrzymał i nacisnął spust. Byliśmy nowi na tym podwórku, więc musieliśmy zachowywać się przezornie.

Wyraz mojej twarzy spowodował, że radosna wrzawa panująca w kabinie stopniowo zaczęła cichnąć. Żebym nie wiem jak obracał pokrętłem strojenia radioodbiornika, nie udawało mi się znaleźć niczego innego niż szumy na falach krótkich. Okropna, lodowata kula lęku przygniotła mi żołądek. Jeśli na krótkich falach nie da się niczego złapać, to oznacza jedno z dwojga: albo na Lanzarote z jakiegoś nieznanego powodu panuje cisza w eterze, albo... na całej wyspie nie został już nikt, kto umiał się posługiwać radiostacją.

Zrobiło mi się niedobrze. Jeśli epidemia dotarła na wyspy, to nasza szansa na przetrwanie raptownie zmniejszyła się prawie do zera. Znajdowaliśmy się nad położonym na środku Atlantyku archipelagiem odległym ponad dwa tysiące kilometrów od Europy, kończyło nam się paliwo i nie mieliśmy jak i dokąd wracać. Nigdzie indziej też nie uda nam się dolecieć. Postawiliśmy wszystko na jedną kartę i... najwyraźniej przegraliśmy.

W kabinie sokoła zapanowała cisza. Trzy pary oczu wpijały mi się w kark, podczas gdy śmigłowiec pokonywał ostatnie mile morskie dzielące nas od wyspy. Za parę chwil będziemy „na suchym lądzie”, jak nazwał to Prit.

Co, do licha, mam im powiedzieć? A przede wszystkim co, na litość boską, powinniśmy zrobić? Kręciło mi się w głowie.

– Nie ma żadnego sygnału, prawda? – siostra Cecilia przerwała ciężkie milczenie głosem, w którym słychać było nutę fatalizmu.

– Tak, siostrze – odpowiedziałem po kilku sekundach ciągnących się w nieskończoność. – Myślę, że tam na dole nie ma nikogo.

W tym samym momencie pojawiły się pierwsze piaski wybrzeża i przesuwały się pod nami błyskawicznie.

– Niemożliwe...! To niemożliwe! – Lucía kręciła głową z uporem. – Daj mi spróbować. – Odepchnęła mnie od radia i wyrwała mi słuchawki.

Obserwowałem zafascynowany, jak dziewczyna manipuluje sprzętem radiowym. Jej smukłe palce delikatnie i precyzyjnie kręciły gałkami w poszukiwaniu jednego, dokładnego punktu, który pozwoliłby się domyślić sygnału nadanego ludzką ręką, i zatrzymywały się, gdy napotkała nawet najmniejszy trzask czy modulację dźwięku. Dotarło do mnie, że przed chwilą poniosły mnie nerwy i posługiwałem się aparatem topornie, zupełnie inaczej niż Lucía, która przeszukiwała częstotliwości wręcz z czułością. Nagle wyraz jej twarzy się zmienił, a mnie serce o mało nie wyskoczyło z piersi.

– Tu coś jest! – krzyknęła z entuzjazmem. – Posłuchajcie! – Raptownie zdjęła słuchawki. Prit zdrową dłońią po omacku włączył tryb głośnomówiący, nie odrywając oczu od wulkanicznego krajobrazu pod nami.

– ...port lotniczy Teneryfa Północ, GCXO, automatyczny komunikat

alarmowy... stanowiska dwanaście łamane przez trzydzieści wolne, pas główny opróżniony... kontaktujcie się z wieżą na kanale trzydziestym szóstym, nie lądujcie, powtarzam, nie lądujcie bez zezwolenia... Udajcie się bezpośrednio do strefy kwarantanny. Port lotniczy Teneryfa Północ, GCXO, automatyczny komunikat alarmowy... stanowiska dwanaście łamane na trzydzieści wolne...

Komunikat powtórzył się jeszcze dwa razy, po czym zastąpił go ten sam tekst po angielsku.

– Co to znaczy? – spytała zdziwiona Lucía. – O co chodzi?

– Lotnisko Teneryfa Północ... – mruknął Prit. – Los Rodeos.

Kiwnąłem głową. Port lotniczy na północy Teneryfy, bardziej znany jako Los Rodeos, był jednym z dwóch lotnisk na tej wyspie. Drugim był port Reina Sofía, położony na południu.

To automatyczne ostrzeżenie wskazywało, że na Teneryfie przypuszczalnie pozostał ktoś, kto przeżył epidemię. Natomiast część komunikatu mówiąca o „strefie kwarantanny” dawała do myślenia. Ale i tak uznaliśmy to za dobrą wiadomość.

Złą wiadomością było to, że powinniśmy dotrzeć na Teneryfę. Krótkie spojrzenie na wskaźnik poziomu paliwa wystarczyło, aby stwierdzić, że to absolutnie niemożliwe.

Na pulpicie sterowniczym pulsowała już czerwona kontrolka, a w kabinie rozległ się przenikliwy dzwonek alarmowy. Wiktor pociągnął za niewielką dźwignię po prawej i światło zgasło, po czym zapaliło się na pomarańczowo. Popatrzyliśmy pytająco na małego Ukraińca.

– Włączyłem właśnie rezerwę paliwa – wyjaśnił. – Starczy na piętnaście minut lotu. Potem... – Nie dokończył zdania.

– Co robimy? – spytałem cicho.

– Nadajnik radiolokacyjny lotniska Arrecife na wyspie Lanzarote nadal działa – zauważył Ukrainiec. – Ale to nic nie znaczy. Jego baterie są zasilane energią słoneczną, tak więc, jeśli nikt ich nie rusza, może funkcjonować automatycznie przez całe miesiące... Nie wiem, co tam znajdziemy – zakończył.

Przez chwilę panowało głucho milczenie. Nie za bardzo mieliśmy alternatywę.

– A więc dobrze. Lecimy do Arrecife – zaproponowałem po kilku sekundach namysłu. – Myślę, że to jedyne wyjście.

Ukraińiec skinął twierdząco głową i skierował ciężką maszynę w lewo, podążając za sygnałem nadajnika radiolokacyjnego.

## 5

Po niespełna dziesięciu minutach już niemal muskaliśmy dachy pierwszych domów Arrecife, miasta liczącego przed epidemią około pięćdziesięciu tysięcy mieszkańców.

Jednak mimo iż wypatrywaliśmy przez okna przechodniów na ulicach, początkowo nikogo nie udało nam się dostrzec.

Arrecife wydawało się podobne do innych miast, których tyle widzieliśmy podczas naszej niekończącej się podróży, lecz były też drobne różnice. Nigdzie nie zauważyliśmy śladów walki, zapór utworzonych z porzuconych samochodów, budynków wypalonych do fundamentów ani żadnej z widomych oznak apokalipsy. Parki i ogrody, choć zapuszczone i zdziczałe, nie miały tego wyglądu dżungli, który przybrały inne miejskie zieleńce pozostawione swemu losowi już od prawie roku. Ulice były brudne, ale nie leżały na nich stosy śmieci, gruzu i pomiętych papierów, tak wszechobecne w innych miejscach. W gruncie rzeczy miasto wyglądało na uśpione, jakby był wczesny niedzielny poranek. Niemal oczekiwało się, że zza rogu wyjedzie ciężarówka dostarczająca prasę, jak w każdy normalny dzień.

– Tam! – krzyknęła nagle Lucía. – Na tamtym placu, między dwoma zielonymi autobusami!

Popatrzyliśmy wszyscy we wskazanym kierunku. Przełknąłem ślinę. Zza miejskich autobusów wychodziło właśnie dwóch mężczyzn. Jeden miał na sobie charakterystyczny mundur hiszpańskiej Legii Cudzoziemskiej, drugi – wysoki, rozczochrany, około czterdziestoletni – był ubrany po cywilnemu, w garniturze i pod krawatem. Szli obok siebie, jakby rozmawiając przyjacielsko, i zupełnie nie zwracali uwagi na warkot sokoła nad głową. Wyglądaliby całkiem normalnie, gdyby nie to, że cywilowi brakowało połowy twarzy, a na torsie legionisty zaschła ogromna plama krwi.

Nieumarli.

Byli tutaj.

W taki czy inny sposób epidemia dotarła także do tego miejsca.

Walnąłem z wściekłością pięścią w poręcz, a Prit wybuchnął długim potokiem rosyjskich przekleństw. Lucía wyglądała na całkowicie załamana i przez lornetkę wpatrywała się w tych dwóch typów, jakby nie wierząc własnym oczom. Siostra Cecilia chwyciła różaniec i cichutko, monotonnym głosem zaczęła odmawiać modlitwę. Twarz starej zakonnicy promieniowała



dziwnym spokojem. Siostra była w pełni świadoma, że zostało nam najwyżej kilka godzin życia, i właśnie rozliczała się ostatecznie ze swoim sumieniem przed nieuniknionym stawieniem się przed Bogiem... Musiałem szybko coś postanowić.

– Coś mi się tutaj nie zgadza – rozważałem. – Miasto nie jest spustoszone jak wszystkie, które widzieliśmy do tej pory. Nie ma też śladów walki – wrzeszczałem, aby przekrzyczeć huk wirników. – Przyjrzyjcie się dobrze! Na ulicach jest niewielu Nieumarłych, może w sumie kilkudziesięciu!

– To prawda! – odkrzyknął Prit. – Teren sprawia wrażenie opuszczonego w sposób zorganizowany! Założyłbym się o ostatnią butelkę wódki, że Nieumarli, których tam widzimy, przybyli do miasta skądinąd, już po jego ewakuacji!

– To wyjaśniałoby, dlaczego jest ich tak niewielu – odparłem. – Ale nie tłumaczy, gdzie są mieszkańcy ani dlaczego musieli się ewakuować.

– Ani też skąd przyleźli ci umarłacy – ponuro zakończyła rozważania Lucía.

Pogrążyliśmy się w myślach i nie mówiliśmy już nic, podczas gdy śmigłowiec pokonywał ostatnie kilometry do lotniska. Starannie przeładowałem HK416, a szcęk zamka sprawił, że moi towarzysze nerwowo podskoczyli na siedzeniach. Masa pytań kłębiła mi się w głowie, a po plecach wędrowały zimne dreszcze, kiedy myślałem o tym, co możemy zastać na lotnisku.

Koszula lepiała mi się do spoconych pleców. Tuż przed lądowaniem przeszedłem do tylnej części kabiny i z trudem naciągnąłem na siebie skafander z neoprenu, sapiąc i wyginając się jak w konwulsjach.

Znowu miałem na sobie swój stary ubiór, sfatygowany, z kilkoma brzydkimi szwami, pamiątką po poprzednich przygodach. Cień sokoła przesunął się już po betonowym pasie lotniska.

– Popatrz na to! – Prit wskazał na wieżę kontrolną. – Coś tu się jednak działo!

Spojrzałem tam, gdzie celował ręką Ukrainiec. Wieża kontrolna była poczerniała od dymu i częściowo nadpalona. Na jej szczycie straszyły szczerbate, powybijane okna, a u podnóży leżały stosy gruzu i potłuczonego szkła.

Wyglądało to dziwnie. Sprawiało wrażenie, jakby wieża z jakiegoś powodu została specjalnie podpalona, a nie, że padła ofiarą przypadkowego pożaru. Zresztą cała reszta niewielkiego lotniska prezentowała się w południowym słońcu świetnie i nienagannie. Trzy czy cztery niewielkie samoloty linii Binter, które obsługiwały niegdyś wewnętrzne połączenia między wyspami, rdzewiały teraz spokojnie tam, gdzie wylądowały po raz ostatni.

W głębi, na końcu pasa, jak dziwaczny kontrapunkt, spoczywał przekrzywiony na bok ogromny boeing 747 z dziobem zagrzebanym w stercie piasku. Był pomalowany na biało i czerwono, a na bokach i dziobie widniały

ogromne litery TALA AIRWAYS.

Nie miałem pojęcia, co to za linie ani z jakiego kraju. Sądząc po kolorach, z Europy lub Azji. Najprawdopodobniej jakaś niewielka firma czarterowa.

Pas maleńkiego lotniska na Lanzarote okazał się za krótki dla tego olbrzyma, który po przyziemieniu nie zdołał wyhamować i na koniec wypadł z betonowej płyty. No cóż, zrobiłeś, co mogłeś, przyjacielu.

Mimo to nigdzie nie było śladów wypadku. Co więcej, wszystko wydawało się uporządkowane i spokojne, jak gdyby po tym spektakularnym lądowaniu ktoś zdecydował się na uprzątnięcie szczątków i uładzenie otoczenia. Sokół zataczał ostatnie koło, wyczerpując resztki paliwa, a ja dostrzegłem tymczasem, że niektóre części samolotu, między innymi klapy, zostały starannie wymontowane i gdzieś wyniesione.

– Skanibalizowany – powiedział spokojnie Prit przez interkom.

– Co takiego?

– Skanibalizowany. W Czeczenii często mieliśmy problemy z dostawami części zamiennych, zwłaszcza odkąd mudzahedini nauczyli się używać lekkich działek przeciwlotniczych. Tak więc, żeby utrzymać jak najliczniejszy skład eskadry w powietrzu, wyciągaliśmy części w dobrym stanie z najbardziej uszkodzonych śmigłowców i przekładaliśmy je do tych, które się jeszcze nadawały do użytku.

Na chwilę zamilkł. – Skanibalizowany – potwierdził, skoncentrowany raczej na starannym posadzeniu sokoła tuż obok zbiorników z paliwem niż na konwersacji ze mną.

Po chwili śmigłowiec stał już na płycie. Szum łopat ucichł, Wiktor wyłączył wirniki. Ja zaś pobiegłem do niewielkiej cysterny samochodowej dostarczającej paliwo do samolotów, którą dojrzałem z powietrza. Kiedy się do niej zbliżyłem, poczułem skurcz serca. Cysterna też została całkowicie „skanibalizowana”. Pozbawiona kół stała oparta na czterech solidnych betonowych bloczkach, a otwarta maska, w której kiedyś znajdował się silnik, ziała pustką. Zanim sprawdziłem jej zbiornik, z góry wiedziałem, że jest suchy jak Sahara.

Odwróciłem się w kierunku Prita, ale ten wraz z Lucią energicznym krokiem zmierzał w kierunku niewielkiego metalowego ogrodzenia otaczającego coś z grubsza przypominającego dystrybutor paliwa. Ukraińiec potrząsnął furtką, zamkniętą na zwykły zamek. Odszedł kilka kroków w tył, wziął rozbieg i potężnym kopnięciem rozwalił mechanizm ryglujący. Rozległ się trzask i furka zwisała pod dziwnym kątem, pozostawiając niewielkie przejście. Lucia wślizgnęła się do środka i wypełniała szczegółowe polecenia pilota.

– Pociągnij tę dźwignię! Nie tak, w drugą stronę! Musisz nacisnąć guzik opróżniania systemu. To ten...! Nie ten, tamten obok! – Ukraińiec nie szczędził wyjaśnień, jednocześnie z trudem podłączając ogromny wąż wylotu

dystrybutora.

Podbiegłem, aby im pomóc, ale raptem stanąłem jak wryty. W oddali pojawiły się chwiejne postacie. A za nimi z budynku wyłoniło się kilkadziesiąt innych, skoncentrowanych na zaimprovizowanym spektaklu, który odgrywaliśmy na drugim końcu pasa startowego.

Na usiłowaniach czworga ocalonych, próbujących podłączyć wąż i nieświadomych powoli zbliżającego się zagrożenia.

– Mamy towarzystwo! – krzyknąłem z całej siły.

Tysiące razy słyszałem tę kwestię w najrozmaitszych hollywoodzkich produkcjach. W ustach walecznych bohaterów filmowych brzmiało to zawsze dumnie, zdecydowanie i męsko, ale własny krzyk zabrzmiał mi w uszach jak pisk przerażonego eunucha.

Lucia i Wiktor zaskoczeni podnieśli głowy, po czym ich działania zmierzające do uruchomienia pompy nabrały jeszcze większego tempa. Przyklęknąłem na rozgrzanym do białości pasie, ściągając jednocześnie HK416 z ramienia.

W myślach przeliczałem szanse ujścia z życiem. Nie byłem geniuszem statystyki, ale i tak natychmiast zdałem sobie sprawę, że nie damy rady napełnić zbiornika sokoła, zanim ten tłum do nas dotrze. O mało nie posikałem się ze strachu, ale przywołałem się do porządku. Jeśli musimy zginąć, nie poddamy się bez walki.

Do diabła. By umrzeć, ten dzień jest równie dobry jak każdy inny.

Czułem, jak poca mi się ręce. Zza pleców dobiegało sapanie Ukrainca i Lucii, którzy próbowali ręcznie uruchomić pompę ssącą (oczywiście nie było prądu). Dzielna siostra dołączyła do nich w jak najlepszej intencji, ale koło dystrybutora było tak ciasno, że raczej przeszkadzała, niż pomagała. Doskonale rozumiałem, dlaczego tam poszła. Ja także wolałbym nie być sam, gdyby zmierzali ku mnie powolnym krokiem posłańcy śmierci.

Nieumarli tymczasem zbliżali się wytrwale, choć chwiejnie. Znajdowaliśmy się jakieś pięćset czy sześćset metrów od budynku terminalu. To całkiem sporo dla kogoś, kto porusza się, człapiąc i szurając nogami. Zostało nam jeszcze kilka minut, za mało, aby zdążyć uruchomić pompę paliwa i zatankować choć tyle, ile sokół potrzebował, żeby wzbić się w górę.

HK416 miał w magazynku trzydzieści pocisków; dysponowałem ponadto dwiema dodatkowymi ładownicami na klipsach przy pasie. Ponownie przeprowadziłem w myślach obliczenia i wyszło mi, że nie zdołam ani zatrzymać tego niehumanicznego potopu, ani też go opóźnić.

Było to mniej niż sto pocisków, a tłum zgniluchów liczył sobie dwieście czy trzysta osobników. Poza tym strzelałem z tej broni ledwie kilka razy – jakiś czas temu wylądowaliśmy na pustkowiu i Ukrainiec przeprowadził nam szybkie

szkolenie. Nie byłem więc strzelcem wyborowym, zwłaszcza na taką odległość. Wszystkich Nieumarłych, których do tej pory wyeliminowałem, załatwiłem w bezpośrednim starciu, a i to dzięki sporej dozie szczęścia.

– Nad czym ty się, kurwa, zastanawiasz?! – nagle wrzasnęła Lucía. – Strzelaj!... Strzelaj, do cholery!

Moja dziewczyna umiała kląć jak szewc, a najpiękniej, kiedy była przerażona.

– Błagam! Niech ich pan zatrzyma! – włączyła się spanikowana siostra Cecilia.

Niech ich pan zatrzyma. Chyba jej odwaliło. No proste, idę do nich i zapraszam do baru na jednego. Albo namawiam, żeby poszli na plażę się poopalać i pograć w siatkówkę, dlaczego nie.

Czułem, jak pełźnie mi po wnętrznościach paniczny lęk, zimny i cichy. Wydawało mi się, że czas się zatrzymał. Nie potrafiłem myśleć jasno. Nie zważając na krzyki kobiet, zastygłem, klęcząc na jednym kolanie na środku pasa, całkowicie załamany. Nagle jeden z Nieumarłych, wysoki facet w średnim wieku, ubrany w bermudy i spłowiałą koszulkę, potknął się o sąsiada i wyłożył na ziemię jak długi. Już dawno temu musiał zgubić sandał i jego bosa stopa była całkiem zniszczona od tarcia o podłoże. Rejestrowałem nawet najdrobniejsze szczegóły: białawy kolor kości, która prześwitywała przez startą piętę i lśniła w słońcu, odległy zapach zgnilizny niosący się od tłumu Nieumarłych, żdźbła trawy nieśmiało wychylające się ze szpary w asfalcie, tuż obok mojego kolana, tych...

– STRZELAJ!

Ten krzyk lub raczej ryk wydobył się z gardła Prita, który – pąsowy na twarzy i z żyłami na szyi nabrzmiętymi od wysiłku – machał jak szalony dźwignią pompy.

To wyrwało mnie z osłupienia. Założyłem celownik na karabin i tak jak instruował Ukrainiec, ustawiłem go na trzykrotne, maksymalne powiększenie, po czym, czując w głowie całkowitą pustkę, wycelowałem w tłum.

Przez celownik widziałem twarze Nieumarłych, tak jakby stali tuż obok. Mężczyźni, kobiety, dzieci, młodzi i starzy, wysocy i niscy, całe to morze twarzy pozbawionych wyrazu, ale ze złowieszczą poświatą w zmatowiałych źrenicach. Nic nie napełniało mnie większym strachem niż te martwe i puste oczy. Przypominały mi ślepią rekina szarego, którego podczas nurkowania przed laty widziałem z bardzo bliska. To było to samo spojrzenie, ciemne i bezlitosne, od którego włosy na głowie jeżyły się z przerażenia.

Pierwszy strzał poszedł górami i nawet nie musnął Nieumarłego, w którego celowałem. Sześć czy siedem następnych było bardziej udanych i wkrótce cztery ciała leżały bezwładnie na lotnisku. Jednak horda zgniluchów pokonała

tymczasem następne pięćdziesiąt metrów i była coraz bliżej. Ogarnęła mnie panika: zanim się na nas rzucą, w najlepszym razie uda mi się wykończyć małą garstkę. Nieświadomie modliłem się i strzelałem jednocześnie.

Wąż podłączony do pompy jakby się zakrztusił, następnie pod podłożem rozbrzmiała seria metalicznych trzasków i w powietrzu uniósł się przenikliwy zapach paliwa lotniczego. Zbiornik został otwarty. Nagle z węża wyleciała struga płynu, rozpryskując się na betonowy pas.

Lucia radośnie klepnęła Pritczenkę po plecach. Z jego gardła wydarł się dziki okrzyk radości, lecz równie szybko zamarł. Strumień, początkowo silny, po paru sekundach zamienił się w strumyczek, potem w nitkę, aż po chwili całkiem wysechł.

– To niemożliwe – wychrypiał Ukrainiec. – Niemożliwe! Lucia! – usłyszałem jego krzyk, zmieniając magazynek w swoim HK. Nieumarli byli już niespełna dwieście metrów od nas. – Powiedz, co widzisz na wskaźniku ciśnienia przed sobą, kiedy naciśnę spust! Gotowa?

– Do dzieła, Prit!

Ukrainiec nacisnął dźwignię zaworu, rozległ się głośny gwizd, a z górnej części pompy uniósł się strumień powietrza śmierdzący benzyną.

– Ile wskazuje? – wrzasnął Wiktor. – Ile jest? Ile?

– Wskazuje dziewięćset! – odpowiedziała Lucia, przestraszona i zdezorientowana, jak my wszyscy.

Nieumarli pokonali następne pięćdziesiąt metrów i teraz już kilkanaście ciał leżało na betonowej płycie. Ale reszta była blisko, bardzo blisko.

– Gówno! – Ukrainiec wymierzył kopniaka w pompę. – Gówno! – powtórzył i z furią rzucił kluczem francuskim w zbliżającą się tłuszczę potworów.

Odwróciłem się na chwilę, bo zdziwiło mnie, że klnie po hiszpańsku. Oczywiście Pritczenki były zalane łzami, a na twarzy miał wyraz bezdennej rozpacz.

– Zbiornik jest pusty. Jest tam tylko powietrze pod ciśnieniem. – Zagubionym spojrzeniem wodził po Nieumarłych. – Jest pusty.

– To koniec – wyszeptałem.

– To koniec – powtórzył Prit z nieskończonym smutkiem w głosie i bezwładnie opuszczonymi rękoma.

Popatrzyłem na Lucię, śmiertelnie bladą, opartą o ogrodzenie dystrybutora. Prit także patrzył w stronę obu kobiet, a następnie spojrzął znacząco na HK416, który trzymałem w rękach. Nie pozwól, żeby wiodły nędzne i haniebne nieżycie, nakazywał jego wzrok.

Nie potrzebowałem nic mówić. Wiedziałem, co muszę zrobić. Nie dopuścimy, żeby ta horda wzięła nas żywcem. Miałem nadzieję, że nie zabraknie mi zimnej krwi, aby dokończyć dzieła, i że nie zadrży mi ręka, kiedy nadejdzie moja kolej.

Odwróciłem się do Lucii, białej jak papier i drżącej jak liść. Jednak jej wzrok był nieugięty.

Lekkim skinieniem głowy potwierdziła: wiedziała, co musi się stać. Z jej ust wyczytałem „kocham cię”.

– Ja też cię kocham – odpowiedziałem, a dusza rozrywała mi się w strzępy. Drżałem. Po policzkach spływały mi łzy i zamazywały widok.

Podniosłem broń i wycelowałem w Lucię. W tej samej chwili rozległ się terkot. Dziewczyna wzdrygnęła się, wyprzedzając uderzenia kul, i zamknęła oczy. Gdy je na powrót otworzyła, ujrzała wyraz osłupienia na mojej twarzy oraz ogłupiałe miny Pritczenki i siostry Cecylii.

To nie był odgłos wystrzałów. Terkotały śmigła helikoptera. Zbliżał się.

## 6

– Tam! – krzyknął Ukrainiec, wskazując maleńki punkt na widnokręgu, który stopniowo się powiększał. – Leci prosto na nas!

Powiedzieć, że poczuliśmy przyływ nadziei, to zbyt mało. Jednak zdawaliśmy sobie sprawę, że bez względu na to, kto siedzi za sterami śmigłowca, nie dotrze do nas wcześniej niż za kilka minut.

A Nieumarli już nas otaczali. Byli bardzo blisko, zostało im do pokonania niespełna sto metrów. Kończył się nam czas, nie było szans na ocalenie.

– Szybko! Do wieży kontrolnej! – wrzasnął Ukrainiec. – Zasuwaszcie biegiem! I to już!

– Chwileczkę! – załadowałem do karabinu ostatni magazynek. Pierwsi Nieumarli byli już zaledwie kilkadziesiąt metrów od nas. – Muszę zabrać Lukullusa!

Mój biedny kocur, przerażony hukami wystrzałów, żałośnie miauczał w swoim koszyku zostawionym w kabinie pasażerskiej sokoła. Podałem karabin Pritczence i popędziłem do śmigłowca, próbując jednocześnie załadować bełt do kuszy na plecach. Miałem zaledwie sześć bełtów, ale zawsze to więcej niż nic.

Dotarłem do maszyny i jak niesiony wiatrem wpadłem do środka, uderzając boleśnie golenią o stalową ramę drzwi. Zakląłem. Sięgnąłem po koszyk Lukullusa jedną ręką, drugą przegrzebując po omacku miejsce za zrzuconymi na końcu pomieszczenia plecakami w poszukiwaniu drugiego karabinu, który musiał się tam znajdować.

Naraz pod palcami poczułem zimną metalową lufę. Wydobyłem broń ze stosu tobołków. Gdzie, do diabła, wsadziliśmy skrzynkę z rezerwową amunicją? Jak olśnienie przemknął mi przez myśl obraz siostry Cecilii i Lucii, niosących ciężki pakunek i sapiących z wysiłku. Postawiły go na samym spodzie, tuż za pudłem z lekarstwami.

Zacząłem odrzucać na bok rupiecie, ale krótki rzut oka przez pleksiglasowe okno kabiny sprawił, że zaprzestałem wysiłków. Grupa ośmiu Nieumarłych, przyciągniętych moją obecnością, była ledwie kilka metrów od śmigłowca. Jeśli mnie w nim przyłapią, to koniec, po wszystkim.

Nie oglądając się za siebie i klnąc pod nosem, wyskoczyłem z maszyny. Warkot tajemniczego helikoptera zagłuszał wystrzały Prita, który z podziwu godną zimną krwią powoli cofał się w kierunku wieży kontrolnej, osłaniając

pospieszną ucieczkę siostry Cecylii i Lucii. Ukraińiec, demonstrując iście angielską flegmę, trzymał karabin na poziomie oczu i szedł tyłem, małymi krokami. Od czasu do czasu zatrzymywał się, spokojnie celował w ścigającą go watahę truposzy i strzelał. Po każdym wystrzale kolejne ciało rozciągało się jak długie na betonie, tyle że kończyła mu się amunicja, a Nieumarli byli niespełna piętnaście metrów od niego.

Odsunąłem się o kilka kroków od sokoła, starając się nie tracić z oczu tych ośmiu powłóczących nogami koleśków, którzy właśnie otaczali śmigłowiec. Wściekły syk Lukullusa ostrzegł mnie w porę. Odwróciłem się raptownie. Byłbym wpadł na czterech Nieumarłych, których do tej pory nie zauważyłem. Podeszli od tyłu śmigłowca i odcinali mi drogę ucieczki do wieży kontrolnej. Przekładając kosz z Lukullusem do lewej ręki, wycelowałem w najbliższego i strzeliłem. Usłyszałem ciche cmoknięcie i bełt wszedł mu w szyję pod wznoszącym się kątem, tuż pod brodą. Nieumarły upadł na ziemię, wijąc się w konwulsjach. Szybko upuściłem rozładowaną kuszę i stawiłem czoło pozostałym trzem osobnikom, którzy byli tuż-tuż.

Miałem ułamek sekundy, aby się zdziwić, że dwóch z nich było Marokańczykami w mundurach żandarmerii swojego kraju, zresztą tak samo cholernie nadgniłymi jak cała reszta tej bandy. Trzecia była młoda dziewczyna, przyodziana w szorty i żółtą górę od bikini, przekrzywioną i zostawiającą na widoku jedną pierś. Widok może i byłby przyjemny, gdyby nie to, że w rozdartym brzuchu dziewczyny mrowił się ogromny kłęb białych robaków.

Marokańczycy szli obok siebie, ramię przy ramieniu i wyciągali do mnie łapska. W sytuacjach beznadziejnych wyjściem może być tylko całkiem beznadziejny pomysł, pomyślałem. I schylając się jak zawodnik futbolu amerykańskiego, natarłem na nich z wrzaskiem godnym indiańskiego wojownika, choć podszytym paniką. Nieumarli padli pod moim naporem jak kręgle. Jednak z rozpędu potknąłem się i wylądowałem u stóp dziewczyny, która zachłannie pochyliła się ku mojemu gardłu.

Odruchowo podniosłem lewą rękę i z całej siły uderzyłem ją w twarz koszykiem. Rozległ się okropny trzask i zarówno koszyk, jak i szczeka dziewczyny rozleciały się na kawałki. Nie tracąc ani chwili, usiłowałem podnieść się na nogi, czując pożądlive ręce jednego z Marokańczyków na śliskiej nogawce skafandra. Po raz kolejny pobłogosławiłem opatrnościowy pomysł zastosowania tego ubioru. Gdybym był ubrany w cokolwiek innego, sukinsyn już by mnie miał. A wtedy byłoby po mnie, bo tamtych ośmiu też niemal mnie dosięgało.

Już stojąc, stwierdziłem, że koszyk Lukullusa zdecydowanie nie nadaje się do użytku, a mój mały przyjaciel tkwi na płycie lotniska i, jeszcze nieco ogłupiały po ciosie, patrzy to na mnie, to na zgniluchów dźwigających się niezgrabnie z ziemi.



– Chodź, Lukullusie – powiedziałem łagodnie, przeładowując HK416. –  
Biegnij!

Nie wiem, czy koty rozumieją, co mówią do nich właściciele, ale nie ulega wątpliwości, że mają bardzo dobrze rozwinięty instynkt samozachowawczy. Na mój rozkaz (lub też raczej na widok naszych prześladowców) Lukullus jak strzała pognał w kierunku Lucii, której sylwetka, pomniejszona odległością, rysowała się u podstawy wieży kontrolnej.

Nie traciłem czasu na podziwianie krajobrazu. Ściskając mocno karabin, ruszyłem pędem, jakby od tego zależało moje życie. Bo tak właśnie było.

## 7

*Jaime nie był złym facetem. Młody, około dwudziestu pięciu lat, wysoki i postawny, był bardzo lubiany przez swoich przyjaciół. Miał narzeczoną, pracę, grywał w piłkę ręczną w amatorskiej drużynie, a w weekendy wychodził się zabawić, jak wszyscy. Ostatnio nawet zrobił prawo jazdy i kupił samochód. Zapuścił brodę i nosił długie włosy. W krótszych byłoby mu bardziej do twarzy, ale długie mu się podobały, lubił też swój tatuaż trybalny, który kilka lat temu kazał sobie zrobić na łopatce. Dobry chłopak, normalny, jakich wielu.*

*Jedynym problemem było to, że Jaime nic już z tego wszystkiego nie pamiętał. Ponieważ w tej właśnie chwili chwiał się wraz z innymi podobnymi do siebie istotami pod palącymi promieniami słońca na płycie lotniska na Lanzarote.*

*Bo teraz był jednym z nich.*

*Jaime był Nieumarłym.*

*Jego umysł – czyli to, co ludzie nazywają świadomością – przestał istnieć już prawie rok temu, kiedy Jaime stał się Nieumarłym. Gdyby jakiś lekarz zbadał w tej chwili jego czaszkę rezonansem magnetycznym lub tomografem komputerowym, mocno by się zdziwił, bo okazałoby się, że aktywność przejawiają jedynie neurony w pniu mózgu i mózdzku, czyli w tym, co naukowo nazywa się „mózgiem gadzim”, w najstarszej, podstawowej i prymitywnej części tego organu. Na hipotetycznym skanie mózg gadzi błyszczałby radośnie wieloma kolorami, co świadczyłoby o aktywności wyższej niż normalna, podczas gdy reszta obrazu pogrążona byłaby w najgłębszej ciemności, jak miasto podczas totalnej awarii prądu.*

*Jaime nie wiedział, jak dostał się tam, gdzie był, skąd przyszedł ani też dokąd idzie. Z jego ubrania, które z upływem czasu zmieniło się w strzępy, można było wywnioskować, że znajdował się w swym smutnym stanie co najmniej od kilku miesięcy. Brzydkie oparzenia na prawej ręce wskazywały, że w jakimś momencie zetknął się zbyt blisko z ogniem, co sprawiałoby mu okropny ból, gdyby nadal był istotą ludzką.*

*Ale Jaime nie czuł nic. Nie był świadomy nawet ogromnej rany na udzie, która powodowała, że utykał, stawiając prawą nogę na ziemi. Nie zdawał sobie sprawy, że pokasał go inny Nieumarły i że właśnie to stało się jego biletem wstępu do Hadesu.*

*Jaime nie mógł też mówić ani myśleć. Jego umysł nie dokonywał żadnych skomplikowanych operacji, ponieważ odpowiedzialne za to części mózgu były martwe już od dawna. Jednak nadal czuł prymitywne emocje, takie jak łaknienie, podniecenie... lub gniew.*

Gniew. Potężna, wszechogarniająca fala furii, połączona z pożądaniem krwi i dzikim głodem, przenikała każdy z porów sinopurpurowej skóry Jaimego za każdym razem, gdy napotykał jakąś żywą istotę, zwłaszcza jeśli była to istota ludzka. Tak, pożądał zwłaszcza ludzi.

Byli najcenniejszym łupem. Zazwyczaj biegali i krzyczeli, kiedy tylko ujrzeli Jaimego lub jego upiornych towarzyszy, ale niekiedy udawało im się nie tylko uciec, ale i sprawić, że głowa któregoś z Nieumarłych rozpadała się na tysiące kawałków. Robili to za pomocą ognia, który wydobywał się z czegoś metalowego, co niektórzy z nich trzymali w rękach. Ale to był wyjątek. Zwykle nie mieli żadnych szans.

Jaime nie wiedział, ilu ludzi upolował, od kiedy stał się Nieumarłym. Nie wiedział też, że w piersiach utkwily mu dwie kule, które – gdyby nadal był żywy – spowodowałyby śmiertelny zator płuc. Nie wiedział, że ludzi jego wygląd przeraża, że budzą odrazę jego skołtunione długie włosy, ubranie pokryte zakrzepłą krwią (własną i innych), skóra, spod której przezierają popękane żyły, a zwłaszcza wzrok, zagubiony i przygaszony, lecz pełen nienawiści.

Nie wiedział, skąd przychodzi ani kim są ci, którzy idą u jego boku. Najprawdopodobniej nawet nie zauważał ich obecności. Krążył bez celu po budynku, kiedy hałas dochodzący z góry przyciągnął go do wyjścia, jak magnes przyciąga opiłki żelaza. A teraz przed nim była garstka ludzi – biegli, uciekali, jak wszyscy, których spotkał. Każda komórka jego ciała płonęła żądzą, aby z bliska poczuć ciepłe, żywe i pulsujące ciało, wgrzyźć się w nie, przeżuwać, poczuć ciepłą krew spływającą z ust...

To było silniejsze od niego. To było sensem jego życia (lub raczej jego nieżycia).

Jaime widział kilka istot ludzkich. Dwie z nich, jakby bardziej kruche (zapomniał o różnicy między kobietą a mężczyzną), były już u podnóża zniszczonej wieży kontrolnej lotniska. Inna właśnie umknęła grupie Nieumarłych w towarzystwie małego pomarańczowego zwierzęcia, które podskakiwało u jej stóp. Ostatni człowiek, niewysoki, z gęstym jasnym wąsem i zimnymi niebieskimi oczyma, szedł powoli tyłem, nie spuszczając wzroku z grupy, w której znajdował się Jaime. Od czasu do czasu przykładał do twarzy metalowy przedmiot, z którego wydobywał się błysk ognia i huk (martwy mózg Jaimego obawiał się ognia).

Za każdym razem, gdy pojawiał się taki płomień, koło głowy Jaimego przelatywało coś ze świstem, po czym rozlegał się odgłos uderzenia i rozprysku. Od czasu do czasu któryś z Nieumarłych idących tuż obok upadał na ziemię i nie podnosił się więcej, ale Jaimego to nie obchodziło. Nic go nie obchodziło. Jedyne, czego chciał, to dosięgnąć uciekających ludzi i poczuć ich życie w swoich rękach.

Mniejsze postacie już weszły za przysypane gruzem drzwi wieży i usiłowały je odblokować. Wkrótce dołączył do nich osobnik w skafandrze, któremu towarzyszyło pomarańczowe zwierzę, i zaczął im pomagać. Ten z pożółkłym wąsem był dużo bliżej, ledwie o kilka kroków od grupy Jaimego. Jaime poczuł już jego zapach, przenikliwy i ciepły, żywy, ludzki zapach.

Po raz kolejny mały człowiek podniósł broń, lecz tym razem nie było błysku, gestowi towarzyszył tylko stuk. Przez chwilę człowiek patrzył z niepokojem na karabin, po czym rzucił go z furią w grupę Jaimego i jak ścigany jeleni pomknął do wieży.

Istoty ludzkie u podnóża wieży wydawały jakieś dźwięki ustami, do czego zarówno Jaime, jak i inni Nieumarli byli całkowicie niezdolni. Jaime nie rozumiał niczego z tych odgłosów, ale wzmagały one jego żądzę, rozpalały go, sprawiały, że rósł jego myśliwski zapał. Cała grupa Nieumarłych, jak dźgnięta ostrogą, przyspieszyła i zebrała się wokół wieży.

Kiedy do niej dotarli, natknęli się na przeszkodę w postaci zamkniętych ciężkich metalowych wrót. W normalnych okolicznościach takie drzwi stanowiłyby dla Jaimego i jego towarzyszy nieprzekraczalną przeszkodę, ale te, kiedyś rozwalone przez eksplozję od wewnątrz, nie tkwiły solidnie w ościeżnicy.

Wkrótce Jaime, ogarnięty wściekłością, niemal zdeptany przez tłum naciskający zewsząd i napędzany tym samym pragnieniem co i on, z całych sił uderzał pięściami w metalowe skrzydło drzwi. Poczł, że ludzie są z drugiej strony, za ciężką przegrodą. W pozostałościach jego umysłu jak zacięta płyta wirowała jedna jedyna emocja: musi ich dostać... musi ich dostać... musi ich dostać... musi...

Drzwi, ledwo trzymające się na zawiasach, niedługo powstrzymywały napór tłuszczy i wtem boczne kotwy puściły z przerażającym trzaskiem, po czym metalowa płyta z hałasem upadła na ziemię. Droga była wolna.

Jaime jako jeden z pierwszych wpadł na schody wiodące na wieżę. Wiedział, że tamci są na górze. Człł ich.

Przestrzeń rozbrzmiewała tupotem i szuraniem stóp kilkudziesięciu Nieumarłych, pewnych, że łup im nie umknie. Nagle na półpiętrze Jaime wpadł na jednego z ludzi. To był ten ubrany w skafander nurka. Stał na pierwszym stopniu wyższego biegu schodów i celował prosto w niego z czegoś dziwnego, co dawny Jaime, żywy, natychmiast rozpoznałby jako kuszę do podwodnych polowań.

Raptem urządzenie strzeliło ze świstem. Jaime nie człł, że kawał żelaza przebija mu kość czołową i zagłębia się w mózgu. Dopiero gdy ostrze dosięęło mózdzku – choć ani Jaime, ani jego przeciwnik nie zdawali sobie z tego sprawy – po raz pierwszy od miesięcy poczuł ból, który falami rozprzestrzenił się po całym jego ciele, podsycając wściekłość. Jaime wyciągnął ręce do tego człowieka, ale nie był w stanie ruszyć się ani o krok. Nagle zobaczył, że podłoga szybko podnosi się i uderza go w twarz. Nie był świadomy, że upadł, do chwili gdy jego głowa roztrzaskała się o betonową posadzkę półpiętra.

Widział jeszcze, jak człowiek popatrzył z lękiem na ścigające go zastępy i uciekł na wyższe piętro. Widział, jak nogi innych Nieumarłych, obojętnych na jego obecność, mijają go i podążają za łupem.

Wkrótce reszta świata zaczęła zanikać, przytłoczona falami ciemności, powoli

*zalewającej najgłębsze zakamarki jestestwa Jaimego. Uczucie nieustającej furii, które towarzyszyło mu w ciągu ostatnich miesięcy, też odpłynęło, tak jak znika woda z brzegu morza podczas odpływu.*

*Na ostatni ułamek sekundy Jaime odzyskał pełną świadomość własnego istnienia. I zanim ostatecznie wyzionął ducha i przeszedł na drugą stronę, doznał wreszcie wyzwającego uczucia.*

*Ogarnął go spokój.*

Wnętrze wieży było mroczne i chłodne w porównaniu z duszącym upałem na płycie lotniska. Dotarłem do dwuskrzydłowych drzwi, przy których czekały siostra Cecilia i Lucía, i stanąłem na chwilę, aby zaczerpnąć powietrza. Miałem wrażenie, że zaraz pękną mi płuca. Długie miesiące siedzącego trybu życia w schronie szpitala Meixoeiro wystawiały teraz rachunek mojej kondycji i te czterysta czy pięćset metrów, które pokonałem biegiem wciśnięty w neoprenowy skafander, pozbawiły mnie tchu. Lukullus szczęśliwy, że uwolnił się raz na zawsze od koszyka, nie przestawał skakać i ocierać mi się o nogi. Z pewnością przypominał sobie ten miły okres, kiedy podróżował ze mną samochodem na przednim siedzeniu, zamiast bez przerwy siedzieć zamknięty w wiklinowej klatce.

Podniosłem głowę i ujrzałem Prita. Szedł powoli tyłem, ani na chwilę nie tracąc z oczu grupy Nieumarłych, którzy byli coraz bliżej. Co kilka sekund Ukrainiec stawał, starannie celował i oddawał kilka strzałów, których skuteczność była zadziwiająca. Jego drogę po płycie znaczyły bezwładne ciała w wysychających powoli na słońcu kałużach krwi, jednak peleton niemal doganiał już pilota, który tracił kilka bezcennych metrów za każdym razem, gdy zatrzymywał się, aby strzelić.

Nagle po twarzy Wiktora przetoczył się niepokój. Zrozumiałem, że skończyła mu się amunicja, kiedy gniewnym gestem rzucił swój HK416 w kierunku pochodu truposzy i ruszył w naszym kierunku tak szybko, jak tylko pozwalały jego łukowate nogi.

Odwróciłem się do kobiet, które usiłowały umieścić w ościeżnicy metalowe skrzydło drzwi, kiedyś raptownie wyrwanych przez wybuch w budynku.

– Do dzieła! – powiedziałem zachęcająco. – Musimy to jak najszybciej umocować, bo jak nie, to po nas.

– Więc, do kurwy nędzy, przestań głądzić, gryzipiórku, i weź się wreszcie do roboty! – syknęła Lucía jadownicie, jak zwykle, gdy była zdenerwowana.

To mnie trochę podkreśliło. Podniosłem z ziemi drugą metalową płytę, odrzucając na bok pokrywający ją gruz i śmieci. W środkowej części była wklęsnięta, jakby coś w nią walnęło z dużą siłą. Próbowałem osadzić ją na właściwym miejscu i dopasować do drugiej połówki, a Lucía i siostra Cecilia darły się, chcąc przyciągnąć uwagę Ukraińca, który pędził po pasie, jakby ścigał go diabeł we własnej osobie.

Pot ściekał ze mnie strumieniami, kiedy klnąc i złorzecząc, starałem się czymś umocować wypaczone drzwi. Te idiotyczne wrzaski z pewnością słychać było na drugim końcu wyspy. Ponadto z jakiegoś powodu działały pobudzająco na gromadę umarłaków, którzy – choć nadal powłóczyli nogami – zdawali się przyspieszać.

Pritczenko dotarł nareszcie do drzwi, przeleciał jak pocisk artyleryjski przez środkową szparę i z hukiem rozpląszczył się na stosie odpadków za naszymi plecami.

– Jesteś ranny, Prit? – krzyknąłem, usiłując podeprzeć drzwi kawałem betonowej belki.

– Jedyne moja дума jest zraniona – odpowiedział Ukrainiec jak zawsze lakonicznie, otrzepując pył ze spodni i podnosząc mój karabin z ziemi.

– Myślisz, że to wytrzyma? – zapytał sceptycznie, obserwując krytycznym wzrokiem barykadę, którą wznosiłem za drzwiami.

– Bardzo wątpię – odparłem. – Skrzydła drzwi są pokrzywione i wypadły z zawiasów – dodałem, podpierając ostatnim słupkiem swoją konstrukcję. – Nie wytrzymają naporu całego tego tłumu, ale przynajmniej pozwolą nam zyskać na czasie.

Warkot śmigłowca zamienił się w ryk, który zagłuszał wszystko. Maszyna zataczała koła nad wieżą, a jej załoga próbowała rozpatrzyć się w sytuacji. Przypuszczałem, że pilot był dość zaintrygowany widokiem zgromadzonej wokół wieży tłuszczy i sokoła porzuconego na drugim końcu pasa. Jednak w tej chwili miałem co innego do roboty niż się nad tym zastanawiać.

– Szybko! Na górę! – zakomenderował Ukrainiec.

Załadowałem bełt do kuszy. Awangarda Nieumarłych dotarła już do drzwi i beładnie waliła w nie pięściami. Z gardeł potworów dochodził kakofoniczny chór jęków, od którego włosy na głowie stawały dęba. Raptownie ogarnęło mnie wspomnienie upiornych dni, które spędziłem w ciemnym, klaustrofobicznym kantorku opuszczonego sklepu w Vigo. Zauważyłem z poczuciem narastającej bezradności, że drżą mi ręce.

Siostra Cecilia i Lucía z Lukullusem w objęciach wchodziły już po schodach śladami Ukraińca, który z trudem torował drogę do wyższych partii wieży, zrzucając przez barierkę schodów jakieś szczątki i gruz. Wszystkie te resztki spadały z rumorem tam, gdzie byliśmy jeszcze przed minutą. Zza ogromnych chmur pyłu ledwo widziałem drzwi.

Czekałem przyczajony na pierwszym biegu schodów, obserwując, jak wrota chwieją się za każdym razem, gdy rycząca masa truposzy zadaje im wyjątkowo silne pchnięcie. Pokryty cementowym pyłem, kaszląc do utraty tchu, zrozumiałem, że niczego już tu nie zwojuję. Ta konstrukcja wkrótce się zawali.

Po omacku dotarłem do trzeciego biegu schodów, gdzie musiałem się

zatrzymać i spróbować trochę odetchnąć czystym powietrzem. Odgłos potwornego huku, podobnego do wybuchu, sprawił, że aż podskoczyłem. Jęki Nieumarłych dochodziły do mnie teraz z podwójną mocą. Prowizoryczna bariera puściła.

Byli już w środku.

Chwiejne kroki zgniłków rozbrzmiewały na metalowych stopniach, łączących ze sobą betonowe półpiętra. Przełknąłem ślinę w napięciu, spoczone ręce zacisnąłem na uchwycie kuszy, którą oparłem solidnie o poręcz.

Nagle za zakrętem schodów pojawiła się sylwetka pierwszego Nieumarłego. Przy świetle wpadającym przez niewielkie okno przez chwilę mogłem mu się dobrze przyjrzeć.

Był to młody facet, dwudziestoparoletni, z dość długimi włosami i niewielką bródką. Jego ubranie było w strzępach, a na piersi widniały dwie wielkie dziury od kul. Prawą nogę miał rozszarpaną i kulał, ale i tak całkiem żwawo włąził na górę. Całą twarz i resztki odzieży pokrywała zaskorupiała krew, a jego martwe oczy płonęły głęboką nienawiścią. Cementowy pył osadził się na całym jego ciele, nadając mu diaboliczny wygląd.

Gdy mnie zobaczył, na twarz wypełził mu potworny grymas. Zrobił w moją stronę kilka chwiejnych kroków. Odetchnąłem głęboko i wycelowałem kuszę w jego głowę. Był dwa metry ode mnie, nie mogłem chybić. Z młaśnięciem, które już rozpoznawałem, bełt przeszył czoło i wbił się głęboko w mózg tej bestii z głębi piekieł.

Przez ułamek sekundy jakiś dziwny wyraz malował mu się na twarzy, aż trup gwałtownie padł na betonową posadzkę półpiętra. Nie miałem czasu mu się przyglądać, odwróciłem się i błyskawicznie pobiegłem wyżej. Huk śmigłowca dochodził teraz z konkretnego punktu, tuż nad naszymi głowami.

Na ostatnim odcinku trasy tkwiła upiornie uśmiechnięta, na wpół spalona czaszka. Przebiegł mnie dreszcz, kiedy w drodze do wjazdu prowadzącego na dach budynku omijałem spopielone szczątki.

Wspinając się po drabince, słyszałem, że Nieumarli przenikają do zrujnowanej sali kontroli lotów. Prit chwycił mnie za pasek i wtaszczył na górę, a siostra Cecilia pospiesznie wciągnęła drabinkę. Dysząc ciężko, spojrzałem w dół przez otwór wjazdu. Pod nami kłębiły się dziesiątki Nieumarłych, które wściekle próbowały nas dosięgnąć.

No, mało brakowało. O włos.

Z ulgą odwróciłem się ku Pritcencie. Jego zdumiona mina sprawiła, że popatrzyłem tam gdzie i on. Z niedowierzaniem przyglądałem się wiszącemu nad nami helikopterowi, z którego właśnie opuszczano sznurową drabinkę.

To jakieś wariactwo. To niemożliwe. A jednak trudno nie wierzyć własnym oczom.



Śmigłowiec, wymalowany w barwy ochronne, lekko się przechylił i ukazał nam boczne drzwi, na których widniał napis: ARGENTYŃSKIE SIŁY POWIETRZNE.

Wojskowy śmigłowiec z Argentyny.

Na Wyspach Kanaryjskich.

Marokańscy żandarmi, argentyńskie helikoptery... Co się tu dzieje, u licha? Wdrapując się po drabince, w myślach zadawałem sobie wiele pytań. Miałem nadzieję, że odpowiedzi czekają na jej drugim końcu.

Wystająca z oliwkowozielonego rękawa ręka odziana w rękawiczkę wciągnęła mnie do kabiny. Byliśmy już wszyscy na pokładzie i śmigłowiec poderwał się, szybko przelatując nad pasem lotniska. Upadłem na podłogę. Dyszałem i czułem, że nachodzą mnie mdłości, tak jak zawsze, gdy udało mi się ocaleć, będąc o włos od śmierci. Podniosłem się powoli, próbując nad sobą zapanować. Nie przemawiałoby na moją korzyść, gdybym w obecności kilku nieznanym osób rzygnął przez otwarte drzwi lecącego śmigłowca.

Uśmiechnąłem się do mężczyzny w rękawiczkach. Wysoki i szczupły, mniej więcej trzydziestoletni, ubrany był w kombinezon, a część twarzy przykrywały mu kask bojowy i okulary lustrzanki. Zanim udało mi się wydusić słowo, facet przemówił pierwszy.

– Niech pan stanie pod tym przepierzeniem, proszę pana.

Mówił z wyraźnym akcentem argentyńskim, w sposób uprzejmy, lecz zdecydowany.

– Cześć, nazywam się... – usiłowałem się przedstawić i wyciągnąłem rękę do swojego wybawcy, ale lufa karabinu wycelowanego w mój żołądek sprawiła, że zrezygnowałem z tego pomysłu.

– Panie, powiedziałem, żeby pan stanął tam w głębi, pod ścianą... Ale już!

Podniosłem ręce i – nie tracąc z oczu faceta z karabinem – przemieściłem się w stronę przepierzenia na ogonie, pod którym już stała cała reszta mojej „rodziny”. Lucía wyglądała na przerażoną, na twarzy siostry Cecilii malował się wyraz, jaki mieli zapewne pierwsi chrześcijanie rzucając kamieniem na pożarcie. Za to Prit, któremu odebrano karabin, ciskał iskry z oczu i widać było, że ma ochotę kogoś dopaść i skrócić mu kark. Wiedziałem, że jest do tego zdolny (i nie tylko do tego), więc położyłem mu rękę na ramieniu, by go nieco udobruchać.

– Spokojnie, stary – szepnąłem mu do ucha, czując, że gotuje się z wściekłości. – Nie rób głupstw. Najpierw zobaczymy, co się tutaj dzieje.

Odwróciłem się przodem do kokpitu. Kabina helikoptera była niezbyt przestronna, o wiele mniejsza od kabiny sokoła. Staliśmy nie dalej niż metr od naszych nowych towarzyszy podróży. Było ich dwoje, mężczyzna i kobieta, oboje ubrani w kombinezony bojowe. W kokpicie pilot i drugi pilot usiłowali opanować śmigłowiec, który właśnie zaczął raptownie podskakiwać, złapany w prąd gorącego powietrza. Drugi pilot rozmawiał z kimś przez radio. Nie rozróżniałem słów w tym hałasie, ale wydawało mi się, że też mówi z melodyjnym zaśpiewem, który świadczył, że jego miejscem urodzenia jest Buenos Aires.

Argentyńcy w argentyńskim helikopterze. A jednak kombinezony, które mieli na sobie, były ozdobione wyhaftowaną na prawym rękawie rozetką Hiszpańskich Sił Powietrznych. I mógłbym przysiąc, że kiedy kobieta w pewnej chwili nachyliła się ku swojemu towarzyszowi i szepnęła mu coś do ucha, w jej głosie niewątpliwie zabrzmiał akcent kataloński. Co za zamieszanie.

– Przepraszamy za sposób powitania – dziewczyna przekrzykiwała huk wirników. – Takie są procedury. Nic do was nie mamy, ale zanim traficie do kwarantanny, musimy przestrzegać zasad bezpieczeństwa. – Na chwilę zamilkła i popatrzyła na nas z zaciekawieniem. – Jesteście frojlami?

– Frojlami? – zdziwiłem się. – A cóż to takiego?

– Zapomnij. – Dziewczyna machnęła ręką. – W swoim czasie wszystkiego się dowiecie, oczywiście jeśli nadal będziecie żyli.

To nie zabrzmiało zbyt pokrzepiająco.

– Skąd przybywacie? – spytał wysoki facet z argentyńskim akcentem.

Zauważyłem, że chociaż prowadzi luźną konwersację, nie spuszcza nas z oczu, a zwłaszcza Wiktora. Jego palec oparty na spuście karabinu zdawał się mówić „lepiej nie róbcie żadnych głupstw”. Facet znał się na rzeczy.

– Z Pontevedry... to znaczy z Vigo... przybywamy z Galicji – do rozmowy włączyła się Lucía.

– Z półwyspu? – Niedowierzenie w jego głosie było wyraźnie wyczuwalne.

– Otóż to – odpowiedziałem, wkurzony całym tym gadaniem. – Lecieliśmy wzdłuż afrykańskiego wybrzeża, aż dotarliśmy na wysokość Wysp Kanaryjskich. Potem ostatni skok na Lanzarote, gdzie zabrakło nam paliwa, i teraz... wy... – zakończyłem, zostawiając ostatnie słowo w zawieszeniu.

Spojrzałem pytająco na naszych rozmówców. Teraz ich kolej. Popatrzyli po sobie nieco odprężeni.

– Słuchaj no – Argentyńczyk zwrócił się raczej do Pritczenki niż do mnie. – Lepiej wyluzuj. Nie wiemy, kim jesteście ani skąd się wzięliście, czy mówicie prawdę, czy też nie. Ale najważniejsze, że nie wiemy, czy to macie, czy nie, więc dopóki się nie upewnimy, pozwólcie, że zastosujemy nasze środki bezpieczeństwa, zgoda?

W jednej chwili zrozumiałem, o co chodzi. To oczywiste. Nasi zbawcy nie mieli pewności, czy przypadkiem nie jesteśmy zarażeni wirusem przemieniającym w Nieumarłych. Jeśli, jak podejrzewałem, należeli do jakiejś kolonii ocalonych, konieczność stosowania wszelkich możliwych środków ostrożności była jak najbardziej uzasadniona. Poddadzą nas kwarantannie, żeby sprawdzić na sto procent, że nie zostaliśmy zarażeni. Przeszedł mnie dreszcz na myśl, że najmniejsza wątpliwość w tej mierze skutkuje kawałkiem ołowiu w głowie, i to będzie całe nasze powitanie. Należało się mieć na baczności.

– Poważnie mówisz, że przylecieliście z Galicji? – Katalonka zwróciła się do Lucii powątpiewająco.

– Oczywiście, że tak! – wybuchła Lucía. – Zrobiłam ponad trzy tysiące kilometrów w tej pieprzonej ruskiej sokowirówce, przeleciałam nad całym półwyspem i nad całą cholerną pustynią i mam dosyć! Słyszysz? Mam dosyć! Chcę coś dobrego do jedzenia, chcę się wykąpać, chcę spać przez trzy dni bez przerwy w prawdziwym łóżku! Więc nie pytaj mnie, czy mówię „poważnie”, bo nie mam ochoty na głupie żarty! Zrozumiałaś?

Po czym zaczęła szlochać. Napięcie także dla niej było zbyt duże.

Objąłem ją ramieniem i przycisnąłem do piersi, gładząc pocieszająco po głowie. W gruncie rzeczy mimo swojej pozy twardej dziewczyny była tylko dzieckiem, któremu ukradziono jego świat. Miała pełne prawo do tego wybuchu.

– Dokąd lecimy? – spytałem.

– Na Teneryfę – odpowiedział Argentyńczyk już całkiem spokojnie. – Do jednego z ostatnich bezpiecznych miejsc na ziemi. Popatrzył na mnie uważnie, jak gdyby chcąc się zorientować, jakiego rodzaju człowiekiem jestem, po czym dodał: – Lecimy do domu.

# 10

Fale Atlantyku migotały milionami srebrzystych lśnień w palącym południowym słońcu. Gdyby nie rumor łopat lecącego nisko nad wodą śmigłowca, słyhać byłoby jedynie szum wiatru i skwir nielicznych mew. Wiatr o słonym posmaku wdzierał się do środka przez otwarte na oścież drzwi po bokach i rozwiewał nam włosy.

– Jak wygląda sytuacja na Teneryfie? – spytałem, podnosząc głos, aby usłyszeli mnie wszyscy w kabinie.

– Nie mogę panu na razie udzielić żadnych informacji, przykro mi bardzo – odpowiedział wysoki i szczupły Argentyńczyk. – Do momentu, aż odpowiednie władze podejmą decyzje o waszym statusie, im mniej będziecie wiedzieć, tym lepiej – zakończył lakoniczną wypowiedź.

– Marcelo chce powiedzieć – włączyła się dziewczyna o katalońskim akcencie – że musicie najpierw przejść kwarantannę i że służby imigracyjne muszą zatwierdzić wasz pobyt. To nie od nas zależy, zrozumcie.

Ten ostatni komentarz wygłosiła lekko zażenowanym tonem.

– Służby imigracyjne? – zaprotestowałem. – O co tu chodzi? Jestem obywatelem hiszpańskim, jak i te dwie kobiety, a Prit ma wszystkie papiery w porządku! Nie potrzebujemy żadnej inspekcji, żeby przebywać na terytorium europejskim, o ile mi wiadomo...

Dziewczyna, drobniutka trzydziestolatka, o inteligentnym wyglądzie i żywych, błyszczących oczach, pokręciła głową ze zmartwieniem.

– Chyba zdajecie sobie sprawę, że świat nie wygląda teraz tak jak przed apokalipsą.

Ze zdziwieniem zauważyłem, że mówiąc te słowa, wyciągnęła z kieszeni kombinezonu lateksową rękawiczkę i założyła ją na dłoń.

– Okoliczności stały się tak skomplikowane, że połowa wszystkich norm i zasad, które uprzednio obowiązywały, poszła w diabły, ale tak czy owak prawo nadal znaczy prawo... Teraźniejsze Kanary nie są żadnym rajem, ale też nie są czymś w rodzaju Dzikiego Zachodu. Mam nadzieję, że to rozumiecie...

Na sekundę w śmigłowcu zapadła cisza, bo staraliśmy się przyswoić tę małą perełkę informacji.

– A ponadto to prawdziwa przyjemność spotkać ludzi w tych gównianych czasach – zakończyła z szerokim, szczerym uśmiechem, podając mi prawą rękę

obleczoną w lateks.

– Mam na imię Paula María, ale tutaj wszyscy mówią do mnie Pauli. – Zaśmiała się przekornie. – Witamy powracających do cywilizacji!

– Dziękuję bardzo, Pauli – odpowiedziałem, ściskając zabezpieczoną przezornie dłoń.

Dziewczyna była przyjazna, choć oczywiście postępowała rozważnie.

– To jest Lucía. Zakonnica siedząca w kącie to siostra Cecilia, a wąsaty dżentelmen to Wiktor Pritczenko z Ukrainy.

– Miło mi, mówcie mi Pauli. Ten poważny facet z nieprzyjazną miną, który siedzi obok mnie, ma na imię Marcelo. Odgadliście już chyba po akcencie, że jest Argentyńczykiem – zakończyła, szturchając przyjacielsko łokciem w żebra wysokiego kolegę niewypuszczającego karabinu z rąk.

Marcelo pozdrowił nas skinieniem głowy i przyglądał się nam z ponurą miną. Tak jak Pauli była przyjacielska, tak ten typ był oschły. Razem tworzyli dość dziwną parę.

– Jaka jest procedura? – zapytał Pritczenko, otwierając usta po raz pierwszy, od kiedy wsiedliśmy do maszyny.

– Niezbyt skomplikowana – sapnął typ o imieniu Marcelo. – Zostawimy was na pokładzie statku służącego za miejsce kwarantanny i po tym, jak przejdziecie badanie lekarskie, które potwierdzi, że jesteście czysti, urzędnicy „migracji” zajmą się całą papierologią – zakończył. – Szybko i sprawnie.

– Brzmi to dość nieprzyjemnie – włączyła się Pauli. – Ale istotnie, nigdy dość ostrożności. Przypuszczam, że waszą sprawą zajmie się sama Alicia.

– Alicia? – Po tylu miesiącach spędzonych niemal w samotności oszołomiło mnie usłyszenie wszystkich tych imion naraz.

– Komendant Alicia Pons – wyjaśniła Pauli. – To ona dowodzi służbami przyjmowania przybywających, tranzytu i imigracji na Teneryfie.

– Doprawdy? – spytałem. – Czym zasłużyliśmy sobie na ten zaszczyt, że najwyższa władza zajmie się osobiście naszą sprawą?

– To bardzo proste. – Po czym Marcelo powiedział coś, co nas załamało: – Jeśli to, co mówicie, jest prawdą, to od ponad ośmiu miesięcy jesteście pierwszymi żywymi istotami, które dotarły tu z Europy.

Po tych słowach w kabinie śmigłowca zapadła nieprzyjemna cisza. Od czasu do czasu przerywały ją jedynie przypadkowe szумы radia. Na horyzoncie pojawiła się charakterystyczna sylwetka wulkanicznego szczytu Teide. Dolatywaliśmy do Teneryfy.

Wracaliśmy do cywilizacji.

Czymkolwiek by się miała okazać.

Byliśmy fizycznie i emocjonalnie wyczerpani po tym wszystkim, co przeżyliśmy w ostatnich godzinach, a nasi nowi znajomi nie wyglądali na zbyt komunikatywnych. Jedynie ruchliwa Pauli wydawała się niewyczerpanym źródłem potoku słów, ale idąc za przykładem mrukliwego Marcela, który traktował nas nieufnie, oraz natknąwszy się na barierę naszego milczenia, i ona zaraziła się kiepskim nastrojem panującym w kabinie.

Ponownie znaleźliśmy się nad lądem. Teneryfa, według zapewnień załogi śmigłowca, była całkowicie wolna od Nieumarłych. To wydawało mi się – wobec przeżyć i tylu doświadczeń z nimi związanych – niemal nie do uwierzenia.

Pojawiły się pierwsze zabudowania podmiejskich dzielnic Santa Cruz de Tenerife. Słońce powoli zbierało się w drogę ku zachodowi, przypominając, że wkrótce nadejdzie zmierzch. Zrobiło się wyraźnie chłodniej, w oddali na horyzoncie gromadziły się ciężkie żółtawe chmury. W kabinie panowała zupełna cisza, którą przerywał jedynie łoskot łopat śmigłowca oraz monotonne odgłosy dobiegające z radia, gdzie krzyżowało się kilka różnych rozmów. Z tego, co udawało mi się usłyszeć, wynikało, że w większości były to komunikaty wojskowe, ale niekiedy wyłapywałem także jakąś nieistotną gadaninę.

Nagle z głośników buchnął chwytliwy przebój, hit sezonu, kiedy ostatnim razem służyłem radia, czyli niemal rok temu. Piosenka spodobała się chyba radiooperatorowi śmigłowca, ponieważ pozwolił jej rozbrzmiewać przez dłuższą chwilę, po czym przestroił odbiornik na częstotliwość wojskową na falach krótkich, żeby otrzymać instrukcje dotyczące lądowania.

– Co ci się stało? – spytała Lucía zaniepokojona.

Chwyła mnie za rękę i zaczęła mi się w napięciu przyglądać.

– Mnie? Nic. A bo co?

– Nie kłam. – Ujęła moją głowę w dłonie i zmusiła mnie, abym na nią popatrzył. – Widzę, że płaczesz.

Poruszony przejechałem ręką po policzkach, nadal pokrytych cementowym pyłem z wieży kontrolnej na Lanzarote. Ogromne łzy leciały mi ciurkiem.

– To nic – powiedziałem drżącym głosem. – To tylko ta piosenka...

– Przypomniała ci o kimś, prawda? – przerwała dziewczyna. – Mnie też się to często zdarza... – Twarz jej spochmurniała. – Wszyscy straciliśmy swoich

bliskich.

Otoczyłem ją ramieniem i przyciągnąłem nieco bliżej. Głaskałem jej włosy i wdychałem zapach, którego już nie pomyliłbym z żadnym innym.

– To nie to – szepnąłem. – Po prostu pierwszy raz od prawie roku usłyszałem muzykę... Już zdążyłem zapomnieć, jak to jest słuchać muzyki.

– To prawda – przerwał nam Prit. – Aż do tej chwili nie zwróciłem na to uwagi. Cały rok bez muzyki... jakie to dziwne – mruknął sam do siebie. – Jakie dziwne.

A ponadto to dobry znak, pomyślałem, nie dzieląc się z nikim tą myślą. Miejsce, gdzie ludzie mogą sobie pozwolić na nadawanie przez radio muzyki, nawet tej najgorszej, to miejsce nieznanujące się w stanie obłąkania, miejsce, gdzie daje się mieszkać i gdzie ludzie mają ochotę na rozrywkę. Jednym słowem, dobre miejsce.

Nagle zauważyłem ruch na ziemi, tuż pod nami. Zaniepokojony złapałem się instynktownie za nogawkę skafandra, tam gdzie zwykłem nosić bełty do kuszy, po czym zorientowałem się, że zabrano mi je, kiedy wchodziłem na pokład.

Wpatrzyłem się dokładniej, starając się rozróżnić szczegóły widzianej sceny w świetle powoli gasnącym na horyzoncie. Ujrzałem kilkunastu ludzi, którzy powoli wspinali się krętą szosą na wzgórze. Nie mogłem dostrzec niczego więcej, ponieważ śmigłowiec z maksymalną prędkością zmierzał do celu, jednak wystarczyło mi czasu, aby zaobserwować, że wszyscy są uzbrojeni.

Port w Santa Cruz de Tenerife pojawił się przed nami zniecka, gdy okrążyliśmy ostatnie wzgórze. Śmigłowiec szybko przelatywał nad ulicami miasta, gdzie dziesiątki, setki, tysiące osób krzątało się przy swych codziennych czynnościach. W uniesieniu zgromadziliśmy się przy drzwiach, podziwiając ten spektakl, który stał się czymś zupełnie niezwykłym na naszej planecie.

– Patrz, Prit! – zawyłem radośnie. – Ludzie! Ludzie jak okiem sięgnąć!

Ukrainiec śmiał się głośno, wykrzywiając usta w dzikim grymasie pod swymi ogromnymi wąsami.

– Udało nam się! Udało się! – powtarzał niestrudzenie i przenosił wzrok z miejsca na miejsce z wyrazem dziecięcej radości na twarzy.

Siostra Cecilia śmiała się jak mała dziewczynka i składała Bogu dzięki na przemian z niekończącą się litanią świętych. Lucía nie przestawała wskazywać to na lewo, to na prawo i wydawało się, że pragnie wchłonąć widziany obraz na zawsze.

Jednak trwało to zaledwie kilka minut. Wkrótce pozostawiliśmy w tyle aglomerację miejską, której nie udało mi się dokładnie obejrzeć. Moje zachłanne oczy niechętnie pożegnały widok ożywionego świata, od którego ponownie się oddaliliśmy. Czułem, że to niesprawiedliwe.



Śmigłowiec znowu leciał nad morzem, w kierunku najdalszego krańca pirsu. Tam, zakotwiczony w znacznej odległości od licznych pozostałych statków, które tłoczyły się w porcie, kołysał się brzydki okręt, pomalowany na szary kolor właściwy dla jednostek wojskowych. Wyglądał dziwnie z ogromną nadbudówką w przedniej części kadłuba, która urywała się gwałtownie i pozostawiała odkryty cały pokład rufowy, gdzie zorganizowano małe lądowisko. Całość sprawiała wrażenie, jakby jakiś roztargniony inżynier zaprojektował jedynie połowę okrętu lub też w stoczni zapomniano o dobudowaniu drugiej połowy.

Ogromny znak L-51 wymalowany białą farbą na boku okrętu identyfikował jednostkę jako należącą do Marynarki Wojennej Hiszpanii. Kiedy przelatywaliśmy nad rufą, dojrzałem nazwę widniejącą na burcie. Uśmiechnąłem się, zdając sobie sprawę z gorzkiej ironii sytuacji.

A to dlatego, że niemal po roku, przeżywszy tysiąc i jedną przygodę, pokonawszy tysiące kilometrów i umknąwszy śmierci, wróciłem do domu.

Do Galicii.

Ponieważ ten L-51, na którym za kilka sekund mieliśmy wylądować, jeszcze nie tak dawno nowoczesny okręt bojowy do przewozu amfibii, a ponadto jeden z najdziwniejszych egzemplarzy, jakie kiedykolwiek służyły pod banderą hiszpańskiej armady, nosił nazwę „Galicia”.

## 12

Niebo przybierało już kolor purpury, kiedy nasz śmigłowiec wylądował na pokładzie „Galicii”. Marcelo wyciągnął rękę w stronę przesuwanych drzwi i gestem pokazał nam, że mamy wysiąść. Nagle atmosfera zrobiła się bardzo napięta. Argentyńczyk nie ukrywał, że odbezpieczył broń, i nawet przyjazna do tej pory Pauli była teraz poważna i skupiona... Ogromny srebrzysty rewolwer, który skierowała w naszą stronę, w jej niewielkich dłoniach wydawał się wielki jak armata.

Byłem co prawda przekonany, że gdyby drobniutka Pauli wystrzeliła, odrzut przemieściłby ją daleko w tył, ale z całą pewnością nie zamierzałem tego sprawdzać. Także pierwszy i drugi pilot, uzbrojeni w krótką broń palną, odwrócili się w naszą stronę, co nas do reszty przekonało, że nie mamy innego wyjścia niż porzucić względnie bezpieczne wnętrze śmigłowca i wyskoczyć na pokład okrętu.

Gdy tylko postawiliśmy stopy na metalowej powierzchni lądowiska, powitał nas ciepły wiatr niosący zapach ziemi. Na „Galicii” znajdował się jedynie śmigłowiec, który nas przywiózł, i dwie niewielkie maszyny o wypukłej i przeszklonej pokrywie kabiny, których nie udało mi się zidentyfikować. Przypuszczalnie lekkie helikoptery zwiadowcze. Niespokojnie rzuciłem okiem na szczyt masztu, usiłując w zapadających ciemnościach rozpoznać kolory powiewającej flagi. Ku memu zdumieniu oprócz zwykłej flagi hiszpańskiej wieczorna bryza poruszała też chorągwią o barwach mi nieznanym. Na ciemnoniebieskim tle widniał czterodzielny herb Hiszpanii umieszczony w centrum pola, ale nad nim znajdował się mur zamiast tradycyjnej korony. Szybkie spojrzenie na inne statki zakotwiczone w porcie pozwoliło mi stwierdzić, że na większości z nich znajdowała się taka sama kombinacja godeł.

Podrapałem się po głowie, starając się zrozumieć, o co chodzi, ale po chwili miałem już inne zmartwienie. Z drzwi umieszczonych u podstawy nadbudówki wyszło na lądowisko kilkanaście osób ubranych w odzież chroniącą przed skażeniem bakteriologicznym i w odblaskowych maskach ochronnych na twarzy. Nie mogłem dostrzec ich rysów ani odgadnąć płci i wieku. Wnioskując po wzroście i sposobie poruszania się, przypuszczałem, że większość z nich to mężczyźni, choć niewątpliwie były tam też trzy czy cztery kobiety. Ruszyli w naszą stronę, a ja bezwiednie cofnąłem się w kierunku Prita, który instynktownie stanął tak, aby chronić moje plecy.

– Nie podoba mi się to, stary – syknął Ukrainiec, nie spuszczając wzroku z

grupy.

– Jeśli sprawy pójdą źle, wszyscy razem skaczymy do wody i płyniemy do brzegu, słyszysz? – szepnąłem. – Ty zajmij się zakonnica, a ja biorę na siebie Lucię i kota.

– Lukullus nie będzie zachwycony tym pomysłem... i ja też nie – z dreszczem odrazy odpowiedział Ukrainiec. – Nienawidzę pływać w miejscach, gdzie nie widzę dna.

– Wolę słoną wodę od ołowiu, Prit – odciąłem się ostro. – Ty chyba też.

– Lepiej będzie, jak się na razie uspokoimy – orzekł Ukrainiec.

Jak prawdziwy żołnierz rozglądał się na wszystkie strony, zimno kalkulując nasze szanse.

– Zobacz, ile nam brakuje do burty – pouczył mnie. – To za daleko, aby udało nam się dobiec, zanim nas podziurawią jak sito. Ponadto – szepnął dyskretnie – popatrz lepiej w górę.

Spojrzałem. Dwóch żołnierzy w charakterystycznych mundurach bojowych marynarki wojennej stało przy ciężkim karabinie maszynowym na występie nadbudówki, na wysokości około dwudziestu metrów, skąd mogli bez problemu ostrzelać całe lądowisko.

Lucia słuchała naszej rozmowy. Patrzyła na nas wystraszona. Westchnąłem ze zniechęceniem. Najwidoczniej nie pozostawało nam nic innego jak pogodzić się z tym, co ci ludzie zechcą z nami zrobić.

Pierwszy z zamaskowanych osobników podszedł bliżej. Nie widziałem jego oczu schowanych za polaryzującą powierzchnią, ale mogłem się domyślić, że uważnie obserwuje każdy szczegół wyglądu wszystkich po kolei członków mojej „rodzinki”, włączywszy w to Lukullusa, który nie przestawał się wiercić w objęciach Lucii. Musiałem przyznać, że stanowiliśmy dość malowniczą i dziwną grupę, więc przedłużony czas obserwacji był w pełni usprawiedliwiony.

Kątem oka dostrzegłem, że Pauli, Marcelo i pozostali dwaj członkowie załogi śmigłowca kierują się w zwartym szyku do wnętrza okrętu. Zdjęli już kombinezony, włożyli je do plastikowych toreb, które im podsunęto, i – ubrani w szorty i koszulki – wydawali się uważać całą sytuację za najzwyklejszą na świecie.

– Nie martwcie się, przybysze z półwyspu – rzuciła mała Pauli, przechodząc obok nas. – Do zobaczenia po kwarantannie! – I machając radośnie ręką, zniknęła w drzwiach, a za nią podążył naburmuszony Marcelo.

No świetnie. I co teraz? – pomyślałem.

– Witajcie na Teneryfie. Jestem doktor Jorge Alonso. – Głos dochodził zniekształcony przez filtr antybakteryjny i należał do faceta, który znajdował

się najbliżej nas i nadzorował całą sytuację.

– Proszę się nie denerwować. Jeśli będziecie współpracować i postępować zgodnie z instrukcjami, wszystko pójdzie gładko. To jest rutynowa procedura lekarska o charakterze obowiązkowym, więc rozluźnijcie się i pozwólcie nam wykonywać naszą pracę. Im prędzej się z tym uporamy, tym szybciej zakończy się kwarantanna, więc nie utrudniajcie sprawy, dobrze? – Jego głos brzmiał pojednawczo, lecz stanowczo, a ręką pokazywał nam, żebyśmy się udali w kierunku drzwi, przez które przeszła załoga śmigłowca.

W odpowiedzi skinąłem głową. Byłem zbyt oszołomiony wydarzeniami tego dnia, żeby trudzić się gadaniem.

Korytarze okrętu były pomalowane na regulaminowy kolor, a po suficie w najróżniejszych kierunkach biegło mnóstwo rur i kabli. Przeszliśmy obok paru drzwi wewnętrznych, ale wszystkie były starannie zaryglowane. Kiedy mijaliśmy kolejne, przez przeszklony bulaj spostrzegłem z drugiej strony kilku marynarzy tłoczących się, aby zobaczyć „przybyszy z półwyspu”, jak nas nazwała Pauli. Czy naprawdę stanowiliśmy tak rzadką menażerię, aby wywoływać aż takie zamieszanie? To mogło być dla nas dobre... albo złe, bardzo złe. Nie wiedziałem, co o tym sądzić.

Na skrzyżowaniu korytarzy zatrzymaliśmy się na chwilę. Osobnik, który przedstawił się jako doktor Alonso, ponownie przejął dowództwo.

– Mężczyźni tędy, kobiety tamtędy, proszę.

– Chwileczkę – zaprotestowałem. – Wolimy zostać razem. Dotarliśmy tutaj razem i chcemy nadal...

– Jest mi absolutnie wszystko jedno, czego chcecie lub czego nie chcecie, drogi panie – ostro mi przerwał. – Takie są zasady. Mężczyźni tym korytarzem, kobiety i dzieci tamtym. Proszę się nie sprzeciwiać.

– Proszę pana, niech pan będzie rozsądny. – Tu dałem upust zawodowemu upodobaniu do mów obrończych. – Proszę zrozumieć, że to wszystko nas zaskoczyło, a więc, za pozwoleniem, wolelibyśmy...

– Przyjacielu – przemówił inny wysoki typ ubrany w odzież ochronną – to nie jest posiedzenie ani nawet dyskusja. Musicie robić to, co wam każemy, i już. Kropka. A jak wam się nie podoba, to lepiej, żebyście umieli pływać, bo do Afryki stąd droga daleka. Więc przestań pieprzyć i róbcie to, co powiedział doktor Alonso. Mężczyźni na prawo, kobiety na lewo! WYKONAĆ! – zaryczał, popierając swoje słowa gestem trzymanego w wyciągniętej prawej ręce paralizatora.

Podniosłem pojednawczo ręce i przeszedłem na prawo. Prit, obrzuciwszy typa morderczym spojrzeniem, stanął koło mnie. Z jego wyrazu twarzy wywnioskowałem, że niedobrze byłoby dla tego faceta spotkać pewnego dnia Pritczenkę w ciemnym zaułku.

Siostra Cecilia i Lucía zostały skierowane do lewego korytarza. Nagle Lucía, lekceważąc polecenia, podbiegła do mnie i wręczyła mi Lukullusa.

– Musi zostać z tobą – powiedziała i przelotnie pocałowała mnie w usta. – Nie zapomniałam, co powiedziałeś na lotnisku Lanzarote.

– Nie martw się – odparłem niezręcznie. – Wszystko będzie dobrze.

Mój ton głosu nie współbrzmiał z tą deklaracją, ale cóż innego mogłem powiedzieć.

– Proszę jej pilnować, siostro! – krzyknąłem do siostry Cecylii, gdy kobiety oddalały się swoim korytarzem. – Dbajcie o siebie! Wkrótce się zobaczymy!

– Nie przejmuj się, synu! Jesteśmy w rękach Boga!

Raczej w łapach tych ludzi, siostro, pomyślałem. I doprawdy nie wiem, czy powinniśmy się z tego cieszyć.

– Dokąd je prowadzą? Co z nami zrobią? – zapytał Pritczenko z nutą hamowanej irytacji w głosie.

Facet, który kazał się nazywać doktorem Alonso, wzruszył ramionami i odpowiedział cichym, słodkim głosem, od którego przebiegły mi po plecach dreszcze:

– Już ci to mówiłem, przyjacielu. Kwarantanna. A teraz proszę tędy, tymi drzwiami...

Basilio Irisarri był alkoholikiem. Chlał jak smok i nierzadko zdarzało się, że po większej popijawie koledzy musieli go zawlec czy nawet odnieść na statek. Paradoksalnie, choć sam Basilio był tego nieświadomy, to właśnie nałóg uratował mu życie.

Był marynarzem starej daty, prostakiem i brutalem. Odkąd zaciągnął się w wieku siedemnastu lat, zmieniał statek za statkiem, zdobywając doświadczenie i umiejętności. Niemal zawsze pływał jako mat, bo choć kilkakrotnie awansował na podoficera, jego szorstki i kłótny charakter, w połączeniu z niekontrolowaną namiętnością do butelki, zawsze spychały go na powrót w dół pokładowej hierarchii. Teraz miał lat czterdzieści pięć, zaczynał już tyć w pasie, a jego potężne ramiona przypominały wały korbowe zakończone wielkimi łapskami. Ich potężny właściciel z pewnością nie szczędził ciosów pięścią w niezliczonych bójkach w portach całego świata.

Półtora roku temu Basilio był członkiem załogi „Marqués de la Ensenada”, tankowca Marynarki Wojennej Hiszpanii, który pewnego dnia zacumował w porcie Cartagena w Kolumbii. Po sześciu godzinach od wyjścia na ląd Basilio i jego kumple byli już kompletnie pijani. Zdążyli zdemolować portową tawernę, rozbić krzesło na głowie jakiegoś alfonsa i kilka razy pokłócić się z kolumbijską policją. Na koniec zostali zatrzymani przez wojskowy patrol i odesłani ciupasem na okręt, gdzie w ramach aresztu domowego zamknięto każdego w jego kabinie.

Następne czterdzieści osiem godzin Basilio spędził na straszliwym kacu. W którymś momencie do jego uszu dotarły krzyki i odgłosy gorączkowej bieganiny. Przez bulaj zobaczył, że w całym porcie wojskowym w Cartagenie panuje niespotykany ruch.

Większość okrętów, napakowanych ludźmi po wręby, pospiesznie podnosiło kotwicę i tłoczyło się u wyjścia z portu, usiłując jak najprędzej wypłynąć w morze, podczas gdy na lądzie setki, tysiące osób próbowały za wszelką cenę dostać się na coś, co pływa. Wyglądało to, jakby władze postanowiły ewakuować mieszkańców miasta drogą morską, ale sytuacja wyrwała im się spod kontroli. Było za dużo ludzi i za mało statków. Ze swej kajuty Basilio widział, jak kolumbijscy wojskowi biegają w tę i z powrotem, starając się zaprowadzić w tym chaosie jakiś porządek, ale rozszalały i ogarnięty przerażeniem tłum nie reagował na nic.

Basilio nie czytywał prasy i od dawna nie zaprzętał sobie głowy radiem ani telewizją, więc nie miał najmniejszego pojęcia, że właśnie na świecie rozpętuje się apokalipsa. Najpierw pomyślał, że doszło do rewolucji lub wojny domowej, ale prędko odrzucił tę interpretację. Choć z oddalonego miasta dochodziły co jakiś czas odgłosy wystrzałów, jednak mało było wybuchów, a z zachowania umundurowanych przedstawicieli władzy wynikało, że chodzi o coś innego.

Na redzie oprócz „Marquésa de la Ensenada” stały amerykański niszczyciel i francuska fregata. Całe ich załogi, z wyjątkiem chorych lub aresztantów, takich jak Basilio, zeszły na ląd, by wspomóc kolumbijskich żołnierzy w niemożliwym zadaniu opanowania ogarniętego paniką tłumu. Basilio ku swojemu przerażeniu stał się naocznym świadkiem, jak wielotysięczny potok ludzki praktycznie zmywa do morza żołnierzy, w tym niemal wszystkich francuskich marynarzy.

Nabrzeże wyglądało jak mrowisko. Mężczyźni, kobiety i dzieci całymi tysiącami pchali się, nacierali, wpadali do wody, szamotali i usiłowali uniknąć utopienia lub zmiżdżenia przez następnych, którzy masami napływali od lądu. Woda portu wrzała, poruszana wściekłym wirem tysięcy ramion i nóg, a ludzie próbowali utrzymać głowę nad powierzchnią, by zaczerpnąć trochę powietrza w tych śmiertelnych zmaganiach.

Ktoś stracił nad sobą kontrolę i na oślep otworzył ogień w stronę tłumu. Wkrótce ostrzeliwały się już dziesiątki i setki osób, przedzierając się na nieliczne jednostki, które jeszcze pozostały w porcie. Nad miastem, to tu, to tam, wznosiły się ciemne słupy dymu. Cały porządek świata zawalił się nagle i nikt nic nie mógł na to poradzić.

Basilio miał całkiem wyschnięte gardło. Zdesperowany przecierał szorstkimi rękoma twarz, pragnąc, aby to piekło na ziemi było objawem delirium, ale jednocześnie zdawał sobie boleśnie jasno sprawę, że wszystko, co widzi, to rzeczywistość. Na koniec, nie mogąc dłużej wytrzymać potwornego widoku, odszedł od bulaju. Nadal jednak słyszał krzyki tysięcy nieszczęśników ginących wokół okrętu. Setki osób usiłowały uchwycić się kadłuba, lecz nie były w stanie dostać się po śliskiej pionowej ścianie na pokład. Tonący uderzali w burty, drapali paznokciami metal, a wszystkie te dźwięki rozbrzmiewały w głowie Basilia jak ciosy. Ale Basilio nie rozpaczał. On sam był przecież bezpieczny. Niech każdy liczy tylko na siebie, tak brzmiało jego życiowe motto.

Sześć godzin później jeden z oficerów otworzył drzwi kabiny. Jego mundur był mokry i podarty, a z wielkiej rany na głowie obficie płynęła krew. Z członków załogi, którzy zeszli na ląd, ocalili tylko on i bosman, a w sumie – wliczając Basilia – chaos w porcie z tego okrętu przeżyło czterech marynarzy. Natomiast na pokładzie tankowca tłoczyło się ponad siedemset osób, w przeważającej większości cywili, zajmujących każdy dostępny kawałek przestrzeni.

„Marqués de la Ensenada” wyruszył w potworną podróż powrotną. Zapchany uciekinierami, dla których brakowało wody, żywności i leków, z załogą, której liczebność uniemożliwiała praktycznie sterowanie okrętem, tankowiec musiał ponadto przetrwać gwałtowny huragan, który niemal posłał go na dno. Kiedy wreszcie okręt dobił do portu Santa Cruz de Tenerife, ponad sto osób już nie żyło. Dwadzieścioro z nich zostało zabitych, ponieważ miały „podejrzane” zranienia, a i tak doszło do piętnastu przypadków infekcji. Wszyscy, którzy przeżyli, musieli pozostać na statku zakotwiczonym na redzie i poddać się miesięcznej kwarantannie. Ten miesiąc, w ciągu którego nie dane mu było wypić ani kropli alkoholu, był dla Basilia najgorszy w całym życiu.

Od zakończenia kwarantanny Basilio przebywał na Teneryfie i pozostawał w służbie marynarki wojennej. Świat zmienił się całkowicie, ale jedyne, co pozostało niezmiennie, to skłonność Basilia do pakowania się w kłopoty. Za pijaństwo i wywołanie burdy przed pięcioma miesiącami trafił do batalionu karnego. Był teraz strażnikiem na „Galicii”, statku zamienionym w oddział kwarantanny i zakotwiczonym na redzie. Okazało się to jednym z najgorszych przydziałów, jakie mógł dostać. Daleko od miasta, wśród potencjalnych zarazy, w miejscu podobnym raczej do piekła na ziemi niż do normalnego świata. Basilio przeklinał na czym świat stoi swój marny los i to paskudne miejsce.

Jego stróżówka, usytuowana na początku korytarza prowadzącego do izolatek, była skromnie umeblowanym pomieszczeniem, wyposażonym w dwa krzesła, przywieziony z miasta stół i małą szafkę na broń, gdzie wisiało kilka karabinów HK416, czarnych i lśniących. Pod skrzynką z amunicją leżało parę butelek rumu miejscowej produkcji (ale o tym wiedział tylko sam Basilio).

Właśnie trzęsącymi się rękoma odłożył butelkę na miejsce, wpierv pociągnawszy z niej kilka długich łyków. Musiał szybko coś wymyślić. Wiedział, że skopał sprawę i że łatwo się nie wywinie.

– To przez tę pieprzoną zakonnicę, a jakże, oczywiście, że winna jest ta przeklęta siostrzyczka, bo po co pchała się tam, gdzie jej nikt nie prosił. Zresztą, tak naprawdę to winna jest cała ta dziadowska zbieranina z półwyspu, która pojawiła się ni stąd, ni zowąd, gdy wszyscy sądzili, że nie ma tam już żywej duszy – mamrotał pod nosem.

Ta grupa od samego początku była dla Basilia powodem do zmartwienia. Po kilku miesiącach od apokalipsy na Teneryfę docierało bardzo niewielu ocalonych, tak więc służba na „Galicii”, choć niezbyt przyjemna, przebiegała mu dość lekko, bo nie miał za dużo do roboty przy kwarantannie. Od czasu do czasu na Wyspach Kanaryjskich pojawiała się mała grupka uchodźców z Maghrebu lub przypływali na byle czym jacyś ledwo żywi Murzyni. Basilio pogardzał nimi wszystkimi w głębi duszy. Ta afrykańska hołota nie raczyła wykazać dość rozsądku, aby wyzdychać w swoim kraju. Nie mógł zrozumieć,



dlaczego przyjmuje się tych ludzi na wyspach, gdzie kończyły się już wszelkie zasoby. Basilio, gdyby to od niego zależało, wyekspediowałby ich z powrotem do Afryki lub posłał na dno z ołowianą kulką w głowie. Ale te pieprzone pojeby z rządu nie umiały się zachować, jak na mężczyzn przystało, twierdził.

Splunął pogardliwie. Afrykańczycy stanowili problem, to prawda, ale jednocześnie dostarczali pewnej rozrywki, zwłaszcza kobiety. Większość z nich nie rozumiała po hiszpańsku ani po angielsku, ani żadnego normalnego języka. Przeważnie mówiły po arabsku albo, co gorsza, w którymś z tych okropnych dialektów afrykańskich, z których nikt niczego nie pojmował, ale to nawet było na rękę samemu Basiliowi i paru innym strażnikom. Niejeden raz zabawiali się z którąś z tych dziewczyn na najniższym pokładzie, w kajucie, którą żartobliwie nazywali Rajem.

Oczywiście nikt z personelu lekarskiego ani przełożeni i członkowie administracji cywilnej nie znali tego maleńkiego sekretu Basilia i jego kumpli. Gdyby sprawa się wydała, strażnicy mieliby poważne kłopoty. Prawo stanu wojennego obowiązywało na całym terytorium wysp i gwałty karano śmiercią. Jednak żadna z tych afrykańskich biedaczek nie mogła złożyć doniesienia, bo nie mówiły po hiszpańsku. Ponadto większość z nich przeżyła tak straszne rzeczy w drodze na wyspy, że jeden gwałt więcej czy mniej nie stanowił dla nich znaczącej różnicy.

Zresztą nie powinny się na nic skarżyć, bo przecież znalazły się na jedynym bezpiecznym skrawku lądu w promieniu dwóch tysięcy kilometrów. I istotnie, ogromna ich większość po prostu milczała. A te głupio uparte... no cóż... Basilio uśmiechnął się krzywo, rozlewając połowę rumu, który próbował nalać sobie do szklanki. Niejedna internowana byłaby zdziwiona, gdyby zobaczyła, w jaki sposób jej akta zmieniły miejsce i trafiły do kategorii „Podejrzani o infekcję”. Stamtąd już tylko krok do tego, aby nakarmić sobą ryby w porcie.

Ale ta grupka była inna. Basilio, kretynie, spieprzyłeś sprawę, myślał, racząc się następną porcją alkoholu. Po pierwsze, byli Europejczykami i już to zmieniało wszystko. Ponadto przybyli drogą powietrzną, i to z Europy, ni mniej, ni więcej! Jakoś sobie radzili tyle czasu w całkowitym chaosie, otoczeni Nieumarłymi ze wszystkich stron. Władze były ogromnie nimi zainteresowane, nawet sama Alicia Pons postanowiła się z nimi spotkać.

Jeśli się dowie, będę skończony, pomyślał. Ta jędza Pons obetnie mi jaja i wepchnie mi je do gardła. Basilio z bezsilności uderzył pięścią w stół, łamiąc sobie głowę w poszukiwaniu wyjścia z sytuacji.

To bardzo dziwni ludzie. Po pierwsze, ten facet, ten adwokat z kotem. Wysoki, chudy, po trzydziestce. Od pierwszego dnia był cholernie uciążliwy i domagał się rozmowy z kimś z kierownictwa. Kiedy chcieli mu odebrać pieprzonego kota, dostał takiego ataku furii, że lekarze (dość poturbowani) nie mieli innego wyjścia niż zrezygnować z tego pomysłu. Sama Alicia Pons

podjęła decyzję, żeby zwierzę zostawić przy życiu, a to już coś niebywałego. Basilio nie mógł zrozumieć, jak temu cholernemu gryzipiórkowi udało się ocaleć wśród Nieumarłych. Przecież to palant, nawet nie umiałby się posłużyć bronią palną.

To nie to, co ten drugi, Ukrainiec. O tak, ten facet był niebezpieczny. Niski blondyn, koło czterdziestki, z wielkimi pożółkłymi wąsami i bez kilku palców u lewej dłoni. Z pewnością stracił je w jakiejś portowej bójce albo w wypadku samochodowym, rozważał Basilio. Facet był milczący i niby spokojny, ale patrzył spode łba w taki sposób, że... kurczę, człowiekowi dreszcz przebiega po plecach, kiedy wlepia mu te swoje wyblakłe oczy w szyję. Sprawia wrażenie, jakby się właśnie zastanawiał, w jaki sposób cię najłatwiej wykończyć. Basilio nie wiedział, jak bliskie prawdy są jego domysły.

A ta dziewczyna, no po prostu cukiereczek. Szczupła, zgrabna, zaokrąglona tam, gdzie trzeba, i ten jej buziak... Chryste Panie, nawet święty pustelnik by nie wytrzymał, a Basilio miał ją tuż-tuż, pod ręką...

Przez pierwsze tygodnie był ostrożny, ograniczył się do wygłoszenia kilku głupawych komentarzy przy okazji obchodu. Jednak tego ranka, kiedy prowadził Lucię i zakonnicę na badanie lekarskie, ręka sama mu poleciała do piersi dziewczyny. Już sporo wypił i nawet nie pomyślał o tym, co wyprawia. Często mu się takie rzeczy zdarzały, kiedy konwojował Afrykanki, które, zaleknione, pozwalały mu na wszystko. Reakcja dziewczyny była natychmiastowa i gwałtowna. Lucią z całej siły trzasnęła go w twarz.

Alkohol i wściekłość tworzą mieszankę piorunującą. Basilio już nieraz tego doświadczył i teraz też nie zdołał się opanować. Oczy zasłoniła mu czerwona mgła, w skroniach pulsowała krew. Żadna zdzira nie będzie go biła, a tym bardziej nie na oczach jego ludzi. Zwinął dłoń w pięść i uderzył dziewczynę w skroń. Upadła na ziemię jak szmata. Złapał pałkę i zamierzył się, zdecydowany dać tej dziwce nauczkę. Teraz dopiero zobaczy, z kim zaczęła. A tu nagle ta pieprzona siostrzyczka staje przed nim i ośmiela się go spoliczkować. Jego.

No i stracił nad sobą kontrolę.

Kiedy wreszcie trochę się uspokoił, zakonnica leżała nieprzytomna na podłodze, a z jej rozbitej głowy lała się krew.

Nie wiedział, czy ją zabił, czy nie. Ale żeby tak wszystko spieprzyć, i to w ostatnim dniu kwarantanny, tuż przed wypuszczeniem tych ludzi na wolność! Pani komendant Pons właśnie jest w drodze na „Galicię”, żeby odebrać całą grupę i jej akta, a tu zakonnica leży w szpitaliku bardziej martwa niż żywa, natomiast połowa strażników właśnie chowa się po kątach, żeby przeczekać burzliwe chwile. Psiakrew, cholera!

Za czterdzieści minut, chyba że coś mu przyjdzie do głowy (i to szybko!), Basilio Irisarri naprawdę będzie miał poważne problemy.

Farba na suficie łuszczyła się dokładnie nad moją pryczą. Obserwowałem to złuszczenie dzień po dniu, przez cały miesiąc, aż jego kształt wbił mi się w pamięć raz na zawsze. Westchnąłem, podniosłem się i przesunąłem ręką po twarzy. Dotyk brody, którą hodowałem od dwóch tygodni, uzmysłowił mi upływ czasu. W pierwszych dniach dostarczono mi przyrządy do utrzymania higieny, ale od kiedy nie pozwoliłem im wziąć Lukullusa, odebrano mi wszelkie tnące i spiczaste przedmioty. Wyglądam pewnie jak włóczęga lub jeszcze gorzej w tej żalosnej bladezielonej piżamie szpitalnej.

Mój wielki, kosmaty kocur odbił się od ziemi i wylądował na mnie z wrodzoną gracją, właściwą jedynie kotom, po czym – jak to miał w zwyczaju, nawet kiedy był tylko małą, miauczącą kulką sierści – wparł mi się tylnymi łapami dokładnie w przyrodzenie. Skrzywiłem się, chwyciłem go pod grubym brzuszkiem i przełożyłem na pryczę obok siebie. Natychmiast zaczął mruczeć, kiedy podrapałem go między uszami.

Na początku pobytu tutaj myślałem, że wyjdę z siebie. Domagałem się rozmowy z dowódcą, groziłem, prosiłem, żądałem, rozkazywałem, na koniec błagałem, ale wszystko na próżno. Wreszcie ochrypłem, niemal straciłem głos i padłem pod ścianą mojej maleńkiej celi, dwa na dwa metry. Była to kajuta bez okien, której całe wyposażenie ograniczało się do dwupiętrowej pryczy, przykręconego do ściany taboretu, umywalki (bez bieżącej wody) i sedesu, któremu brakowało deski. Za ściany służyły metalowe płyty zespawane ze sobą i przyspawane do podłogi. Sufit z otworem wentylacyjnym pośrodku dołączono chyba później. Miałem wrażenie, że podobne pomieszczenia znajdują się też obok, wyżej i niżej.

Przypuszczalnie ogromną ładownię „Galicii” zamieniono w coś w rodzaju plastra miodu, którego komórki pomieściły wszystkich uchodźców przybyłych na wyspę.

Dawno temu widziałem film dokumentalny o tym okręcie. Tu, gdzie obecnie się znajdowałem, w normalnych warunkach było miejsce dla amfibii szturmowych. Do ładowni przez ogromne wrota na rufie wlewała się więc woda morska. Z dreszczem strachu zrozumiałem, że to, co wziąłem za otwór wentylacyjny na suficie, było również rurą, którą w razie potrzeby dałoby się napuścić wody do celi.

Budowniczo tego ośrodka kwarantanny pomyśleli o wszystkim, nawet o

buncie. Gdyby zaszła taka konieczność, jednym naciśnięciem guzika można by zatopić wszystkich ludzi uwięzionych w ładowni. Szybko, łatwo i dyskretnie. To odkrycie odebrało mi wszelką chęć do awantur. Do tego z panującej na okręcie głębokiej ciszy wnioskowałem, iż jest on praktycznie pusty. Najprawdopodobniej jedynie ja i moi towarzysze gościliśmy w tym przybytku.

Trzy razy na dzień przez szczelinę w drzwiach podawano mi tacę z jedzeniem. Jadłospis, choć skromny, był urozmaicony. Ryż, soczewica, konserwy (które po roku żywienia się nimi zdążyłem już znienawidzić) i, ku mojemu zdziwieniu, w minimalnych ilościach świeże warzywa (sałata, marchew, kartofle...). Nie potrafię opisać przyjemności, której doznałem, kiedy pewnego dnia na tacy pojawił się świeży pomidor.

Przez rok nie jadłem świeżych warzyw. Gdyby nie to, że od czasu pobytu w szpitalu Meixoeiro zażywaliśmy regularnie witaminę C, z pewnością cierpielibyśmy na anemię i przypuszczalnie na coś jeszcze gorszego, może szkorbut, z powodu niezbilansowanej diety. Ten mały pomidorek smakował mi bardziej niż najwymyślniejsze nawet uroczyste kolacje, których miałem okazję skosztować w swoim życiu.

Z zamkniętymi oczami wgrzyzałem się w jego mięsz i czułem, jak sok spływa mi do gardła. Przez chwilę próbowałem sobie wyobrazić, że nic z tego wszystkiego, czego doświadczyłem, nie wydarzyło się, i że we własnym domu szykuję sobie sałatkę, którą zaraz zjem, po czym położę się na sofie z Lukullusem i obejrzę mecz w telewizji. Niestety, kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem jedynie ten pieprzony łuszczący się sufit.

Raz na dzień wchodziło do mojej celi trzech lekarzy, którzy pobierali mi próbki krwi oraz mierzyli temperaturę, puls i ciśnienie, sprawdzając, czy nie zamieniam się w Nieumarłego. Z początku przychodzili w asyście paru uzbrojonych strażników, którzy zostawali na korytarzu (w maleńkiej celi nie zmieściłby się już nikt więcej), lecz wkrótce moje uległe zachowanie sprawiło, że nabrali zaufania i przychodzili na przegląd już bez eskorty, przypuszczalnie sądząc, że nie będzie im do niczego potrzebna. Aż do tego dnia przed dwoma tygodniami.

Pewnego ranka do celi weszli trzej faceci z personelu sanitarnego, ubrani jak zwykle w stroje ochronne, ozdobione czerwonymi naszywkami na prawym rękawie, i zanim jeszcze rozpoczęli przegląd, jeden z nich powiedział, że muszą zabrać kota, ponieważ istnieje potrzeba „przeprowadzenia serii badań klinicznych”. Coś w jego głosie mnie zaalarmowało. Długie lata doświadczenia w zawodzie prawnika nauczyły mnie wykrywać subtelne odcienie i zmiany w tonie głosu, świadczące o mijaniu się z prawdą, a nieświadomione przez samego mówiącego. A ten typ, który był nieudolnym kłamcą, zademonstrował cały ich katalog.

Decyzję podjęła jakaś część mojej podświadomości, zanim sam zdałem sobie

sprawę z tego, co robię. Kiedy Doktor Kłamczuch schylił się, żeby złapać Lukullusa, który owinał się wokół mojej nogi, obiema rękoma popchnąłem silnie w dół jego kark, jednocześnie raptownie podnosząc kolano do góry i rozbijając mu nos.

Kłamczuch zawył z bólu, a ze złamanego nosa trysnęła żywo czerwona krew i zalała wewnętrzną stronę pleksiglasowej maski. Wił się na podłodze, a ja wykorzystałem fakt, że zaskoczenie sparaliżowało dwóch pozostałych, i skoczyłem na nich.

Złapałem wyższego za rękę i pociągnąłem silnie do siebie. Doktor Wysoki potknął się o Kłamczucha, leżącego nadal na podłodze, po czym z hukiem wylądował na umywalce. Nie miałem miejsca, żeby ruszyć ręką, więc kiedy Kłamczuch usiłował podnieść się z ziemi, przyładowałem mu kopa w plecy, a on zatoczył się i ponownie wszedł w kontakt z Wysokim.

Lewa ręka tego ostatniego zaklinowała się pomiędzy umywalką i kibelem, więc kiedy Kłamczuch wpadł na niego całym impetem, ramię Wysokiego wygięło się pod niemożliwym kątem, a w celi rozległ się paskudny trzask. To brzmiało jak wielomiejscowe złamanie kończyny górnej.

Odwróciłem się w stronę trzeciego typu, ale był już na korytarzu i wołał o pomoc. Nagle zdałem sobie sprawę z tego, co zrobiłem. Stałem jak słup na środku pomieszczenia, podczas gdy Kłamczuch i Wysoki, jęcząc z bólu, wyszli z celi, podpierając się wzajemnie. Ktoś zamknął drzwi za ich plecami i zgasił światło, pozostawiając mnie w ciemnościach.

Cały trząsałem się z nerwów. Schwyciłem Lukullusa, przytuliłem do siebie i skuliłem się na pryczy, twarzą do drzwi.

– No tak – powiedziałem sam do siebie – tym razem istotnie dałeś z siebie wszystko. W każdej chwili ktoś może otworzyć te drzwi i stłuc cię na miazgę albo i gorzej. Niewykluczone, że właśnie podpisałeś na sobie wyrok śmierci, ty kretynie.

No cóż, przynajmniej nie zobaczą mnie błagającego o litość, pomyślałem, by dodać sobie otuchy. Duma jest czymś absurdalnym, ale kiedy w sytuacji bez wyjścia zostaje ci tylko ona, zamienia się w twoją jedyną broń.

Długo tak trwałem, skulony w oczekiwaniu, napięty jak struna. Spodziewałem się, że do celi wtargnie paru bydlaków, którzy spuszczą mi w pełni zasłużone lanie lub uraczą mnie kulką w czoło.

Jednak przez następną godzinę nic się nie wydarzyło. Ani też przez następny dzień.

W ogóle nic się nie wydarzyło.

Od tego dnia zmieniło się tylko, że zaprzestano przeglądów lekarskich. Nadal codziennie dostarczano mi przez szparę pożywienie i jestem pewien, że przyglądano mi się przez judasza, ale przez dwa następne tygodnie nikt nie

wszedł do mojej celi ani się do mnie nie odezwał. Izolacja w tym klaustrofobicznym pomieszczeniu doprowadzała mnie do szału. Przypominałem sobie historie o skazanych na dożywocie, przebywających w więzieniach o zaostrzonym rygorze w Stanach Zjednoczonych, którzy zamknięci w maleńkich celach dostawali pomieszania zmysłów. Czy taki będzie i mój los?

O tym wszystkim myślałem tego ranka, machinalnie przeczesując palcami swój kiełkujący zarost. Nagle w korytarzu rozbrzmiały kroki oraz kilka głosów, których nie rozpoznawałem. Kroki zatrzymały się nagle tuż u moich drzwi. Następnie usłyszałem brzęk kluczy i trzask zapadki w zamku. Wskoczyłem z łóżka i zasłoniłem sobą Lukullusa. Idą po ciebie, pomyślałem, napinając mięśnie całego ciała w oczekiwaniu na to, co się może zdarzyć.

W półmroku zarysowała się sylwetka kobiety trzymającej ręce na biodrach. Zmrużyłem oczy, starając się coś zobaczyć, ale patrzyłem pod światło. Kobieta zrobiła dwa kroki, weszła do środka i dopiero wtedy mogłem się jej dokładnie przyjrzeć. Przez chwilę obserwowaliśmy się w milczeniu. Nagle kobieta przemówiła:

– Jestem komendant Alicia Pons, dowódca korpusu medycznego. – Jej głos był zdecydowany, lecz miły. – Zakończył pan okres kwarantanny, zresztą nie bez pewnych problemów.

Słyszałem sarkazm w jej głosie, lecz po chwili podjęła, już poważnym tonem:

– Nie jest pan jedynym członkiem grupy, któremu zdarzył się wypadek. Tak czy owak, pozwolę sobie powiedzieć, że wam się udało. Witam w Bezpiecznej Strefie na Teneryfie.

Wyszliśmy na korytarz. Po całym miesiącu zamknięcia w ciupie miałem kłopoty z przejściem kilku pierwszych metrów. Musiałem na chwilę stanąć i trzymając Lukullusa jedną ręką, drugą oprzeć się o ścianę, aby odzyskać równowagę. Towarzyszył nam tylko jeden strażnik, zresztą – choć o tym nie wiedział – pod każdym względem zbyteczny. Byłem tak osłabiony, że nie przebiegłbym nawet pięćdziesięciu metrów, nie mówiąc już o ucieczce z okrętu i dotarciu wpław do brzegu.

Doszliśmy wreszcie do jasnego pokoju, oświetlonego przez duże okna wychodzące na lądowisko. Na środku, przy biurku, na którym stały komputer (pierwszy działający, jaki widziałem od niepamiętnych czasów), drukarka i kilka innych urządzeń, siedział wojskowy w randze oficera. Przyjazny cywil zrobił mi parę zdjęć, inny urzędnik uprzejmie poprosił o zgodę na pobranie odcisków palców. Nie mogłem pozbyć się wrażenia, że po okresie, gdy żyłem jak ścigany na Dzikim Zachodzie, ponownie zostałem wciągnięty do systemu. Nie miałem jednak jasności, na czym, do diabła, polega ten system.

– Za kilka minut pańskie akta będą gotowe, proszę pana – odezwał się oficer siedzący przy komputerze, szybko coś pisząc. – Dokument tożsamości, przepustki, kartki na żywność... – wyliczał pospiesznie. – Wszystko, co panu

będzie potrzebne do życia na Teneryfie. A tymczasem...

– A tymczasem możemy odbyć krótką rozmowę – przerwała mu Alicia Pons.  
– I wyjaśnić sobie wzajemnie pewne sprawy. Co pan na to?

– Doskonały pomysł – odpowiedziałem nie bez ironii. – Nic by mnie bardziej nie ucieszyło, niż gdybym mógł się wreszcie dowiedzieć, co, do licha, się wokół mnie dzieje.

– Proszę za mną – poleciła Pons. – Porozmawiamy sobie w pokoju obok. Ponadto, jeśli się nie mylę, podano tam niewielki posiłek, który pomoże panu lepiej znieść oczekiwanie.

Gdy weszliśmy do przyległego pokoju, oczy rozszerzyły mi się jak spodeczki. Stół ugiął się pod elegancko rozmieszczonymi paterami ze świeżymi owocami, kanapkami, chlebem prosto z pieca, tortillą ziemniaczaną, był nawet dzbanek z kawą, z którego unosił się oszałamiający aromat. Po miesiącach żarcia wyłącznie z puszek to, co zobaczyłem, wydało mi się królewską ucztą. Musiałem się z całej siły hamować, aby nie rzucić się na stół jak oszalały barbarzyńca.

– Proszę usiąść i się częstować. – Alicia Pons wzięła filiżankę i napełniła ją mocną gorącą kawą. – Przypuszczam, że jest pan głodny i ma ochotę na niektóre z tych dań.

Podziękowałem za zaproszenie i zaatakowałem półmiski z kanapkami. Pons obserwowała mnie uważnie, siedząc na krześle. Skorzystałem z okazji, aby także się jej przyjrzeć. Około trzydziestu lat, średniego wzrostu, szczupła, o drobnych rysach twarzy i rudawych włosach; atrakcyjna kobieta. Ubrana była w galowy mundur marynarki, ale nie miała czapki, a gęste włosy zebrała gumką tuż nad karkiem. Na prawej ręce błyszczała złota obrączka. W lewej trzymała niebieski długopis, którym bezwiednie się bawiła. Wyglądała na kruchą, ale wystarczyło spojrzeć jej w oczy, aby zrozumieć, że to kobieta zdecydowana i stanowcza. Zauważyłem, z jakim szacunkiem traktują ją spotkani po drodze żołnierze, także oficerowie i personel cywilny. Niewątpliwie była tu osobą ważną i, co istotne, umiała wymusić szacunek.

– A więc... – rozpoczęła rozmowę, patrząc na kartkę, którą położyła na stole. – Jeden lekarz ze złamaniem przegrody nosowej i drugi ze zwichniętym ramieniem i otwartym złamaniem przedramienia. Czy może mi pan wyjaśnić, co, na litość boską, pan sobie myślał?

– To był wypadek – odpowiedziałem z pełnymi ustami, sięgając po następną kanapkę. – To znaczy, to z ręką. Bo z nosem, no cóż... nie myślałem, że uderzenie będzie aż tak silne.

Zamilkłem nieco zawstydzony, widząc, jak przewierca mnie na wskroś swymi jasnymi oczami.

– Pana opowieść i relacje pańskich przyjaciół są naprawdę zdumiewające –

zauważyła, przerzucając plik kartek. – Rosyjski statek, wybuchająca walizka, schron w szpitalu, miasto w ogniu, dwa tysiące kilometrów helikopterem... – Podniosła wzrok znad papierów i lekko się uśmiechnęła. – Wnioskuje, że nie nudziliście się przez ostatnie miesiące.

– Nie da się ukryć, że był to dość gorączkowy okres. – Przełknąłem kęs kanapki i rzuciłem okiem na resztę potraw. Co by tu jeszcze zjeść?

– Żyjemy w gorączkowych czasach – zauważyła, przeglądając kolejne papiery. W tej górze dokumentów dojrzałem parę zdjęć swoich, Prita, Lucii, siostry Cecilii, a nawet Lukullusa. Na jednym z nich, zrobionym z powietrza, widać było, jak biegniemy po płycie lotniska Lanzarote ścigani przez tłum Nieumarłych. – Niemal każdy, kto teraz znajduje się na wyspie, mógłby opowiedzieć jakąś ciekawą historię. Niektóre są przejmujące, większość dramatyczna, ale ta wasza jest zdecydowanie ponadprzeciętna, proszę mi wierzyć.

– Po prostu usiłowaliśmy utrzymać się przy życiu. – Sięgnąłem po dzbanek z kawą. – Przypuszczam zresztą, że jak wszyscy.

– Pozwolę sobie stwierdzić, że świetnie się wam powiodło – uśmiechnęła się ruda pani oficer. – Fakty są takie, że jesteście pierwszymi ocalonymi, którzy dotarli do nas z półwyspu od operacji „Rozsądek”, i to na własną rękę, co jest jeszcze większą zasługą.

– Operacja „Rozsądek”? – spytałem, nieco zagubiony.

– Ewakuacja Bezpiecznych Stref na półwyspie przed paroma miesiącami. – Popatrzyła na mnie ze zdziwieniem. – Naprawdę nie wie pan nic o tym, co się przez cały ten czas działo?

– Niezbyt często kupowałem ostatnio gazety, pani porucznik – odparłem, wgrzyzając się w jabłko, które było tak soczyste, że sok ściekał mi po brodzie. – Tam, gdzie przebywałem, nie było otwartych kiosków.

– Pani kapitan.

– Co proszę?

– Pani kapitan. Jestem kapitanem, choć jeśli będzie panu wygodniej, proszę zwracać się do mnie „pani Pons”, jak to robi wielu cywilów. Co pan mówił?

– Mówiłem, pani kapitan – zaakcentowałem, słowo „kapitan” – że nie miałem dostępu do żadnego zewnętrznego źródła informacji już od niemal roku. Nie mam najmniejszego pojęcia, co się dzieje na świecie, co szczęśliwie jeszcze istnieje, a co rozpieprzyło się w drobny mak. Nie wiem, gdzie jestem, jaki jest mój status, gdzie są moi przyjaciele, a przede wszystkim nie wiem, kim, do diabła, pani jest i kogo pani reprezentuje. – Rozkręcałem się w miarę, jak mówiłem. Nie pozwalając sobie przerwać, nabrałem jeszcze większego rozpędu. – Jedyne, co wiem, to że od roku bez mała bląkamy się po świecie, który wygląda jak piekło i jest zapchany Nieumarłymi, a kiedy na koniec



dostajemy się do miejsca, gdzie nie włączą się te paskudztwa, jesteśmy traktowani jak przestępcy i wsadza się nas na miesiąc do więzienia. Wiem także, że siedzę teraz przed panią, że pobrano mi odciski palców jak pospolitemu złodziejaskowi i że nie jest pani porucznikiem, tylko kapitanem, jak pani mi uprzejmie przed chwilą wyjaśniła... moja droga pani kapitan – zakończyłem, wylewając z siebie całe nagromadzone oburzenie. – Tak więc do pani należy ocena, czy jestem dobrze poinformowany.

Alicia Pons na chwilę zamarła zaskoczona moim wybuchem. Nagle odrzuciła głowę do tyłu i zaczęła się śmiać. Przez chwilę byłem na nią wściekły, bo uznałem to za oznakę braku szacunku, ale jej śmiech był tak szczery i zaraźliwy, że na koniec i ja zdołałem się lekko uśmiechnąć.

– Och, przepraszam, naprawdę przepraszam, proszę mi wybaczyć – powiedziała jeszcze ze śmiechem na ustach, usiłując się opanować. – Okoliczności, w których żyjemy, są tak skomplikowane, że niekiedy zapominam, jak długo trwają i jak absurdalne są konieczne formalności. Rozumiem pana oburzenie – dodała – ale bardzo proszę, niech się pan uspokoi. Jesteśmy pana przyjaciółmi, proszę mi wierzyć. Zacznijmy od nowa. – Wyciągnęła do mnie rękę nad stołem. – Jestem kapitan Alicia Pons, ale może pan mówić do mnie Alicio, jeśli pan woli.

– Bardzo mi miło panią poznać, Alicio – odpowiedziałem zdecydowanie bardziej odprężony. – Pani już zna moją historię, więc czy mogłaby pani opowiedzieć, co w tym czasie działo się na świecie?

– Oczywiście – zgodziła się Alicia już całkiem poważnie. – Ale ostrzegam, że to nie będzie przyjemna opowieść. Świat taki, jakim pan go znał, już nie istnieje. A teraz... No dobrze, lepiej zacznę od początku.

Przemknęło mi przez myśl, że moje życie zatoczyło właśnie koło. Nie tak dawno byłem na innym statku i prowadziłem rozmowę z innym kapitanem. Rozmowę, która okazała się pierwszym etapem długiej drogi prowadzącej na cienką granicę pomiędzy życiem a śmiercią. Miałem nadzieję, że dzisiejsza konwersacja będzie miała przyjemniejsze skutki.

– Na początku nikt tego nie brał na serio – zaczęła wyjaśnienia, podnosząc się, aby nalać sobie drugą filiżankę kawy. – Przez pierwszy tydzień zresztą nie było żadnych wiarygodnych doniesień. Putin w napadzie tradycyjnej rosyjskiej paranoi na tle tajemnicy państwowej zadekretował całkowitą blokadę informacji. Jeśli oglądał pan telewizję w tamtych dniach, z pewnością pan sobie przypomina, że programy informacyjne były pełne... niczego. W takiej samej sytuacji zresztą znajdowały się rządy wszystkich krajów. Nikt nie miał żadnej wiedzy. Władze państw zachodnich wiedziały tylko tyle, ile podał CNN, taki był poziom kontroli Rosjan nad obiegiem informacji.

– Jak to możliwe? Przecież istnieją satelity i...

– Satelity to tylko maszyny, które robią zdjęcia. To ludzie interpretują te

zdjęcia, to ludzie na nie patrzą. A żeby coś znaleźć, najpierw trzeba wiedzieć, czego się szuka. Oczywiście wtedy nikt nie poszukiwał na zdjęciach Nieumarłych, głównie dlatego, że nikt nie podejrzewał ich istnienia. I proszę nie zapominać, że Dagestan leżał... leży – poprawiła się – na dalekich peryferiach. Na początku nie było znaczącego obiegu informacji. Dopiero po ośmiu dniach rząd Stanów Zjednoczonych, poprzez informatora CIA ulokowanego na Kremlu, zdobył kompletny raport o sytuacji.

– Po ośmiu dniach? Sytuacja była wtedy jeszcze do opanowania! Dlaczego nikt nic nie zrobił?

– Bo nie uwierzono w ten raport, po prostu. – Łyknęła kawy i popatrzyła z zamyśleniem na dno filiżanki. – Po wpadce z atakami jedenastego września, którym nie zdołano zapobiec, i po tym, jak okazało się, że Irak jednak nie miał broni masowego rażenia, kwestionowano wiarygodność informacji pochodzących od służb wywiadowczych CIA. Tak więc, gdy ktoś położył na stole raport, w którym była mowa o umarłych wstających z grobów i atakujących wszystko, co żyje, jak w kiepskim filmie klasy B, nikt tego nie wziął na serio. W ten sposób stracono parę decydujących tygodni.

Jednak Amerykanie wiedzieli, że coś się tam dzieje – ciągnęła – coś, co nie jest epidemią ebola, choroby marburskiej czy gorączki Zachodniego Nilu ani też żadnym z dziesięciu wymysłów podanych do wiadomości przez Rosjan w pierwszych dniach. Ponadto wiedzieli, że to coś, niewątpliwie o podłożu biologicznym, jest wystarczająco okropne, aby szczerze przerazić Kreml, który w końcu zgodził się wpuścić do Dagestanu misję Światowej Organizacji Zdrowia i Centrum Zwalczania i Profilaktyki Chorób. Jednocześnie kraje Europy Zachodniej, Japonia i Australia wysłały specjalistyczne oddziały medyczne, aby pomóc w zwalczaniu epidemii...

– Pamiętam doskonale – przerwałem. – Wojskowe bataliony medyczne, które miały współpracować z Rosjanami, aby zapanować nad sytuacją.

– Zapanować nad sytuacją... a przy okazji powęszyć trochę w terenie i wykryć, co się tam, do licha, dzieje. – Pokręciła głową ze smutkiem i utkwiała wzrok w ścianie. – Ze wszystkich złych decyzji, które podjęto w tamtym czasie, ta była z pewnością najgorsza. Wysłano setki osób, zbyt liczne ekipy, które trafiły do strefy będącej już w tym czasie w krytycznym położeniu. Infekcja wymknęła się całkowicie spod kontroli. Dagestan był już okiem cyklonu, gdzie kłębiły się tysiące Nieumarłych. Teraz, kiedy patrzymy na to z perspektywy czasu, wydaje się to oczywiste, ale przecież wtedy tego nie wiedzieliśmy.

Alicia Pons przez chwilę siedziała w milczeniu i nieświadomie bawiła się moimi aktami, leżącymi przed nią w schludnie uporządkowanym stosiku. Po chwili podjęła opowieść.

– Już po trzech czy czterech dniach sytuacja stała się dla wszystkich jasna. Ekipy medyczne zdały sobie sprawę, że tak naprawdę potrzebne byłyby w

Dagestanie jednostki bojowe, żeby wykończyć te potwory, a nie jednostki sanitarne. Niestety było już za późno, bo wielu lekarzy zostało zaatakowanych przez „pacjentów w stanie szoku”.

– Przez Nieumarłych – odpowiedziałem.

– Oczywiście – potwierdziła. – Wobec tego jednostki wysłane do strefy otrzymały rozkazy, aby jak najszybciej powrócić do swoich krajów. Oczywiście zabrano ze sobą swoich rannych. Mamy też pewne podejrzenia, że Japończycy zabrali kilku „pacjentów”, by w kraju przeprowadzić dokładne analizy wirusa i infekcji.

– Boże drogi – szepnąłem, targając się za włosy. – Czyli to służby sanitarne przyczyniły się do powstania chaosu.

– Tak, w ciągu czterdziestu ośmiu godzin zainfekowani rozproszyli się praktycznie po całym świecie. Jedynie we względnie odizolowanych miejscach, jak Wyspy Kanaryjskie, w tym czasie nie doszło do infekcji. Kiedy i tutaj pojawili się zarażeni, mogliśmy temu przeciwdziałać, bo wiedzieliśmy już mniej więcej, o co chodzi – ciągnęła Alicia. – Bo między Bogiem a prawdą, na samym początku nikt nie miał pojęcia, co za diabelstwo jest czynnikiem infekcji. Niestety, zbyt długo trwało, zanim odkryto, co się szykuje.

– Ale jak to możliwe? Dlaczego nikt nie zdał sobie sprawy z tego, co się dzieje? To znaczy, dla każdego jest jasne, że jeśli ktoś zostanie ugryziony przez Nieumarłego, sam zamienia się w jednego z nich. Dlaczego wówczas postąpiono tak nierozsądnie i zabrano zainfekowanych do Europy, Azji i Ameryki?

– Z tego powodu, o którym już mówiłam – tłumaczyła. – Nikt będący przy zdrowych zmysłach nie chciał uwierzyć w historię o zmarłych wracających do życia. Była zbyt absurdalna, aby uznać ją za prawdziwą, zresztą w tamtych dniach krążyło wiele dziwaczkowych teorii. Jedyne, co odróżniało tę hipotezę od wszystkich innych, to że okazała się jednak zgodna z prawdą. No, ale wtedy nikt nie przewidział, że tak będzie. – Zamilkła na chwilę i popatrzyła na mnie. – Pokażę coś panu.

Odstawiła filiżankę i zaczęła przeszukiwać czarną teczkę, która leżała po jej prawej stronie. Po kilku sekundach wyjęła jakieś papiery i podsunęła mi je pod oczy. Były to zdjęcia obrazu mikroskopowego powiększonego tysiące razy. Pierwsze przedstawiało kulturę komórek o dziwnym wyglądzie. Cała powierzchnia błon komórkowych była przeorana szczelinami w kształcie wulkanu. Część materiału cytoplazmatycznego wydawała się wyciśnięta przez szczeliny i beładnie porozlewana, podczas gdy inne obszary wyglądały na szerniałe, jakby pod wpływem podgrzania do wysokiej temperatury przez malutki, wyimaginowany palnik gazowy.

Na kolejnym zdjęciu, w jeszcze większym powiększeniu, widniało wnętrze takiej zmienionej chorobowo komórki. Jej zawartość składała się w dużej

mierze z maleńkich ciemnych punktów. Część z nich przedostała się przez porozrywaną błonę i zalewała inne komórki kultury. Na ostatnim zdjęciu, powiększonym maksymalnie, zobaczyłem wydłużoną tubkę o niewinnym wyglądzie, zakrzywioną na jednym z końców. Przypominała pastorał.

– Przedstawiam panu TSJ-Dagestan – powiedziała Alicia po prostu. – Wbiłem wzrok w niepozorny patyczek. Niemożliwe, żeby to maleńkie diabelstwo było odpowiedzialne za doprowadzenie ludzkości na skraj wyginięcia. – Po dwóch tygodniach zaczęły się dziać naprawdę ciekawe rzeczy – podjęła opowieść. – Ale zanim przejdę dalej, pozwoli pan, że napiję się jeszcze kawy. Pozostało wciąż mnóstwo do opowiedzenia.

Pani kapitan nalała sobie kolejną filiżankę. Zauważyłem, że piła czarną niesłodzoną kawę, bez mleka.

– Wtedy sytuacji już nie dało się opanować. – Wypiła łyk, skrzywiła się i po chwili namysłu dodała do filiżanki pół łyżeczki cukru. – Od tej chwili informacje, które publikowano, były w najlepszym razie przypadkowe i fragmentaryczne lub też – po prostu – wcale ich nie było. Wiele krajów zadekretowało zamknięcie granic, ale, choć wtedy jeszcze o tym nie wiedziano, nie mogło się to do niczego przydać. – Popatrzyła na mnie. – To tak, jakby zamykać wrota zamku, gdy nieprzyjaciół jest już w środku. Nie posiadamy sprawdzonych informacji, jednak mamy podstawy przypuszczać, że siedemdziesiąt dwie godziny po powrocie ekip medycznych z Dagestanu wirus wymknął się już spod kontroli.

– Jak to? Jak dochodzi do tak szybkiej propagacji?

– To bardzo proste. TSJ jest piekielnie sprytnym małym skurczysynem. Ten, kto go zaprojektował w Dagestanie, wystarczająco dobrze znał się na wirusologii, aby zmodyfikować te cechy, które gwarantują zdolność propagacji.

Eksperci wyrażają opinię, że podstawą do stworzenia TSJ-Dagestan był wysoce zmutowany zjadliwy szczep wirusa ebola. Do jego kodu genetycznego dołączono fragmenty kwasów nukleinowych innych wirusów, również częściowo przekształcone, aby nadać mu pożądane cechy.

Przerwała na chwilę.

– Według niektórych ekspertów z Centrum Zwalczenia i Profilaktyki Chorób w Atlancie to dzieło geniusza. Co pan wie o wirusie ebola? – spytała zniemacka.

– O wirusie ebola? – powtórzyłem, czując się jak uczeń na egzaminie. – Wiem, że to wirus gorączki krwotocznej z Afryki, na który nie ma lekarstwa, i że istnieją różne jego szczepy. O eboli dużo pisała prasa, ale nie pamiętam...

– Wirus ebola to bezlitosny zabójca – przerwała Alicia Pons. – Przenosi się, jak i TSJ, poprzez kontakt z płynami ustrojowymi: krwią, śliną, nasieniem lub potem, co sprawia, że jest wysoko zakaźnym czynnikiem chorobotwórczym. W ciągu paru dni zarażony pacjent dostaje bardzo wysokiej gorączki i zapalenia

opon mózgowych. W co najmniej połowie przypadków trzy lub cztery dni później zaczyna krwawić ze wszystkich otworów ciała, podczas gdy wirus systematycznie zamienia jego organy wewnętrzne w purée z martwych komórek. Posoka, która wydobywa się z oczu, ust, uszu i odbytu pacjenta, to nic innego jak jego organy przekształcone w płynną zgniliznę. W ciągu paru dni dziewięćdziesiąt procent pacjentów umiera. Wirus jest efektywny, szybki i śmiertelny.

– O kurczę – szepnąłem. To robiło wrażenie.

– Ale właśnie jego ogromna skuteczność stanowi zarazem jego największą słabość – niewzruszenie ciągnęła pani kapitan. – Ebola jest tak śmiertelny i tak szybki, że nie pozwala nosicielowi pokonać dłuższego dystansu od momentu zarażenia do wystąpienia ciężkich objawów. Przypadki choroby występowały w afrykańskiej puszczy, gdzie trudno się szybko przemieszczać. Wszystkie udokumentowane ogniska eboli nie rozprzestrzeniły się dalej niż w promieniu kilku kilometrów. Jest tak doskonałym mordercą, że zabija swoje ofiary, zanim mają czas przenieść infekcję na nowych gospodarzy.

– Niech zgadnę – zaryzykowałem. – TSJ nie ma tego słabego punktu.

Alicia Pons słabo się uśmiechnęła, zanim odpowiedziała.

– Ebola jest przy TSJ jak zwykły katar. Ten też, jak jego poprzednik, przenosi się poprzez kontakt z płynami ustrojowymi, czego z pewnością już pan się domyślił. Ślina, krew... to są doskonałe pożywki. Po dostaniu się do organizmu TSJ zaczyna się szybko replikować, umiejscawiając się głównie w organach wewnętrznych, które rozkłada, tak jak ebola. Od tego momentu nosiciel jest już skazany. Po pięciu dniach, choć o tym nie wie, będzie martwy i zamieni się w potwora. Bo teraz maleńki TSJ wykazuje cały swój potencjał i złośliwość. TSJ, w przeciwieństwie do innych wirusów, nie zaprzestaje replikacji, kiedy chory umiera na skutek jego działania.

W jakiś sposób, którego panu nie wyjaśnię, ponieważ jeszcze nie do końca go rozumiemy, TSJ utrzymuje zmarłe ciało swojego gospodarza w stanie ruchliwości, w którym to... – Nagle parsknęła gorzkim śmiechem, który urwał się raptownie, kiedy zobaczyła zaskoczenie na mojej twarzy. – Ale co ja tutaj panu opowiadam? Przecież pan doskonale wie, co się dzieje później!

– Tak mi się przynajmniej zdaje. Tylko że na własne oczy widziałem, jak jeden zarażony już po paru godzinach zamienił się w Nieumarłego, nie trzeba było na to pięciu dni – wyraziłem wątpliwość.

Obraz Wakara, pakistańskiego marynarza z „Zaren Kibish”, który konał w opuszczonym sklepie w Vigo, powrócił z całą siłą.

– To przypuszczalnie dlatego, że zgon nastąpił z innej przyczyny – zdecydowanie odparła Pons. – Już po śmierci osoby zarażonej ponowne ożywienie następuje przeważnie w bardzo krótkim czasie. Uznajemy, że od

chwili, kiedy chory umiera, do momentu, kiedy powstaje zamieniony w Nieumarłego, mija zaledwie od trzech do dwudziestu minut.

– Czyli...

– Czyli co najmniej połowa osób zaatakowanych przez Nieumarłego umiera natychmiast podczas ataku lub w ciągu pierwszej godziny od ataku na skutek ran zadanych przez napastnika. I wtedy, po najwyżej dwudziestu minutach, powstaje z martwych... a diabelski cykl się powtarza – zakończyła złowróżbnym tonem. – Problemem są ci, którzy jedynie zostali zadraśnięci przez zarażonego lub też ich płyny ustrojowe weszły w kontakt z płynami ustrojowymi zarażonego. Tak zdarzyło się w Dagestanie, ktoś mógł zostać zbryzgany krwią, opluty... mogło się zdarzyć mnóstwo rzeczy. Te osoby rozjechały się po domach, przerażone tym, co widziały, ale całkowicie nieświadome, że powiozły ze sobą wyrok śmierci na całą ludzkość. Kiedy ci ludzie dotarli do swoich krajów, całowali małżonków, dzieci, pili z jednej szklanki z przyjaciółmi w barze... rozprzestrzeniając chorobę. Dlatego też, kiedy zaczęły się objawy choroby, to nie wystąpiły one u jednego pacjenta zero. Były tysiące pacjentów zero na całym świecie. Doszło do pandemii, zanim ktokolwiek zdał sobie z tego sprawę.

Z przerażenia kręciło mi się w głowie. Co innego podejrzewać, jaka jest przyczyna zarażenia (zresztą zawsze zachowywałem najwyższą ostrożność, gdy byłem zmuszony do kontaktu z Nieumarłymi), a co innego uzyskać oficjalne potwierdzenie o ogromnej sile rażenia i zjadliwości wirusa.

W ciągu tych tygodni chaosu zupełnie nieświadomie mogłem zamienić się w Nieumarłego, jak to z pewnością zdarzyło się milionom osób. Kolejne części upiornej układanki trafiły na swoje miejsce.

– Ale... Jak długo, do diabła, oni będą istnieć? Jest jakaś szczepionka? Coś można zrobić?

Pytania mnożyły mi się w głowie i wyrzucałem je z siebie jedno po drugim.

Alicja Pons milczała i patrzyła na mnie zamyślona, jakby zastanawiając się, co powiedzieć. Po paru sekundach splotła ręce na stole i przełknęła ślinę, zanim przemówiła.

– Z tego, co nam wiadomo, Nieumarli mają nieokreślony termin istnienia. Pomimo że nie żyją, naturalne procesy gnicia są całkowicie zatrzymane, a przynajmniej ogromnie spowolnione. Nie oddychają, więc ich organizmy się nie utleniają. Ich metabolizm jest tak niski, że nie mają potrzeby się odżywiać. Nasz dzisiejszy stan wiedzy wskazuje, że istoty te mogłyby... – Przerwała.

– Mogłyby... co? – Czułem, jak lodowacieje mi serce.

Wiedziałem już, jaka będzie odpowiedź.

– Mogłyby być wieczne – powiedziała ponuro Pons. – Być może ludzkość już zawsze będzie musiała żyć na tym świecie razem z nimi, chyba że ich wcześniej

wyćpiemy... lub oni pierwsi wyćpią nas.

Ostatnie zdanie jak salwa armatnia zadudniło echem w mojej głowie. Gdybym nie spędził roku, żyjąc na krawędzi, walcząc z tymi potworami, pomyślałbym, że wszystko to jest wymysłem lub kłamstwem. Niestety, zbyt dobrze wiedziałem, że to prawda. A jednak, paradoksalnie, jej słowa brzmiały nadal tak nierzeczywiście.

– To wszystko jest... absurdalne.

Nie udało mi się powiedzieć nic więcej. Czułem się przytłoczony.

– Oczywiście, że jest absurdalne. – Alicia podniosła się od stołu. Podeszła do maleńkiej lodówki w rogu pokoju. – Samo to, że mówimy tu o osobach, które zmartwychwstają i atakują żyjących, jest absurdalne, a jednak one istnieją. To, że najprawdopodobniej nie potrzebują jeść, oddychać ani spać, też jest absurdalne. To, że nie rozkładają się do reszty, mimo iż są pioruńsko martwe, ale za to mogą się ruszać, jest nie mniej absurdalne. I jakkolwiek nierzeczywiste to mogłoby się wydawać, tak pan, jak i ja wiemy, że wszystko, co właśnie powiedziałam, jest cholerną prawdą, i że oni są tam, na zewnątrz.

Jej głos dochodził do mnie stłumiony, gdyż nachylona grzebała w lodówce. Zabrzęczały butelki. W końcu z gestem triumfu wyjęła z głębi puszkę z colą i podniosła się. Zrobiła pół obrotu i podeszła do stołu, niosąc puszkę i szklanę.

– Może się pan napije – zaproponowała, otwierając puszkę. – Zazwyczaj konfrontacja z faktami, które rozum, zdrowy rozsądek i nauka jednomyślnie uznają za niemożliwe, a które jednak są prawdziwe, prowadzi do szoku. Wszyscy reagują w podobny sposób. Nie wygląda pan najlepiej.

Z wdzięcznością przyjąłem szklanę napoju, którą podała mi Alicia Pons. Potwornie wyszło mi w ustach. Wypiłem zawartość szklanki kilkoma haustami i trochę mi ulżyło. Ale myśli w głowie nadal wirowały.

– Przez cały ten czas nieraz zostałem obryzgan krwią i wnętrznościami tych istot. Zdarzało mi się to o wiele częściej, niżbym sobie życzył, proszę mi wierzyć – mówiłem ochrypłym głosem, starając się zapanować nad nerwami. – Jeśli ten TSJ, czy jak się to diabelstwo nazywa, przekazywany jest tak, jak pani twierdzi, to dlaczego się nie zaraziłem?

Alicia z namysłem popatrzyła na pustą szklanę, którą postawiłem na stole. Zdawała się błdzić umysłem daleko stąd.

– Wie pan co? – powiedziała. – Nie powinien był pan tak szybko wypijać tej coli. Napoje w puszkach są trudno dostępne, nawet na czarnym rynku, i przypuszczalnie minie dużo czasu, zanim będzie pan miał okazję znowu się napić coca-coli. Proszę się delektować. Z tego, co wiem, osiągają już astronomiczne ceny. – Ze smutkiem przyjrzała się na wpół opróżnionej puszcze i podniosła na mnie wzrok. – Gdyby się pan zaraził, już by pan był jedną z tych istot. No i miałby pan pewnie sporą dawkę ołowiu w głowie, przyjacielu –

wyjaśniła spokojnie, nalewając mi jeszcze trochę coli. – Kwarantanna jest właśnie po to, abyśmy upewnili się na sto procent, że nowo przybyli nie będą sprawiali kłopotów. Ponadto – dodała, przeciągając się na krześle – musi dojść do kontaktu płynów ustrojowych tego, kto zaraża, i tego, kto jest zarażony, czyli czynnik zakaźny musi się dostać do krwi, śliny, oczu lub śluzówek ofiary. Teraz już jest oczywiste, że ani w pana przypadku, ani w przypadku pana przyjaciół nic takiego się nie stało.

Pomyślałem, że to wyjaśnienie nie brzmi zbyt uspokajająco. Gdyby krew tych istot padła na jakieś skaleczenie lub ranę lub gdyby prysła mi do oczu, historia mojego życia dobiegłaby raptownie końca i nie zdając sobie z tego sprawy, dołączyłbym do wspólnoty Nieumarłych. Co za koszmar.

– Kiedy u pacjentów zero w pełni rozwinęły się objawy, cała planeta w ciągu paru dni zamieniła się w piekło – Alicia monotonicznie kontynuowała opowieść. – Szpitale zapełniły się pacjentami, jednak już w pierwszych godzinach stało się jasne, że setek chorych, dotkniętych potwornymi symptomami, nie da się w żaden sposób wyleczyć. Niestety, kiedy wojsko włączyło się do sprawy, było już za późno. Setki, tysiące Nieumarłych zamieniły szpitale w śmiertelne pułapki dla tych, którzy mieli nieszczęście tam się znaleźć. To była rzeź. Nie mamy danych z innych krajów, ale sądzimy, że jeśli chodzi o Hiszpanię, to blisko siedemdziesiąt procent personelu medycznego zginęło w ciągu czterdziestu ośmiu godzin od pojawienia się pierwszych przypadków.

– Siedemdziesiąt procent? Aż tyle? – spytałem z niedowierzaniem.

– To są najbardziej zachowawcze szacunki. Jeśli weźmiemy pod uwagę liczbę lekarzy i pielęgniarek, którzy przeżyli i znajdują się obecnie na wyspach, to ten odsetek może być jeszcze wyższy. – Alicia Pons posmutniała. – Podobnie stało się z policją, strażą pożarną, karetkami pogotowia... Wszyscy ci, którzy w pierwszych godzinach chaosu pragnęli nieść pomoc, byli narażeni na śmiertelne niebezpieczeństwo.

W pokoju szumiała monotonicznie klimatyzacja. Słowa Alicii zawisły w powietrzu. Ponury obraz rysował się coraz wyraźniej.

– Dopiero wtedy władze zdały sobie sprawę, co się szykuje, i linie telefoniczne ministerstw spraw zagranicznych rozgrzały się do czerwoności – westchnęła. – Zorganizowano nawet zebranie szefów rządów krajów Unii Europejskiej, żeby jakoś sprawie zaradzić.

– Pamiętam. Ich twarze, kiedy wychodzili z posiedzenia, mówiły wszystko.

– Bo już byli cholernie przestraszeni. – Głos Alicii stwardniał. – Ale nawet wtedy nie umieli podjąć wspólnej, konkretnej decyzji, która być może jeszcze ocalałaby kontynent i świat. Po prostu ograniczyli się do powołania wspólnego sztabu antykryzysowego, zadekretowali blokadę informacji i na łeb na szyję wrócili do swoich krajów. Następnie obstawili wojskiem przejścia graniczne, chyba licząc na to, że Nieumarli po dojściu do granicy zrobią w tył zwrot i



odpłyną. Ale oni byli już wszędzie. – Upiła łyk kawy i parsknęła pogardliwie. – Nieumarli nie znają się na granicach ani na sprawach państwowych. To śmiertelnie niebezpieczni drapieżcy, których nie zatrzymają żadne przeszkody.

– I to, o czym pani mówi... Czy tak było na całym świecie?

Alicia roześmiała się gorzko, z niedowierzaniem i ubolewaniem nad swoją niewiedzą.

– Och, nie, oczywiście, że nie – odpowiedziała, a jej oczy pociemniały. – Było o wiele gorzej.

– Gorzej? Co to znaczy „gorzej”?

– To znaczy więcej i szybciej, i z poważniejszymi konsekwencjami, zależy gdzie – wyjaśniła. – Na przykład w Stanach Zjednoczonych mieli więcej jednoczesnych wektorów infekcji niż gdziekolwiek indziej na świecie. A to dlatego, że Amerykanie wysłali więcej personelu medycznego i wojska do Dagestanu niż którykolwiek inny kraj. Ponadto część amerykańskich oddziałów w rejonie Kurdystanu w Iraku ucierpiała podczas organizacji ogromnych obozów dla uchodźców z Dagestanu, którzy tamtędy próbowali uciekać z kraju. Tak czy owak, w Ameryce też nie znalazł się nikt, kto umiałby na czas zatrzymać tę gigantyczną lawinę gówna. Zanim władze zdały sobie sprawę, co im spadnie na łeb, wirus wymknął się spod kontroli w ponad trzydziestu wielkich miastach w całym kraju.

Gwizdnąłem cicho. Wyobraziłem sobie, co działo się w takim kraju jak Stany Zjednoczone.

– Grupa reporterów CBS odkryła, co się dzieje, a ich kanał nadał specjalny program informacyjny, przypuszczalnie omijając cenzurę. Natychmiast po emisji reportażu w całym kraju wybuchła panika. Miliony osób zablokowały lotniska i autostrady, walcząc o wydostanie się z miasta. Całe rodziny pakowały dobytek do samochodów i wyjeżdżały do małych miasteczek lub na wieś, sądząc, że tam będą bezpieczne. Jednak wiele z tych osób, nie wiedząc o tym, było już nosicielami wirusa i w ten sposób choroba błyskawicznie rozprzestrzeniła się po całym kraju. Amerykański rząd usiłował pospiesznie naśladować europejski model Bezpiecznych Stref, ale było za późno. Kraj ogarnęła zbiorowa histeria, a instytucje państwa zawiodły – coraz więcej urzędników nie stawiało się w miejscu pracy, bo albo uciekli, albo byli martwi.

Jakbym to widział. Amerykanie są (byli, zreflektowałem się) licznym narodem, żyjącym na ogromnym terytorium, posiadającym gęstą i skomplikowaną sieć komunikacji. Aż mnie dreszcz przeszedł: każda z tysięcy zarażonych osób odegrała rolę konia trojańskiego tam, gdzie się znalazła, wprowadzając TSJ do każdego zakątka kraju. Przerazające.

– Sądzymy, że istnieją jeszcze jakieś strefy wolne od Nieumarłych, zwłaszcza na Środkowym Zachodzie Stanów Zjednoczonych. Gigantyczne przestrzenie,

pustynie, niskie zaludnienie tych terenów, a zwłaszcza to, że przed apokalipsą cała tamtejsza ludność miała broń, zapewne znacznie ułatwiły przetrwanie. Nie wiemy jednak, w jakich warunkach żyje się na tych terytoriach, czy jest tam jakaś władza, czy pograżyły się w całkowitej anarchii. Z nielicznych informacji, które do nas dotarły, wynika, że sytuacja jest różna w różnych Bezpiecznych Strefach. Gdzieś tam starają się, tak jak my, odbudować z popiołów namiastkę cywilizacji, a gdzie indziej panuje prawo silniejszego – zakończyła. – Niełatwo tam żyć.

– A Ameryka Łacińska? Co z nimi?

– To zależy gdzie. Jednym z najbardziej dotkniętych był niewątpliwie Meksyk, praktycznie stało się tam to samo co w Europie i Stanach. Mnóstwo Amerykanów wierzyło, że po drugiej stronie granicy będą bezpieczni, ale jedyne, co uzyskali, to rozsianie wirusa, którego ze sobą zabrali, uciekając. – Alicia gorzko się uśmiechnęła. – Proszę sobie wyobrazić zaskoczenie meksykańskich straży granicznych, kiedy pewnego poranka odkryły swych dumnych i bogatych północnych sąsiadów szturmujących granicę. Role się odwróciły. Oczywiście zamknęli granicę, ale za późno. Setkom tysięcy spanikowanych Amerykanów udało się ją przekroczyć. Wiemy, że na terytorium Meksyku przez co najmniej tydzień prowadzono „polowanie na jankesów”. Każdy, kto wyglądał na białasa, zasługiwał na „poczęstowanie dużą porcją ołowiu”, jak zagrzewała do działania miejscowa prasa. Najpierw strzelajcie, potem pytajcie – takie było hasło. Niestety po dziesięciu dniach już sami Meksykanie mieli kłopoty. Coś podobnego zdarzyło się w Wenezueli, ale tam...

– Pamiętam, że na krótko przed zanikiem obiegu informacji mówiono o wojnie między Chile a Boliwią – przerwałem.

– Istotnie. Najprawdopodobniej, korzystając z chaosu, Chilijczycy zmiażdżyli słabe wojska boliwijskie i wtargnęli do południowej części kraju. Jednak byli zmuszeni się wycofać, gdyż i u nich był już niezły bałagan. Przez chilijską granicę masowo przenikali Argentyńczycy.

– Co z Argentyńczykami?

– Z całego tego nieskończonego oceanu gówna, w który stopniowo zamieniał się świat w tych dniach, Argentyńczykom przypadła najgorsza chyba porcja. – W głosie Alicii słychać było pewien sarkazm.

Uśmiechnąłem się, słysząc ten malowniczy opis. W miarę jak rozwijała się nasza rozmowa, Alicia Pons czuła się coraz swobodniej i mówiła z coraz większą swadą. Muszę powiedzieć, że i ja byłem coraz bardziej zrelaksowany.

– Buenos Aires – ciągnęła. – Lub raczej Wielkie Buenos, jedno z największych skupisk ludzkich na półkuli południowej. Mówimy tu o milionach osób żyjących na względnie niewielkim obszarze. A więc, kiedy reszta świata już rozlatywała się w kawałki, w Buenos Aires nie zanotowano jeszcze ani jednego przypadku

infekcji. Ani jednego. Było to przypuszczalnie jedno z niewielu cywilizowanych „czystych” miejsc na planecie, ale i tak nikt nie przedsięwziął żadnych środków ostrożności. Po tygodniu do miasta zaczęły napływać tysiące uchodźców i nikt nie zajął się przygotowaniami, sprawdzeniem ich stanu zdrowia lub zorganizowaniem kwarantanny. Nie zrobiono nic, jakkolwiek dziwnie to brzmi. Po następnym tygodniu w tym przeludnionym obszarze miejskim wystąpiły pierwsze ogniska epidemii, ale nadal nikt nic nie robił. Wydaje się, że wojskowi chcieli, naśladując swoich chilijskich sąsiadów, objąć kraj kontrolą, jednak cywilny rząd nie miał zamiaru im tego ułatwić. Manifestacje na ulicach, strzelanina, zamach stanu udaremniony w ostatniej chwili... Świat się walił, a Argentyńczycy w osłupieniu obserwowali swoich przywódców walczących o władzę. Ona jedyna wydawała im się ważna. Kiedy wreszcie ktoś się naprawdę przestraszył, było za późno. Rząd zgromadził całą forszę, jaką zagabił, i odleciał w nieznanym kierunku.

Alicia wyciągnęła z kieszeni paczkę papierosów i podała mi jednego. Wziąłem go w milczeniu i przypaliłem jej zapalniczką. Co ciekawe, sama nie zapaliła, tylko po prostu schowała papierosy z powrotem do kieszeni. Zafascynowany patrzyłem, jak bawi się zapalniczką i mówi dalej.

– Nie wiem, co się stało z tymi nieodpowiedzialnymi politykami, ale mam nadzieję, że któryś z tych zgniłków, co się tam na zewnątrz kłębią, dorwał wszystkich ich razem i każdego z osobna – sapnęła, kręcąc głową. – Dwa tygodnie później elektrownia atomowa Embalse w pobliżu argentyńskiego miasta Cordoba wyleciała w powietrze, zatruwając chmurą radioaktywną całą północną część kraju. Nikt nie nakazał wyłączyć centrali. Nikt niczego nie zrobił, żeby uniknąć załamania się systemu, w miarę jak znikali kolejni pracownicy obsługi. Wszyscy odpowiedzialni urzędnicy ministerialni zachowali się w tych dniach całkowicie nieodpowiedzialnie. Od wszystkiego umyli ręce. Należy przypuszczać, że centrala nadal działała bez personelu przez jakiś czas, aż uran się zdestabilizował i spowodował reakcję łańcuchową, która zakończyła się wybuchem nuklearnym. W rezultacie cała północna Argentyna i południe Brazylii są obecnie wielką radioaktywną pustynią, gdzie nikt nie przeżył, z wyjątkiem oczywiście Nieumarłych, chociaż to brzmi dość absurdalnie, ponieważ oni są nieżywi, prawda? – spytała retorycznie, zagniewanym tonem.

– Ale, ale... – Głos mi odebrało. – Czy to możliwe?

– Oczywiście, że tak. W Azji sprawy mają się jeszcze gorzej. Chińczycy stracili głowę i usiłowali wykorzystać chorobę z największych ośrodków miejskich za pomocą kontrolowanych wybuchów nuklearnych.

– Wybuchów... NUKLEARNYCH? – To też było nieprawdopodobne, choć przypominałem sobie, że kiedy telewizja jeszcze nadawała, coś o tym słyszałem.

– Wartość życia ludzkiego jest w niektórych kulturach względna – wyjaśniła cierpliwie. – To, co dla człowieka Zachodu jest nie do pojęcia, z perspektywy człowieka Wschodu może się wydawać całkowicie logiczne. Dla nich ważny jest kolektyw, nie jednostka. Jeśli dla uratowania kolektywu musisz jednym pociągnięciem pióra wykreślić z życia dziesiątki milionów jednostek, chorych czy zdrowych, robisz to i nawet się nie wahasz.

– I taka była ich strategia.

– Taka była ich strategia. – Alicia pokiwała głową.

– I zadziałało?

– Ani trochę. Promieniowanie nie może zabić kogoś, kto już nie żyje. Z całą pewnością wybuchy doprowadziły do tego, że miliony Nieumarłych wyparowały wraz z milionami niewinnych ludzi, ale w tak przeludnionym kraju zawsze jakiś mały procent ocaleje, a to oznacza, że ocalały miliony Nieumarłych i ze zburzonych miast rozproszyły się na cztery strony świata.

Wypiła łyk i popatrzyła na mnie uważnie.

– Proszę się nad tym zastanowić. Na świecie panuje całkowity chaos.

– Chaos, ona to nazywa chaosem – mruknąłem. – Wydaje mi się, że to niewystarczające określenie.

– To nie my mamy najgorzej – ciągnęła. – Azja i Bliski Wschód to miejsca, gdzie życie ludzkie jest już niemożliwe, a przynajmniej to, co my nazywamy życiem, a jeśli chodzi o Afrykę, to cóż... – Przerwała i przełknęła ślinę. – Relacje tych nielicznych ocalonych, którzy do nas dotarli, są wstrząsające. Afryka jest istnym piekłem na ziemi. Przypuszczamy, że na całym kontynencie nie ma już nikogo żywego, być może z wyjątkiem jakichś odizolowanych grup w głębi puszczy lub też kilku oddziałów Tuaregów krążących po Saharze. Władzę, zamiast nieistniejących już rządów, przejęli kacykowie i przywódcy wojskowi. Choroby, głód, wojna i dzika przyroda wykańczają wszystkich tych, którzy nie padli jeszcze ofiarą Nieumarłych. Cała czarna Afryka cofnęła się w czasie o siedemset lat. – Popatrzyła na mnie poważnie. – Niekiedy żywi bywają bardziej niebezpieczni od Nieumarłych.

– Jeśli już o tym mówimy, to byliśmy w małej rybackiej wiosce na marokańskim wybrzeżu.

– I, jak napisał pan w zeznaniu – przerwała – zastaliście ją całkowicie splądrowaną. Wiem. Tak jest na całym kontynencie. To już nie tylko walka o przeżycie. To też walka o zasoby. I to śmiertelna walka.

– Zasoby? – zdziwiłem się. – Przecież Afryka jest najbardziej urodzajnym kontynentem. Mogłaby zapewnić żywność dla całej ocalonej ludzkości.

Alicia szyderczo się zaśmiała. Potem popatrzyła na mnie jak ktoś, kto jest dysponentem jakiejś wielkiej tajemnicy i zastanawia się, czy się nią podzielić.

– Nie chodzi tylko o żywność, chociaż oczywiście, to ona jest podstawą – tłumaczyła łagodnie jak dziecku. – Potrzebne są jeszcze lekarstwa, paliwo, ubrania, broń, pojazdy, te wszystkie rzeczy, których istnienie uznajemy za nieodzowne i których coraz bardziej nam brakuje. Proszę pomyśleć! Każde opakowanie lekarstw, które zużywamy w naszych szpitalach, oznacza, że jest o jedno opakowanie lekarstw mniej na świecie! Każdy litr paliwa, które spalają nasze śmigłowce, oznacza, że jest go coraz mniej dla transportu lotniczego! Każdy pocisk wystrzelony w tych sukinsynów przybliży nas do chwili, gdy staniemy przed koniecznością użycia łuku i strzał, żeby bronić swojej skóry! Nie ma przemysłu, nie ma handlu międzynarodowego, nie ma technologii, nie ma tankowców z ropą przybijających do naszych portów. Wydaje się panu, że świat jest teraz w ruinie? – zapytała wyzywająco. – Proszę poczekać kilka lat i będzie pan żałował tej epoki jak starych, dobrych czasów. W sposób niekontrolowany ześlizgujemy się w kierunku nowego średniowiecza i obawiam się, że póki tam na zewnątrz będzie pełno tych ohydnych istot, nikt nie zdoła zrobić niczego, żeby tego uniknąć!

– Ale przecież... – wyjąkałem – coś chyba można zrobić, tak mi się wydaje...

– Jeśli ma pan jakiś genialny pomysł, który nikomu z nas jeszcze nie przyszedł do głowy, to bardzo proszę się nim teraz podzielić – odpowiedziała na wpół żartem, na wpół serio. – Zapewniam pana, że to przysporzy panu na wyspach ogromnej popularności.

– Ale ja sądziłem, że na wyspach cywilizacja nadal działa! Że są prawdziwą Bezpieczną Strefą, gdzie wszyscy zaczniemy nowe życie! – zaprotestowałem, choć już niestety zaczynałem pojmować, jak naprawdę przedstawia się sytuacja.

Alicia popatrzyła na mnie przez chwilę. Potem się podniosła.

– Proszę pójść ze mną. Coś panu pokażę.

Wyszliśmy na pokład. Zachodzące słońce rozświetlało horyzont czerwonymi smugami, a ciepłe podmuchy niosły od lądu piaskowy pył. Powietrze przypominało gorący, gęsty wywar. Natychmiast po opuszczeniu klimatyzowanego wnętrza „Galicii” zaczęliśmy okropnie się pocić. Każdy oddech ranił płuca porcją wrzącego powietrza. Bardzo szybko zacząłem tęsknić za coca-colą, którą właśnie wypilem.

Alicia podeszła do burty i roztargnionym gestem podała mi papierosa. Pokręciłem przecząco głową. Moje usta były suche jak pustynia i czułem lekkie mdłości. Po miesiącu spędzonym w celi spacer po ogromnym lądowisku „Galicii” przyprawił mnie o zawroty głowy. Przez chwilę staliśmy w milczeniu, patrząc na miasto rozłożone nad zatoką i na zapalające się w oddali pojedyncze światełka. Powoli robiło się ciemno. Postanowiłem przerwać ciszę i zapytać o losy moich towarzyszy, ale zanim zdołałem powiedzieć choć słowo, Alicia ręką wskazała na port.

– Proszę spojrzeć. Tam w głębi, na tle tych wysokich budynków, największy ze wszystkich.

Popatrzyłem, gdzie kazała. Masywny, gigantyczny zbiornikowiec, o wiele większy od wszystkich innych jednostek zakotwiczonych w porcie, pomalowany lśniąca niebieską farbą kołysał się bezwolnie, poruszany falami przyboju wpływającymi do zatoki. Jego linia ładunkowa znajdowała się wysoko, bardzo wysoko, pozostawiając na widoku szeroki pas pomalowanej na czerwono części podwodnej, zazwyczaj zanurzonej. To mogło oznaczać tylko jedno – okręt był pusty, w jego zbiornikach nie została ani kropla ropy.

– Ten olbrzym unoszący się na wodzie to „Keiten Maru”, supertankowiec japoński, należący do jednego z największych holdingów, jakie w tamtym kraju istniały przed apokalipsą. Ten potwór o ładowności stu piętnastu tysięcy ton wracał do Japonii z Morza Północnego napełniony po brzegi norweską ropą, gdy na świecie rozpętało się piekło. Właśnie dopływał na wysokość Wysp Kanaryjskich, gdy trzech członków załogi padło ofiarą TSJ, w tym pierwszy oficer.

Alicia wbiła we mnie swoje jasne oczy.

– W miarę jak pojawiały się przypadki choroby, pozostali radzili sobie, zamykając Nieumarłych w jednej kajucie, ale nie mogli płynąć dalej, więc postanowili przybić do najbliższego brzegu, właśnie tutaj. Potem świat runął i

statek pozostał na Teneryfie na zawsze. Paradoksalnie, ich nieszczęście nas ocaliło, ponieważ bez „Keiten Maru” nie mielibyśmy najmniejszej szansy na przeżycie.

– Dlaczego? – Nie rozumiałem związku między zwykłym statkiem i walką z Nieumarłymi.

– Pomógł nam jego ogromny ładunek. Sto piętnaście tysięcy ton dobrej, fantastycznej, wyborowej surowej ropy naftowej, którą mogliśmy przerobić na paliwo w portowej rafinerii. – Wskazała na wysokie wieże destylacji frakcyjnej widoczne na horyzoncie.

Rafineria Cepsa. Oczywiście. Chyba mi wzrok odjęło.

– Kiedy system się zawalił i wyspy zostały odizolowane od reszty świata, mieliśmy zapasy paliwa wystarczające na dwa tygodnie, nie więcej. Przybycie „Keiten Maru” zwiększyło nasze zasoby, z których do dzisiaj korzystamy, ale pomimo iż surowo racjonujemy zużycie, od miesiąca wyczerpujemy już końcowe rezerwy. Jeśli utrzymamy obecny rytm konsumpcji, zużyjemy ostatnie litry w ciągu czterech, pięciu tygodni.

– To niedobrze, prawda? – spytałem pospiesznie i muszę przyznać, niedorzecznie.

– To nie tylko niedobrze. To katastrofalnie. Bez paliwa tracimy wszystkie nasze zdobycze technologiczne. Nie ma mowy o samolotach, śmigłowcach, okrętach czy samochodach. Będziemy musieli wrócić do łodzi żaglowych i do koni. W tych warunkach niemal niechybnie czeka nas śmierć z braku pożywienia.

– A dlaczego po prostu nie popłynąć po więcej? Wystarczyłoby dotrzeć do Nigerii lub Wenezueli, podczepić się pod rurociąg i nabrać paliwa.

– To nie takie proste – powiedziała ponuro. – Wielu producentów ropy zaspuntowało swoje odwierty, mając świadomość, że pozostawienie ich bez personelu oznacza pozostawienie włączonej bomby zegarowej. I tak na przykład meksykańskie i wenezuelskie szyby naftowe zostały unieruchomione przez firmy właścicielskie. Natomiast w Nigerii nikt nie zadał sobie tego trudu i zwiady lotnicze wykazały, że z większości szybów ropa wytrysnęła i zalała okolicę czarną mazią. Ich rurociągi, od roku nieczynne, to teraz tylko ogromna kupa złomu.

Zaciągnęła się papierosem i mówiła dalej, wpatrując się we mnie uważnie.

– Ale nawet gdybyśmy założyli, że szyby naftowe są w dobrym stanie i płynnie z nich ropa tak jak przed apokalipsą, nie byłoby możliwe zatankowanie statku w terminalu portowym bez użycia licznych oddziałów wojsk, które na nieznanym terenie musiałyby walczyć z hordami Nieumarłych. Jednocześnie ochraniałyby grupę techników specjalistów, których nie mamy, musiałyby naprawiać instalacje przepompowni materiałami, których też nie posiadamy,

aby zapewnić przepływ ropy przez rurociągi niesprawdzone od roku do tankowca o pojemności dziewięćdziesięciu tysięcy ton, co do którego nie wiemy, czy w ogóle zdoła tam dotrzeć, bez pilota znającego tamte wody i bez nieodzownej pomocy holowników, umieszczających statek na stanowisku tankowania, które nie wiadomo, czy nadal istnieje. Tak więc, jak pan widzi, to nie takie proste.

– A Zatoka Perska? To oczywiście dalej, ale tym wielkim statkiem dotarłoby się tam bez trudu. Ponadto tam tankowanie odbywa się na redzie, poprzez węże, które...

– W Zatoce Perskiej nie pozostał kamień na kamieniu... Czy pan wie, kim są wahabici? – spytała. Pokręciłem głową zdziwiony. Sytuacja rysowała się coraz bardziej ponuro. – Wahabici to ortodoksyjni wyznawcy islamu nakazujący dosłowną interpretację Koranu i stosowanie prawa szariatu. Bliski Wschód, gdzie dominowali, był z racji swego położenia geograficznego jednym z pierwszych obszarów dotkniętych TSJ. W ciągu tygodni poprzedzających ostateczny chaos wahabici rozgłaszali, że epidemia jest karą, którą Bóg zesłał na ludzi za ich chciwość i bezbożność, i że jedynym sposobem, aby uniknąć śmierci i przerażającego losu, są akty oczyszczenia. Twierdzili, że pieniądze skorumpowały duszę człowieka i jeśli ludzkość chce ocaleć, musi powrócić do stanu pierwotnej czystości. Ropa zalała pieniędzmi kraje Zatoki Perskiej, więc zalała je – według nich – nieczystością i bezbożnictwem. Tak więc, dążąc do oczyszczenia i ocalenia, fanatyczne tłumy napadały na wszystkie instalacje wydobywcze ropy naftowej w krajach zatoki i niszczyły jedną po drugiej, aby skłonić Allacha do odwrócenia klątwy.

– Ale to oznacza... – wyjąkałem.

– Oznacza, że od roku w Zatoce Perskiej płoną setki szybów. Oznacza, że jeśli chcemy ropy, Bliski Wschód już nie jest dla nas żadną opcją. Oznacza, że jeśli nie znajdziemy dobrego wyjścia z sytuacji, mamy przerażane, i to naprawdę i definitywnie przerażane. Oznacza, na koniec, że jeśli szybko czegoś nie zrobimy, to tuż za rogiem czeka na nas nowe średniowiecze.

Pokręciłem głową przygnębiony. Wymarzony raj, którym w moich myślach były Wyspy Kanaryjskie, złoty sen, dzięki któremu udało mi się przeżyć tyle ponurych miesięcy, po trochu odślaniał swoją prawdziwą istotę: miejsca biednego i pogrążonego w beznadziei, miejsca oblężonego, gdzie przetrwać było niełatwo. Zastanawiałem się, co będzie ze mną i z moimi towarzyszami, kiedy pytanie, oczywiste pytanie, którego do tej pory nie zadałem, przemknęło mi przez głowę jak błysk światła.

– Bardzo pani dziękuję za poświęcony mi czas i doprawdy jestem niezwykle wdzięczny za życzliwe przyjęcie, za przybliżenie mi sytuacji i za załatwienie wszystkich tych formalności tam na dole, ale mam jedno pytanie. Dlaczego ja? Dlaczego, u licha, właśnie mnie pani to wszystko opowiada?



– Ponieważ, jak z pewnością pan już zrozumiał, mamy poważny problem – odpowiedziała z dziwnym uśmiechem. – I sądzimy, że pan wraz z panem Pritczenką pomogą nam go rozwiązać.

# 16

Przez chwilę zdawało mi się, że się przesłyszałem. Zdziwiło mnie to ostatnie zdanie.

– Wiktor i ja? Do czego potrzebujecie naszej pomocy?

– To przecież oczywiste – odparła Pons. – Pan Pritczenko jest pilotem śmigłowców, ma wylatane kilka tysięcy godzin, wiele z nich podczas działań bojowych. Nie mówiąc już o osiągnięciu, jakim jest przelot helikopterem z półwyspu na Kanary bez międzylądowania. To czyni z niego niezwykle wartościowego członka naszej społeczności, a nawet ośmielę się stwierdzić, że niezbędnego w tych trudnych czasach. Jednym słowem, spadł nam, dosłownie, z nieba.

– A ja, jaka jest moja rola? – spytałem. – Przecież jestem ni mniej, ni więcej, tylko prawnikiem, lub raczej byłem nim, zanim upadła cywilizacja. – Zrobiłem pauzę i zauważyłem z pewną goryczą: – Nie sądzę, aby moja wiedza i doświadczenie mogły się przydać w kwestii szybów naftowych, natomiast jeżeli ktoś tu zamierza pozwać Nieumarłych do sądu, to jak najusilniej bym odradzał. Nie wydaje mi się, aby byli wypłacalni, a w mojej opinii najprawdopodobniej nawet nie stawia się na rozprawę.

– Niech pan nie gada głupstw – ostro przerwała mi Alicia Pons. – Jesteście nam potrzebni nie po to, aby opowiadać nędzne dowcipy, lecz z powodu waszych zdolności przetrwania. Udało się wam przeżyć na zainfekowanym terytorium dużo dłużej niż którejkolwiek z naszych grup zwiadowczych, nie wiem, czy macie tyle szczęścia, czy wyjątkowe umiejętności, a pan Pritczenko to najprawdopodobniej jeden z najcenniejszych profesjonalistów, jacy obecnie istnieją. Potrzebujemy was jak najpilniej, obydwóch – podkreśliła.

– Rozumiem, że możecie potrzebować usług Wiktora – przyznałem ostrożnie. – Chociaż wątpię, żeby po tym wszystkim, co nas spotkało, palił się do opuszczenia wyspy, i ja zresztą też nie mam na to ochoty. Jesteśmy psychicznie i fizycznie wykończeni i jedyne, czego pragniemy, to bezpiecznego miejsca, gdzie moglibyśmy żyć i pracować, z daleka od tamtych istot z piekła rodem. A ponadto – dodałem, udając głupiego – nadal nie jest dla mnie jasne, do czego potrzebujecie adwokata.

– Ach tak? – Alicia wyglądała na zaskoczoną. Pokręciła głową i powiedziała łagodnie: – Pan się myli. To nie władze potrzebują usług adwokata.

– Co takiego? No to kto, do diabła...

– To panu Pritczence jest pan potrzebny – powiedziała wolno i wyraźnie. – A ja mam nadzieję, że jest pan naprawdę dobry, bo może mu się to cholernie przydać.

Przez chwilę byłem tak zdumiony, że odjęło mi głos. Gdyby ktoś zażądał, żebym pogryzł na kawałki antenę radaru „Galicii”, byłbym równie zaskoczony. Jednym słowem, nic nie rozumiałem.

– Wiktor? Musi skorzystać z moich usług zawodowych? O co tu, kurwa, chodzi?

– Dzisiaj rano – pani kapitan Pons nagle stała się bardzo oficjalna – o godzinie dziewiątej czterdzieści pięć pana Wiktora Pritczenkę wyprowadzono z celi. W sali przesłuchań, w której przed chwilą byliśmy, mieliśmy uznać jego kwarantannę za zakończoną i udostępnić mu dokumenty rezydenta, podobnie jak panu. – Patrzyła teraz na mnie z niezwykle poważnym wyrazem twarzy. – Gdy szedł korytarzem, napotkał innego członka waszej grupy, siostrę Cecilie Iglesias, która udawała się w to samo miejsce po swoje papiery. Nagle, bez słowa, pan Pritzenko wyrwał pałkę strażnikowi, który go eskortował, i – zanim pozostali zdążyli go obezwładnić – wielokrotnie uderzył w głowę siostrę Cecilie, która nieprzytomna upadła na ziemię.

Zachwiałem się, jakbym otrzymał cios pięścią w splot słoneczny. To przecież niemożliwe. Wiktor napadł na siostrę Cecilie? Nie, po stokroć nie! To nie mogło być prawdą, gdzieś musiała nastąpić pomyłka! Niewielki Słowianin wprost czcił pogodną, zaradną, ruchliwą zakonnicę, która wydobyła go z głębokiego załamania nerwowego, prowadząc z nim niekończące się rozmowy i obdarzając całymi tonami współczucia i pociechy. Zaatakował ją? Wiktor? Dlaczego? To była całkowita bzdura.

– Siostra Cecilia znajduje się w stanie śpiączki w okrętowym szpitaliku i niewykłuczone, że umrze w ciągu najbliższych trzech dni z powodu odniesionych obrażeń – ciągnęła relację Alicia Pons. – Przykro mi bardzo, że muszę pana o tym wszystkim informować.

– To z całą pewnością pomyłka – powiedziałem tonem tak spokojnym, na jaki tylko mogłem się zdobyć. – Wiktor kocha tę kobietę, jakby była jego matką. Niemożliwe, aby to, co pani mi powiedziała, było prawdą.

– Wiem, że trudno się panu z tym pogodzić, niestety takie są fakty. To nie ulega najmniejszej wątpliwości – podkreśliła Alicia z nutą smutku w głosie. – Mamy trzech świadków wydarzeń, to strażnicy, którzy towarzyszyli im w tamtym momencie. Jednym z nich jest dowódca straży, człowiek, do którego mamy pełne zaufanie – zakończyła. – Ich relacje są całkowicie spójne.

Wiktor mordercą. Nie, to niemożliwe. Musiałem koniecznie się z nim zobaczyć. Musiałem z nim porozmawiać, dowiedzieć się, co, do diabła, się wydarzyło. Po raz kolejny miałem przytłaczające uczucie, że sytuacja wymyka mi się całkowicie spod kontroli. Ostatnim razem taki lęk ogarnął mnie na

pokładzie „Zaren Kibish” i wydawało mi się, że od tamtej pory minęły wieki. Czułem wbite w siebie spojrzenie Alicii Pons, a myśli wirowały mi w głowie z oszałamiającą prędkością. Człowieku, jak najszybciej się opanuj, zanim będzie za późno. Nakreśl sobie konkretny plan. Tak, właśnie tak.

– Potrzebuje pani mojej pomocy oraz pomocy Wiktora, czy tak? – Alicia Pons patrzyła na mnie wyczekująco. – A więc, na początek, proszę mnie do niego zaprowadzić. Nie jutro ani za dziesięć minut, ani nie wtedy, na kiedy macie to zaplanowane. Muszę się zobaczyć z moim przyjacielem, i to natychmiast, o ile naprawdę chcecie współpracy. Czy mogę na panią liczyć?

– Oczywiście. – Alicia wydawała się nieco przytłoczona moją reakcją. – Proszę tędy.

Zeszliśmy wąskimi schodami do zamkniętej celi. Przy drzwiach stało dwóch strażników o groźnym wyglądzie. Przekroczyłem próg i stanąłem jak wryty. Mój przyjaciel leżał w kącie, a jego całe ciało, nagie od pasa w górę, pokrywały siniaki. Prawe oko Prita było przymknięte z powodu opuchlizny, spod pobrudzonych zaschniętą krwią włosów wyzierały ogromne, spuchnięte wargi.

Ujrzawszy mnie, mały Ukrainiec z trudem usiłował się podnieść. Wyglądał jak przepuszczony przez maszynkę do mięsa.

– Prit, co oni ci zrobili, do diabła? Co ci jest? – zadawałem mu pospiesznie pytania, a rękoma starałem się wymacać jego żebra, aby sprawdzić, czy nie są połamane.

– Słuchaj – wyrzeźił Prit, krztusząc się. – Nie wiem, co oni ci opowiedzieli, ale ja nic nie zrobiłem. Słyszysz? To nie ja! – Z desperacją złapał mnie za rękaw. – Nie wierz im!

– Prit! – Podtrzymałem go pod ramię. – Nie mam najmniejszej wątpliwości, że mówisz prawdę. Gdybym ci nie ufał choćby przez sekundę, nie zasługiwałbym na miano twojego przyjaciela. Nie przejmuj się, stary. Wyciągnę cię z tego bagna.

– Mam nadzieję, że jesteś lepszym adwokatem niż pielęgniarzem. – Wiktor podniósł lewą rękę i pokazał miejsce po amputowanych palcach.

Na wspomnienie swoich żalonych usiłowań, by założyć mu opatrunek w tamtym odległym salonie Mercedesa, uśmiechnąłem się gorzko. Razem z tym szatańskim małym Ukraincem przeżyliśmy wiele przygód. Nie zostawię go na lodzie.

– Jestem najlepszym fachowcem, na jakiego cię stać, więc radzę, abyś nie wymagał zbyt wiele – odpowiedziałem żartem, przyjacielsko poklepując go po ramieniu. – Sądzę, że byłoby stosowne, abyś odtąd zwracał się do mnie z powagą i szacunkiem, na jakie zasługuję jako twój adwokat.

Na co Prit odpowiedział mi coś dość nieprzyzwoitego, odnoszącego się do

honoru mojej matki, i usiłował się uśmiechnąć, ale uśmiech zamienił się w grymas, gdyż ponownie pękła mu rozdarta warga.

– No dobrze, jak pani widzi, jesteśmy do dyspozycji, pani kapitan – zwróciłem się do obserwującej nas uważnie Alicii. – A teraz proszę mi powiedzieć, gdzie, do diabła, jest Lucía? I Lukullus?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, w drzwiach kajuty pojawiła się doskonale mi znana wysoka i smukła kobieca sylwetka. Lucía przez chwilę zawahała się na progu, jakby obawiała się wejść. W wątłym świetle wpadającym przez bulaj widziałem jej ręce pokryte piegami, których mapę mógłbym nakreślić z zamkniętymi oczyma, tak często przyglądałem im się w milczeniu.

Na rękach, których dotyk był miękki jak jedwab, miotała się wielka kula pomarańczowej sierści, chcąc się uwolnić i zeskoczyć na ziemię. Wreszcie Lukullus zdołał się wyrwać, miauknął oburzony, wykonał cztery szybkie skoki i już miałem go w objęciach, mrużąc go ze szczęścia, że znowu jest ze mną.

Nie dając mi czasu nawet na wygłoszenie słów powitania, Lucía znalazła się tuż przy mnie. Poszukałem ustami jej warg, stęskniony za ich smakiem, i uścisnęliśmy się serdecznie i mocno. Dopiero kiedy oderwaliśmy się od siebie, przyjrzałem się jej uważniej. Miała brzydki siniec na lewej skroni, była bledsza i szczuplejsza, ale śliczna, jak zawsze. W jej zielonych oczach błyszczały łzy i – gniew.

– Czy wiesz, co zrobili ci... ci...?

Ze wściekłości nie mogła wydusić nic więcej, ale doskonale rozumiałem, co chce mi przekazać.

Schwyciłem ją za ramiona i wyszeptalem jej do ucha kilka uspokajających słów. Powoli ogarniała mnie fala determinacji. Po raz pierwszy od miesiący czułem się naładowany energią. Wracająca ta dziwna odwaga, która pozwoliła mi przetrwać, kiedy rok wcześniej cały świat poszedł w diabły.

Kapitan Pons mówiła właśnie, żeby „wreszcie zejść na ląd”, ale nie zwracałem na nią uwagi. Miałem wokół siebie prawie całą swoją „rodzinę” i czułem ogromną ulgę. Nieobecność siostry Cecylie ciążyła mi jak kamień, ale byłem przekonany, że zakonnica, osoba niezłomnego ducha, wyjdzie cało z opresji. Resztą spraw, włącznie z problemem Prita, zajmiemy się w odpowiedniej chwili. Nieraz już stawialiśmy czoło gorszym wyzwaniom i zawsze udawało nam się ze wszystkim sobie poradzić.

Podtrzymując wraz z Lucią zmalretowanego Prita, wyszliśmy z kajuty, nie patrząc za siebie. Zejdziemy na ląd. Nareszcie przekonamy się, jak wygląda nowy świat, zaludniony przez tych nielicznych ludzi, którym udało się ocaleć z zagłady. Nareszcie się dowiemy, co pozostało z rasy ludzkiej.

Byliśmy na to przygotowani. Na wszystko, co miało się zdarzyć. I pal licha konsekwencje.

## Teneryfa

Byliśmy na lądzie. Zanim zesliśmy z okrętu, wręczono nam ogromne pliki dokumentów: paszporty, zaświadczenia o kwarantannie, kartki żywnościowe, zezwolenia na poruszanie się po wyspie i małe foliowane identyfikatory. Na tych, które dostaliśmy Prit i ja, figurował napis „Personel Pomocniczy Marynarki Wojennej. Klasa B”. Lucii wręczono plakietkę w kolorze pomarańczowym, która klasyfikowała ją jako rezydenta cywilnego. Nie wiedzieliśmy, czy okaże się to jakimś problemem.

Lukullus nie dostał niczego oprócz rady, że należy go dobrze pilnować. Najwidoczniej nie przeżyło zbyt wiele kotów i obecnie „były bardzo poszukiwane”. Nie wiem dokładnie, co to miało znaczyć, ale brzmiało dość podejrzanie.

Przejazd z redy do portu trwał krótko, niecałe dziesięć minut. Płynęliśmy małym holownikiem napędzanym terkoczącym dwutaktowym silnikiem i wyglądającym na co najmniej sto lat. Ten rupieć był tak prymitywny, że spalał nawet najgorszej jakości paliwo, nienadające się do bardziej nowoczesnych motorów, więc został powołany do służby w marynarce. Osobiście nie czułem się zbyt pewnie na jego pokładzie i uspokoiłem się, dopiero kiedy przybiliśmy do nabrzeża. Bałem się, że wylądujemy na dnie zatoki wraz z tą kupą złomu, pochodzącą jeszcze z epoki wojen afrykańskich.

Port Santa Cruz był przepelniony ludźmi. Setki osób kręciły się to tu, to tam, zajęte swymi codziennymi czynnościami. Sprawiały wrażenie raczej spokojnych, niezbyt dobrze odżywionych, ale normalnie ubranych i zdrowych. Nie wyglądały na szczęśliwych, ale przynajmniej były zrównoważone. Sądzę, że większość z nich nadal od czasu do czasu szczypała się, aby się upewnić, czy naprawdę udało im się ocaleć z piekła.

Właściciel holownika, facet gadatliwy i bezpośredni, powiedział nam, że na Teneryfie żyje obecnie około półtora miliona osób. Jeśli zważyć, że przed epidemią liczba mieszkańców wyspy nieco przekraczała osiemset tysięcy, wydawałoby się, że to dużo. Jednak w pierwszych dniach apokalipsy nadciągały tu nieskończone fale uchodźców z Europy i Ameryki i wtedy z pewnością znalazło się na wyspie dobrych kilka milionów.

Co więc, do diabła, się stało z całym tym tłumem? Gdzie się podzieli ci wszyscy ludzie? Nie wiedziałem, co takiego się wydarzyło, ale jeśli to, co mówił

ten dobry człowiek, było prawdą, brakowało sporo osób. Naprawdę sporo.

Na nabrzeżu jakiś facet w mundurze sprawdził nasze dokumenty. Nieco zdziwiony zaobserwowałem, że wszędzie wiszą flagi. Wyglądało to tak, jakby ocaleni doznali nagłego przypływu patriotyzmu. Nawet na autobusie, którym w końcu dotarliśmy do naszej kwatery, powiewały dwie flagi: jedna hiszpańska, a druga ta dziwna, niebieska, identyczna z chorągwią na szczycie masztu „Galicii”.

Coś było na rzeczy, ale nie wiedziałem co. Coś mi umykało. I nikt nie wydawał się zainteresowany wyjaśnieniem, co tak naprawdę się tutaj dzieje.

To był doprawdy zaskakujący weekend. Kiedyś, przed apokalipsą, byłem na Kanarach na urlopie. Zawsze chciałem tu wrócić, ale nawet w najdziwniejszych koszmarach nie byłbym w stanie wyobrazić sobie powrotu w tak... dziwnych okolicznościach.

Urzędnik portowy (spocony i zestresowany facet, który zajmował się pięcioma rzeczami naraz) sprawdził nasze dokumenty, przelotnie uścisnął nam ręce i pospiesznie się oddalił, aby gdzieś tam zająć się jakąś pilną sprawą. Prit, Lucía i ja zostaliśmy na nabrzeżu, stojąc wśród naszych bagaży. Czekaliśmy na autobus, nie bardzo wiedząc, co ze sobą począć.

Czułem niepokój. Coś sprawiało, że miałem nerwy na wierzchu, a po zachowaniu Prita i Lucíi widać było, że z nimi dzieje się to samo. Ukraińiec nerwowo oblizywał pękniętą wargę, w napięciu rozglądał się wokół i odruchowo macał rękoma w poszukiwaniu nieistniejącej broni. Lucía natomiast coraz mocniej przytulała się do mnie i przyciskając Lukullusa do piersi, usiłowała znaleźć bezpieczne schronienie. Nawet kot drżał cały ze zdenerwowania.

Dłuższą chwilę trwało, zanim zorientowałem się, o co chodzi. To ludzie. Tylko tyle. Wielu ludzi wokół. Byliśmy otoczeni ludźmi, którzy chodzili tu i tam, zajmując się swoimi sprawami, ludźmi, którzy przechodzili obok nas, niemal nas dotykając, i nie zwracali uwagi na dziwną trójkę, stojącą w przerażeniu na betonowym nabrzeżu portowym. Zamknąłem oczy, czując zawrót głowy. Dźwięki tłumu docierały do nas zewsząd. Krzyki, urywki rozmów, śmiech, płacz dziecka, szum w tle utworzony przez setki ust mówiących naraz, rzenie konia... Po roku spędzonym wśród cmentarnej ciszy ta ciżba ludzka sprawiała piorunujące wrażenie. Lucía zwróciła uwagę na jeszcze jeden szczegół. Po raz pierwszy od miesięcy nie czuliśmy smrodu zgnilizny. Tysiąc i jeden zapachów unosiło się w powietrzu, niektóre przyjemne, inne mniej (bo przecież znajdowaliśmy się w porcie), ale zdecydowanie wszystkie one były normalnymi, ludzkimi zapachami.

A na koniec, i to było najbardziej niezwykle, nie mieliśmy nic do roboty. Nie musieliśmy nigdzie uciekać, nie ścigał nas żaden Nieumarły. Po raz pierwszy od bardzo dawna trwaliśmy w zupełnej bezczynności.

Jednak świat, który nas otaczał, był normalny tylko z pozoru. Przed apokalipsą nigdy nie kłębiły się na nabrzeżach aż takie tłumy. Ponadto nie



widać było ani jednego samochodu, z wyjątkiem kilku pojazdów wojskowych URO, za to kursowały liczne furgonetki przerobione na zaimprovizowane furmanki. Nie zdziwiło mnie zbytnio, że „autobus”, który miał nas zawieźć do nowego domu, był w rzeczywistości wozem ciągniętym przez dwa woły.

Nasza kwatera znajdowała się w byłym trzygwiazdkowym hotelu, zbudowanym w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku i przez dziesięciolecia służącym za przystań dla niezliczonych legionów europejskich turystów, przybywających na Kanary w poszukiwaniu słońca i plaży. Budynek, aczkolwiek wysprzątany i czysty, czasy świetności miał już za sobą. Teraz wyglądał na nieźle podupadły. Sądzę zresztą, że zanim jeszcze zamienił się w przytułek dla uchodźców, nie był to najlepszy hotel na wyspie. Po dawnej recepcji ganiały się z piskiem dzieci zasiedlające wraz ze swymi rodzinami ten kompleks turystyczny.

Dzieci nie było zbyt wiele, prawdopodobnie dlatego, że niewiele ich przeżyło, natomiast – na każdym kroku – liczba niemowląt i kobiet w ciąży wprost przytłaczała. Chyba z połowa kobiet na wyspie była tuż przed rozwiązaniem. Jakby potężny, pierwotny instynkt przetrwania popychał ocalałych do rozmnażania się. Czytałem o podobnym zjawisku u ocalałych z Holokaustu, ale nigdy bym nie przypuszczał, że zobaczę coś takiego na własne oczy. Robiło to dość wstrząsające wrażenie.

Większość rezydentów budynku, tak jak ja i Prit, została sklasyfikowana jako personel pomocniczy marynarki wojennej. Byli to przeważnie mechanicy, inżynierowie, personel techniczny, elektrycy... dwa piętra pod nami mieszkał nawet weterynarz. Wszyscy oni posiadali umiejętności niezbędne dla przetrwania społeczeństwa w tym nowym świecie. To dlatego byli tak ważni. Wszyscy z wyjątkiem mnie, pomyślałem z pewną goryczą. Znalazłem się tam jedynie dlatego, że urzędnicy uznali, iż ja i Pritchenko razem stanowimy „zestaw ekspertów od technik przeżycia”. Gdyby nie było to tak tragiczne, byłoby śmieszne.

Przydzielono nam trzy przylegające do siebie pokoje na piątym piętrze, więc musieliśmy chodzić po schodach, co było dość męczące. Irytowało również to, że prąd dostarczano jedynie przez sześć godzin dziennie, od szóstej po południu do północy. Ogółem, była to dość uciążliwa lokalizacja.

Na szczęście poprzedni lokatorzy zdecydowali się częściowo wyburzyć ścianki, aby zaimprovizować mieszkanie, więc mogliśmy pozostać wszyscy razem. Pomieszczenia były dość sfatygowane, ale czyste. Z kranu leciała woda, chociaż jedynie zimna. Ponadto, jak nam powiedziano, w tych godzinach, kiedy był dopływ prądu, za pomocą zdezelowanego odbiornika przykręconego nad łóżkiem można było odbierać jedyny nadający na Teneryfie kanał telewizji. W gruncie rzeczy nie trafiliśmy najgorzej. To była dobra strona medalu.

Złą stroną było to, że za dwadzieścia dni Prit i ja mieliśmy zgłosić się do koszar w centrum miasta, aby otrzymać przydział do „specjalnej grupy roboczej”.

Coś mi podpowiadało, że ta „specjalna praca” niezbyt nam się spodoba.  
A właściwie, że nie spodoba nam się nic a nic.

Z powrotem do piekła. Nie chciało mi się w to wierzyć. Ledwie od paru tygodni jesteśmy na wyspie, a tu znowu czeka nas ten koszmar. Nic, tylko usiąść i płakać. Byłem tak wściekły, że kiedy wychodziliśmy z gabinetu, z całej siły kopnąłem kosz na śmieci, który z piekielnym hukiem stoczył się w dół po schodach. Jedyny skutek to piorunujące spojrzenie jakiejś sekretarki oraz paskudny ból stopy przez następne dwa dni, natomiast moja frustracja wcale się nie zmniejszyła.

Pewnego dnia, po szczęśliwym okresie spędzonym na wypoczynku i przyjemnościach polegających głównie na opychaniu się, błogim lenistwie i smażeniu się na plaży, dostaliśmy wraz z Pritem wezwanie do wojska. Mieliśmy stawić się w samo południe w dawnej siedzibie MALCAN (Dowództwa Logistycznego Wsparcia Wysp Kanaryjskich), na placu Weyler, niedaleko centrum miasta. Z samego ranka do naszego miejsca zamieszkania przybył goniec i przyniósł pilne wezwanie dla nas obu. Jeszcze na wpół drzemiąc, zagrzebany w pościeli u boku Lucii, słyszałem, jak Prit dyskutuje z kimś w sąsiednim pokoju, po czym poddaje się i podpisuje dowód doręczenia. Podniosłem się rozczochrany i rozespany i ujrzałem przed sobą bardzo zaniepokojoną twarz Ukraińca. To nie zapowiadało niczego dobrego.

– Co się dzieje, u diabła? – spytałem, sięgając po ekspres i napełniając go tą ohydłą substancją, która uchodziła tutaj za mieloną kawę. – Czego chciał ten facet?

– Sam lepiej popatrz. – Ukrainiec podał mi kartkę. – Chcą chyba, abyśmy wreszcie zaczęli zarabiać na swoje utrzymanie.

Zjedliśmy śniadanie, umyliśmy się i wyszliśmy z domu, czując przykry ucisk w żołądku. Nie wiedzieliśmy dokładnie, czego będą od nas chcieli. Gdybym stwierdził, że zżerał nas niepokój, byłoby to zbyt łagodne określenie naszego stanu ducha.

Przed drzwiami hotelu czekał na nas sterany życiem pojazd URO. Jego kierowca, chłopak w mundurze, wyglądał na nie więcej niż osiemnaście lat. Założyłbym się o milion euro, że młodzieniec ten służył w wojsku od bardzo niedawna. Z pewnością jeszcze przed kilkoma miesiącami był jednym z wielu uchodźców. To dało mi do myślenia. Żołnierzom przypadła najgorsza rola podczas apokalipsy, zwłaszcza w pierwszych tygodniach, kiedy musieli bronić Bezpiecznych Stref. Niewątpliwie armia poniosła ogromne straty i aby

uzupełnić szeregi, sięgała po każdego, kto tylko się nadarzył.

Już po pięciu minutach jazdy stało się oczywiste, że przydzielony nam młodociany kierowca nie ma zbyt dużego doświadczenia w prowadzeniu wehikułu o rozmiarach URO. Zrywami pokonywał wiodące do centrum zatłoczone ulice, nadużywał klaksonu jak kairski taksówkarz w godzinach szczytu, beztrąsko zajeżdżał drogę wozom konnym, ciężarówkom i pieszym, a chwilami nawet wjeżdżał na chodnik. Za każdym razem, gdy zmieniał bieg, wydawało się, że zamierza roztrzaskać na tysiące kawałków skrzynię biegów ciężkiego wojskowego pojazdu. Chyba jakimś cudem po czterdziestu minutach tej męki w całości dotarliśmy na plac Weyler.

Prit i ja ze zdumieniem rozglądaliśmy się wokół, nie dowierzając własnym oczom. Większość budynków otaczających plac nosiło wyraźne, mniejsze lub większe, ślady pożaru. Ściany poznaczone były seriami z karabinów maszynowych. Niezliczone ślady kul świadczyły, że w tej okolicy toczyły się okrutne walki. Poczerniałą ziemię pod naszymi stopami pokrywał ponury dywan sadzy. Zaciekawiony wskazałem ją w milczeniu Ukraińcowi. Prit schylił się, wprawnym gestem podrapał powierzchnię paznokciami, uniósł dłoń do twarzy i powąchał. Kiwając głową, mruknął: „Napalm”, i wszedł do budynku.

W dawnych koszarach kłębił się tłum urzędników pełniących Bóg wie jakie funkcje i pospiesznie biegających z miejsca na miejsce.

Dłuższy czas kazano nam czekać w małej sali ozdobionej dziesiątkami proporczyków pułków, które po apokalipsie istniały już tylko na papierze bądź we wspomnieniach. Kiedy na koniec zaferowany sierżant poprosił nas do sąsiadującego z salą gabinetu, słońce już przesunęło się ku zachodowi.

W gabinecie za biurkiem siedział dobiegający pięćdziesiątki niski łysy facet z niewielką nadwagą. Miał starannie przystrzyżoną bródkę, która odznaczała się wyraźnie na białej skórze twarzy. Nie był w mundurze, co wydało się nam dość niezwykle, ponieważ do tej pory jedynymi ludźmi ubranymi po cywilnemu w tym budynku byliśmy my sami. W tej chwili facet rozmawiał gorączkowo przez dwa telefony naraz, a jego palce z prędkością światła uderzały w klawiaturę komputera. Obok stał adiutant, dzierżąc wielki stos teczek, a inny pomocnik jak oszalały grzebał w dokumentach, których cała kupa zawałała dodatkowy stolik. Bez przerwy ktoś wchodził i wychodził, ale cały ten ruch mieścił się w jakimś systemie, jak porządek w mrowisku kryjący się pod pozorami chaosu.

Ujrzawszy nas, facet z bródką kiwnął ręką zapraszająco w kierunku krzesel stojących z drugiej strony biurka, ale ani na chwilę nie przestał wywrzaskiwać rozkazów przez telefon.

Czekaliśmy cierpliwie, aż zakończy wreszcie swoje symultaniczne konferencje, a ja miałem czas, by rzucić okiem na otaczający nas biurokratyczny bałagan. Większość teczek ostemplowana była pieczęcią Drugiej Grupy Operacyjnej Intendentury. Z kontekstu rozmów

wywnioskowałem, że ta część budynku najprawdopodobniej jest siedzibą administracji tejże jednostki, aż dotąd całkowicie nam nieznaną.

Nasz gospodarz, oznajmiwszy komuś po drugiej stronie linii, że ma przyjemność z „Luisem Viena, szefem administracyjnym dwójki intendentury”, pogrążył się w żywej dyskusji. Najwidoczniej chodziło o jakiś problem z dostawą kilkuset litrów paliwa do śmigłowców, której usilnie się domagał i której ci z drugiej strony nie byli skłonni mu zapewnić. Na koniec, powoławszy się na „pierwszeństwo prezydenckie”, wreszcie osiągnął ugodę i z zadowoloną miną odłożył słuchawkę.

Przez chwilę siedział w milczeniu, pogrążony w myślach. Po kilku niekończących się sekundach zamrugnął, wyciągnął z kieszeni chusteczkę i otarł pot z czoła, po czym zwrócił się w naszą stronę z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Dzień dobry, dzień dobry – zaczął wyrzucać z siebie niepowstrzymany potok słów. – Proszę mi wybaczyć, że musieli panowie tak długo czekać, ale to trudne, bardzo trudne zorganizować operację tej skali, o tak, proszę was, zwłaszcza przy tak niewielu środkach do dyspozycji i personelu, no właśnie, personelu... – Parsknął lekceważąco i wykonał teatralny gest ręką. – Większość z nich to dobrzy ludzie, no tak, proszę was, mężczyźni i kobiety, pracownicy i pełni poświęcenia, oczywiście, bardzo ofiarni, ale wykształcenia i doświadczenia, wiedzą panowie, wykształcenia i doświadczenia nie da się uzyskać w ciągu jednego dnia, o nie, proszę was – zakończył i ciachnął ręką jak wyimaginowanym toporem. – Tak się nie da.

Zarówno Prit jak i ja sam zachowywaliśmy milczenie. Nadaktywny człowieczek zerwał się z miejsca i nie przestając rozprawiać, pogrzebał w jednej z szaf. Wyciągnął parę teczek z naszymi nazwiskami wypisanymi na okładkach i odwrócił się triumfalnie, powiewając nimi w powietrzu, jakby to były wachlarze.

– Organizacja – oznajmił, bardzo z siebie zadowolony. – Organizacja i system. To kluczowe słowa, o tak, proszę was – powtórzył, na powrót siadając za biurkiem i odsuwając na bok górę papierów, aby znaleźć na blacie miejsce na trzymane w ręce dokumenty.

Przeczytał na głos nasze nazwiska i na dziesięć minut pogrążył się w lekturze akt całkiem pokaźnej grubości. Czytał zdumiewająco szybko, od czasu do czasu mamrotał „Uhuu” albo „Aha”, a nawet kilka razy dość wyraźnie wydał z siebie okrzyk zdumienia „Och!” i podniósł głowę znad kartki, aby przyjrzeć się naszym twarzom. Wreszcie uznał, że już się wystarczająco naczytał, i rzucił teczkę na biurko. Odsunął okulary na czoło, potarł oczy z wyrazem ogromnego zmęczenia na twarzy i dopiero wtedy zaczął z nami rozmawiać.

W ciągu następnej półgodziny wyjaśnił, że nazywa się Luis Viena (czego już się domyślaliśmy) i że jest szefem administracyjnym grupy operacyjnej. Nie

nosi mundur, bo mimo iż służy w jednostce wojskowej, nie jest żołnierzem. Przed apokalipsą należał do kadry zarządzającej firmy Inditex i przez ponad piętnaście lat zdobywał doświadczenie jako kierownik gigantycznego ośrodka dystrybucji odzieży, który Inditex otworzył w Saragossie. Odpoczywał właśnie wraz z żoną i córkami na zasłużonym urlopie w swym letnim domu na Kanarach, kiedy świat zaczął się walić w gruzy. Bezsilnie obserwował pogrom ludzkości oraz napływ kolejnych grup ocalonych, początkowo przypominający powódź, potem potok – stopniowo zamieniający się w ciurkanie – i chwilowo zakończony naszym przybyciem. Kiedy tylko sytuacja na Kanarach zaczęła się uspokajać, wojsko zatrudniło go, aby pozbierał do kupy te resztki, które zostały z intendentury.

Z zadowoleniem stwierdził, że okazał się właściwym człowiekiem na właściwym miejscu, zważywszy na wykształcenie i na to, że ma doświadczenie związane z logistyką znacznych ilości towarów. Wywiązuje się też doskonale ze swoich nowych obowiązków.

Szczerze zazdrościłem temu gadatliwemu i nerwowemu facetowi. Nie tylko przeżył apokalipsę, spokojnie siedząc na Wyspach Kanaryjskich, w swoim własnym domu i w otoczeniu rodziny. Otrzymał też wspaniałą posadę, wygodną biurową pracę setki kilometrów od najbliższego Nieumarłego. Jeśli porównać z naszymi doświadczeniami, cud miód malina.

Coś mi mówiło, że Prit i ja będziemy musieli pójść i wachać gówno z dużo bliższej odległości niż on. W zasadzie, o ile intuicja mnie nie zawodziła, zapowiadało się na to, że będziemy kroczyć w pierwszym szeregu.

Co oczywiste, ciągnął wyjaśnienia Viena, wirus TSJ nie był tak uprzejmy, aby zlikwidować tylko jednostki nieprzydatne lub przestępców. Niestety, wielka część poległych to osoby mające wiedzę lub umiejętności nieodzowne dla przeżycia reszty społeczeństwa. Inżynierowie, architekci, agronomowie, pielęgniarzy, piloci, lekarze, żołnierze... wszystkich ich brakowało, a zwłaszcza tych ostatnich. Personel medyczny i wojsko wyciągnęli najgorsze losy na loterii śmierci, stając w pierwszych szeregach z góry przegranej walki przeciwko TSJ. Rząd za wszelką cenę usiłuje odtworzyć jednostki wojskowe i sanitarne, ale na to potrzeba czasu, zwłaszcza żeby wyszkolić personel medyczny.

I tu właśnie pojawia się my, stwierdził Viena. Prit jest jednym z niewielu żyjących pilotów śmigłowców, wylatał mnóstwo godzin, co czyni z niego automatycznie nieoceniony nabytek.

Jeśli chodzi o mnie, z jego gadaniny wywnioskowałem, że zgodnie z biurokratyczną wizją systemu fakt, iż przeżyłem ponad rok na „terytorium Apaczów” (tak w żargonie wojskowym nazwał obszary opanowane przez Nieumarłych), robił ze mnie wytrawnego weterana, zdolnego nie tylko do przeżycia w nieprzyjaznych warunkach, ale i do opieki nad mniej doświadczonymi członkami ekipy.

Viena nie przestawał głądzić, a mnie krew odpływała z twarzy. Ten facet nie mówił serio... Ja „wytrawnym weteranem”? Co on, do cholery, pieprzy? Przecież większą część ubiegłego roku przeżyłem, uciekając z jednego miejsca w drugie lub też siedząc jak zając pod miedzą, schowany w podziemnym bunkrze szpitala Meixoeiro! Żaden ze mnie Rambo, wbrew temu, co im się wydaje.

Z największą uprzejmością wyraziłem panu Vienie swoje zastrzeżenia i mimochodem zauważyłem, że chyba nie zdaje sobie sprawy z tego, że Wiktor Pritzenko, niewątpliwie nadzwyczajny pilot, stracił pół dłoni w wyniku wybuchu. Nie jesteśmy tymi, za kogo nas biorą. Jesteśmy jedynie ocalałymi, wyczerpanymi i bezsilnymi ludźmi, którzy chcieliby rozpocząć tu nowe życie, nic ponadto. Wykonamy każdą pracę, jaką się nam powierzy, ale nie jesteśmy żołnierzami i za skarby świata nie chcemy wracać na tak zwane terytorium Apaczów. Wyrecytowałem to wszystko jednym ciągiem i na koniec rozparłem się na krześle, patrząc z wielkim zadowoleniem na swojego rozmówcę.

Viena zeszywniał i przyglądał się nam dłuższą chwilę. Potem odchrząknął i zwrócił się do nas obu:

– Panowie, myślę, że się nie zrozumieliśmy. To, o czym mówię, to nie jest propozycja, to rozkaz. I nie mój, ale z samej góry. Jeśli z jakiegoś powodu nadal myślicie, że możliwy jest powrót do dawnego uporządkowanego życia, takiego jak przed apokalipsą, to lepiej jak najszybciej porzućcie te myśli. Świat się całkowicie zmienił i dotyczy to wszystkich. Tak, wszystkich, proszę panów. Także was. – Spojrzał na Wiktora. – Pan Pritzenko być może nie zdaje sobie sprawy, że znalazł się w bardzo delikatnej sytuacji. To prawda, że – jak już mówiłem – jest pan najprawdopodobniej jednym z najbardziej doświadczonych pilotów, jakimi dysponujemy na wyspach, a Bóg jeden wie, jak dramatycznie potrzebujemy dobrych pilotów. Ale jest także ta brzydka sprawa z zakonnicą... – Ukrainiec wybuchnął potokiem niezrozumiałych przekleństw po rosyjsku. Musiałem go złapać za rękę, żeby w zapale nie wskoczył na biurko. – Co prowadzi nas do następujących wniosków. – Viena pokiwał głową w zamyśleniu, nieczuły na gwałtowną reakcję Słowianina. – Jeśli pan Pritzenko zaciągnie się dobrowolnie do jednostki intendentury, sądzę, że... Jak by to powiedzieć? Poszukamy polubownego i satysfakcjonującego wszystkie strony rozwiązania incydentu na „Galicii”, co będzie równoznaczne z wycofaniem oskarżenia. Proces się więc nie odbędzie. Natomiast co do pana – tym razem zwrócił się do mnie – nie muszę chyba mówić, jak cenna jest osoba z pańskim doświadczeniem w walce z osobnikami Nieumarłymi. Większość członków naszych grup interwencyjnych była na terytorium Apaczów co najwyżej trzy czy cztery razy od chwili ucieczki ze swoich Bezpiecznych Stref. Pan – przerwał, aby sprawdzić coś w moich aktach – przeżył tam wraz ze swymi przyjaciółmi prawie rok – uśmiechnął się – a czymś takim niewielu tutaj może się pochwalić.

Milczałem przez chwilę. Właściwie miało to sens, mimo iż zdawałem sobie aż za dobrze sprawę, że nie do końca było prawdą. A ponadto wiedziałem

doskonale, że trzymają Prita za jaja i że nie ma innego wyjścia, jak się zgodzić. Na samą myśl, że opuściłbym w biedzie swojego jedyne przyjaciela, przewracała mi się wątroba. Zresztą, jeśli nie przystanę na tę propozycję, to nie wiem, z czego, do diabła, mógłbym się utrzymywać. Nie było zbyt wielkiego zapotrzebowania na prawników, miałem już aż nadto okazji, aby się o tym przekonać. Wybór był jasny.

Spojrzałem na Prita i w jego oczach dostrzegłem, że się poddaje. Nic na to wszystko nie poradzimy, zdawał się myśleć.

– Przynajmniej będziemy razem, prawda? – spytał zrezygowany, kładąc mi rękę na ramieniu.

– Oczywiście. – Staralem się nie pokazać po sobie rozpacz. – Pójdziemy razem, Prit, bez dwóch zdań.

A w głowie wirowała mi tylko jedna myśl. Znowu do piekła. Niech to jasny szlag trafi!

– Wspaniale, panowie! – Viena poklepał nas z radością po plecach, po czym szybko podstemplował jakieś druki i podsunął je nam pod nos do podpisania. – Gdy tylko stąd wyjdziecie, zostaniecie skierowani do koszar i dołączycie do swojego oddziału. Jeśli macie coś do załatwienia w domu, zróbcie to jak najszybciej. – Popatrzył na nas poważnie ponad okularami i zmienił ton. – Już jutro wylatujecie na półwysep. I nie muszę wam chyba mówić, co was tam czeka.



Poranek jak na Wyspy Kanaryjskie wstał nadzwyczaj zimny. Było bardzo wcześnie i na niebie nadal migotała Wenus. Nasza niewielka grupa stała na betonowej płycie lotniska Reina Sofía, przytupując i zacierając ręce, żeby uchronić się przed przenikliwym chłodem.

Od naszego spotkania z Luisem Vieną minęło zaledwie kilka godzin. W tym czasie zdążyliśmy jedynie wrócić do mieszkania, zabrać trochę osobistych rzeczy i się pożegnać. Najgorszy był ten moment, kiedy musiałem powiedzieć Lucii, że właśnie zostaliśmy wcieleni do służby pomocniczej. Już wcześniej uprzedziłem ją, że kiedyś Prit i ja będziemy musieli wrócić na półwysep. Wtedy moja dziewczyna przeszła przez wszystkie fazy szoku: zaprzeczenie, oburzenie, płacz, wściekłość... Na koniec jakby pogodziła się z rzeczywistością. W chwili pożegnania wydała mi się bardziej zdystansowana, bardziej chłodna, niż się spodziewałem. Nie winiłem jej za to.

Nie winiłem też samego siebie, choć zdawałem sobie sprawę, że powstała między nami bariera, której przedtem nie było. Nie wiedziałem, co o tym sądzić, dopóki Prit nie wytłumaczył mi tego, co dostrzegłby nawet ślepy: Lucía straciła w krótkim czasie wszystkich swoich bliskich i niewątpliwie było to doświadczenie głęboko traumatyczne. Zostaliśmy jej jedynie my: Prit, siostra Cecilia i ja.

Tymczasem zakonnica trwała zawieszona pomiędzy życiem a śmiercią, a my dwaj wyruszyliśmy na bardzo ryzykowną wyprawę.

Lucía obawiała się, że znów doświadczy przerażającej straty, tak jak w Vigo. A ja zauważyłem tylko, że zachowuje się z rezerwą. Myślałem, że się na mnie obraża. Cóż za skończony bałwan ze mnie!

Powiniennem chwycić ją w objęcia i zapewnić, że wrócę, że nie musi się martwić, że wszystko będzie dobrze... Ale nie zrobiłem tego w porę, a teraz było już za późno.

Ostatnie godziny okazały się dla nas niełatwe. Spędziliśmy je w zamkniętej strefie militarnej koło Los Rodeos, drugiego lotniska na wyspie. Poznaliśmy tam pozostałych członków ekipy i mieliśmy trochę czasu, aby podszkolić się w obsłudze sprzętu, którego będziemy używać podczas naszej wyprawy.

A teraz, zaledwie przed kwadransem, podszedł do nas nadęty oficer i zaprowadził do pustego hangaru na końcu starego lotniska. Tam wskoczył na maskę URO, żeby wszyscy go dobrze widzieli, i wyjawiał cel naszej misji.

Miałem ochotę się uszczypnąć, aby sprawdzić, czy nie śnię. Czy nie są to jakieś głupie, okrutne żarty.

Ale nie. To była prawda. Żałosna, pieprzona, najprawdziwsza prawda.

Wysyłali nas z powrotem na półwysep. Do Madrytu, konkretnie rzecz biorąc. Do jednego z dwudziestu czy trzydziestu najbardziej niebezpiecznych miejsc w Europie. Gdzie będziemy zdani na własne siły.

Obecnie Madryt to niekoniecznie spokojny i daleki zakątek świata, gdzie trudno natknąć się na jakąś grupkę Nieumarłych. O nie. Przed apokalipsą w mieście i okolicy żyło niemal sześć milionów ludzi. Według spisu rezydentów i uchodźców Teneryfy na wyspę trafiło nie więcej niż piętnaście tysięcy osób z tego obszaru. Nietrudno się domyślić, że przerzucają nas w miejsce, gdzie włóczą się miliony Nieumarłych, którzy tylko czekają, żeby nas dorwać. Koszmar.

– Naszym celem są pozostałości Bezpiecznej Strefy Numer Trzy, jednej z pięciu stref, które zostały utworzone w mieście! – krzyczał oficer z wysokości terenowego pojazdu. – Ta strefa jedynie przez cztery dni odpierała napór Nieumarłych i szacuje się, że ponad siedemset pięćdziesiąt tysięcy ludzi straciło w niej życie.

Patrzył przez chwilę na naszą grupkę, podczas gdy ta okropna liczba rozbrzmiewała nam w uszach.

– Ale nie lećcie tam oglądać krajobraz po bitwie! W obrębie strefy usytuowany jest kompleks budynków szpitala La Paz. To największa nieruchomość w strefie i tam właśnie zlokalizowane były biura, magazyny, stołówki i wspólne sypialnie... a tuż obok znajdował się największy magazyn apteczny w stolicy, którego zadaniem było zaopatrywanie drogą powietrzną pozostałych Bezpiecznych Stref w środki farmaceutyczne. – Przerwał na chwilę. – Niestety, atak rzesz Nieumarłych przekreślił ten plan.

Popatrzyłem na Ukraińca w napięciu słuchającego wyjaśnień oficera. Jeśli ten nie mylił się w obliczeniach, w magazynie nadal znajdowały się całe tony lekarstw, skonfiskowanych w początkowych dniach chaosu z zakładów Bayera, Pfizera i innych, zlokalizowanych w pobliskich parkach przemysłowych. Potrzebowaliśmy tych wszystkich lekarstw tak samo, a może i bardziej, jak paliwa lub broni. Bez nich nasze służby medyczne, i tak już okrojone ze względu na brak personelu, cofną się do mniej więcej XVIII wieku. Oficer opowiadał, że sytuacja w kilku istniejących na Wyspach Kanaryjskich szpitalach stawała się rozpaczliwa. Brakowało antybiotyków, insuliny, surowic, opiatów, środków znieczulających, przeciwbólowych... Zapasy były minimalne, a produkcja dopiero raczkowała. Nie mówiąc o tym, że niektórych produktów nie sposób było uzyskać w istniejących warunkach. Nie mieliśmy innego wyjścia. Trzeba tam lecieć.

Wszystkie szpitale na wyspach Kanarów opanowanych przez Nieumarłych

przeszukały już ekipy podobne do naszej. Niestety, straty w ludziach w każdej z tych misji były znaczne. Tak więc postanowiono postawić na Madryt, na główną wygraną. Ale przynajmniej nie lecieliśmy na oślep.

W czasach przed chaosem Hiszpania i Francja wspólnie korzystały ze szpiegowskiego satelity Helios II. Główna baza kontroli satelity znajdowała się we Francji, jej filia istniała w jakimś tajnym miejscu na Półwyspie Iberyjskim.

Po usilnych, długotrwałych próbach nielicznym informatykom i technikom, którzy przeżyli, udało się skonstruować na Teneryfie replikę bazy kontroli. Obecnie Helios II i jego kamery były naszymi oczami na południu Europy. To, że nie mieliśmy żadnego problemu z przejściem kontroli nad satelitą, nasuwało przypuszczenie, że albo Francuzi nie są tym zainteresowani, albo też nie został już nikt, kto mógłby podjąć związane z tym decyzje.

– Cóż – powiedziałem sam do siebie – to nie nasza sprawa. Lepiej niech każdy pilnuje swojego tyłka.

Ze zdjęć satelitarnych Madrytu wynikało niezbitcie, że miasto było mało zniszczone, może z wyjątkiem kilku dzielnic, które wydawały się doszczętnie spalone. Widziany z lotu ptaka magazyn lekarstw stał nienaruszony, a przynajmniej takie sprawiał wrażenie. Zagadką pozostawało, na co się natkniemy już na miejscu.

Wylatywaliśmy w czasie, gdy mroki ustępują przed wschodzącym słońcem. Lecieliśmy bezpośrednio na półwysep airbusem A320, z którego oprócz siedzeń pierwszej klasy usunięto wszystkie fotele, aby zamienić go w olbrzymi samolot transportowy. Naszym celem było dawne lotnisko wojskowe Cuatro Vientos, oddalone o osiem kilometrów od stolicy. Ktoś przed paroma miesiącami dopatrywał się na zdjęciach satelitarnych, że w obrębie lotniska, szczelnie ogrodzonego, nie ma żadnego ruchu. Po kilku tygodniach obserwacji wojsko doszło do wniosku, że teren lotniska jest pusty i przypuszczalnie całkowicie bezpieczny. Najbardziej zirytowało mnie to „przypuszczalnie”.

W ostatnich wiarygodnych raportach, uzyskanych, zanim upadły Bezpieczne Strefy, stwierdzono, że lotnisko zostało zabezpieczone. Tak więc, jeśli wierzyć kalkulacjom wojskowych, powinno być ogrodzone, bezpieczne... i puste. Jedyne miejsce, co do którego zgłaszano pewne wątpliwości, czy istotnie zostało szczelnie zamknięte, był główny budynek.

Najpierw mieliśmy się co do tego upewnić, a następnie zabezpieczyć i hermetycznie zamknąć ogrodzenie wokół lotniska. Towarzyszyła nam drużyna legionistów, wybrana spośród tych nielicznych członków hiszpańskiej Legii Cudzoziemskiej, którzy przetrwali apokalipsę. Byli w strojach bojowych i uzbrojeni po zęby. Po wykonaniu pierwszego zadania legionieści zostaną na lotnisku i będą go strzec. A wtedy przyjdzie kolej na nas. Nie wątpię, że czeka nas naprawdę sporo rozrywki.

## Teneryfa

– Cholera jasna! – zaklęła cicho Lucía, zdejmując szybko z gazu ronderek z mlekiem, które właśnie zaczęło kipieć. Mimo iż błyskawicznie odsunęła go na bok, nie udało jej się zapobiec klęsce i połowa zawartości wylała się na płomień, wypełniając powietrze w pokoiku smrodem spalenizny.

Lucií łzy napłynęły do oczu. Chwila roztargnienia i już nic nie pomoże robienie sobie wyrzutów. A przecież aż za dobrze wiedziała, że mleko jest ściśle racjonowane, litr na osobę raz na dwa tygodnie. Zmarnowała prawie połowę... Jak mogła być tak bezmyślna? Skąd, do licha, weźmie nowe kartki zaopatrzeniowe?

Zniechęcona padła na krzesło i rozejrzała się dokoła. Wszystko od samego początku cholernie źle się układało. Najpierw kwarantanna na tym przeklętym statku, zamknięcie w maleńkiej celi i niepewność, co będzie dalej. Przez cały długi miesiąc budziła się co noc zdyszana i spocona, czując, jak przygniatają ją ściany więzienia i nuda, przerywana jedynie przez rutynowe wizyty lekarzy owiniętych w stroje ochronne i przypominających widma. Potem wypuszczono je nie wiadomo czemu, tylko po to, aby jakiś sadystyczny strażnik, istny kapo z obozu koncentracyjnego, niemal zatłukł siostrę Cecilie na śmierć.

Zgłosili pobicie natychmiast po dotarciu na ląd, ale minęły już trzy tygodnie i nic się nie działo. Przeciężona biurokracja wyspy, zajęta problemami z zakwaterowaniem i choćby minimalnym wyżywieniem nawału uchodźców, wydawała się niezbyt zainteresowana wyjaśnianiem „domnianego” przestępstwa. Nie było świadków. Oczywiście nie licząc jej samej, ale i ona niewiele widziała, zanim zemdląca.

Już od bez mała miesiąca zakonnica leżała w jednym z zatłoczonych szpitali na wyspie, zawieszona między życiem a śmiercią, wśród tysięcy innych chorych i rannych pacjentów, dogłądanych z grubsza przez garstkę wyczerpanych lekarzy i licznych zmęczonych wolontariuszy, dysponujących bardzo skąpymi środkami leczniczymi.

No, a to przeklęte mieszkanie, niech je diabli wezmą! Przed apokalipsą Lucía mieszkała z rodzicami w ogromnym dwupiętrowym domu. Ta niemal pozbawiona mebli ciasna dziupla, utworzona przez wyburzenie ścianek działowych z trzech pokoiów starego hotelu, przypominała jej obrazy krakowskiego getta widziane na filmie *Lista Schindlera*, gdzie kilkanaście osób

cisnęło się w jednym pomieszczeniu. Nie było tu, co prawda, murów ani strażników, ale mimo to czuła się okropnie przytłoczona.

A przecież i tak byli uprzywilejowani, bo dzięki Wiktorowi, który jako jeden z nielicznych na wyspie pilotów został zakwalifikowany jako personel niezbędny, mieszkali w „dobrym” sektorze. Mogli liczyć na różne udogodnienia, jak lepsze kartki żywnościowe i „luksusowy”, niezbyt zakaruszony, dwupokojowy apartament na trzy osoby (nie licząc Lukullusa, oczywiście). Lucía zdawała sobie sprawę, że tysiące osób żyje o wiele gorzej, że nawet w maleńkich wioskach tłoczą się uchodźcy. Że groźba głodu ciąży bez wyjątku na wszystkich, chyba że mają dostęp do czarnego rynku... i coś atrakcyjnego do sprzedania.

Dopóki jej ukochany i Wiktor byli przy niej, Lucía czuła się wystarczająco bezpiecznie i na tyle pewnie, żeby nie zastanawiać się zbyt nad okropnymi okolicznościami, które teraz ciążyły jej jak kamień. Z beztroską typową dla nastolatki wymazała z myśli wszystko, co wydawało jej się nieprzyjemne, i skoncentrowała się na krótkim i zaimprovizowanym miesiącu miodowym, który przeżywała ze swoim panem mecenasem, jak nazywała go czasem sarkastycznie, gdy zaczynał się rozwodzić nad nieprawidłowościami systemu, w którym żyli, i problemami, jakim musiały stawiać czoło władze.

Lucía była bardzo zakochana i tak pewna własnych uczuć, jak może być tylko siedemnastoletnia dziewczyna. Niekiedy budziła się w nocy i – starając się nie zakłócić snu ukochanego – przyglądała mu się uważnie. Rzucał się niespokojnie na łóżku, jakby usiłując uciec przed koszmarami sennymi i potworami zamieszkującymi jego umysł. Lucía zdawała sobie w głębi duszy sprawę, że jej miłość to dla niego najlepsza terapia. Od kiedy się tu znaleźli, mimo wszystkich problemów spał coraz lepiej, a nawet kilka razy zdarzyło mu się uśmiechnąć. Aż nagle odszedł wraz z Wiktorem, w pośpiechu, niemal się nie żegnając.

Obydwoje wiedzieli, że było tylko kwestią czasu, aby „facetów ze śmigłowca” wyekspediowano na półwysep w poszukiwaniu jakiegoś, Bóg wie jakiego, niezbędnego zaopatrzenia, ale to nie ułatwiło im pożegnania.

A teraz Lucía czuła się bardziej przerażona niż kiedykolwiek wcześniej, mimo iż znajdowała się na pełnej policji i wojska Teneryfie, gdzie na szczęście w promieniu stu kilometrów nie było ani jednego przekłętego Nieumarłego. Po raz pierwszy, od kiedy zaczął się cały ten koszmar, została sama, zdana tylko na siebie.

Czyjeś pukanie raptownie wyrwało ją z zamyślenia. Z ociąganiem podeszła do drzwi. Na progu stała pani Rosario, dozorczyńni. Niewysoka, tusta pięćdziesięcioparoletnia kobieta z nogami oplątanymi powrozami potwornych żyłaków. Siwiejące włosy zebrała w ciasny koczek na czubku głowy, w brązowej sukni z grubego materiału wyglądała jeszcze bardziej przysadziście.

Jej sowie oczy to lustrowały Lucię, to penetrowały wnętrze pokoju ponad jej ramieniem.

– Czy dobrze się czujesz, kochanie? – spytała. – Wydawało mi się, że słyszę jakieś głosy...

– Proszę się nie przejmować, Rosario. – Lucía, celowo unikała zwracania się do swojej rozmówczyni per pani. Teraz przytknęła nieco drzwi, aby ograniczyć jej wgląd do mieszkania. – Nic się nie stało. Tylko trochę rozlanego mleka, to wszystko.

Pani Rosario, „zarządzająca blokiem”, według obowiązującej górnolotnej nomenklatury, dumnie nosiła na piersi niewielką bakelitową odznakę, która potwierdzała jej stanowisko. Lucía odkryła, że na wyspie funkcjonowała cała rzesza wszechobecných „pilnowaczy”. Jeden z sąsiadów, inżynier agronom, zatrudniony na farmie intensywnej hodowli roślin na północy wyspy, zdradził jej, że pani Rosario w istocie była oficjalną donosicielką i jej rola polegała na sprawowaniu kontroli nad tym zespołem budynków. Jak w dawnych Niemczech Wschodnich, każdy dom, każda dzielnica, każdy okrąg miały swoich oficjalnych nadzorców.

– Ale nie to jest najgorsze – dodał sąsiad, rozglądając się uważnie na wszystkie strony. – Najgorsze jest to, że oprócz oficjalnych zarządzających istnieją dziesiątki, setki tajnych informatorów. Nie możesz być pewna nawet tego, czy twój partner lub współlokator nie pracują dla służb informacyjnych. To coś jak pieprzona Stasi.

Ten gorzki komentarz od tamtej chwili rozbrzmiewał jej w głowie, choć kiedy rozmawiali, puściła go mimo uszu. Na wyspie wszyscy zachowywali się w sposób dość paranoiczny, zwłaszcza wojskowi i służby sanitarne (u których ostrożność przerodziła się w obsesję), więc Lucía pomyślała sobie, że to ukradkowe zwierzenie na schodach było gładzeniem staruszka, który wszędzie węszy spiski. Jednak teraz już wiedziała, że sąsiad się nie mylił. Niestety, nie mogła mu o tym powiedzieć.

Dwa tygodnie wcześniej bowiem sąsiada przeniesiono do innego miejsca zamieszkania. Nie byłoby w tym nic dziwnego w tych niepewnych czasach, gdyby nie jeden „mały szczegół”: przenosiny zorganizowano o czwartej nad ranem. I to wojskowym pojazdem, a nie zwykłym wozem konnym. Niewykluczone, że inżynier w końcu zwierzył się na klatce schodowej nie temu, komu powinien.

– Przypominam, panienko, że wstęp dla odwiedzających do tego bloku jest zabroniony po czwartej po południu – pani Rosario rozpoczęła kazanie brzęczącym głosem. – Jeśli jest tu jakiś gość, będziesz musiała o tym zameldować...

– Nikogo nie ma w domu, zapewniam – niechętnie odparła Lucía, poddając się i otwierając drzwi na oścież.

Na tę właśnie okazję czekał Lukullus. Ze zręcznością nieoczekiwaną u tak wielkiego zwierzaka kosmaty pers zmaterializował się w ciemnościach korytarza i przemknął do mieszkania, ocierając się przy okazji o nogi swojej pani. Wracał z jednej ze swoich dalekich przechadzek, na które się udawał w sobie tylko wiadomych kocich sprawach.

Pani Rosario zaczęła węszyć z wyrazem wstrętu na twarzy, co Lucię szczerze rozśmieszyło. Przez krótką chwilę miała szaloną wizję, w której twarz dozorczyńni zmieniała się w pysk buldozka francuskiego obwąchującego jakieś paskudztwo na chodniku i medytującego nad smutkiem swego pieskiego życia.

Z trudem się opanowała, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Już i tak miała za dużo problemów z tą starą harpią, żeby jeszcze ściągać sobie następny na głowę. Nie dosyć, że Lucía dopiero co dotarła na wyspę, to jeszcze była jedyną mieszkanką bloku niezatrudnioną w żadnym z sektorów o specjalnym znaczeniu. W oczach dozorczyńni już to czyniło z niej automatycznie osobę podejrzaną. A do tego należała do tych nielicznych mieszkańców Teneryfy, którzy trzymali zwierzę w domu i jeszcze nie ugotowali na nim rosółu.

Dopóki mieszkali wszyscy razem, starucha trzymała się od niej z dala, ale odkąd prawnik i Prit zostali zmobilizowani, pani Rosario natychmiast przystąpiła do ścisłego, bezlitosnego obłężenia. Lucía podejrzewała, że na tak przeludnionej wyspie jej mieszkanie wydawało się łakomym kąskiem i że dozorczyńni czyha na najmniejszy błąd z jej strony, aby doprowadzić do natychmiastowego wykwaterowania. Chyba że to odwieczna nienawiść starej baby wobec kobiety o wiele od niej młodszej i piękniejszej. Jeszcze jedna zagadka. Tak czy owak, Lucía musiała się mieć na baczności.

– Zapewniam, że nic się nie dzieje – powtórzyła teraz z wymuszonym uśmiechem. – Właśnie wychodziłam. Muszę iść do szpitala. Do pracy...

– Tak, tak, do szpitala. – Stara dozorczyńni pokręciła głową z grymasem, który wyraźnie wskazywał, że myśli: „Ba-nia-lu-ki”, po czym, jakby mimochodem, dodała: – Jakie to szczęście, że mąż załatwił ci pracę w szpitalu. Możesz zadbać o matkę i zarazem uniknąć wcielenia do brygad pracy na roli. Byłaby wielka szkoda, żeby te śliczne rączki zniszczyły się od motyki...

– To nie moja matka, tylko zakonnica – sprostowała dobitnie Lucía, chwytając torebkę i zatrzaskując babie drzwi przed nosem. Aby wyjść z mieszkania, musiała odepchnąć na bok panią Rosario, która jak pień tkwiła na środku korytarza. Bił od niej silny zapach perfum zmieszany ze smrodem zatechłego potu. – I to nie mój mąż, tylko narzeczony. A jeśli chodzi o pracę, to...

– Daruj sobie te tłumaczenia, ślicznotko – starucha zmieniła ton i rzuciła Lucii jadowite spojrzenie. – Może i udało się wam zwieść służbę informacyjną, ale mnie nie oszukacie! Ty i twoi przyjaciele pojawiliście się pewnego dnia znikąd i utrzymujecie, że przybywacie z półwyspu! I wkręciliście się do dobrego

sektora, podczas gdy o wiele lepsi od was harują na polach! Ha! Gówniane wymówki! Ja i tak wiem, że jesteście szpiegami frojlów! Słyszysz? Jesteście wstrętnymi frojlami, otóż to!

Lucia zbiegała po schodach, a wrzaski dozorczyńni („Frojle, jesteście frojlami!”) towarzyszyły jej aż na parter. Już poprzedniego dnia zdarzyła się podobna historia, ale dziewczyna nie przejęła się zbyt. Była pewna, że dopóki niczym się nie narazi starej czarownicy, ta nie będzie miała żadnych argumentów. Jednak równocześnie czuła się pod ostrzałem. Niewykluczone, że tłusta dozorczyńni nie była jedyną osobą uważającą ją za szpiega. Psychoza szerzyła się wokół i Lucia najwidoczniej znalazła się na celowniku.

A przecież nie była żadnym frojlem.

Cokolwiek by to miało znaczyć.



Spodziewałem się, że będzie bardziej podobny do zapachu pieczonego mięsa, ale nie. Jest cięższy, bardziej gęsty, momentami ostry i ma w sobie coś niepokojącego. Jakby przysadka mózgowa sygnalizowała, że coś z nim jest nie tak. Ponadto, jakkolwiek dziwnie to zabrzmiało, po pięciu minutach przestaje się go odczuwać. Jednak, kiedy wszedłem do samolotu i po krótkiej chwili go opuściłem, zapach ogarnął mnie na nowo, duszący, jak zbyt ciasny uścisk.

Ten zapach.

Ten smród.

Odór trupów spalanych na stosie całopalnym.

Siedząc na schodkach airbusa, widziałem, jak legionieści rzucają jedno ciało po drugim do dołu wykopanego na poboczu pasa startowego. Musieli je polać benzyną, żeby zajęły się ogniem, ale potem tłuszcz trupów sam podsycił płomienie, które z furją buchały za każdym razem, gdy kolejne ciało trafiało do ognia. Byliśmy tu dopiero od trzech godzin, a miałem wrażenie, że minęły już całe wieki.

Lot był kojącym doświadczeniem. Ryk turbin dochodził stłumiony przez grubą izolację poszycia. Wszyscy obecni na pokładzie odczuwali dziwną euforię, całkowicie niestosowną do okoliczności. Dłuższą chwilę trwało, zanim zorientowałem się, z czego wynikała. Otóż tam, tysiące metrów nad ziemią, byliśmy całkowicie bezpieczni. Byliśmy poza zasięgiem Nieumarłych. Te przekłete istoty w żaden sposób nam nie zagrażały i to właśnie powodowało, że wszyscy czuliśmy się dziwnie zrelaksowani i beztroscy, pierwszy raz od miesięcy.

To było jak zatrzymanie akcji w filmie grozy, kiedy podczas jasnego dnia bohaterowie spokojnie rozmawiają, siedząc na progu nawiedzzonego domu, w którym jakimś cudem udało im się przeżyć noc. W głębi duszy sam przed sobą musiałem przyznać, iż takie chwile są jedynie preludium do jeszcze gorszych, jeszcze bardziej przerażających wydarzeń... Miałem tylko nadzieję, że przecucia mnie mylą.

W samolocie było dwudziestu dwóch legionistów i trzech cywili, w tym Wiktor i ja. My dwaj wchodziliśmy w skład Ekipy Infiltracji, jak nas górnołotnie nazwał dowódca. Dwadzieścia pięć osób, a doliczając pierwszego i drugiego pilota airbusa, dwadzieścia siedem. Piękna liczba. Gdyby nie to, że lecieliśmy prosto do piekła, sądząc po atmosferze sztucznej i wysilonej

wesołości panującej na pokładzie, można by dojść do wniosku, że to wyjazd integracyjny.

Oficer dowodzący był niezwykłym osobnikiem, który nie przestawał mnie zadziwiać. Nazywał się Kurt Tank, choć wolał, żeby mówić do niego Hauptmann Tank lub po prostu Tank. W normalnych czasach był oficerem armii niemieckiej, a apokalipsa przyłapała go – podobnie jak wielu jego rodaków – podczas urlopu na Kanarach, gdzie miał dom wakacyjny. Kiedy stało się oczywiste, że nie będzie mógł wrócić do swojego kraju (ponieważ ten już nie istniał), Tank postanowił zaciągnąć się do przetrzebionych jednostek wojskowych na wyspie. Było to najbardziej logiczne wyjście, droga, którą wybrało wielu, niebezpieczna i ryzykowna, niewątpliwie, ale jednak droga, która pozwalała na posiadanie broni i walkę o życie. A to już było coś.

Można by przypuszczać, że facet o takim nazwisku, wojskowy i na dodatek Niemiec, będzie miał imponujący wygląd, ale powierzchowność Kurta daleko odbiegała od archetypu super-Aryjczyka. Tank był chudy, blady, a jego niepokojące jasnoniebieskie oczy przewiercały na wskroś osobę, na którą spoglądał. Miał subtelny, flegmatyczny sposób bycia i ogólnie sprawiał wrażenie człowieka miękkiego, delikatnego. Lecz nic bardziej mylnego. Legioniści zebrani wokół nas na papierosa mówili, że jest to facet, który waży się na najbardziej skrajne ryzyko i pociąga za sobą swoich ludzi. Wspomnieli, że z jednej z misji infiltracji, na którą przed dwoma miesiącami został wysłany wraz z oddziałem do Kadyksu, wrócił jedynie on sam i dwóch żołnierzy.

Twardy typ. Wilk w skórze baranka.

Łądowanie na krótkim pasie lotniska Cuatro Vientos to dla airbusa A320 prawdziwe wyzwanie. Od początku wiedzieliśmy, że nasz samolot jest za dużym ptakiem na to stare, ciasne gniazdo. Rozpiętość pasa lotniska wojskowego wybudowanego na początku lat dwudziestych zeszłego wieku nie pozwalała na przyjmowanie samolotów cywilnych takich gabarytów. My jednak nie musieliśmy stosować się do regulaminów lotniczych ani też przestrzegać planu lotu, a ponadto przelot nad miastem na niskiej wysokości w żaden sposób nie narażał nas na skargi mieszkańców. Aby zapewnić powodzenie operacji, przewidziane zostało lądowanie z bardzo niskiego pułapu i przy możliwie najmniejszej prędkości. To mogło się udać.

Mogło.

Ale nie musiało. W tym właśnie sęk.

I oto już zbliżaliśmy się do celu, okrążając na wysokości niespełna tysiąca metrów całkowicie martwe i opustoszałe przedmieścia Madrytu. Jeszcze chwila i wejdziemy na drogę lądowania.

Przez okno widziałem ogromne osiedla-sypialnie dawnej stolicy, jak perły naszyjnika nanizane na obwodnicę miasta. Te okolice zawsze były wyludnione za dnia, gdyż większość mieszkańców pracowała w centrum, ale ten całkowity

brak ruchu na ziemi wywoływał uczucie trudne do opisanía. Żarty i chichoty, które towarzyszyły nam przez większą część drogi, już od dłuższej chwili umilkły, wyparte przez ciszę, gęstą i kleistą jak ropa naftowa. Każdy pogрузił się we własnych myślach, a w naszych sercach mościł sobie miejsce dławiący strach.

Naprawdę ciekawe było obserwować, jak poszczególni ludzie radzą sobie z tą sytuacją. Żołnierze – jak na nich przystało – najlepiej znosili czas oczekiwania, przynajmniej na pozór. Większość z nich, jak od wieków zwykli robić ludzie tej profesji, zajęła się starannym przeglądem wyposażenia bojowego. Trzech lub czterech drzemało w kącie, wykorzystując ostatnie momenty spokoju. To właśnie ci legionieści (nazwani przez kogoś pozbawionego wyobraźni Ekipą Pierwszą) opuszczają samolot przed innymi i zabezpieczą obręb lotniska. To oni narażają się na największe niebezpieczeństwo i zdają sobie z tego doskonale sprawę. Wszyscy wiedzieliśmy, że jeśli sprawy wymkną się spod kontroli i nie powiedzie się zabezpieczenie pasa startowego i budynku lotniska, misja zakończy się niepowodzeniem, a samolot będzie musiał wystartować natychmiast, pozostawiając Ekipę Pierwszą własnemu losowi.

Ci z pozostałych, którzy mieli jakieś doświadczenie wojskowe (jak mój dobry wojak Prit), zajmowali się czymkolwiek, byle tylko nie myśleć. Niewielki flegmatyczny Ukraińiec żuł gumę, głośno mlaszcząc, i swym ostrym jak brzytwa nożem (tym samym, którym w Vigo poderżnął gardło Nieumarłej, ratując mi życie) rzeźbił coś w kawałku drewna z większym zapalem niż talentem. Tak czy owak, czynność ta pomagała mu opanować napięcie, które z pewnością odczuwał.

Na sąsiednich fotelach siedzieli nasi znajomi. Trochę trwało, zanim zdałem sobie sprawę z tego, kim są ci ludzie, aż w pewnej chwili dziewczyna zaczęła coś gadać nerwowo i rozpoznałem jej ostry śmiech. To byli Marcelo i Pauli, dwójka z załogi, która uratowała nas in extremis z lotniska na wyspie Lanzarote. Najwidoczniej ktoś postanowił, na podstawie jakichś tajemniczych kryteriów, że jeśli już mieliśmy okazję lecieć razem, to dobrze będzie, abyśmy wspólnie weszli w skład Ekipy Infiltracji. Zaniepokoiłem się, czy aby nie z naszej winy przeznaczono ich do tej misji, która z pewnością nikomu nie przypadła do gustu.

Piąty członek Ekipy Infiltracji był cywilem. Jedynym na pokładzie, oprócz mnie i Wiktora. Nazywał się David Broto i był Katalończykiem. Milczący, spokojny, postawny dwudziestoparoletni brunet, którego głębokie spojrzenie nie było w stanie ukryć wielkiego cierpienia, utajonego w najdalszym zakamarku duszy.

Zapewne i on, podobnie jak ogromna większość ocalałych, poniósł osobiste straty w ciemnych dniach chaosu i ciągle nie może dojść do siebie. Jest wielu mu podobnych w naszych czasach, być może nawet połowa z tych, którym

udało się przeżyć. Wydają się osobami normalnymi, zdrowymi i dobrze się mającymi – do chwili, gdy zajrzysz im w oczy i przekonasz się, że w środku pozostały tylko zgliszczą. Jedzą, oddychają, rozmawiają, śmieją się i niekiedy żartują, ale robią to mechanicznie. Ich dusze są martwe. To ludzie, którzy nie poradzili sobie z faktem, że w ciągu kilku godzin utracili dawne życie, rodzinę i osobistą historię. Ludzie, którzy czują się winni temu, że przeżyli, podczas gdy ich bliscy przepadli. Ludzie, którzy zadają sobie pytania o sens tego wszystkiego, co się stało, lub, jeszcze gorzej, o sens dalszego życia. Ludzie zagubieni. Ludzie złamani, nieznajdujący celu.

Stres potraumatyczny, nazywają to niektórzy. Gówny prawda. To coś o wiele głębszego, czego nikt nie potrafi zdefiniować. Ktoś mi powiedział, że od kiedy sytuacja się ustabilizowała, na wyspach nie zdarzył się żaden przypadek samobójstwa. Ani jeden. Z tego wynika, że my, ocaleni z apokalipsy, mimo iż przeszliśmy koszmar, jesteśmy wyposażeni w ogromną chęć przeżycia.

W instynkt samozachowawczy?

A może w wiarę? Któż to może wiedzieć.

Samolot dość gwałtownie wykonał ostatni zwrot, a dźwięk opuszczanego podwozia potwierdził, że już lądujemy.

Hałas silników wzrósł o dwie oktawy, odwracacze ciągu jęczały, usiłując zahamować pięćdziesięciotonowy A320, który niemal dotykał już pasa lotniska Cuatro Vientos. Pomyślałem z niepokojem, że dźwięki te musiały wywołać natychmiastową reakcję wśród setek tysięcy ohydnych istot kłębiących się w mieście. Z pewnością się nie myliłem. Właśnie w tej chwili tysiące (miliony raczej, mój ty bohaterze) Nieumarłych budziły się z letargu i podnosiły głowy, gdy rycząca maszyna przelatowała nad nimi, niemal muskając dachy domów.

Rozległ się dźwięk telefonu przyczepionego do przepierzenia tuż obok miejsca, gdzie siedział Kurt Tank. Aby odciążyć samolot, wyrzucono z niego nie tylko większość siedzeń, ale i mnóstwo innych urządzeń uznanych za zbędne, w tym system nagłośnienia kabiny. Telefon łączył bezpośrednio z kabiną pilotów znajdującą się kilka metrów z przodu. Hauptmann Tank odebrał i kiwnął parę razy głową, słuchając komunikatu. Odpowiedział krótko: „Dziękuję”, i odwrócił się do nas.

– Pilot informuje, że za kilkadziesiąt sekund dotkniemy ziemi! – wrzasnął, przekrzykując huk motorów. – Lądowanie może być dość spektakularne, więc zapnijcie pasy!

Dość przejęty poprawiłem pas. Prit siedzący obok mamrotał coś po rosyjsku. Przypuszczałem, że są to jakieś uwagi o wątpliwym prowadzeniu się matki pilota lub matki Tank, albo że po prostu jest wściekły, tkwiąc tu jako pasażer, zamiast zajmować miejsce za sterami. Z Wiktorem nigdy nic nie wiadomo.

– To nie będzie łatwe! – ciągnął przemowę Niemiec z wyraźnym swoistym

akcentem, przytrzymując się półki na bagaże, aby nie stracić równowagi. – Kiedy tylko maszyna się zatrzyma, Ekipa Pierwsza wyskakuje na ziemię i zajmuje wyznaczone pozycje! Oczyszćcie obszar, sprawdźcie teren i w razie wątpliwości najpierw strzelajcie, a potem pytajcie! Ale gdy któryś ze śmigłowców stojących na pasie zostanie uszkodzony, to urwę łeb razem z płucami temu idiocie, który zawinił! Zrozumiano? – zaryczał.

Pomruk potwierdzenia wyrwał się z dwudziestu gardeł, a dwadzieścia par wilgotnych od potu rąk ładowało dwadzieścia HK416 i ściśle zapinało paski hełmów.

Nagle rzuciło nami raptowne szarpnięcie, któremu towarzyszył przenikliwy pisk podwozia. Z turbin wydobył się głuchy ryk, gdy pilot z największą mocą dał całą wstecz, usiłując zatrzymać ogromnego airbusa na zbyt krótkim odcinku, który miał do dyspozycji. Usłyszałem, jak Pritczenko mamrocze: „Za szybko”, i z niepokojem obserwowałem przez okno, jak błyskawicznie przelatują koło nas wskaźniki kontrolne pasa. Prit miał całkowitą rację.

Z kół podwozia wydobywał się czarny gęsty dym. Pilot zablokował łożyska, desperacko usiłując zmniejszyć prędkość samolotu, i opony zaczynały się topić od tarcia, czemu towarzyszył intensywny zapach palonej gumy. Jeśli przy tej szybkości pęknie któraś opona, samolot najprawdopodobniej straci równowagę i w sposób niekontrolowany zacznie wirować po pasie, a na koniec zamieni się w kulę ognia. Poczulem, jak z przerażenia kurczą mi się jaja. W tamtej chwili byłem całkowicie przekonany, że czeka nas niechybna śmierć.

Wydawało się, że A320 rozpadnie się na kawałki i nigdy się nie zatrzyma. Jednak po chwili zaczął stopniowo zmniejszać szybkość. Kabina trzęsła się gwałtownie i cała konstrukcja samolotu wydawała niepokojące odgłosy. Jakieś bagaże z hukiem runęły na podłogę, ale to wszystko. Airbus z piskiem zatrzymał się na lotnisku. Turbiny nadal jęczały, wyczerpane ogromnym wysiłkiem.

W tej samej chwili legionieści poderwali się i w zwartym szyku skierowali do wyjścia. Dwóch z nich wprawilo w ruch mechanizm otwierający drzwi, trzeci przymocował i spuścił na dół drabinkę sznurową. Zanim zdołałem trzy razy mrugnąć, wszyscy już byli na dole na popękany asfalcie i dzielili się na grupy.

Po paru sekundach pierwszy wystrzał przerwał ciszę, a zaraz potem usłyszeliśmy kilka długich serii z karabinu i wybuch.

Zaczynała się zabawa.

## Teneryfa

Lucię powitał na dworze podmuch gorącego powietrza. Przed blokiem, na pokrytym rozpadlinami asfalcie stała kilkunastoosobowa kolejka czekająca cierpliwie na jakiś transport. W zasięgu wzroku nie było widać żadnego pojazdu, z wyjątkiem kilku przypadkowych cyklistów i od czasu do czasu rozklekotanego wozu na połatanych oponach, ciągniętego przez umęczoną chabętę.

Droga do szpitala, oddalonego zaledwie o parę kilometrów, zajmowała Lucii mnóstwo czasu. Tak wyglądał dzień powszedni. Na skutek ścisłego racjonowania paliwa niemal nie spotykało się pojazdów motorowych, a te nieliczne, które poruszały się po ulicach, realizowały zadania specjalne. Zwierząt pociągowych było mało, rowery od samego początku stały się dobrem luksusowym. Teraz każdy gruchot z kołami i pedałami, na którego przed apokalipsą nikt by nawet nie spojrział, wart był prawdziwą fortunę. Zresztą prawo stanu wojennego karało kradzież roweru obozem pracy. A kradzież benzyny uważano za jeszcze gorsze przestępstwo – groziła za nią kara śmierci przez rozstrzelanie. Te drakońskie metody okazały się niezbędne, aby utrzymać na wyspie kruchy porządek, który w każdej chwili mógł się załamać.

Lucia dołączyła do kolejki i przygotowała się na długie czekanie. Jeśli dopisze jej szczęście, kiedyś wreszcie nadjedzie coś wystarczająco pojemnego, czym dostanie się do centrum. Po jakiejś chwili fortuna się do niej uśmiechnęła. Do przystanku zbliżała się ciężarówka, która dawniej służyła do dystrybucji coca-coli, z przerobioną i przystosowaną do przewozu ludzi platformą. Warczała i buchała kłębami niebieskawego dymu. W rafinerii na wyspie ruszyła produkcja niewielkich ilości oleju napędowego, ale z braku dodatków chemicznych jego jakość pozostawiała wiele do życzenia, a silniki napędzanych nim pojazdów ulegały częstym awariom.

Ale to i tak więcej niż nic, pomyślała Lucia, z pomocą współpasażerów wspinając się na pakę ciężarówki. Pojazd szarpnął i ruszył. Każdy łapał się, czego tylko mógł, żeby nie wypaść na zakręcie. Lucia przypomniała sobie zdjęcia malowniczych ciężarówek produkcji radzieckiej, używanych jako autobusy na Kubie. Zdjęcia były pamiątką z wycieczki, na którą jej rodzice wybrali się kilka lat wcześniej. Wtedy wydawały się dziewczynie bardzo śmieszne. Nie przypuszczała, że kiedyś sama będzie musiała korzystać z tego typu środka transportu. Co za ironia losu. Ciekawe, czy epidemia dotarła na

Kubę. Oczywiście, że tak, odpowiedziała Lucía sama sobie, ten pieprzony wirus TSJ dotarł nawet w najodleglejsze zakątki globu. Jeśli prawdą były plotki krążące wśród ocalonych, jedynie garstka miejsc na całym świecie, w tym Wyspy Kanaryjskie, uchroniła się przed tą najbardziej morderczą plagą w historii ludzkości.

Lucía była przekonana, że sprawy właśnie tak się mają. Ona i jej przyjaciele jak dotąd byli ostatnimi ludźmi, którzy dotarli z Europy na Kanary. Za nimi pozostały rozpacz, śmierć i miliony Nieumarłych, którzy snuć się będą przez całą wieczność po opustoszałym świecie.

Cieszyła się, że wszystko to należało już do przeszłości. Choć życie na wyspie nie było rajem, choć panowało przeludnienie i racjonowano żywność, przynajmniej mogła spokojnie zamknąć oczy i pogrążyć się we śnie, bez ciągłej obawy, że horda Nieumarłych wyważy drzwi i rzuci się na nią.

No tak, to niewątpliwie było przyjemne, ale sytuacja daleko odbiegała od doskonałości. Tysiące osób głodowało, gdyż pomimo wysiłków podejmowanych przez rząd zapasy żywności były śmiesznie małe. Dzień po dniu z portu wychodziła w morze flota rybacka, w większości żaglówki. Rybacy ciężko pracowali, aby zapełnić ładownie, ale połów nigdy nie spełniał oczekiwań zgłodniałego tłumu. Duże obszary wyspy zostały przejęte przez władze i zamienione w zorganizowane gospodarstwa intensywnej uprawy roślin. Na razie uzyskiwano plony stanowczo zbyt skromne. Agronomowie, którzy zarządzali gospodarstwami, twierdzili, że przyczyną był niedostatek nawozów sztucznych i środków ochrony roślin, ale według powszechnej opinii wulkaniczna gleba była po prostu zbyt jałowa, aby wyżywić tłumy, które znalazły się na wyspie. Mięso zdarzało się jadać tylko nielicznym szczęśliwcom, na każdym kroku spotykało się ludzi wychudzonych, z wystającymi kośćmi policzkowymi i oczyma błyszczącymi z głodu. Nie, zdecydowanie niewielu ludziom dobrze się powodziło, ale i tak trudno byłoby znaleźć kogoś, kto chciałby porzucić wyspę, dającą choć elementarne poczucie bezpieczeństwa. Nie ma mowy, wszystko, tylko nie to.

No tak, była jeszcze ta sprawa frojlów.

Lucía i jej przyjaciele zdziwili się niepomierne, gdy po zakończeniu kwarantanny ich rozmówcy z całkowitą naturalnością mówili o tych innych, o frojlach. Z początku mylnie sądzili, że ludzie na wyspie nazywali tak Nieumarłych, którzy zawładnęli całą resztą świata, ale szybko zostali wyprowadzeni z błędu.

Kiedy ocaleni zaczęli gromadzić się na wyspach, wkrótce zdali sobie sprawę z bolesnej rzeczywistości. System działania społeczeństwa, który znali z dawnego świata, przestał istnieć. Przez krótki okres usiłowali zachowywać się jakby nigdy nic, jakby okoliczności się nie zmieniły, ale to nie miało najmniejszego sensu i nie dało się utrzymać.

Większa część rządu gdzieś przepadła, ocalało jedynie kilku ministrów i paru przewodniczących wspólnot autonomicznych. Po premierze słuch zaginął. Krążyły plotki, że wraz z kancelarią zapodział się na drodze między pałacem rządowym La Moncloa a lotniskiem wojskowym Torrejón de Ardoz, ale nikt nic pewnego nie wiedział. Szefowi opozycji udało się dostać na wyspy dzięki pomocy starego kumpla, właściciela linii lotniczych, który in extremis ewakuował go wraz z rodziną. Jednak los i tak okazał się dla niego niełaskawy: po kilku tygodniach zginął w głupim wypadku samochodowym. Jeśli chodzi o rodzinę królewską, to niemal wszyscy – z wyjątkiem księcia Asturii i księżąt de Palma – bezpiecznie dotarli na wyspy. Co się stało z resztą władz, nikt nie wiedział, ale też nikt grosza by nie postawił na to, że przeżyli.

Z początku król Juan Carlos I próbował utworzyć rząd zjednoczenia narodowego, aby stawić czoło sytuacji. Nie brakowało sceptyków, którzy cynicznie twierdzili, że po utracie półwyspu nie pozostało aż tak wiele narodu nadającego się do zjednoczenia. Ta prowizorka trwała parę miesięcy, aż tu pewnego ranka znaleziono ciało Burbona na podłodze łazienki w jego rezydencji. Monarcha zmarł na wylew krwi do mózgu. Juan Carlos dostąpił wątpliwego zaszczytu – zorganizowano mu ostatni (najprawdopodobniej) królewski pogrzeb na świecie, a jego śmierć przyniosła ludziom, którzy jeszcze nie otrząsnęli się po apokalipsie, kolejną falę chaosu.

Nie było głowy państwa, nie było legalnego rządu. Pozostali jedynie wojskowi, wzburzeni i niespokojni, niemający pojęcia, której władzy się podporządkować, i przytłoczeni ciężką odpowiedzialnością za ochronę i wyżywienie tłumu przekraczającego milion osób, podczas gdy struktury administracyjna i sanitarna były w proszku.

Na koniec grupa generałów postanowiła chwycić byka za rogi. Następna w kolejności do tronu była infantka Elena i to właśnie ją w budynku ratusza na Teneryfie proklamowano królową Hiszpanii, podczas pospiesznej uroczystości, o której wielu mieszkańców nawet się nie dowiedziało.

Szybko wyszło na jaw, że proklamacja miała jedynie legitymizować władzę, de facto pozostającą w rękach junty wojskowej. Elena była marionetką w rękach generałów, którzy rządili na dwóch wolnych od plagi wyspach, Gran Canarii i Teneryfie. Zaledwie po trzech tygodniach od elekcji królowa Elena I Burbon zginęła podczas wizyty na farmie komunalnej, zastrzelona przez członka ugrupowania republikańskiego powstałego na gruzach dawnej partii komunistycznej.

Zapanowała całkowita anarchia. Przez dwa tygodnie na obydwu wyspach wybuchały zamieszki i pożary, wzniecane zarówno przez zwolenników Froilana, syna królowej Eleny I, czyli nominalnie nowego króla, jak i przez obrońców Trzeciej Republiki. Obydwie strony od początku zdawały sobie doskonale sprawę, że są zbyt słabe, żeby zyskać istotną przewagę, oraz że



długa wojna domowa przekracza znacznie ich możliwości.

Doszło więc do kompromisu. Gran Canaria pozostała w rękach monarchistów zrzeszonych wokół małego Froilana i popierającej go junty wojskowej, nazywanych przez republikanów pogardliwie frojlami. Teneryfa obwołała się z pompą Terytorium Hiszpańskiej Trzeciej Republiki i wybrała prezydenta oraz „demokratyczny rząd bezpieczeństwa narodowego”.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że demokracja, zarówno na jednej, jak i na drugiej wyspie, była jedynie pięknym słowem pozbawionym treści, za którym chroniły się poszczególne grupy władzy, aby utwierdzić się na pozycjach i przetrwać. Jak zrujnowana staruszka ubierająca się w strzępy kreacji z lepszych lat i usiłująca imponować kompletem srebrnych łyżeczek po babci, tak obydwie rządy próbowały uzasadnić swoje istnienie, strojąc się w ostatnie szczątki legalności, jakie jeszcze przetrwały. Nie przestawały jednocześnie wymierzać sobie kopniaków pod stołem. Oficjalnie obydwie stronnictwa nie były w stanie wojny, ale też nie uznawały wzajemnie swojego prawa do sprawowania rządów. Podczas wypraw po zaopatrzenie na wyspy opanowane przez Nieumarłych dochodziło do starć między frojlami i republikanami i nierzadko w tych potyczkach ginęło więcej osób niż z rąk Nieumarłych.

W czasie kiedy Lucía i jej towarzysze przybyli na Teneryfę, wrogość między frojlami i republikanami osiągnęła szczyty. Rozgorzała paranoja lęku przed szpiegami wroga. Mimo ustalonego podziału na terytoria wpływów każde ze stronnictw wiedziało, że po drugiej stronie może liczyć na tysiące zwolenników... oraz że ma tysiące ukrytych wrogów we własnych szeregach. Było kwestią czasu, żeby zaczęła działać piąta kolumna.

## Madryt

Usłyszałem wystrzały i rzuciłem się do okna, żeby dojrzeć, co się dzieje na zewnątrz. Legioniści rozdzielili się na trzyosobowe grupy, które rozeszły się w różne strony, aby skontrolować pas i budynek terminalu. Cztery drużyny trzymały się dość blisko airbusa, piąta biegiem skierowała się wzdłuż pasa do najbardziej oddalonych drzwi budynku. Niewątpliwie to właśnie tym facetom przypadła najgorsza robota. Strefa ich działania znajdowała się poza zasięgiem naszego wzroku, graniczyła z hangarami pobliskiego Muzeum Lotnictwa. Będą za daleko, żeby w razie kłopotów ktoś mógł im przyjść z pomocą, z czego z pewnością zdawali sobie sprawę. Nie zazdrościłem im.

Tuż obok budynku terminalu rozległa się nowa seria wystrzałów. Aż podskoczyłem i odwróciłem głowę w kierunku, skąd dobiegały. W drzwiach, wychodzących bezpośrednio na pas, pojawiła się trójka Nieumarłych i chwiejnie laźła ku nam, powłócząc nogami. Był tam mężczyzna w dojrzałym wieku, około pięćdziesiątki, z sumiastym wąsem pokrytym zakrzepłą krwią, i dwie kobiety, jedna bez ręki, oderwanej tuż przy barku.

Znowu tu byli, niestrudzeni.

Pierdoleni Nieumarli.

Przeszedł mnie dreszcz. Upływ czasu dla tych istot nic nie znaczył. Miałem nadzieję, że ich ciała w końcu ulegną zniszczeniu, gniciu, ale choć totalnie nieżywi, byli w całkiem niezłej formie. Niewątpliwie nie wyglądali już tak „świeżo” jak na początku chaosu (nie wiem, czy dobrze to wyjaśniam), ale zmiany te były bardzo dyskretne, tak subtelne i powolne, że mogły trwać całe lata lub wieki. A my, ocaleni, nie mieliśmy przed sobą aż tyle czasu. To doprawdy potworne.

Ubrania tej trójki były w dobrym stanie, z czego wywnioskowałem, że koczowali głównie w budynku terminalu, a nie na dworze. Facet z zakrwawionymi wąsami miał na sobie zielony kombinezon pracownika służby porządkowej lotniska, a kobiety, ubrane po cywilnemu, mogły być stewardesami albo urzędniczkami. Zakrzepła krew pokrywająca ich stroje nie pozwalała mi dostrzec wyraźnie szczegółów.

Drużyna legionistów znajdująca się tuż obok drzwi nie wydawała się poruszona ich obecnością. Z zimną krwią pozwoliła po prostu Nieumarłym zbliżyć się na jakieś dwa metry i przystąpiła do akcji.

Ich modus operandi był specyficzny. W każdej grupce żołnierzy, trójce, był strzelec na długi dystans, strzelec na krótki dystans i dowódca obserwator. Ten ostatni znajdował się w środku i jego zadaniem było nie dopuścić, aby jakiś Nieumarły zbliżył się niezauważony. Ponadto wspierał pozostałą dwójkę, ładując broń. Strzelcy często wymieniali się funkcjami i jeśli okoliczności tego wymagały, obydwaj równocześnie wykonywali to samo zadanie.

Jak, na przykład, w tej właśnie chwili. Wszyscy trzej przerzucili HK416 na plecy, szybko założyli plastikowe okulary ochronne i przygotowali pistolety. Przez kilka niekończących się sekund cierpliwie czekali, aż zgniluchy podejda na odległość ręki, i na rozkaz dowódcy wszyscy trzej nacisnęli spust, strzelając niemal z przyłożenia.

Głowy trojga Nieumarłych eksplodowały, zamieniając się w pulpę złożoną z krwi, mózgu i odłamków kości, a ich ciała upadły na beton, wstrząsane ostatnimi konwulsjami. Z głośnym okrzykiem: „Ja pierdolę!”, niechcący cofnąłem się o krok i potknąłem o fotel. Scena była tak nieoczekiwana i makabryczna, że śniadanie podeszło mi do gardła.

– Amunicja wybuchowa – mruknął Prit z drapieżnym uśmiechem i pomógł mi wstać. – Nawet jeśli się źle wyceluje, efekt jest gwarantowany. Ci ludzie wiedzą, co robią. Nie pozostawiają miejsca przypadkowi.

Legioniści beztrąsko przeskoczyli przez ciała i wbiegli do budynku. Tymczasem jedna z grup już weszła do wieży kontrolnej, a inna ładowała nowy zestaw akumulatorów do elektrycznego pojazdu lotniskowego. Po chwili niewielki autobusik nabrał wigoru i potoczył się wolno na dość sflaczałych oponach, którym wyraźnie zaszkodził długi pobyt pod gołym niebem. O dalszej podróży nie byłoby mowy, ale na objechanie wzdłuż całego ogrodzenia lotniska powinno wystarczyć.

Z budynku terminalu dobiegły kolejne wystrzały. Prit raz po raz podrywał się z miejsca, niespokojny, jak łowca głodny emocji polowania. Głośno domagał się, by wypuszczono go z samolotu, aby, jak to ujął, „upolować kilka tych ptaszków”. Natomiast ja nie miałem najmniejszej ochoty nigdzie się ruszać. Czułem się bardzo dobrze we wnętrzu airbusa.

– Na co my, do diabła, czekamy? – warknął Ukrainiec, kierując się do drzwi. – Idziemy!

– Proszę się tak nie spieszyć, panie Pritczenko – powstrzymała go Pauli, wyciągając rękę i chwytając go za ubranie, kiedy Ukrainiec jak wąż przemykał przejściem między siedzeniami. – Proszę mnie posłuchać! Legioniści ćwiczyli tę operację tygodniami. Musimy pozostać w samolocie, dopóki nie sprawdzą, czy ogrodzenie lotniska jest szczelne. Dopiero wówczas będziemy mogli wyjść. Pana zadaniem jest pilotowanie helikoptera i nic więcej. Rozumiemy się?

– Mogą potrzebować naszej pomocy – sapnął Wiktor, popatrując w kierunku drzwi. – Oni tam na zewnątrz oczyszczają strefę, a my tu siedzimy, nic nie

robiąc! Niech to piorun strzeli!

– Oni wiedzą, że tutaj jesteśmy – włączyłem się do rozmowy, starając się uspokoić przyjaciela. – Jeśli będą nas potrzebować, dadzą nam znać przez radio. A jeśli wyjdziemy niespodziewanie, to nas zastrzelą, bo wezmą nas za Nieumarłych. Musimy czekać, Prit.

Naburmuszony Ukrainiec odwrócił się tyłem i kłął pod nosem. Chciał wyjść i wykończyć tych bydlaków, a tu nic z tego. Musiał siedzieć zamknięty i tylko się przyglądać. Było to dla niego ogromnie frustrujące. Mogłem to zrozumieć, chociaż ja sam potwornie boję się Nieumarłych. Nie wstydzę się do tego przyznać. On natomiast nie tylko się ich nie boi, ale ich nienawidzi i chce wyładować na nich swój gniew. To dwa zupełnie różne podejścia.

Nagle usłyszeliśmy brzęk tłuczonego szkła. Ogromna szyba w terminalu pasażerskim rozbiła się na kawałki. Pośród deszczu odłamków szkła kilka ciał z rozwalonymi głowami spadło w pustkę, a dym wystrzałów zabarwił na siarkowożółty kolor pomieszczenie, skąd wyleciały. Trupy uderzyły o asfalt z głuchym plaśnięciem, po czym zapadła cisza. We wnętrzu samolotu słychać było brzęczenie muchy. Zatrzeszczało radio, aż wszyscy nerwowo podskoczyliśmy.

– Alfa Trzy, gotowi i na pozycjach. Terminal zabezpieczony, drzwi zamknięte i zaparte od wewnątrz. Dwunastu Indian poległo, żadnej straty własnej. Czekamy na instrukcje, odbiór.

– Alfa Trzy, pozostańcie na pozycjach. – Tank podniósł się z miejsca i dał znak, żebyśmy zaczęli spuszczać się w dół po drabince sznurowej. – Ekipy Druga i Trzecia wejdą do budynku. Nie strzelajcie!

Tank odwrócił się do nas, przeładowując broń. Przez chwilę jego wodniste spojrzenie spoczywało na mnie, po czym przesunęło się na pozostałych członków grupy. Po plecach przebiegł mi dreszcz. Wiedziałem już, co zaraz powie.

– Nasza kolej, panowie! Idziemy!

Drabinka sznurowa była szorstka i kołysała się gwałtownie. Schodziliśmy jeden za drugim. Poprzedzał mnie Marcelo, ten wysoki i milczący mężczyzna, który wyratował nas na Lanzarote. Był równie mało wylewny jak wtedy, co wydało mi się dość niezwykle u Argentyńczyka, ale każdy jego ruch świadczył o pewności siebie. Za mną w bojowym nastroju schodził Pritczenko, nucąc pod nosem jakąś ukraińską piosenkę. Informatyk Broto i mała Pauli czekali już na dole, obok ogromnego kilkukołowego wózka podwozia.

Potknąłem się, zeskakując na betonowy pas. To już, powiedziałem sam do siebie, znowu tu jestem. Witajcie w piekle! Tęsknie popatrzyłem w górę, w kierunku kabiny samolotu, jedyne bezpieczne miejsce w promieniu wieluset kilometrów. Drugi pilot, obserwujący operację przez boczne okno kokpitu, zsalutował kpiąco i gwałtownym gestem zatrzęsął drzwiami. Cholerne sukinsyny. Będą sobie siedzieć w ciepélku, podczas gdy my musimy wozic dupę przez pół Madrytu, ścigani przez nieżywe poczwary. Wiedzieliśmy jednak, że nie ma innego wyjścia. Na całym świecie pozostało nie więcej niż dwa tuziny osób, które umiały pilotować tej wielkości samolot, i ci dwaj faceci do nich należeli. Warci byli swojej ceny w złocie. Nie było sensu dłużej się nad tym zastanawiać. Każdy gra kartami, które wylosuje.

Dołączyłem do reszty, ściskając spoconymi rękami pistolet, który mi przydzielono na czas operacji. Był to glock 9 mm, podobny do tego, który zabrałem nieżywemu żołnierzowi z Galisyjskiej Powietrznodesantowej Brygady Lekkiej Piechoty na progu swojego domu, milion lat temu. Miałem też kilkanaście magazynków w różnych kieszeniach plecaka i w pokrowcach przyszytych na nogawce mojego skafandra z neoprenu.

Z powodu swojego ubioru podczas całej podróży musiałem znosić pełne niedowierzania spojrzenia oraz dowcipne komentarze legionistów, ale coś mi mówiło, że włożenie neoprenu to dobry pomysł. W końcu pomógł mi utrzymać się przy życiu aż do tej pory, a jeśli coś dobrze działa, to po cholere to zmieniać?

Wierzyłem ponadto – trochę irracjonalnie, przyznaję – że dopóki będę miał go na sobie, nic złego nam się nie stanie, ani mnie, ani Pritowi. Tak czy owak, neopren sprawiał, że czułem się trochę lepiej, i to już wystarczało.

Zauważyłem, że jeden z legionistów mówi coś do Tanka i wydaje się zaniepokojony. Coś nie poszło tak, jak powinno. Dosłyszałem, że drużyna – ta,

która udała się w stronę wejścia do Muzeum Lotnictwa – nie odpowiada na wezwanie przez radio. Niech to najjaśniejszy szlag.

Z przerażenia włosy zjeżyły mi się na głowie. Jeśli nie zabezpieczymy wszystkich wejść na lotnisko, za kilka minut na pas wedrą się setki tysięcy Nieumarłych. Zrobi się taki gąszcz, że samolot nie zdoła nawet podejść do startu, bo turbiny zaczną wsysać tych zgniłków i rozszarpywać na miliony kawałków. Zostaniemy w tej pułapce na zawsze.

Tłum Nieumarłych zbierał się już wokół ogrodzenia, otaczającego całe lotnisko, wysokiego na trzy metry i zbudowanego ze wzmocnionej siatki metalowej na betonowej podmurówce. Ciżba mężczyzn, kobiet i dzieci nieustannie obijała się o płot z kakofonicznym, bezładnym hałasem, niczym stado pijanych małp uderzających w ściany drucianej klatki. Pot ściekał mi po plecach. Betonowo-metalowe ogrodzenie wydawało się solidne, ale jeśli z jakiegoś powodu ustąpiłoby choć w jednym punkcie, mielibyśmy całkiem zwyczajnie przejebane.

W ciągu kwadransa przy ogrodzeniu zgromadziła się cała horda tych poczwara; byli wszędzie, gdzie sięgał wzrok. Nie myliłem się, przewidując, że za godzinę przyleżą ich tysiące, dziesiątki tysięcy. Już sobie wyobrażałem tę przerażającą procesję wędrujących trupów, zbliżającą się do lotniska Cuatro Vientos po szosie M-30.

Proste. Zrobiliśmy tyle hałasu, że było nas słychać aż na drugim końcu tego nawiedzonego miasta.

– Wy tam! Chodźcie tutaj! – Kurt Tank przywołał nas zimnym głosem, rozciągając na ziemi mapę. – Mamy niewiele czasu. Alfa Cztery nie daje znaku życia, co oznacza, że mają poważne problemy.

„Poważne problemy”. Piękny eufemizm, pomyślałem. „Mają przepierdolone” byłoby bardziej ścisłym określeniem ich położenia.

– Drzwi, które łączą pas lotniska z hangarami muzeum, są zamknięte. Jesteśmy tu bezpieczni – ciągnął Tank, patrząc przez lornetkę na drzwi wiodące do Muzeum Lotnictwa. – Przypuszczam, że drużyna utknęła po drugiej stronie, ale nie mamy czasu, żeby to sprawdzić. Musimy realizować plan, zanim się tu zgromadzą miliony tych istot.

– Ten płot wygląda na bardzo solidny – stwierdził David Broto, informatyk, ale w jego głosie brzmiało powątpiewanie.

Bał się, tak jak zresztą my wszyscy.

– Ten płot nie został zaprojektowany, aby wytrzymać nacisk tysięcy ciał, proszę pana – odpowiedział mu legionista stojący koło Tank, wysoki brunet w randze sierżanta, z pobrużdżoną zmarszczkami twarzą i poważną miną. – Proszę mi wierzyć, jeśli damy im dość czasu, na zewnątrz zbierze się tylu tych skurwysynów, że płot się zawali. Nie spodoba się panu to, co się wtedy

wydarzy, proszę pana.

– Nie mamy chwili do stracenia! – przerwał mu ostro Tank, wskazując śmigłowiec samotnie stojący w pobliżu wieży kontrolnej.

Coś mi ten widok przypominał.

– Pędem do śmigłowca, uruchamiać! Wszystko mi jedno, jak to zrobicie, ale musi być na chodzie! JUŻ! Daję wam kwadrans i ani minuty dłużej, bo jak nie, to macie problem!

Tank zwrócił się do legionisty, który spokojnie stał u jego boku.

– Sierzancie, niech wasi ludzie patrolują całe lotnisko, ale nie podchodźcie bliżej niż trzy metry od płotu! I spalcie te przeklęte trupy, zanim zaczną cuchnąć!

Sam nie wiedząc kiedy, ruszyłem biegiem w kierunku śmigłowca. Pritczenko pędził u mojego boku. Ktoś podał nam długi, owinięty w brezent pakunek, który ważył chyba tonę. Zasapałem się już po krótkiej chwili, a kłamię za każdym razem, gdy ten przeklęty ładunek wyslizgiwał mi się z rąk. Podążaliśmy za Pauli i Marcelem, którzy wspólnie dźwigali kilka drewnianych skrzynek wyglądających na równie ciężkie jak paka, którą uraczono mnie i Wiktora. Broto truchtał za nami z wyrazem zatroskania na twarzy, targając wielki plecak.

Dobiłem do śmigłowca i upadłem na ziemię, sapiąc jak lokomotywa. Ekipa Druga biegła w kierunku małych awionetek, zaparkowanych na bocznej odnodze pasa. Co ciekawe, podążał za nią ten niewielki elektryczny busik, wiozący cylindryczne pojemniki pomalowane na czerwono. Przypuszczałem, że to puste kontenerki, przygotowane do załadowania lekarstwami. To my będziemy musieli się tym zająć po dotarciu do celu.

O ile tam dotrzemy.

Za każdym razem, gdy rzucałem spojrzenie na płot, dostawałem gęsiej skórki. Nieumarli napływali tłumnie zewsząd. Bez ustanku. Okolice lotniska były gęsto zaludnione przed apokalipsą, a niespełna dwa kilometry stąd znajdowało się wielkie centrum handlowe. To musiała być strefa „gorąca” jak diabli. Nawet z twarzy Wiktora zniknął uśmiech.

– Masz, kolego. – Marcelo wręczył informatykowi coś, co trzymał w zaciśniętej pięści. – Schowaj i w razie czego użyj. Może ci się przydać.

Broto wziął to, co dał mu Argentyńczyk. Przez sekundę oglądał przedmiot z wyrazem niezrozumienia na twarzy. Podniósł głowę i otworzył pięść. Na jego dłoni leżał błyszczący miedziany nabój 9 mm.

– Dlaczego pan mi to daje?

– To dla ciebie, chłopie. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, że mamy wokół siebie o wiele więcej zgniłoszy niż dostępnej amunicji. Nawet gdybyśmy trafili

wszystkimi pociskami, to i tak nam ich zabraknie. Tak więc, jeśli będziesz w potrzebie, to wiesz... Pum! – zakończył, celując wyimaginowanym pistoletem w skroń.

Broto pobladł wyraźnie i drżącymi rękoma schował pocisk do kieszeni. Był jedynym nieuzbrojonym członkiem wyprawy i w tej właśnie chwili doszedł chyba do wniosku, że to nie był dobry pomysł, aby odrzucić glocka, którego mu oferowano na Teneryfie.

– No co ty, Marcelo, nie bądź taki, zostaw chłopaka w spokoju! – zaprotestowała Pauli, wymierzając Argentyńczykowi przyjacielskiego kuksańca.

– Czysta arytmetyka, chłopie – ciągnął Marcelo, nie słuchając jej, i wskazał na naszą broń, a potem na dziki tłum po drugiej stronie płotu. – Czysta arytmetyka. – Po czym zaczął rozwijać pakunek, który przytaszczyliśmy z Wiktoorem.

– Nie zwracaj na niego uwagi – uspokajającym tonem zwróciła się Pauli do trzęsącego się z nerwów Davida. – Marcelo chce ci podokuczać. Nie lubi tu być, nie znosi Nieumarłych i nie cieszy go niańczenie takich niedoświadczonych facetów jak ty, więc jest w złym humorze. Jeśli wszystko potoczy się tak, jak zostało zaplanowane, nie znajdziesz się bliżej Nieumarłych, niż jesteś w tej chwili, więc nie przejmuj się, dobrze?

Spojrzałem na małą Katalonkę i dostrzegłem w jej oczach błysk niepokoju. Sytuacja nie była tak prosta, jak to właśnie wyjaśniła, i oboje o tym wiedzieliśmy. Ale przynajmniej jej słowa wywarły kojący wpływ na informatyka, i o to chodziło.

Pritczenko wślizgnął się już do kokpitu ogromnego białego śmigłowca Super Puma i naciskał najrozmaitsze guziki, sprawdzając poziom paliwa i płynów. Większość kontrolki na pulpicie zabłysła, co wskazywało, że przynajmniej system elektryczny i akumulatory są sprawne. Całe szczęście.

Coś w wyglądzie śmigłowca natychmiast zwróciło moją uwagę. Mimo iż był to sprzęt wojskowy, pomalowano go na biało, od dziobu do ogona, z wyjątkiem niebiesko-czerwonego pasa po bokach. Napis „Hiszpańskie Siły Powietrzne” ledwie wyzierał spod grubej warstwy pyłu i popiołu pokrywającej całą maszynę, która od miesiący stała opuszczona na tym lotnisku.

Uzbroiłem się w odwagę i pociągnąłem za dźwignię. Boczne drzwi otworzyły się, skrzypiąc, i przekształciły w schodki. Przeładowałem pistolet i wszedłem po trzech stopniach, czując, jak adrenalina, ta stara znajoma, buzuje mi w żyłach jak narkotyk.

Ku mojemu zdziwieniu zamiast zwykłych odchylanych foteli we wnętrzu znajdowały się wygodne skórzane siedziska, pokryte warstwą pyłu drobniejszego niż ten na zewnątrz, któremu w jakiś sposób udało się dostać do



środku. Zaintrygowany ostrożnie postąpiłem naprzód. Minęło kilka sekund, zanim wzrok przystosował się do panującego półmroku – brud całkowicie zasłaniał okienka od zewnątrz. Po omacku dałem krok i kopnąłem coś leżącego na podłodze. Był to okrągły, wydłużony przedmiot, który potoczył się w kąt z cichym szelestem.

Schyliłem się i podniosłem hebanową laskę, z rączką z wytłaczanego srebra ozdobioną grawerowanym herbem. Zdziwiony podszedłem do drzwi, do światła.

Mimowolnie cicho krzyknąłem. Na uchwycie laski widniała lilia Burbonów. Przez chwilę stałem jak wryty, a mój mózg pracował nad rozwiązaniem zagadki. Nie było aż tak wielu Burbonów na świecie, a jeszcze mniej ich potrzebowało wspierać się na lasce. Wiedziałem już, do kogo należała. No coś takiego! Niewiarygodne, ale prawdziwe.

Do wnętrza wszedł Broto, ciągnąc za sobą swój ciężki plecak. Dostrzegł laskę w moich rękach.

– Z pewnością ewakuowali tym helikopterem rodzinę królewską z pałacu Zarzuela – skomentował takim tonem, jakby chodziło o wczorajszy mecz piłki nożnej. – Tutaj czekał na nich samolot, a potem, sam wiesz...

A potem super puma całymi miesiącami tkwiła na słońcu i deszczu, przysypywana kurzem i pyłem, aż do teraz. Na Kanarach wiedzieli, że tutaj będzie czekał na nas co najmniej jeden śmigłowiec.

– Co wy tu robicie, do licha? – krzyknęła Pauli, pojawiając się z drewnianą skrzynką w drzwiach. – Weźcie się, kurczę, do roboty, bo te skrzynie same tu nie wejdą!

Broto i ja, zawstydzeni, rzuciliśmy się ku pierwszej skrzynce. Na drewnianej pokrywie były jakieś niezrozumiałe symbole, ale obok nich wyraźnie czarną farbą wypisane przez szablon widniały cyfry „7,62 × 51 mm”. Amunicja do karabinu maszynowego. Podniosłem wzrok. Marcelo rozwinął z brezentu pakunek, który wraz z Wiktorem przydźwigaliśmy aż tutaj. W środku był ogromny uniwersalny karabin maszynowy MG3 o nieprzyjaznym wyglądzie, jeszcze błyszczący od oliwy. Gwizdnąłem cicho. Jedno jest pewne, mamy zapewnioną dużą siłę rażenia. Pozostaje tylko pytanie, czy to wystarczy.

Od strony wirnika doszedł nas odgłos głuchego kasznięcia, któremu towarzyszyła chmura dymu wymieszanego z pyłem. Łopaty zaczęły się powoli obracać, a silnik super pumy nabierał życia i sygnalizował to świstem.

– Wszyscy na pokład! – zaryczał Prit z kokpitu. – Ruszamy!

Łopaty obracały się coraz szybciej, gdyż Prit zwiększał obroty silnika. Było dość ciasno, wewnątrz kabiny musiało pomieścić osiemnastu członków ekspedycji i całe wyposażenie. W kokpicie, obok Wiktora trzymającego stery, ulokował się Kurt Tank.

Z nagłym szarpnięciem ciężka maszyna uniosła się nad zakurzoną płytę lotniska Cuatro Vientos. Nagle w środku rozległo się przenikliwe wycie alarmu, a na panelu zapalił się ogromny czerwony wskaźnik ostrzegawczy.

– Co tam się dzieje, do stu piorunów? – przerażony wrzasnąłem przez interkom.

– Siedźcie spokojnie, tam z tyłu! – odparł Prit zrelaksowanym tonem, poskramiając prądy powietrza rzucającym śmigłowcem. – Sensory temperatury silnika chyba zatkały się od kurzu albo się popsuły od wilgoci. Według wskaźników główny wirnik jest rozpalony do białości, ale to całkiem niemożliwe. Przecież dopiero wystartowaliśmy!

– Czy jesteś tego pewien? – nalegałem.

Można się było spodziewać, że coś się popsuje. Po tylu miesiącach tkwienia pod gołym niebem każda maszyna ma prawo być w złym stanie.

– Na sto procent to nie! – wrzasnął Pritczenko wściekle. – Ale co ci poradzę? Nie możemy wylądować, żeby zrobić przegląd! Lepiej popatrz tam w dół!

Pochyliłem się w kierunku okna. Wokół ogrodzenia zgromadziły się już tysięczne tłumy Nieumarłych. Z furią potrząsali płotem. Z ziemi dochodził nas chór jęków tak potężny, że zagłuszał nawet odgłos łopat śmigłowca. Niektóre poczwary powsadzały ręce przez wszelkie możliwe otwory między betonowymi wspornikami i metalowymi kratami, większość po prostu trzymała się siatki i wściekle nią trzęsła.

Tworzyli widok nie do opisania. Trzeba to było zobaczyć, aby spróbować pojąć. Zgromadzone potwory były w różnym wieku: młodzieńcy, starcy, dzieci, oraz różnej tuszy: chudzi, grubi... Ale wszyscy mieli chropowatą żółtawą skórę, pokrytą tu i ówdzie charakterystycznym, przypominającym tatuaż rysunkiem popękanych żył. Przeważnie ubrani byli w złachmanione ciuchy, lecz nie należał też do rzadkości widok zupełnych nagusów albo osobników całkowicie pokrytych brudem jak ubraniem. Z przerażeniem skonstatowałem, że śledzą nas tysiące wodnistych, pozbawionych życia oczu, a w miarę jak zwiększamy wysokość, wznoszą się w górę tysiące pożądlivych rąk. Nawet z tej wysokości widziałem wewnątrz ust tych istot, zgniłe i mroczne.

Wiedzieli, że tu jesteśmy.

Nie tylko z powodu hałasu. Wyczuwali nas w jakiś sposób. Wszystkich obecnych na pokładzie śmigłowca. Czuli, że jesteśmy żywi. Ta ciemna, niegodziwa siła, którą mają w sobie, popychała ich ku nam.

Byliśmy jak skamieniali i wpatrywaliśmy się w ten widok wzięty wprost z najgorszego sennego koszmaru. Usłyszałem, jak ktoś szepnął: „Boże mój”. Inny głos monotonicznie powtarzał raz po raz modlitwę. Moje usta były tak wyschnięte, że nie zdołałem wydusić nawet słowa. Zabiłbym za łyk whisky.

Ze wszystkich bocznych ulic nadciągali następni Nieumarli, pojedynczo lub

w małych grupach. Szosa M-40 przypominała mrowisko. Wśród nagromadzonych szczątków, pozostałych po kilkunastu karambolach samochodowych, przemieszczały się chwiejnie podążające ku lotnisku sylwetki. Przyciągaliśmy tych zgniluchów jak magnes.

– Czy płot wytrzyma? – usłyszałem, jak Broto pyta przez interkom, patrząc z nieukrywaniem wstrętem w dół.

– Miejmy nadzieję. – Tank wzruszył ramionami. – Piloci i żołnierze, którzy zostali na ziemi, dostali rozkaz: skryć się we wnętrzu airbusa i zachować ciszę. Dzięki temu będą niewidoczni i może nie ściągną ich więcej do siebie. Poza tym hałas śmigłowca powinien skłonić część potworów, żeby polazła za nami.

– To mnie w zupełności uspokaja – mruknął Broto i zbladł jeszcze bardziej, o ile to możliwe.

– Dlaczego pan nie strzela? – spytałem Marcela, który oparł MG3 o ramę tylnego lewego okna.

Argentyńczyk z zimną krwią podtrzymywał ciężki ukaem, a jego wzrok mechanicznie przesuwiał się po tłumie, uważnie śledząc poruszenia Nieumarłych.

– A po co? – odparł. – Zmarnowałbym tylko amunicję. Z tej odległości większa część strzałów nie trafiłaby do celu.

Jego spojrzenie zatraciło się w tłumie Nieumarłych i ujrzałem w jego oczach cień strachu.

– To by było jak strzelanie do morskich fal. Bez najmniejszego sensu.

Przez chwilę trwaliśmy w milczeniu, obserwując niekończący się potworny korowód w dole pod nami.

– Sześć minut! – głos Pauli przerwał naszą zadumę. – Szykujcie się do lądowania. To będzie bardzo krótki lot.

## Teneryfa

– Cholera jasna! – krzyknął kierowca ciężarówki i gwałtownie skręcił na pobocze drogi.

Pasażerowie platformy zwalili się jeden na drugiego, tworząc bezładną plątaninę rąk i nóg. Rozległy się przekleństwa i narzekania w wielu językach. Lucía podniosła się poobijana, rozejrzała wokół i zrozumiała, co się stało. Z silnika ciężarówki unosiła się ogromna chmura białego dymu, a zrezygnowana mina kierowcy, który wyskoczył z kabiny, potwierdziła, że nie ma mowy, aby nadal przemieszczać się tym środkiem lokomocji. Przynajmniej nie tego dnia.

– Czy pan oszalał? – Oburzony starszy człowiek pomagał się podnieść małemu, sześć- czy siedmioletniemu chłopcu. – Ten człowiek myśli, że wiezie kartofle!

– Panie, daj pan spokój! – Kierowca wzruszył ramionami i wskazał dym unoszący się nad maską. – Ten rupieć został sklecony z trzech różnych ciężarówek! To prawdziwy cud, że w ogóle jeździ! Niech pan lepiej Bogu dziękuje, że nie wlecieliśmy gdzieś do rowu!

– Co teraz będzie? – odezwał się jakiś głos.

– Myślę, że pora na przechadzkę – odpowiedział z godnością kierowca, poprawiając czapkę. – Jeśli o mnie chodzi, muszę tu zostać i pilnować, żeby jakiś bękart nie podprowadził mi benzyny.

Na takie dictum podniósł się chór narzekań. Chociaż było jeszcze wcześniej, słońce grzało mocno i nikt się nie spodziewał, że przechadzka będzie przyjemna.

Lucía zgrabnie zeskoczyła na ziemię i spróbowała się zorientować, gdzie wylądowała. Jej dyżur w szpitalu zaczynał się o drugiej, a było dopiero wpół do pierwszej. Od szpitala dzieliły ją jeszcze jakieś trzy kilometry, miała aż nadto czasu, żeby dojść pieszo. Gratulując sobie w duchu, że przewidziała ewentualne przeszkody w podróży, wraz z innymi pasażerami ciężarówki rozpoczęła marsz poboczem. Od czasu do czasu ktoś z nich spoglądał w tył przez ramię, żeby nie przegapić jakiegoś pojazdu, który mógłby ich zabrać.

Wszystko mi jedno, myślała Lucía. Jest taki piękny dzień, że równie dobrze mogę się trochę przejść.

Wielu pieszych szło drogą w obu kierunkach. Jeszcze parę tygodni wcześniej

na poboczach można było natknąć się na stragany z owocami i warzywami, ale rząd republiki zdecydował, że rolnictwo powinno zostać znacjonalizowane, aby zwiększyć produkcję. Czy ten projekt miał szansę na powodzenie, to zupełnie inna historia, ale w tej chwili Lucii i tak było wszystko jedno. Myślała o kłopotach, które ją nękały, a zwłaszcza o tym, jak, do diabła, zdobyć na czarnym rynku lekarstwa dla siostry Cecilii.

Lucia wykorzystywała każdą wolną chwilę podczas swego dyżuru na odwiedziny u zakonnic. Za każdym razem, kiedy wchodziła do skrzydła szpitala, gdzie leżała siostra Cecilia, czuła przygnębienie. Wiedziała, że znowu zobaczy bezkrwistą, owiniętą bandażami twarz, tak białą jak prześcieradła zaścielające jej łóżko.

W ubiegłym tygodniu Lucia musiała sprzedać kolczyki z małymi brylantami, które kiedyś należały do jej matki i które miała w uszach aż do tej pory. Czuła, że serce jej się rozdziera, kiedy je wręczała temu facetowi. Były ostatnim przedmiotem łączącym ją z jej dawnym wcieleniem. Pozbycie się ich było w pewnym sensie także pozbyciem się tego, co jeszcze pozostało w niej z dawnej Lucii. Nie chciało jej się wierzyć, że ona to ta sama beztroska nastolatka z Vigo, którą całe wieki temu pewien autobus zawiózł do nowego życia.

Te czasy zmuszają ludzi, aby dojrzewali w przyspieszonym tempie, pomyślała gorzko. Niedawno była po prostu siedemnastoletnią smarkulą, tak właśnie, smarkulą. Ale teraz już nie jest dzieckiem.

W zamian za kolczyki otrzymała od spoconego typa z komendantury portu kilka kartek żywnościowych oraz, przede wszystkim, cztery opakowania jednego z najdroższych i najbardziej poszukiwanych towarów – ampułek z morfiną dla siostry Cecilii.

Zużyte zostały już dwa z nich i Lucia zamartwiała się, co będzie, kiedy lekarze wykorzystają do końca skromne zapasy środka przeciwbólowego.

To jednak nie był jedyny problem. Lekarz, który troszczył się o siostrę Cecilie, powiedział, że niezbędne jest lekarstwo o nazwie mannitol. Jak się wydaje, jedynie ono mogłoby w jakiś sposób zmniejszyć obrzęk mózgu, ale Rada Medyczna uznała, że zużycie niezwykle cennych dawek tej substancji na pomoc dla zakonnic mija się z celem. Lucia wiedziała, że uznali już siostrę Cecilie za przypadek beznadziejny, ale ona sama nie traciła nadziei.

Po dwudziestu minutach marszu Lucia ujrzała nadjeżdżający zatłoczony autobus ozdobiony dziwacznym zbiornikiem gazu przymocowanym do dachu. Kierowca zlitował się nad grupą ludzi na poboczu i parę minut po pierwszej dziewczyna wysiadła tuż obok szpitala.

Służby medyczne na wyspie były w całkowitej zapaści. Liczba lekarzy nie przekraczała pięciuset, a i to tylko dzięki zaliczeniu do nich sporej grupy studentów medycyny z uniwersytetu w La Laguna, którzy w przyspieszonym trybie zostali „dyplomowani”.

Hol wejściowy był zatłoczony pacjentami, personelem medycznym i osobami, które usiłowały załatwić sobie przyjęcie do szpitala, używając niekiedy najdziwniejszych pretekstów. Bycie pacjentem gwarantowało trzy posiłki dziennie i uwolnienie na kilka dni od ciężkiej harówki w służbie pracy obowiązkowej, tak więc podczas badań w izbie przyjęć kilku wyczerpanych lekarzy musiało radzić sobie z uciążliwym zadaniem oddzielenia prawdziwych chorych od symulantów.

Przechodząc przez drzwi dla personelu, Lucía skinęła głową uzbrojonym strażnikom, którzy stali obok bramki z wykrywaczem metali. Wprawnym gestem wyjęła identyfikator z kieszeni i przypięła go do klapy bluzki, nie zwalniając kroku. Strażnicy, którzy już ją znali, popatrzyli na nią przelotnie i ponownie skoncentrowali nieprzychylną uwagę na ludzkiej rzece, która usiłowała sforsować drzwi dla pacjentów. Obok narkotyków to właśnie lekarstwa były najcenniejszym dobrem czarnorynkowym i już zanotowano kilka prób napadów na aptekę tego jedyne działającego szpitala na wyspie. To nie było miejsce i czas na żarty.

– Cześć, Lucío! – pozdrowiła ją fertyczna, drobna, mierząca może półtora metra dziewczyna, która właśnie przypinała swój identyfikator pielęgniarce do wydekoltowanej kreacji, nadającej się bardziej na koktajl niż do szpitala, i bezczelnie flirtowała ze strażnikiem pilnującym drzwi.

– Cześć, Maite! Jak się masz? – Lucía uśmiechnęła się do przyjaciółki. Naprawdę uważała dziewczynę za przyjaciółkę, choć znały się dopiero od dwóch tygodni. To zdumiewające, jak łatwo zawierali przyjaźń ocaleni. To było tak, jakby ci, którym udało się ująć z życiem i wymknąć Nieumarłym, desperacko usiłowali nawiązać bliskie kontakty z innymi osobami, aby poczuć, że żyją.

– Świetnie! – Maite uśmiechnęła się szelmowsko. – Myślę, że dzisiaj wieczorem Fernando zabierze mnie na kolację... Powiedział, że zdobył gdzieś specjalne kupony i że może nawet uda mu się załatwić butelkę wina!

– Fernando... Jaki Fernando? – zdziwiła się Lucía, ale szybkie spojrzenie na strażnika i na strój Maite wystarczyły, aby zrozumiała. Podniosła oczy do nieba i pokręciła głową. Maite co tydzień zmieniała obiekt zainteresowań i za każdym razem miała to być miłość jej życia, której rozpaczliwie poszukiwała. Oczywiście w następnym tygodniu będzie to już kto inny, ale cóż tam...

Życie toczy się swoim biegiem, pomyślała Lucía, przebierając się w szatni w fartuch i słuchając niekończącego się trajkotania przyjaciółki. Ludzie zakochują się i marzą, pomimo całego tego piekła, przez które musieliśmy przejść. Nawet żyjąc tak, jak żyjemy, możemy czuć się wystarczająco szczęśliwi. To wydaje się niewiarygodne, ale tak jest. Wola życia zwycięża.

– ...siostra Cecilia?

– Coś mówiłaś, Maite? – spytała Lucía, wyrwana gwałtownie z rozmyślań.

– Pytałam, czy zaszła jakaś zmiana w stanie twojej przyjaciółki, tej siostry Cecylii – powtórzyła pielęgniarka.

Lucia zastanowiła się przez chwilę, a jej twarz przybrała wyraz goryczy, dziwnie do niej niepasujący.

– Nie, nie ma żadnej zmiany. Zajdę do niej na chwilę, teraz, przed dyżurem.

Żadnej zmiany, przynajmniej tej na lepsze, miała chęć dodać. Najprawdopodobniej będzie leżała jak warzywo do końca życia, ale nie chce tego sama przed sobą przyznać, bo to oznaczałoby, że zgadzam się ją utracić, a naprawdę mam już dosyć tego, że tracę ludzi, których kocham, wiesz?

Opanowała się jednak i uśmiechnęła z przymusem. Ujęła dłoń Maite i powiedziała zachęcająco:

– Może pójdziesz ze mną? Proszę.

– Oczywiście – zgodziła się Maite. – Ale najpierw wstąpimy do dyżurki i być może uda nam się zdobyć trochę tego świństwa, które tutaj udaje kawę, dobrze?

Maite serdecznie uścisnęła Lucię. Potem odwróciła się i wyszła z pokoju, nieświadoma, że zostało jej niespełna pół godziny życia.

## Madryt

Madryt był martwy.

Tam gdzie niegdyś żyło, oddychało i snuło marzenia niemal sześć milionów ludzi, nie było nikogo. Z wyjątkiem tamtych, oczywiście.

Milcząca metropolia rozciągała się na kilometry wzdłuż i wszerz; ani jeden dźwięk nie przerywał ciszy. Pod nami migały ulice i place. Super puma leciała z pełną szybkością i na niewielkim pułapie, bo Prit uznał, że tak będzie najlepiej. Stwierdził, że niżej dźwięk silników odbija się w taki sposób, że trudno zlokalizować jego źródło.

Jeśli o mnie chodzi, latanie tuż nad dachami domów szarpało mi nerwy, zwłaszcza w maszynie nie całkiem zasługującej na zaufanie. Wszędzie widać było to samo. Puste ulice, tu i tam samochody porzucone byle gdzie, na jezdni czy chodniku. Śmieci, potłuczone szyby, ludzkie szczątki i zmurszałe szkielety.

Park Retiro zamienił się w prawdziwą dżunglę; wiele alejek pochłonęła już całkowicie wybujała roślinność. Staw ledwie błyszczał w świetle słońca, niemal niewidoczny spod całych ton wodorostów, które nadawały mu matowy, zielonkawy kolor. Stojący nad jego brzegiem Pałac Kryształowy był już tylko plątaniną metalowych prętów i rozbitego szkła.

La Castellana stała się ogromnym, fantasmagorycznym pasażem, po którym hulał wiatr, niosąc ogromne kłęby kurzu i usiłując przewrócić te nieliczne latarnie, które jeszcze sterczały w pionie. Ku mojemu zdziwieniu na dziesięciu pasach ruchu tej ogromnej alei nie było w ogóle samochodów, przypuszczalnie dlatego, że zamknięto ją dla ruchu drogowego tuż przed końcową zapaścią. To nadawało jej jeszcze bardziej nierzeczywisty wygląd. Samotna terenówka marki Volvo z zakratowanymi oknami jak dziwaczny kontrpunkt przerywała pustkę alei. Wolałem nawet nie wyobrazić sobie, co skłoniło kierowcę do zatrzymania się właśnie tam, pośrodku niczego, ani też co się później z nim stało.

Tu i ówdzie widać było stosy zmumifikowanych ciał i szkieletów, które znaczyły miejsca starć z Nieumarłymi. We wszystkich tych przypadkach wokół zwłok leżały rozprysnięte błyszczące miedziane łuski pocisków. Ale szczątki ludzkie, choć okropne, były niczym wobec oceanu Nieumarłych, zalewającego ulice.

Ten widok mroził krew w żyłach. Na jezdniach i chodnikach wprost kłębiły



się tysiące tych istot, pogrążonych w transie czy hibernacji. Przez krótką chwilę miałem wrażenie, że widzimy zdjęcie lotnicze, na którym uchwycono i zatrzymano w czasie normalne życie miasta, jednak przeczyła mu porwana i zakrwawiona odzież (zresztą niewielu Nieumarłych miało na sobie coś więcej niż strzępy).

Jedynie kiedy dochodził do nich warkot łopat śmigłowca lub kiedy dostrzegali jego przesuwający się cień, Nieumarli wychodzili ze stanu zawieszenia i reagowali.

– Spójrzcie tam! – krzyknął Broto z niedowierzaniem i wskazał palcem kierunek.

Właśnie przelatywaliśmy obok stadionu Santiago Bernabéu. Wszystkie wejścia zablokowały ciężkie pojazdy i kontenery, a skupisko zwłok na obszarze otaczającym gigantyczny stadion było o wiele większe niż gdzie indziej. Coś w rodzaju rusztowania biegło po południowej fasadzie budynku, w połowie jego wysokości, łącząc dwie dziury wybite w ścianie, ale żadne z nas nie miało pojęcia, do czego służyła ta konstrukcja.

Było natomiast jasne, że stadion w swoim czasie służył za punkt oporu, ale wydawało się, że nie ma tam już nikogo żywego. Na trybunach poustawiano zrujnowane namioty, których postrzępione plastikowe pokrycia zwisały z zardzewiałych metalowych prętów jak sztandary. Murawa stadionu zamieniła się w bagniste bajoro pokryte małymi nieregularnymi wzgórkami, a w rogu, gdzie dawniej była portiernia, ktoś ułożył z wyrwanych z trybun krzesełek ogromny napis „POMOCY”.

– Cóż to takiego? – spytałem zaintrygowany, wskazując na pagórki.

– Groby – wyjaśnił Marcelo łagodnie. Patrzył ponuro, kropla potu spływała mu po szyi. – To cmentarz.

Zamilkliśmy na moment skonsternowani. Wyobraziłem sobie rozpacz ludzi obleżonych na stadionie, którzy miesiącami czekali na ratunek. Zapasy żywności się kończyły i nikt nie odpowiadał na nieme wołanie o pomoc. Myślałem o desperacji, która ich ogarniała za każdym razem, gdy kolejna osoba umierała z głodu, choroby, zaatakowana przez Nieumarłych lub z jakiego bądź powodu. Przez chwilę odczuwałem duszącą panikę, jaka była ich udziałem wtedy, gdy mijał dzień za dniem i byli coraz bardziej pewni, że są skazani na śmierć, że nikt nie przyjdzie im z pomocą. To było potworne.

– Popatrz – zauważyła Pauli – ostatnie groby są niemal równe z ziemią.

– Przypuszczam, że nie mieli już siły nawet na to, żeby pochować swoich – szepnął ktoś za naszymi plecami.

– Myślisz, że ktoś tam pozostał? – spytałem.

– Nie sądzę – odparł Marcelo – ale tak czy owak, nie możemy się zatrzymać, żeby to sprawdzić. – Popatrzył na mnie uważnie. – To nie jest misja ratunkowa,

wiesz o tym tak samo dobrze jak ja.

Zdusiłem w gardle odpowiedź. Wiedziałem, że Argentyńczyk ma rację, ale nie umiałem jej tak na zimno zaakceptować. Zdawałem sobie sprawę, że jeśli kiedyś, dawno temu, nie odważyłbym się wyjść ze swojego mieszkania w Pontevedrze, w najlepszym razie byłbym teraz oszalałym nieszczęśnikiem objającym się o ściany swego domu-więzienia. Wyobrażałem też sobie, co bym czuł, gdybym zobaczył helikopter i uświadomił sobie, że nie leci po to, aby mnie uratować. Lepiej o tym nie myśleć.

– Szykujcie się wszyscy, tam z tyłu! – głos Kurta Tanka zagrział przez interkom. – Jesteśmy na miejscu!

Wyciągnąłem szyję, aby spojrzeć przez szybę, i natychmiast pożałowałem, że to zrobiłem. Ogromne budynki kompleksu szpitalnego La Paz rysowały się wyraźnie na horyzoncie jak samotne monolity. A u ich stóp, pośrodku zniszczonych resztek Bezpiecznej Strefy Numer Trzy, rycząca masa Nieumarłych odwracała się właśnie w kierunku źródła dźwięku, który wyrwał ją z letargu.

Czekali na nas.

– Jak, do pioruna jasnego, mamy tam wylądować? – Broto był wyraźnie zdenerwowany. – Przecież zrobią z nas marmoladę, zanim zdążymy znaleźć się na ziemi!

– Spoko, brachu – odezwał się dziwnie opanowany Marcelo. – Mamy wszystko przewidziane, więc się zrelaksuj.

I beztrząsco zapalił papierosa, patrząc badawczo na tłum pod nami.

Chciałbym być tak spokojny jak Argentyńczyk, ale w głębi duszy wiedziałem, że to informatyk ma rację. Wiktor robił kolejne okrążenie nad placem, a u stóp wieżowca szpitala La Paz sytuacja pogarszała się z sekundy na sekundę. Dokładnie pod nami utworzył się wir składający się z pięciu czy sześciu tysięcy Nieumarłych, a każda minuta owocowała przypływem jeszcze większej liczby tych potwornych istot, nadciągających na plac z pobliskich ulic.

Drzwi głównego budynku przypominały bramę stadionu w chwili zakończenia meczu. Paskudztwa wlażyły jedno na drugie, walczyły niezgrabnie, aby wyjść na zewnątrz, potykały się i chwiały. Z przerażeniem obserwowałem kilka postaci spadających w pustkę z powybijanych okien na wyższych piętrach.

Było oczywiste, że Nieumarli nie mają skłonności samobójczych. Po prostu widok krążącego śmigłowca przyciągał tych zgniłoszy tak silnie, że ci, którzy włączyli się po piętrach wieżowca – spragnieni naszej krwi – rzucali się do otworów okiennych, żeby nas dosięgnąć. A potem kręcili się w powietrzu jak tobołki z brudną bielizną i z głuchym plaśnięciem roztrzaskiwali o ziemię kilkadziesiąt metrów niżej.

– A niech to! – Wzburzona Pauli szturchnęła swego kolegę Argentyńczyka. –

To niewiarygodne! Ten palant zleciał z dziesiątego piętra i jeszcze się rusza!

Marcelo przechylił się, aby popatrzeć na biedaka, którego mała Katalonka wskazywała mu z takim przejęciem. Nieumarły, młody facet obnażony od pasa w górę, miał taki niefart, że nie rozwalił sobie czaszki podczas upadku, natomiast na skutek uderzenia jego kręgosłup oraz organy wewnętrzne musiały być w proszku. Leżał na ziemi w ciemnej kałuży płynów wyciekających z jego ciała i poruszany spazmatycznymi skurczami na próżno próbował się unieść.

– Nie przejmuj się, Paulita – lekkim tonem skomentował Marcelo. – To długo nie potrwa.

– Dlaczego tak mówisz? Co, u diabła, teraz będziemy...

Przerwało mi trzeszczenie interkomu, po czym usłyszałem zimny głos Tanka.

– Wystarczy! Chyba prawie wszyscy wyleźli! Ekipa Druga, do dzieła!

Śmigłowiec zatoczył wydłużoną elipsę, oddalając się od placu. Zanim zdołałem zadać sobie pytanie, co się dzieje, w gwar w kabinie wdarł się głuchy warkot. Śmigłowiec trochę się przechylił na bok, bo wszyscy jak jeden mąż przenieśliśmy się na prawą stronę, aby wypatrzeć, skąd pochodzi ten dziwny dźwięk. Osłupiałem ze zdumienia, a jedyny komentarz, na jaki się zdobyłem, brzmiał: „Ja pierdołę!”.

Z początku nic nie było widać, ale już po paru sekundach na tle nieba pojawiły się dwa punkty, które przybliżały się ze sporą szybkością. Okazały się dwoma archaicznymi aeroplanami, które powarkując, pokonywały ostatnie metry dzielące je od placu.

– Co...? Co...? Co to takiego? Cóż to jest, do pioruna? – Wydawało mi się, że śnię i że śni mi się coś dziwnego.

– To dwa buchony – odparł uradowany David Broto, przyciskając nos do szyby okiennej. – Do diaska, udało im się je uruchomić! To niewiarygodne!

Informatyk aż podskakiwał z podniecenia, wskazując dwa płatowce, już doskonale widoczne, które zataczały eleganckie koło wokół wieżowca La Paz.

– Czy ktoś może mi wyjaśnić, co to takiego jest buchon i skąd się wzięły, na litość boską? – dopytywałem się gorączkowo, starając się przekrzyczeć rozhovor w kabinie.

Wszyscy mówili i krzyczeli naraz i wewnątrz śmigłowca przypominało dom wariatów.

– Dwa buchony, dwa Hispano Aviación! – wrzasnął David Broto, nie spuszczać oka z niewielkich płatowców wyposażonych w drewniane śmigła. – Wyraz mojej twarzy dowodził niezbicie, że nadal nic nie rozumiem, więc tłumaczył dalej: – Po drugiej wojnie światowej rząd frankistowski w jakiś sposób wszedł w posiadanie planów i licencji na ME109, myśliwiec będący w wyposażeniu armii niemieckiej, i zaczął jego produkcję na potrzeby

hiszpańskiego lotnictwa. Ponieważ alianci w czasie wojny zniszczyli niemieckie fabryki silników, postanowiono zaopatrzyć płatowce w silniki Rolls-Royce'a od angielskich spitfire'ów. Służyły aż do lat sześćdziesiątych, ale teraz pozostało jedynie kilka egzemplarzy w muzeach. Dwa buchony! Ale numer! – Podekscytowany informatyk gadał jak nakręcony, wpatrując się w aeroplany.

Pieprzony Tank, pomyślałem zachwycony śmiałością Niemca. W jakiś sposób Ekipie Drugiej w ciągu paru godzin udało się uruchomić te starocie z lat czterdziestych, od wieków pokryte kurzem w Muzeum Lotnictwa. Teraz służyły za broń przeciwko tłumom Nieumarłych, którzy, jak się zdawało, całkowicie powariowali od hałasu tych wszystkich latających nad nimi maszyn.

– Patrz uważnie, kolego. – Marcelo odsunął się i zrobił mi miejsce przy otwartym oknie, o które opierał swój MG3. – Zaczyna się przedstawienie.

Płatowce wykonały ostatni zwrot i z ogłuszającym rykiem silników skierowały się prosto na plac leżący u naszych stóp. Dopiero wtedy uzmysłowiłem sobie, że do każdego z nich podczepiono jeden z tych czerwonych zbiorników, które Ekipa Druga pracownicy przenosiła do małego autobusiku na lotnisku. Były zawieszane pod skrzydłami, miały kształt cygara i w przeblysku świadomości wiedziałem już, co się zaraz stanie.

– NAPALM! – wrzasnąłem, nie mogąc się powstrzymać.

Do stu tysięcy diabłów, to będzie naprawdę jakiś horror!

Aeroplany leciały nad placem na bardzo niskim pułapie, nieco powyżej stu metrów. Jak na rozkaz czerwone kontenery odczepiły się od skrzydeł, zawirowały w powietrzu i spadły na tłum zebrany na dole.

Zapalniki aktywowały się w ciągu paru sekund, gdy tylko zbiorniki dosięgły ziemi. Niemal równocześnie wybuchły dwie ogromne kule ognia i czarnego dymu. Gigantyczne płomienie podniosły się na zdumiewającą wysokość i przez chwilę utrzymywały się w górze, a potworny grzmot wybuchu rozniósł się po całym mieście.

Śmigłowiec podskoczył gwałtownie, uderzony podmuchem gorącego powietrza jak gigantyczną pięścią. Prit wrzasnął coś po rosyjsku. Galaretowaty napalm rozprysnął się na wszystkie strony i kule ognia zamieniły się w jedną gigantyczną banie pomarańczowego koloru, poznaczoną ciemnymi pasmami dymu. Odsunąłem się od okna, bo żar aż zatykał dech, mimo iż byliśmy oddaleni o kilkaset metrów od tego miejsca. To było piekło. Struktura placu, otoczonego przez wysokie budynki, skoncentrowała działanie napalmu i zamieniła podnóże wieżowców w gigantyczny szatański kocioł. Płomienie podsycaly wiry gorącego powietrza powstałego w wyniku spalania, co okazało się nieprzewidzianym, ale skutecznym efektem dodatkowym.

Kurt Tank, jeśli sądzić z jego komentarzy przez radio, był zachwycony wynikami operacji. W gruncie rzeczy miał całkowitą rację. Nie istniał cień

prawdopodobieństwa, aby ktoś się tam na dole uchował.

Po jakimś czasie, który włókł się w nieskończoność, kula ognia zaczęła się zmniejszać, paliwo się wyczerpało, a słupy czarnego dymu skupiły się i utworzyły jedną, samotną i wysoką kolumnę, widoczną zapewne z odległości wielu kilometrów.

– Patrzcie no tylko! – zawył jeden z legionistów. – Żaden z nich nie trzyma się na nogach!

Wszyscy w kabinie krzyczeli podekscytowani. Ogromny tłum Nieumarłych, który zebrał się na placu, przestał istnieć. Pozostało jedynie kilkaset dymiących pochodni, które, pożerane przez płomień, chwiejnie osuwały się na bruk. Przeważająca część ciał leżała na ziemi i dopalała się powoli, wydzielając płomyki w niebieskawym lub jadowicie zielonym kolorze. Wkrótce plac pokryła gruba warstwa czarnego żużlu. Do moich nozdrzy dotarła fala przenikliwego smrodu spalonego mięsa i oczy zaczęły mi łzawić. To była scena wprost z dantejskiego piekła.

– Jak to się stało, że tak szybko spłonęli? – wypytywał Broto. – To niewiarygodne! Większość zwęgliła się doszczętnie w ciągu kilku minut. To... to... to jest, kurczę, absolutnie niesamowite! – bełkotał, nie mogąc oderwać wzroku od dywanu spalenizny pokrywającego plac.

– To proste – tłumaczyła Katalonka, uważnie zapinając paski kamizelki ochronnej. – Większość tych tam w dole już od ponad roku była pieruńsko nieżywa czy też nieumarła, jak wolisz.

– I co z tego?

– To znaczy – cierpliwie wyjaśniała Pauli – że chociaż bardzo powoli, jednak ciągle gniją, a każdy proces gnicia wyzwala...

– Gazy – przerwałem jej wywód, nagle rozumiejąc, co tak naprawdę się stało.

– A zwłaszcza metan – zgodziła się Pauli. – Im dłużej są w tym stanie, tym więcej gazów i tłuszczów nasyconych metanem mają w swoich ciałach. Ci, którzy spłonęli jak zapałki, z pewnością byli jednymi z pierwszych zarazonych i kręcili się tutaj od samego początku apokalipsy. A reszta... – kiwnęła brodą w stronę nielicznych sylwetek nadal kołyszących się na makabrycznym placu – przypuszczalnie dopiero kilka miesięcy temu stała się Nieumarłymi.

Ponownie skierowałem wzrok ku ziemi. Ciała na placu dopalały się, a przez kabinę przebiegały fale podniecenia, niemal fizycznego, w miarę jak śmigłowiec powoli schodził do lądowania. Kątem oka ujrzałem napięte twarze i pełne niepokoju spojrzenia członków wyprawy. Kilku weteranów żartami próbowało odgonić strach.

Sam nie potrafiłem określić swojego stanu ducha. Czulem strach przede wszystkim. Ale także nieskończony smutek na myśl o tych tysiącach istnień,

które właśnie dobiegły kresu. Straszny żal nad ich losem, bo to nie były szmaciane lalki, lecz ludzie, którzy kiedyś mieli swoje życie, swoje marzenia i którzy nie zasłużyli na tak straszny koniec. Czułem też rozpacz, gdy pomyślałem, że jedynie dzięki sprzyjającym okolicznościom i przypadkowi nie spotkało mnie to, co dotknęło większość ludzkości. Że nie stałem się jednym z nieskończonego szeregu Nieumarłych.

Ale przede wszystkim odczuwałem strach.

A nawet, ośmielę się przyznać, panikę.

Panikę – na myśl, że za kilka chwil tylu młodych, pełnych życia ludzi wejdzie do tego budynku. A z całego naszego oddziału jedynie Wiktor Pritczenko i ja wiedzieliśmy, na jaki koszmar możemy się natknąć w środku.

## Teneryfa

Basilio Irisarri był w złym humorze. A nawet w humorze morderczym, czego nieliczni, którzy go lepiej znali, domyślali się po sposobie, w jaki spoglądał na rozmówcę – przymrużonymi oczami o nieobecny wyrazie – oraz po tym, że wszystkie zdania kończył dziwacznym powiedzonkiem „wiesz, młody?”, co w jego ustach, i wymawiane lodowatym tonem, brzmiało bardzo nieprzyjemnie. Był to nieświadomy odruch, z którego sam Basilio nie zdawał sobie sprawy, ale który nasilał się w ostatnich dniach, w miarę jak w jego umyśle dojrzewała Decyzja. Kiedy Decyzja już została podjęta, powiedzonko zmieniło się w powtarzaną w kółko mantrę, nużącą dla każdego, kto musiał jej wysłuchiwać. Dla każdego, tylko nie dla Basilia.

Dla niego nie. Odnosił wrażenie, że od czasu tej brzydkiej afery z zakonnica sprawą zaczęły się komplikować w paskudny sposób. Przedtem też miał dość kłopotów ze swoimi przełożonymi (Basilia zawsze w którymś momencie dopadały takie czy inne problemy z szefami, niezależnie od tego, kim byli), ale teraz wpadł w poważne tarapaty.

Trzeba zacząć od tego, że nie służył już na „Galicii”. Na czas trwania wewnętrznego dochodzenia, określonego protokołem Marynarki Wojennej Hiszpanii, Basilia czasowo odsunięto od pełnienia obowiązków. W gruncie rzeczy niezbyt go to zmartwiło. „Galicia” stała w ostatnich miesiącach praktycznie pusta, bo strumyk uchodźców wysechł całkowicie. Ta przeklęta, diabelska zakonnica i jej towarzysze byli ostatnimi gośćmi zajmującymi odosobnione cele na statku zakotwiczonym na redzie i służącym za miejsce kwarantanny.

Pilnowanie pustego statku mocno mu zbrzydło (choć nigdy sam by się przed sobą do tego nie przyznał, nieco go przerażało chodzenie po ogromnym, ciemnym wnętrzu przy świetle latarki i nasłuchiwanie tajemniczych postukiwań i trzasków), przede wszystkim jednak w porcie czekały na niego nowe możliwości.

Wszyscy wiedzieli, że ośrodkiem czarnego rynku były nabrzeża, gdzie pod bardziej lub mniej czujnym okiem inspektorów i nadzorców pichciły się najlepsze interesy. Kilka kartonów papierosów lub złote kolczyki wręczone w odpowiedniej chwili mogły sprawić, że strażnik poczuje nagłą i nieodpartą potrzebę pójścia do toalety na półgodzinne sikanko lub że silnik portowej łodzi

patrolowej ulegnie niewyjaśnionej awarii, która w tajemniczy sposób sama się naprawi po paru godzinach. W tym półświatku Basilio poczuł się jak ryba w wodzie i poruszał się z tym wrodzonym talentem graniczącym z geniuszem, który ujawnia się przypadkiem i polega na tym, że ktoś z zewnątrz błyskawicznie ogarnia samo sedno sprawy.

Po raz pierwszy w życiu Basilio czuł, że zaczęło mu się świetnie powodzić i że jeśli się przyłoży, sprawy potoczą się naprawdę BARDZO korzystnie. Jego pierwsze kontakty przynosiły zysk i mimo iż dopiero od kilku tygodni zajmował się interesami, już zarabiał sporo forsy, a przede wszystkim złota.

To, że na wyspach nie istniała legalna waluta, było dla operujących na czarnym rynku doprawdy uciążliwe, ale na razie nieuniknione. Na spustoszonej kontynencie każdy, kto tylko chciał (i kto odważył się stawić czoło Nieumarłym), mógł zawładnąć porzuconymi milionami czy miliardami dolarów, euro i funtów. Lokalny rynek został zalany banknotami, za którymi nie stały już gwarancje żadnego rządu i których nikt nie chciał. Tylko złoto, srebro i klejnoty były prawdziwą walutą w tych czasach, a Basilio wiedział, jak się urządzić, żeby je zdobywać.

Ale przed paroma tygodniami coś się zaczęło psuć. Najpierw, w najmniej dogodnym momencie, wpadł w przeklętą zasadzkę, w której stracił ogromny ładunek nielegalnego rumu, a potem dotarła do niego wiadomość, że cholerna zakonnica nadal żyje!

Basilio Irisarri był brutalem i chamem, ale nie był głupi. Jeśli mniszka przeżyła, pozostawało tylko kwestią czasu, żeby odzyskała przytomność i opowiedziała, co tak naprawdę się zdarzyło. A wtedy żegnaj, świetlana przyszłości, żegnajcie, czarnorynkowe interesy, żegnaj, swobodo. Jedyna droga otwierająca się przed nim to ta prowadząca do portu, gdzie na nabrzeżnych dźwigach pospiesznie wieszano skazanych na śmierć.

Tak więc od chwili, gdy od jednego ze swoich klientów, zatrudnionego w szpitalu lekarza poważnie uzależnionego od coraz trudniejszej do dostania kokainy, dowiedział się, że przeklęta starucha uparcie trzyma się życia, w głowie Basilia dojrzewiała Decyzja.

Nie uważał się za tchórza, zdawał sobie jednak sprawę, że jest spora różnica między dyskretnym załatwieniem kogoś nocą w ciemnej uliczce a wślizgnięciem się w świetle dnia do zapełnionego strażnikami szpitala i zarżnięciem staruszki leżącej we wspólnej sali. Czasy były trudne, a lód, po którym stąpał Basilio, kruchy i zdradliwy. Jeśli starucha umrze w sposób zbyt spektakularny, ściągnie uwagę na jego osobę, a to było ostatnią rzeczą, której Basilio by sobie życzył.

Przez kilka dni Irisarri zastanawiał się, czy nie mądrzej byłoby dać temu spokój. Według lekarza zakonnica znajdowała się w śpiączce, z której najprawdopodobniej już nigdy się nie obudzi. A może nawet, jeśli szczęście mu dopisze, przeklęta starucha szybko wyciągnie nogi i zaoszczędzi mu tym



mnóstwa zmartwień.

Ale właśnie poprzedniego dnia na półwysep wysłano ekspedycję w poszukiwaniu lekarstw. Co się stanie, jeśli przywiozą coś, co zakonnice wyleczy? Istniała oczywiście spora szansa, że ekspedycja nigdy nie wróci, bo załatwią ją Nieumarli, ale Basilio nie mógł sobie pozwolić na ryzyko pozostawienia tej sprawy na łasce losu. Nie teraz, gdy tyle miał do stracenia.

Tak więc w końcu podjął Decyzję. Osobiście zajmie się zakonnica. I od razu poczuł się lepiej.

Tego przedpołudnia Basilio znalazł się więc w korytarzu szpitala w przebraniu pielęgniarza, pchając wózek inwalidzki, na którym siedział Eric Desauss, nerwowy, piegowaty rudzielec, kaszlący w bardzo przekonujący sposób i trzymający schowany pod pledem pistolet Beretta 9 mm, który postanowił wziąć ze sobą „na wszelki wypadek”.

Zdobycie stroju i przepustki było łatwe, choć kosztowało krocie – wystarczył biały proszek dla doktora nałogowca. Nakłonienie Erica do współpracy także nie nastęrczało problemów. Belg, stary znajomy Basilia z półświatka, miał – jak określiliby to lekarz psychiatra – osobowość schizoidalną. Już sama perspektywa wzięcia udziału w zabójstwie zakonnicy wywołała u niego lubieżną przyjemność (oraz ogromną i bolesną erekcję, którą również skutecznie ukrywał pod pledem).

Natomiast dość skomplikowane okazało się poruszanie po tym cholernym domu wariatów. Doktor nałogowiec udzielił Basiliowi wskazówek, jak dotrzeć do sali, w której leżała zakonnica, ale stanowczo odmówił wzięcia udziału w akcji. „Jeśli o mnie chodzi, nie chcę wiedzieć, co takiego kombinujecie, a w razie czego ja was nie znam”, stanowczo podkreślił.

Dlatego właśnie Basilio i Eric już od dwudziestu minut bez mała błądzili po szpitalu, wściekli jak diabli, a złość w Basiliu buzowała jak rtęć w termometrze pozostawionym na grzejniku. Nie mogli tak się tam kręcić przez cały dzień. Wcześniej czy później ktoś się połapie, że po raz trzeci widzi w tym samym miejscu pielęgniarza wiozącego tego samego pacjenta, i będą mieli kłopoty.

– Eric, myślę, że mamy problem, wiesz, młody?

– Co ty powiesz – odwarknął Eric. – Nic dziwnego, skoro już dwa razy byliśmy w tej sali. Wydaje mi się, że przed chwilą ten strażnik uważnie się nam przyjrzał. Może powinniśmy spróbować innego dnia, Basilio...

– Nawet o tym, kurwa, nie myśl – szepnął Irisarri łagodnie, niestrudzenie popychając fotel na kółkach. – Mam w kieszeni tyle morfiny, że uspiłaby słonia. A przy wyjściu ze szpitala rewidują wszystkich, włącznie z personelem. Jak sądzisz, co powiedzą, kiedy znajdą tę pukawkę, którą chowasz pod kocem?

– Możemy to wszystko ukryć gdzieś tutaj – zaproponował Eric, coraz mniej podniecony całą przygodą. – I wrócić innego dnia...

– Nie ma innego dnia, wiesz, młody? To musi być dzisiaj. Teraz. Nie możemy ryzykować i... popatrz! – Basilio Irisarri triumfalnym gestem wskazał tabliczkę z napisem „Sala Rekonwalescencji nr 12” oraz strzałką wskazującą na prawo. – Już jesteśmy!

Basilio przyspieszył kroku. Sala Rekonwalescencji przed apokalipsą była garażem, w którym parkowały karetki pogotowia. Na potrzeby zatłoczonego szpitala prostą i skuteczną metodą, za pomocą białej farby i przez wybicie czterech dużych okien w południowym murze, garaż przekształcono w pomieszczenie dla pacjentów terminalnych. Mimo starań salowych zapach choroby i śmierci w środku był tak intensywny, że nawet dwaj bandyci, przekroczywszy próg, poczuli mdłości. Wśród personelu szpitala sala ta funkcjonowała jako „Umieralnia”. Trafiało do niej wielu, ale tylko nieliczni wychodzili stąd na własnych nogach. Kładziono tu tych wszystkich chorych, dla których nie było nadziei lub też – co częstsze – nie starczało środków leczniczych. Niektóre choroby, w dawnych czasach wymagające kilku dni hospitalizacji, w Umieralni stały się groźnymi wrogami, codziennie koszącymi kolejne istnienia ludzkie. To nie było piekło, to było coś o wiele gorszego. Tu zsyłało się beznadziejne przypadki, aby zniknęły z oczu pozostałym, którzy dzięki temu mogli dalej żyć, udając, że wszystko jest w porządku i że im samym nic nie grozi.

W obszernej sali znajdowało się około pięćdziesięciu łóżek, były porządnie ustawione w dwóch rzędach przedzielonych przejściem pośrodku. Większość z nich była zajęta, z wyjątkiem dwóch czy trzech, ze zwiniętą pościelą i odsłoniętymi materacami. Jakimś ułamkiem świadomości Basilio dostrzegł na jednym z materacy brunatną plamę, najprawdopodobniej z krwi, ale nie tego szukał. Jego spojrzenie skakało od łóżka do łóżka, wyszukując pośród tłumu konających twarzy zakonnicy.

W drugim rogu sali dwie pielęgniarki pochylały się nad pacjentem, który dostał jakiegoś ataku. Nagle jedna z nich odeszła od łóżka i opuściła pomieszczenie drzwiami w głąbi. Pewnie chciała sprowadzić lekarza. Ta druga, nadal odwrócona plecami, nie dostrzegła, że Basilio z Erikiem zatrzymali się pośrodku przejścia, że Belg wstaje z wózka i błyskawicznie, z beretką w dłoni, przykleja się do ściany, by mieć pod kontrolą oba wejścia do sali.

Basilio nie tracił czasu. Wyciągnął z kieszeni strzykawkę z morfiną i podszedł do łóżka, na którym nieruchomo leżała siostra Cecilia. Były marynarz popatrzył na nią przez chwilę. Zdawało mu się, że kobieta skurczyła się w ciągu tych paru tygodni i – z głową owiniętą wielkim zwojem bandaży – przypominała ogromną poczwarkę owada. Przykro mi, stara, pomyślał. Przytrzymał pojemnik z kroplówką, skąd powoli spływał płyn infuzyjny, po czym zbliżył do niego strzykawkę. Nic do ciebie nie mam, ale niepotrzebnie się do tego wmieszalaś. Lepiej by było...

BUM! Huk, wzmocniony przez rozmiary pomieszczenia do grzmotu armatniego wystrzału, wyrwał Basilia Irisarriego z rozmyślań. Zdumiony, odwrócił się w stronę Erica i ujrzał, jak ten oddaje szybką serię trzech strzałów, klęcząc na jednym kolanie. Lekarz, który wbiegał właśnie drzwiami w głębi sali, zatrzymał się jak wryty, jakby natknął się na betonową ścianę, po czym zwałił się na ziemię, a z jego szyi, pulsując, wytrysnął strumień krwi. Ciało towarzyszącej lekarzowi pielęgniarce leżało obok, a ta, która pozostała przy łóżku pacjenta z atakiem, padła na niego, tworząc obraz dziwaczego, obscenicznego i śmiertelnego uścisku, zatopionego we krwi i rozprysniętym mózgu.

– Eric! – zaryczał wściekle Basilio. – Czyś ty, kurwa, zwariował?!

– Pielęgniarka nas widziała! – dziwnie spokojnie odparł Belg, a na jego ustach pojawił się uśmiech szaleńca. – I tak by wszczęła alarm! Co miałem zrobić? – Wzruszył ramionami w uniwersalnym geście mówiącym „czego-ty-ode-mnie-chcesz?”.

Basilio pienił się z furii, ale nie uległ panice. W zimnych mrokach jego umysłu zabłysły wyraźnie dwie myśli: że nie powinien był brać ze sobą na robotę tego maniaka Erica i że muszą jak najszybciej zmiatać. W całym szpitalu niosły się głosy i krzyki, a w oddali brzmiał natrętny, brzęczący odgłos dzwonka, który niewątpliwie był alarmem.

– Spieprzyłeś sprawę, wiesz, młody? – mruknął Basilio ze wściekłością, szybko opróżniając zawartość strzykawki do pojemnika z kroplówką. Stracił kilka sekund cennego, wyliczonego czasu na przyglądanie się, jak płyn kropla po kropli wnika do organizmu zakonnicy. Nie mógł zatrzymać się na papierosa i spokojnie obserwować agonię staruchy, co było jego marzeniem, ale i tak nie wątpił, że komuś z taką ilością morfiny w organizmie nikt już nie pomoże, tym bardziej podczas całego tego zamieszania.

– No już. – Schował strzykawkę do kieszeni, rzucił ostatnie spojrzenie na bladą twarz siostry Cecilii i skierował się do drzwi. – Spadamy, zanim tu...

Jego ostatnie słowa zawisły w powietrzu. Były marynarz otworzył szeroko oczy, widząc dwie sylwetki odcinające się w świetle drzwi. Pierwszą z nich była niziutka pielęgniarka z ostrym makijażem i całkowicie nieregulaminowym dekoltem, ale ta druga... Basilio rozpoznałby tę smukłą sylwetkę i oczy głębokiego zielonego koloru nawet na końcu świata. Zresztą nawiedzały go w snach przez całe tygodnie.

– To ona... to ona... – szepnął z niedowierzaniem. Nagle odzyskał kontrolę nad swoimi emocjami i krzyknął rozkazująco do Erica: – To ona! To ta suka! Załatw ją!

Z uśmiechem, który przeraziłby nawet samego szatana, Belg podniósł pistolet i przesunął językiem po wargach.

Rozległy się dwa strzały jeden za drugim.

## Madryt

Super puma z silnym szarpnięciem usiadła na placu wśród kłębow dymu rozpędzanych przez łopaty. W chwili kiedy śmigłowiec dotknął ziemi, w kabinie rozległ się odgłos jakby rozdieranego metalu. Natychmiast zawył alarm, a wskaźniki na tablicy rozdzielczej rozbłysły na czerwono.

– Prit! Co się dzieje, na Boga? Wiktor! – przerażony krzyknąłem przez interkom.

– Nie wiem! – lakonicznie odparł Ukrainiec i zamilkł.

Cały wysiłek skoncentrował na próbie opanowania śmigłowca, który dotykając ziemi dwoma przednimi kołami, kręcił się w kółko jak bąk. Wszystko, co nie było przymocowane lub przykręcone, wyleciało w powietrze, a kabinę wypełniły krzyki pasażerów, którzy z całych sił trzymali się siedzeń.

Minęła niekończąca się minuta, zanim obroty zwolniły i super puma zastygła nieruchomo. Przez czas jakiś w kabinie nie było słychać nawet najmniejszego dźwięku.

– Wszyscy cali? – odezwał się ktoś po chwili.

Odpowiedział mu chór pomruków. Ostrożnie wstaliśmy z miejsc, jakby w obawie, że Prit zdecyduje się uraczyć nas dodatkową porcją szaleńczej karuzeli. Byliśmy poobijani, ale na szczęście cali i zdrowi.

– Czy ktoś może mi powiedzieć, co to, do diabła, było? – spytał Tank.

– Proszę zapytać pilota, komendancie – kwaśnym tonem odparł jeden z sierżantów. – Ja nadal próbuję ustalić, gdzie jest mój żołądek.

Ale Tank nie mógł zapytać pilota, bo ten odpiął pasy i błyskawicznie wyskoczył na zewnątrz. Skierował się w stronę ogona, skacząc pomiędzy zwęglonymi ciałami. Po kilku sekundach, które dłużyły się w nieskończoność, znajoma wąsata twarz ponownie pojawiła się w kabinie.

– Śmigło ogonowe się urwało – powiedział spokojnie, odkręcając nakrętkę piersiówki. – No i nie możemy wystartować.

– Co to znaczy, że nie możemy wystartować? – spytał jeden z żołnierzy cichym głosem. – A kiedy będziemy mogli?

– Nigdy. – Ton głosu Ukrainca, najbardziej pasowałby do omówienia niedzielnego meczu. – Wybuch napalmu lub jakiś przelatujący odłamek całkiem

oderwały śmigło ogonowe. Albo samo odpadło. Ten śmigłowiec miesiącami stał opuszczony pod gołym niebem, tak więc trudno powiedzieć. – Podrapał się po głowie w zamyśleniu. – Wiem tyle, że super puma jest kaput. Nieżywa.

– Nie może go pan zreperować? – zaapelował Tank.

– Mógłbym – przyznał Wiktor po głębszym zastanowieniu. – Gdybym miał nowe śmigło, kompletny zestaw przekładni różnicowych, skrzynkę piwa, dwóch przeszkolonych mechaników do pomocy i dwadzieścia godzin do dyspozycji. Tak więc, chyba nie mogę – zakończył flegmatycznie.

– To co my teraz zrobimy? – W głosie pytającego brzmiał lęk. – Jak wrócimy?

– Musimy poszukać innego środka transportu. – Pritzenko wzruszył ramionami. – Nie mamy innego wyjścia.

Przez kabinę przeleciał podmuch lodowatego strachu. Nie trzeba było geniusza, aby zrozumieć, że nasze szanse przeżycia właśnie skurczyły się niemal do zera.

– Prit – powiedziałem nagle z paniką w głosie. – To znaczy, że my też musimy im towarzyszyć. Musimy wejść razem z nimi tam, do środka...

– Wiem – zgodził się Ukrainiec pogodnie, jak gdybym właśnie zaproponował mu spacer po plaży.

– Jak możesz do tego podchodzić z takim spokojem? – wybuchnąłem z oburzeniem.

– Fatalizm – odpowiedział ze smutnym uśmiechem. – Fatalizm.

– O czym ty mówisz, człowieku?

– No to posłuchaj. – Pociągnął długi łyk z piersiówki i mówił dalej: – Po pierwsze, śmigłowiec jest uszkodzony i nie może latać. Po drugie, nawet gdybyśmy tu zostali, to sam się nie naprawi. Tak chciał los, *ponimajesz?* Jest tak, jak jest i jak ma być, a narzekanie nic nie pomoże. *Tak, toczno.*

– Wiesz co? – Doprowadzony do ostateczności przewróciłem oczami. – Niekiedy twoja mentalność jest jak dla mnie zanadto rosyjska. Działasz mi na nerwy!

– Ukraińska – sprecyzował Prit. – Mentalność ukraińska. Rosjanie mieszkają trochę dalej.

– Niech ci będzie, Wiktor, niech ci będzie. – Dałem sobie z nim spokój. W takich chwilach z Prita wyłaziła jego chłopska, słowiańska dusza. Podobnie jak czynili jego przodkowie przez całe wieki, z rezygnacją przyjmował przeciwności losu. Jego jedyną reakcją było wtedy zacisnąć zęby i iść do przodu... bo nie istniało miejsce, dokąd można by się wycofać.

Kilku członków ekipy już otworzyło boczne drzwi i szykowało się do wyjścia na zewnątrz. Popatrzyłem na nich z powątpiewaniem. Nagle poczułem, że jest

mi zimno, bardzo zimno, choć pot ściekał mi po plecach.

Usiłowałem przełknąć ślinę, ale gardło miałem wyschnięte na popiół. Próbowałem wyciągnąć z kieszeni paczkę chesterów. Ze zgrozą stwierdziłem, że strasznie drżą mi ręce i nie jestem w stanie nawet odpiąć guzika. Lęk mnie pożerał, czułem, jak jego niewidoczna dłoń ściska mi serce. Nie byłbym chyba nawet zdolny postąpić dwóch kroków do przodu. Doznałem objawienia: umrę. To już koniec mojego życia. Mroczki latały mi przed oczyma, czułem nudności, Boże drogi...

– No, co ty? Spokojnie! – Znajomy, wspierający głos Wiktora Pritczenki przywrócił mnie do rzeczywistości. Ukrainiec położył mi rękę na ramieniu i patrzył uważnie, zbliżając twarz do mojej na odległość kilku centymetrów. Wyciągnął z mojej kieszeni papierosy, zapalił jednego i wsadził mi w usta.

– Prit, nie wyjdę tam, na zewnątrz. – Mój głos przypominał krakanie wrony.  
– Zabiją mnie, dorwą w okamgnieniu. Do kurwy nędzy, co my tutaj właściwie robimy...

– Wszystko będzie dobrze. – Niewysoki Słowianin pomógł mi wstać, drugą ręką przewieszając sobie karabin przez ramię. – Poszło ci świetnie poprzednio i teraz też ci świetnie pójdzie, więc się nie przejmuj. Byliśmy w znacznie gorszych miejscach, ty i ja, tylko we dwóch, i udało nam się ująć z życiem. Prawda?

Potwierdziłem z powątpiewaniem. Już niemal wszyscy opuścili śmigłowiec i z zewnątrz dochodziły do nas podniecone okrzyki. Tank wzywał nas głośno, a reszta ekipy zajmowała przewidziane stanowiska.

– Pamiętasz ten sklepik w Vigo i Pakistańczyków? – Na ustach Wiktora pojawił się uśmiech. – Tam to już naprawdę siedzieliśmy po uszy w najgorszym gównie, gdy sami, bezbronni, otoczeni zgniluchami ukryliśmy się w tym pieprzonym schowku... Jeśli wtedy nam się udało, to teraz też nam się uda... Jak to się mówi?... Z palcem w nosie! No właśnie!

Potwierdziłem i mimowolnie uśmiechnąłem się, jeszcze drżąc bezwiednie. To prawda, jak tak na to spojrzeć, to Pritczenko miał rację. Kiedy nas zaszeregowano jako „weteranów”, nieco się zdziwiłem, ale faktycznie niewielu ludzi przebywało przez tak długi czas wśród Nieumarłych jak my i nadal było w takim stanie, aby móc o tym opowiedzieć.

Ale i tak westchnąłem ze zniechęceniem. Jeśli to my byliśmy tymi najlepszymi, którzy mieli ocalić ludzkość, to rysowały się przed nią gorsze perspektywy, niż sądziłem na początku.

No cóż. Zaciągnąłem się głęboko papierosem, patrząc, jak Argentyńczyk umieszcza na trójnogu MG3 wyćwiczonym, zmęczonym gestem człowieka, który robił to już miliony razy. Zgoda, pomyślałem, to prawda, że znaleźliśmy się znowu w tym bagnie, ale przynajmniej teraz mamy plan i jesteśmy otoczeni

ludźmi, którzy wydają się dość kompetentni w swoich poczynaniach. A ponadto mieliśmy siebie nawzajem z Wiktorem, a to już było coś. I może chłopcy od napalmu znowu przelecą się gdzieś po okolicy, aby oczyścić nam drogę. Może jednak istnieje jakiś ułamek prawdopodobieństwa, że ujdziemy stąd cało. Dlaczego nie.

– Gotowy? – Ukrainiec hałaśliwie przeładował swój HK416.

– Gotowy, kolego – odpowiedziałem, ostrożnie wyciągając glocka z kabury. – Zadbaj też o moją dupę, nie tylko o swoją, dobra?

– To się rozumie samo przez się. Lucía by mnie zabiła, gdyby ci się coś stało. Do tego nie mam najmniejszej ochoty zajmować się twoim kocurem – odparł z uśmiechem. – Idziemy.

Wyskoczyliśmy na nawierzchnię placu, a raczej na to, co ja uznałem za nawierzchnię placu. Noga wpadła mi natychmiast w dziurę, która pojawiła się ni stąd, ni zowąd. W nozdrza wionęło mi potworną zgnilizną, a Pauli popatrzyła na mnie z mieszaniną zaniepokojenia i rozbawienia.

– Uwważaj! – Machnęła ręką. – Właśnie wlałeś temu biedakowi w płuca!

Ze zgrozą stwierdziłem, że to, co wziąłem za okopconą betonową nawierzchnię, było w rzeczywistości warstwą spalonych, dymiących ciał. Wyskakując ze śmigłowca, prawą nogą trafiłem prosto w zwęglony tors trupa i zmiażdżywszy mu żebra, stanąłem na resztkach jego kręgosłupa. Ze wstrętem cofnąłem nogę, uwalniając but i niemal tracąc równowagę.

Ręka Tanka uchwyciła mnie silnie za ramię, dzięki czemu uniknąłem upadku w sam środek spalonych resztek.

– Proszę dołączyć do grupy – powiedział sucho, wlepiając we mnie swoje oczy rekina. – I niech pan chroni informatyka. Bez niego to wszystko nie ma sensu.

Wyrwałem mu się, zadając sobie pytanie, co, do licha, ma do zrobienia ten Broto, że jest aż tak ważny. Wzruszyłem ramionami i podszedłem do Prita, usiłując omijać leżące na ziemi popalone ciała.

– Idziemy z nimi – wskazał na Pauli i Marcela. – Najwidoczniej mamy chronić tego wielkiego, wystraszonego informatyka.

– Wiesz po co?

– Nie mam pojęcia – westchnął Wiktor. – Ale myślę, że za kilka minut... Uwważaj!

Ukrainiec odskoczył na bok, abym nie zasłaniał mu linii ognia. Choć oszołomiony, zdołałem odwrócić się na czas, aby zobaczyć, że za moimi plecami, w odległości niespełna trzech metrów, znajdują się dwaj koszmarnie pokiereszowani Nieumarli. Nie sposób było określić ich wieku ani płci, bo niemal doszczętnie się spalili, ale jak na swój stan, poruszali się zadziwiająco



żwawo.

Wiktor podniósł swój karabin i otworzył ogień do tego po prawej. Odgłos strzału zlał się z terkotem broni innych członków ekipy. Nasza obecność przyciągała uwagę tych wszystkich Nieumarłych, którzy jeszcze mogli się poruszać.

Napalm wykończył ogromną większość, ale pozostały jeszcze dobre trzy lub cztery tuziny tych paskudztw i te właśnie zbliżały się powoli, zamykając nas i śmigłowiec w śmiertelnym kręgu. Ryk HK416 mieszał się z suchym szczekotem glocków, a w tle rozbrzmiewał rytmiczny stukot MG3, odpalanego przez Argentyńczyka w krótkich, przerywanych seriach.

Nasi dwaj Nieumarli podeszli bardzo blisko i jedynie ja i Wiktor mogliśmy im stawić czoło. Reszta ekipy była w podobnych tarapatach, strzelała w innych kierunkach i nikt nie dbał o nic oprócz swojego bezpośredniego otoczenia. Hałas był ogłuszający, a to przyciągało coraz więcej Nieumarłych, choć stopniowo kładliśmy ich pokotem.

Pierwsza seria Pritczenki naznaczyła różańcem otworów klatkę piersiową Nieumarłego. Ten zachwiał się od uderzenia, lecz po chwili podjął groźny marsz. Ukrainiec starannie wycelował mu w głowę i poprawił drugą serią. Głowa zamieniona w lepłą masę rozprysła się na wszystkie strony, a Nieumarły zwałił się na ziemię jak worek. Prit już o niego nie dbał. Rozważnie wymierzył w tego drugiego, głęboko odetchnął i nacisnął spust.

Broń wydała metaliczny i złowróżbny szczęk. Zastygliśmy jak słupy soli, natomiast Nieumarły zbliżał się nadal niepowstrzymanie.

– Zaciął się! – wrzasnął Ukrainiec. – Zaciął się, pieprzony! Strzelaj, szybko!

Jak we śnie, poza zasięgiem świadomości, podniosłem glocka. Widziałem swój kciuk odciągający rygiel zamka, tak jak nauczył mnie instruktor na Teneryfie. Cała moja uwaga skoncentrowała się na istocie, która szła w naszym kierunku. Stopniowo odpłynął ode mnie odgłos wystrzałów wokół, a potem reszta świata. W całym kosmosie istniały jedynie ten zwęglony potwór, przyrządy celownicze ciężkiego glocka i ja.

Słyszałem swój własny oddech. Czuję, jak mój palec wskazujący powoli naciska język spustu.

Strzeliłem.

Ale jedynym efektem był straszny, głuchy metaliczny stuk iglicy.

## Teneryfa

Pierwsze, co zwróciło uwagę Lucii, były wystrzały.

Następnie, gdy tylko stanęła w ciężkich przeciwpożarowych drzwiach z czerwoną liczbą 12 wymalowaną na każdym ze skrzydeł, uderzyła ją niezwykła, ciężka cisza. Nad łóżkiem siostry Cecylii schylał się odwrócony plecami do wejścia korpulentny pielęgniarz. Przytulał policzek do jej głowy, jak gdyby zwierzał się właśnie z jakiegoś sekretu.

Zanim jeszcze jej umysł zdołał przeanalizować dziwną sytuację, Lucia kątem oka dostrzegła ruch w sali. Obok ściany po prawej stronie przemykał rudy facet, trzymając prawą rękę schowaną za tułowiem.

Stoi mu jak ogierowi przed kryciem, zdążyła pomyśleć, zbita z tropu i rozbawiona, gdy nagle rudzielec wyciągnął rękę zza pleców i skierował w stronę drzwi lufę matowocznego pistoletu.

Czas nie może się zatrzymać, Lucia była tego pewna. A przynajmniej była tego całkiem pewna jeszcze na pięć sekund przed otwarciem tych przeklętych drzwi. Jednak w chwili, gdy rudy facet po raz pierwszy nacisnął spust, poczuła, że czas właśnie się zatrzymał lub zamienił w niezwykle gęstą i kleistą substancję, ciągnącą się jak roztopiony karmel.

Pierwszy pocisk wbił się w drzwi tuż obok jej prawego ucha, odłupując drzazgi z framugi. To wystarczyło, aby wyrwać dziewczynę z chwilowego bezwładu. Lucia dała krok w tył, poza zasięg strzałów. Maite jak zahipnotyzowana stała w progu z wyrazem zdumienia na twarzy, przyciskając do piersi kubek z namiastką kawy. Nie mogła odwrócić wzroku od zabójcy, który biegnąc w jej stronę wzdłuż bocznej ściany sali, ponownie unosił broń do strzału.

Drugi strzał trafił Maite nieco poniżej serca z taką siłą, że poderwał ją w powietrze. Potoki krwi i kawy trysnęły na wszystkie strony. Mała pielęgniarzka wykonała niemalże baletowy piruet, uderzyła w skrzydło drzwi i osunęła się po nim na ziemię, gdzie zastygła nieruchomo, a jej oczy nawet na moment nie utraciły wyrazu zdumienia.

– Nie tę, idioto! Tę drugą! To ta druga! Ta wysoka! – Lucia usłyszała krzyk „pielęgniara”.

Na dźwięk tego głosu przez jej umysł przebiegł prąd nagłego olśnienia.

Natychmiast pojęła, że los zakonniczy został już przesądzony. A ponadto, że jeśli natychmiast nie ucieknie, za chwilę będzie także po niej.

Jęknęła ze strachu, czego nikt oprócz niej samej nie mógł usłyszeć, i w tej samej chwili wystartowała do biegu po życie.

W szpitalu panował totalny chaos. Wszędzie brzęczały dzwonki alarmowe, a grupy uzbrojonych mężczyzn (niektórzy w mundurach, inni nie) mieszały się z dziesiątkami ogarniętych paniką pacjentów, zaskoczonych lekarzy i bezradnym personelem szpitalnym.

– To frojle! To pieprzone frojle! – wył jakiś facet ubrany w wojskowy mundur nieznanej Lucii formacji, poganiając w stronę wejścia do budynku bezładną grupę żołnierzy.

Z drugiej strony dochodziły długie serie z broni, które Lucia natychmiast rozpoznała jako wystrzały z HK416. Następnie rozległ się stłumiony wybuch i stukot innej broni palnej, której nie знаła (ale którą Pritczenko, gdyby tam był, nieomylnie określiłby jako AK47). Zamęt panujący w budynku i paranoiczny strach przed infiltracją frojłów sprawiły, że dwie uzbrojone grupy zaczęły strzelać do siebie nawzajem, a szpital w ciągu paru chwil zamienił się w rozszalały dom wariatów.

Nie wiadomo skąd pojawił się szpitalny wózek, uderzył dziewczynę w biodro i przewrócił na ziemię. Lucia poczuła, jak przez nogę przebiega jej gorący prąd bólu, jakby od rozpalonego żelaza. Stłumiła przekleństwo i podnosząc się, rzuciła wzrokiem w stronę korytarza wiodącego do sali numer 12. Obok rudego faceta z pistoletem stał tam Basilio Irisarri. Jej oprawca też ją zobaczył, klepnął w ramię zabójcę i zaczął przedzierać się przez gęsty tłum.

Lucia nie traciła czasu. Schwyciła się wózka i podnosząc się, popchnęła rupiec, który wywrócił się na środku korytarza. Miała tę przewagę nad swoimi prześladowcami, że znała budynek szpitala, jednak sporo siły traciła na roztrącanie dziesiątek osób biegających dookoła jak w amoku. Nie odwracała się, ale miała świadomość, że bandyci stopniowo skracają dystans.

Dotarła do skrzyżowania korytarzy. Jeśli skieruje się w prawo, dojdzie do drzwi wejściowych i nimi wydostanie się na zewnątrz. Miała nadzieję, że pomimo panującego bałaganu w drzwiach stoi jakiś strażnik. Jeszcze tylko sto metrów tym korytarzem...

Seria z karabinu maszynowego niemal oderwała jej głowę, gdy tylko postawiła nogę w korytarzu. Instynktownie upadła na podłogę. Zza jej pleców padł grad pocisków skierowany w stronę, skąd oddano pierwsze strzały. Niespodziewanie Lucia wraz z dobrą pięćdziesiątką innych osób znalazła się w krzyżowym ogniu między dwiema wrogimi grupami, które nie przestawały wykrzykiwać rozkazów i haseł.

– Lepiej stąd spadaj, dziewczyno, bo jak nie, to masz przechlapane –

warknęła Lucía, pełznąc w stronę bocznych drzwi.

Nieznany pielęgniarz zwałił się tuż obok niej z głową rozplataną pociskiem. W powietrzu czuć było odór prochu, krwi i odchodów, a wycie z bólu mieszało się z histerycznymi wrzaskami rannych i poszkodowanych.

Jakiś kapitan Gwardii Cywilnej, który pojawił się Bóg wie skąd, usiłował zapanować nad chaosem. Wychodził z siebie i wrzeszczał jak opętany:

– Wstrzymać ogień, do pioruna, bo strzelamy sami do siebie!

Jego wysiłki na chwilę przyniosły skutek i przynajmniej niektórzy ze zdezorientowanych strzelców zdjęli palce ze spustu.

Lucía poczuła nagłą ulgę. Nareszcie ktoś próbuje opanować sytuację. Zaczęła się czołgać w jego kierunku, ale zastygła w pół ruchu, ujrawszy tuż przy kapitanie uśmiechniętą twarz rudego faceta, który zabił Maite.

Eleganckim gestem, jak fryzjer, który po ostrzyżeniu klienta strzepuje mu włos z koszuli, Eric Desauss podniósł pistolet i strzelił z przyłożenia w kark niespodziewającego się niczego kapitana. Gwardzista padł na ziemię jak rażony piorunem, a z jego szyi wytrysnął obfity strumień krwi. Strażnicy, którzy poprzednio wstrzymali ogień, usiłowali teraz dosięgnąć zabójcę, ale zanim im się to udało, z drugiego końca korytarza padła seria z karabinu maszynowego, kosząc kilku z nich.

Znowu wybuchł chaos. Pozostali strażnicy zapomnieli o samotnym strzelcu i skoncentrowali się ponownie na grupie, z którą wcześniej toczyli zwadę. Basilio Irisarri wykorzystał tę okazję, aby zaopatrzyć się w karabin, który upadł na ziemię.

– Tam! Tam zwiąła! Tamtymi drzwiami! – krzyknął.

Nucąc pod nosem jakąś piosenkę, Belg przeskoczył nad zakrwawionymi zwłokami gwardzisty i skierował się do drzwi śladem Basilia. Sprawdził, czy broń jest nabita. Rozporek mu pękał, a głęboka rozkosz przenikała całe ciało. Zręcznie unikając krzyżowego ognia na korytarzu, uśmiechnął się promiennie, oczyma wyobraźni widząc samego siebie, jak już wkrótce masturbuje się nad trupem tej dziwki.

## Madryt

Przez sekundę dłużącą się w nieskończoność stałem jak wryty, wpatrując się w glocka. Pieprzony pistolet nie wystrzelił. Ale nie miałem czasu na namysły. Nieumarły rzucił się na Wiktora, zajętego zmianą magazynka w swoim HK416. Z gardłowym warkotem na wpół zwięglony zgniluch schwytał małego Ukraińca za ramię z niedwuznacznie morderczym zamiarem.

Jedynie przypadek uratował Pritczenkę od pewnej śmierci. Odruchowo podniósł karabin i – używając go jak piki – gwałtownie wbił lufę w klatkę piersiową umarlaka. Ten nagle się zatrzymał, niewątpliwie przypłacając cios jakimś złamanym zębem. Prit stąpnął do tyłu, potknął się i – całkowicie bezbronny – upadł na plecy.

Na taką okazję czekał Nieumarły. Opuścił się na kolana i zwałił całym ciężarem na mojego przyjaciela, który walczył wściekle, starając się wywinąć ze śmiertelnego uścisku. Jakby w zwolnionym tempie widziałem zęby zgnilucha (doskonale widoczne w straszliwej szczelinie, w którą ogień zamienił jego wargi) kłapiące jak paści na wilki w odległości kilku centymetrów od twarzy bladego z przerażenia Słowianina.

– Zabierz go ze mnie! *Dawaj, dawaj!* – wrzeszczał Wiktor jak opętany.

Z rozpędu, wkładając w to całą swoją siłę, wymierzyłem potężnego kopniaka w bok nadgniętego kolesia. Ten kop wystarczyłby, aby pozbawić tchu, a może i życia normalnego człowieka. Na nieszczęście istoty, z którymi walczyliśmy, były ulepione z innej gliny. Nieumarły jednak na kilka sekund stracił równowagę i puścił Wiktora, a ten wykorzystał moment i wyślizgnął mu się, po czym odczołgał na bok.

Uwaga zdechlaka zwróciła się ku mnie. Odstąpiłem krok do tyłu, zwiększając dystans. Nieumarły z trudem podnosił się na nogi. Wiktor cicho zaszedł go od tyłu, trzymając w ręku swój gigantyczny nóż myśliwski, którym miał zamiar poderżnąć mu gardło.

Ale zanim uczynił choć jeden gest, w skroni Nieumarłego pojawił się miniaturowy wulkan, spryskując materią wszystko wokół. Ciało upadło jak worek, a Wiktor i ja staliśmy przez chwilę twarzą w twarz, zdumieni i niesłychanie zadowoleni, że nadal jesteśmy żywi.

– W co wy się, chłopcy, bawicie?

Pytanie Pauli padło tak niespodziewanie, że aż podskoczyliśmy. Na całej planecie nie było chyba bardziej rozkosznego dźwięku niż jej głos.

Mała Katalonka klęczała na jednym kolanie, a z lufy jej HK416 unosiło się jeszcze pasemko niebieskawego dymu. To ona strzeliła do Nieumarłego, a teraz patrzyła na nas z wyrazem sarkazmu w oczach.

– Widzę, że lubicie przytulanki... – W jej głosie brzmiała drwina. – Powinniście jednak wiedzieć, że tarzanie się ze zgniluchami jest w bardzo złym guście. – Podniosła się i starannie strzepnęła pył z kolan. – W każdej chwili można złapać coś paskudnego, ale co ja wam będę tłumaczyć, w końcu to wasza sprawa...

– Ta przekłeta pukawka się zacięła – zaprotestowałem oburzony, wskazując na karabin Prita. – A mój pistolet także zachował się nie lepiej. – Potrząsałem jej glockiem przed nosem. – Więc nie opowiadaj mi tu dyrdymałów, do cholery!

– Zacznijmy od tego, że to nie pukawka, tylko karabin – poprawił mnie Marcelo, rozcierając prawe ramię obolałe od utrzymywania ciągłego ognia ukaemem MG3. – A ponadto wyjaśnijcie, jak wam się udało zaciąć naraz dwie sztuki broni palnej? Nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego!

Naburmuszony, podałem mu swojego glocka. Argentyńczyk wyciągnął magazynek i starannie mu się przyjrzał. Po chwili podniósł głowę i popatrzył na mnie z wyrazem niedowierzania na twarzy.

– Wyciągnąłeś z niego pierwszy nabój, ty palancie?

– Eee... Tak. – Krew napłynęła mi do twarzy. Jak mogłem być takim kretynem?

Pomimo że zostałem pobieżnie przeszkolony ze strzelania na Teneryfie, nie mogłem przemóc lęku, że pistolet wystrzeli przypadkowo, kiedy będę go wyciągał z kabury. Postanowiłem usunąć pierwszy nabój z magazynku przed załadowaniem go do pistoletu, aby podczas ładowania nie trafił do komory naboowej.

Wiedziałem co prawda doskonale, że powinienem przeładować broń, zanim strzelę, ale w zamęcie zupełnie o tym zapomniałem. Jeśli glock nie wystrzelił, to jedynie z powodu mojego własnego zaniedbania. Zawstydziłem się tak bardzo, że przez chwilę wolałbym chyba, żeby raz a dobrze załatwił mnie ten przysmażony Nieumarły, który leżał u moich stóp.

– Co za ludzi nam tu przysłali?! – skomentował głośno jeden z młodszych legionistów, spluwając z pogardą na ziemię. – Całkowici amatorzy!

– Lepiej uważaj, do kogo mówisz, smarkaczu! – Prit stanął czupurnie naprzeciw legionisty, a w jego niebieskich oczach lśnił niebezpieczny, morderczy błysk. – Kiedy ty jeszcze się klockami bawiłeś, ja już podrzynałem gardła mudzahedinom w Czeczenii.

Głos Ukraińca był spokojny i lodowaty. Zdałem sobie nagle sprawę, że bez

mrugnięcia okiem wypatroszyłby faceta, gdyby dał mu najmniejszy pretekst. Prit wskazał na mnie, mówiąc:

– Ten człowiek przeżył więcej, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić, i wyszedł cało z sytuacji, w których ty posrałbyś się ze strachu, więc zamknij gębę, dobra?

Legionista popatrzył w bok, szukając poparcia, ale reszta ekipy była już daleko i nie brała udziału w naszej dyskusji. Głośno przełknął ślinę i podniósł pojednawczo rękę.

– Spokojnie, stary – powiedział. – Mam nadzieję, że sami będziecie umieli zadbać o wasze tyłki, bo ja nie mam zamiaru ruszyć palcem w waszej obronie, zrozumiano?

Obrócił się do nas plecami i z podkulonym ogonem pomaszerował w stronę drzwi do magazynu z lekarstwami.

– Co się stało twojemu HK, Prit? – spytała Pauli, nie komentując scenki, która się właśnie rozegrała. – Zaciął się ten rupieć?

Ukrainiec wyciągnął magazynek i nacisnął iglicę karabinu. Błyszczący pocisk wyskoczył jak z procy i z brzękiem upadł na ziemię. Wiktor podniósł go i podał Pauli.

– O cholera! To seria czterdzieści osiem! – Katalonka ze zmartwioną miną podała pocisk Marcelowi.

Argentyńczyk obejrzał łuskę i machnął ręką.

– Jest źle skalibrowana...! Niech to szlag!

– Co się dzieje, Marcelo? – spytałem zaniepokojony.

Coś było nie tak, ale za Chiny nie domyślałem się, o co chodzi.

– Od kiedy świat runął, zużyliśmy ogromne ilości amunicji w starciach z Nieumarłymi – wyjaśniła Pauli, gorączkowo sprawdzając swój magazynek. – Każda wyprawa to strata setek pocisków, których nie da się niczym zastąpić. Pół roku temu sami zaczęliśmy produkować naboje, bo zapasy osiągnęły poziom krytyczny. Problem polegał na tym, że na Kanarach nie było sprzętu potrzebnego do produkcji odpowiednio precyzyjnych łusek, tak więc musieliśmy zacząć od zera i najpierw go wytworzyć.

– To chyba dobrze, nie?

– Niezupełnie. Nie cały wyprodukowany materiał spełnia wymogi jakości i od czasu do czasu trafia się zdefektowana partia amunicji. Straciliśmy podczas wypraw kilka ekip, zanim zorientowaliśmy się, co takiego się dzieje. Nasza amunicja powinna była zostać starannie przetestowana, zanim wsiedliśmy do samolotu, ale jak widać, tak się nie stało.

– To czyjś błąd? – spytał naiwnie David Broto. Informatyk dość dobrze zniósł pierwszy kontakt z Nieumarłymi i wydawał się w niezłym stanie ducha,

zważywszy na okoliczności.

– Albo sabotaż... – wyraził ponure przypuszczenie jeden z sierżantów, sprawdzając swoje magazynki. – Ten także jest wadliwy! A to sukinsyny!

– Frojle? – zasugerował Broto.

– Może i frojle... Któż to wie? – Marcelo przeciągnął się jak kot i ruszył w kierunku swojego MG3. – Ja wiem tylko, że Tankowi się to wszystko wcale nie spodoba.

Sabotaż? W głowie mi się kręciło... O co w tym wszystkim chodzi? Zanim zdążyłem sformułować jakieś pytanie, w środek naszej grupy jak bomba wpadł Tank, wyszczekując rozkazy:

– Co tu robicie, do jasnej cholery? Stoicie jak słupy! Biegiem, biegiem, ruszać się! – Złapał jednego z legionistów za pasek od plecaka i pociągnął go w kierunku budynku. – Musimy się spieszyć!

Potknąłem się o plecak, podniosłem go z ziemi i poszedłem za resztą grupy do zardzewiałych schodów ewakuacyjnych wiodących do magazynu.

Z dreszczem przerażenia pojąłem, że jeśli większość naszej amunicji jest wadliwa, to mamy problem, i to niemały.

Nagle doznałem dojmującego przeczucia, że jedynie nielicznym z nas będzie dane ujrzeć następny świt.



## Teneryfa

Lucía znalazła się w zupełnie sobie nieznanym skrzydle ogromnego kompleksu szpitalnego. W jasno oświetlonym korytarzu nie było żywej duszy. Nie było tu nic, ani wózka, ani noszy, nic... nawet żadnych cholernych drzwi, za którymi można by się schronić, myślała ze złością, sadząc wielkimi susami przed siebie. Biodro, w które kilka minut wcześniej się uderzyła, pulsowało bólem. Za kilka godzin pojawi się tam wspaniały siniak, ale to było teraz jej najmniejszym zmartwieniem.

Odgłosy strzelaniny docierały do niej stłumione przez podwójne izolowane drzwi, przez które się tu dostała, natomiast dobrze słyszała podniecone głosy swoich prześladowców. Spocona z wysiłku przyspieszyła, mając nadzieję, że już za chwilę trafi do jakiegoś bezpieczniejszego miejsca lub, jeszcze lepiej, do wyjścia z budynku.

Zakręciwszy za róg, Lucía nagle się zatrzymała. Przy bramce kontrolnej z wykrywaczem metali nie było nikogo. Na biurku leżała gazeta, a obok niej stał kubek z namiastką kawy, do połowy pełny i jeszcze parujący. Stojące na stercie teczek radio nadawało cicho lekką muzykę. Zapewne strażnicy wybiegli do centralnego holu na dźwięk alarmów. Najprawdopodobniej to właśnie oni stanowili jedną z grup ostrzeliwujących się teraz po drugiej stronie drzwi.

Pospiesznie, zrzucając na podłogę kupę papierów, przejechała dłonią po powierzchni biurka w poszukiwaniu jakiejś broni. Jedyne, co znalazła, to magazynek do pistoletu i maleńki scyzoryk.

Cholera jasna, powiedziała sama do siebie, bezskutecznie próbując otworzyć szuflady biurka. Musisz coś wymyślić, Lucío, bo inaczej masz przechłapane. I to do reszty przechłapane.

Jej wzrok padł na kolorowy plakat wiszący na ścianie wewnątrz kontrolowanego obszaru. Była na nim grupka uśmiechniętych żołnierzy rozdających z ciężarówki żywność i hasło „Hiszpańska Trzecia Republika dba o Ciebie”. Tuż pod plakatem stała szafka na dokumenty z niedomkniętą górną szufladą. Najprawdopodobniej strażnicy opuścili punkt kontroli tak nagle, że zapomnieli zamknąć ją na klucz.

Z sercem podchodzącym do gardła Lucía zajrzała do środka. Ku swemu rozczarowaniu znalazła tylko niewielki plik kart magnetycznych oraz notes z tabelką kontrolną, gdzie ktoś wypisał ręcznie serię nazwisk i godzin. Lucía

domyśliła się, że jest to rejestr osób, którym wręczono karty. Już miała odłożyć notes, gdy zauważyła, że na górnym marginesie tabelki widniał napis innym charakterem pisma.

71410NK

Szybkim ruchem wyrwała kartkę i wsadziła ją do kieszeni, a potem znów ruszyła pędem po korytarzu. Kroki prześladowców było słycać coraz bliżej.

Po kilku metrach zatrzymała się na podeście schodów i przełknęła ślinę. Dotąd nie traciła nadziei, że korytarz zawiedzie ją na zewnątrz budynku, a tutaj miała przed sobą tylko schody w dół. Znajdowała się na parterze, a więc schody mogły prowadzić jedynie do podziemi szpitala.

– Och, nie, Boże drogi. Znowu do szpitalnych podziemi, nie, proszę, tylko nie to. Pomyślała, że sytuacja jest tak absurdalna, że wręcz śmieszna. Jakie jest prawdopodobieństwo, że człowiek dwa razy w życiu będzie musiał schronić się w podziemiach szpitala, żeby ocalić życie?

Bardzo niewielkie, uznała. Mniejsze chyba niż wygrana na loterii. Może takie jak to, że cię trafi piorun. Zresztą nieważne. Jedyne, co się liczy, to to, że jeśli nie zejdziesz po tych schodach, ta para maniaków ją dorwie. A ten rudy facet ją przerażał... Pod jego spojrzeniem czuła się zbrukana. Nie miała najmniejszej ochoty się z nim spotkać.

Zrezygnowana zaczęła schodzić po schodach. Były szerokie, skrupulatnie wysprzątane i dobrze oświetlone. W powietrzu unosił się lekki zapach środka dezynfekcyjnego i gdyby nie brak okien (oraz ludzi, zanotowała mimochodem w myślach), byłyby to zupełnie zwykłe schody.

Schodziła i schodziła, aż dotarła do niższego poziomu. W tej strefie kafelki na podłogach i ścianach były inne niż na górze, w dość brzydkim zielonkawym kolorze, natomiast sam korytarz nie różnił się niczym od poprzedniego. Jedyne czerwone strzałki wymalowane na ścianie i symbol, którego Lucía nie umiała odczytać, nadawały mu specjalny charakter.

Dyszząc z wysiłku, zatrzymała się na chwilę, aby złapać oddech. Kłuło ją boleśnie w boku już od paru minut i bała się, że serce odmówi jej posłuszeństwa. Kroki na schodach przekonały ją jednak, że musi iść dalej. Bez wahania podążyła za strzałkami, podczas gdy natrętny głosik w jej głowie powtarzał jak katarynka pytanie, co, do diabła, robi, jeśli znajdzie się w zaułku bez wyjścia.

Wreszcie doszła do kwadratowego przedsionka. Na ciężkich metalowych drzwiach widniał ten sam symbol, który zauważyła w korytarzu. Lucía widziała już kiedyś coś podobnego, ale była tak przerażona, że nie mogła sobie przypomnieć, co to takiego.

Obok drzwi znajdował się panel z guzikami i szparą. Lucía przyjrzała mu się uważnie. Jak w telefonie komórkowym, każdy z przycisków na klawiaturze

odpowiadał kilku literom i cyfrom. Bez wahania wyciągnęła z kieszeni kartę magnetyczną i włożyła ją do szpary. Natychmiast rozświetlił się ekran, na którym pojawił się komunikat powitalny, a obok zdjęcie młodego lekarza, lekko siwiejącego na skroniach i patrzącego z roztargnieniem przez okulary.

DOBRY WIECZÓR, DOKTORZE JURADO. PROSZĘ WPISAĆ KOD DOSTĘPU.

Zdrętwiała. Nagle przypomniała sobie zapis w tabelce kontrolnej. Trzęsącymi się rękoma wyciągnęła kartkę z kieszeni i wbiła kod na klawiaturze. Ekran rozświetlił się na biało. Napis głosił:

BŁĘDNY KOD. POZOSTAŁY DWIE (2) PRÓBY. PROSZĘ WPISAĆ KOD DOSTĘPU.

Lucia przesunęła dłonią po pokrytym potem czole, odsuwając z niego kosmyk włosów. Do cholery, nie potrafisz nawet wpisać durnego kodu. Uspokój się natychmiast, psiakrew, zrugala samą siebie.

Ponownie wpisała kod, najspokojniej, jak umiała, upewniając się, że tym razem się nie pomyliła. Wcisnęła ENTER, ale ekran znów zrobił się biały.

BŁĘDNY KOD. POZOSTAŁA JEDNA (1) PRÓBA. PROSZĘ WPISAĆ KOD DOSTĘPU.

Przez chwilę czuła, jak w żołądku tworzy jej się bryła lodu. Jeśli zapis na kartce nie jest kodem, już po niej. Ta pieprzona maszyna nie da jej więcej szans, a czas się kończy. Kroki rozbrzmiewają już bardzo blisko. Nagle uderzyła pięścią w drzwi. Ależ z niej idiotka. Tam w środku to nie duże O, lecz zero. Po raz trzeci wbiła kod. Jej palce tańczyły na klawiaturze jak szalone. Zza rogu, sapiąc jak lokomotywa, wynurzył się Basilio Irisarri. Ekran rozjarzył się i pojawił się na nim nowy komunikat.

POPRAWNY KOD. WITAMY W ZOO, DOKTORZE JURADO.

ŻYCZYMY MIŁEGO DNIA.

Drzwi otworzyły się z sykiem. Lucia miała jedynie tyle czasu, aby przemknąć do środka, zanim seria z HK416 podniosła chmurę gipsowego pyłu ze ściany, przy której stała. Jeden z pocisków trafił w panel kontrolny i spowodował zwarcie, o czym świadczył cichy wybuch i lekki zapach spalenizny. Lucia usiłowała zamknąć drzwi, ale po awarii panelu system mechaniczny całkowicie odmówił posłuszeństwa. Czując, że śmierć depta jej po piętach, dziewczyna zdecydowała się wejść głębiej do pomieszczenia, w którym się znalazła. A jednocześnie ta część jej umysłu, która usiłowała dociec, co znaczy symbol znajdujący się na drzwiach, włączyła sygnał alarmowy.

## Madryt

Kręcone schody drżały pod naszymi krokami i wydawały niepokojące trzaski. Niewielkie odpryski rdzy odpadały od spawów. Schodów już przed apokalipsą używano raczej rzadko, pewnie dlatego, że były w złym stanie. Wszystko wokoło, jak okiem sięgnąć, pokrywała gruba warstwa popiołu i pyłu, które – poruszone stopami naszego oddziału – unosiły się w powietrze w postaci szarych tumanów, zmuszając nas do kichania i wytwarzając nierzeczywisty i okropnie ponury nastrój. Ktoś za nami pogwizdywał nerwowo przez zęby. To było przygnębiające.

W końcu dotarliśmy na wysokość trzeciego piętra. Drogę do wewnątrz budynku zagraadzały nam drzwi ewakuacyjne, wzmocnione grubym łańcuchem. Bez tchu upadłem na ostatni stopień, reszta też musiała chwilę odsapnąć. Wyszuszone powietrze, upał spowodowany wybuchem napalnu, kurz kłębiący się wokół nas sprawiały, że dręczyło nas potworne pragnienie.

Niezgrabnie odkręciłem manierkę i wypilem kilka długich łyków. Parsknąłem i podałem manierkę Brotowi, który zwałił się swym ponadstukilowym ciężarem tuż koło mnie, wprawiając w drgania całą strukturę schodów. Informatyk pił dłuższą chwilę. Zafascynowany nie mogłem oderwać wzroku od jego grdyki, która poruszała się w górę i w dół, w miarę jak beztrudnie pozbawiał mnie dobrej połowy zapasów wody. W końcu zaczerpnął powietrza, beknął i oddał mi manierkę ze szczerym „dziękuję”.

– Jak otworzymy te cholerne drzwi? – spytał, przerywając chwilę przyjemnego milczenia.

– Nie mam pojęcia, ale nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Tank coś wymyśli – odpowiedziałem, bezskutecznie grzebiąc w plecaku w poszukiwaniu papierosa.

Cholera, ostatnia paczka została na fotelu super pumy, którą tu dolecieliśmy.

– Cofnąć się! Wszyscy do tyłu! – Jeden z legionistów rozwijał kabel od plastycznej masy, którą jego towarzysz umieścił wokół framugi drzwi, do punktu znajdującego się parę stopni niżej. Teraz właśnie podłączał go do metalowej skrzynki wielkości paczki papierosów, zaopatrzonej w przycisk na górnej powierzchni.

– Cholera, to narobi mnóstwo hałasu. Spadamy, kolego – mruknął Prit,

pomagając Brotowi się podnieść.

Jego plecak zaplątał się między dwa pręty poręczy i Katalończyk szamotał się bezradnie. Przypominał ogromnego ślimaka, który ma kłopot ze skorupą. Obydwaj z Pritem szarpnęliśmy go mocniej, po czym wszyscy trzej zeszliśmy trochę niżej.

Stanęliśmy za legionistą, który trzymał detonator. Upewniwszy się, że na górnym podejściu nie ma nikogo, saper podniósł blokadę przycisku. W oczekiwaniu na wybuch otworzyłem usta, żeby chronić bębrenki, jak nauczono nas na przyspieszonym szkoleniu na wyspach.

Z dolnej części schodów usłyszeliśmy kilka serii z karabinu maszynowego oraz podniecone okrzyki. Nieumarli zaczęli włączyć naszym śladem i żołnierze, którzy byli w ariergardzie oddziału, robili teraz z nimi porządek. Mieli sporą przewagę, ale z tak małą ilością amunicji nie mogli zbyt długo utrzymywać zgniluchów na dystans.

Coś w tym stylu pomyślał chyba saper i nacisnął przycisk. Z góry rozległ się głuchy, przytłumiony odgłos wybuchu i pojawiła się chmura dymu o chemicznym zapachu. Ponad poręczą przeleciała betonowa gruda słusznych rozmiarów i spadła na tłum Nieumarłych gromadzący się na placu, ale to było wszystko, przynajmniej nic więcej nie udało nam się dojrzeć stąd, gdzie byliśmy.

– Wchodzimy! – Ryk Tanka dobiegał gdzieś ze środka oddziału. – Ci z przodu! Ruszcie dupy, do cholery!

Popatrzyliśmy z Pritem na siebie. To my, wraz z saperem, byliśmy na samym przedzie oddziału. Cofnęliśmy się ostatni, targając spoconego informatyka. Reszta uprzejmie oddała nam miejsce w awangardzie, kiedy byliśmy zajęci podnoszeniem Brota. Niezły numer.

– Mamy przechlapane, prawda, kolego?

– Któż to może wiedzieć? – Ukrainiec uśmiechnął się z wysiłkiem i po raz setny sprawdził magazynek swojego HK416. – Któż to może wiedzieć... ale w razie czego trzymaj się mnie, dobra?

Zdecydowanym krokiem pokonał ostatnie parę stopni, szykując się do wejścia do budynku. Depcząc mu po piętach i walcząc z czarnymi myślami, zrobiłem to samo. Podest wyglądał podobnie jak przed chwilą, z tym wyjątkiem, że drzwi wydawały się wyrwane ze ściany ciosem gigantycznej pięści. Tam gdzie przedtem były zawiasy, zostały dwie dziury, z których jeszcze sypał się betonowy i ceglany pył. Skręcone od wybuchu skrzydło drzwi leżało oparte o poręcz w miejscu, gdzie siedzieliśmy przed kilkoma minutami.

Prit przykląkł na jedno kolano przed ciemnym otworem, z karabinem gotowym do strzału. Sapiąc, stanąłem u jego boku i czekałem na następny jego ruch. Było dla mnie oczywiste, że Ukrainiec o wiele lepiej ode mnie wie, co

trzeba robić.

– Tam, w środku, jest ciemno jak w dupie – sapnął.

– Poczekaj. – Odwróciłem się. – Broto! Broto! No, szybciej! Chodź no tu! Piorunem!

Katalończyk ruszył do nas, wytrącając mi karabin z rąk. Zatrzymał się, żeby go podnieść, i zaaferowany walnął plecakiem sapera, który wchodził tuż za nim. Stek wyzwisk towarzyszył biednemu informatykowi, dopóki do nas nie dotarł.

– Słuchaj no, stary. – Położyłem mu rękę na ramieniu. – Postaraj się opanować, dobrze? – Broto skinął głową, a jego wybałuszone oczy latały beładnie we wszystkich kierunkach. Wolałyby niechybnie być w dowolnym miejscu na świecie zamiast na tych obskurnych schodach.

– Masz może latarkę w plecaku? – spytałem.

– T..t...tak. – Broto grzebał już w swoim tobole.

Po gorączkowych poszukiwaniach wyciągnął triumfalnie polar torch, podobną do tej, z którą – całe wieki temu – uciekłem ze swojego domu w Pontevedrze, nie chcąc tam umierać z głodu.

Poruszyłem latarką i zapaliłem ją, kierując światło do wewnątrz budynku. Dym i kurz, uniesione eksplozją, jeszcze się nie rozproszyły i miliardy maleńkich drobinek tańczyły szaleńczo w snopie światła, rozszczepiając je i odbijając we wszystkie strony.

Nagle rozległ się głośny wybuch i całe schody zachwiały się gwałtownie, po czym usłyszeliśmy rozdzierający trzask jakby gigantycznej kartki rozrywanej na dwie części.

– Co to takiego? – spytałem z niepokojem.

– Zdetonowali chyba jakiś fragment schodów poniżej – odpowiedział Prit, rzucając okiem ponad barierką.

Kiedy się o nią oparł, kawałek zardzewiałego żelastwa oderwał się ze zgrzytem, sypiąc rdzą. Ukrainiec odsunął się i nieufnie lustrował cały podest.

– Cała ta główniana kupa złomu może się w każdej chwili oderwać sama z siebie – stwierdził i przekroczył próg, ciągnąc nasze plecaki. – Spadajmy stąd, zanim będzie za późno.

Wiktor miał rację. Stara konstrukcja, która popadła w ruinę na długo przed naszym przybyciem, znajdowała się teraz w końcowym stadium rozkładu. Żar napalmu i wibracje spowodowane krokami naszej ekipy niemal doprowadziły do jej zawalenia. Schody dobiła eksplozja, której celem było uniemożliwienie dostępu Nieumarłym. Cała konstrukcja trzeszczała i trzęsła się gwałtownie, a strumyki betonowego pyłu sypały się zewsząd.

– Uciekajmy! – zaryczał ktoś za nami i jego głos stanowił dla legionistów

sygnał do szturm na górę.

Wydawało mi się, że słyszę głosy Marcela i Tanka zagrzewającego swych ludzi do jak najspiesznego wchodzenia, ale nie zatrzymałem się, aby to potwierdzić. Śruby, które mocowały schody do budynku, wyskakiwały ze ściany z metalicznym dźwiękiem i zamieniły się w niebezpieczne pociski o długości dwunastu centymetrów. Sytuacja pogarszała się raptownie. Fragment schodów nad nami oderwał się z ogromnym hukem i spadając, odbijał się o resztę konstrukcji na przestrzeni kilku pięter, po czym roztrzaskał się o ziemię kilkadziesiąt metrów niżej. Ktoś, kogo uderzył kawał metalu, wrzasnął z bólu, ale nie rozpoznałem głosu. Chmura pyłu, która nas ogarniała, nie pozwalała dostrzec nic w odległości pół metra.

Chwyciłem Brota za rękaw i rzuciłem się w głąb budynku. Wiktor biegł za nami jak wyżeł za zającem, a tuż za nim dwa tuziny przerażonych i stłoczonych legionistów, usiłujących jak najszybciej opuścić chwiejącą się konstrukcję. Nagle każdy chciał być w środku pierwszy.

Wewnątrz było ciemno jak w studni o północy, ale wspaniale chłodno w porównaniu ze skwarem na zewnątrz. Nawet w świetle latarki mało co było widać w tym kurzu. Broto wyszarpnął rękaw z mojego uścisku i krzyknął cicho, jakby czymś ugodzony. Po omacku obróciłem się i próbowałem coś wyczuć wysuniętymi do przodu rękoma, ale moim jedynym osiągnięciem było wbicie sobie ostrego rogu jakiegoś mebla w pachwinę. Zwinąłem się z bólu i bezskutecznie usiłowałem odzyskać dech. Obok mnie przeleciał cień, następnie popchnął mnie na ziemię, a twardy but zmiażdżył mi nogę. Wokół rozległy się krzyki, przekleństwa i ciężkie oddechy, ale zawiesina pyłu w powietrzu uniemożliwiała zobaczenie czegokolwiek. Nagle z potwornym trzaskiem schody oderwały się do reszty i budynek aż się zatrzęsł. Po sekundzie łomot ton zardzewiałego żelastwa rozbijającego się o nawierzchnię placu dotarł do naszych uszu wraz z wściekłym rykiem Nieumarłych. Pocieszyłem się myślą, że konstrukcja z pewnością przygniotła setki tych sukinsynów swoim ciężarem. To było jak kropla w morzu, ale zawsze więcej niż nic.

Kaszłąc, usiłowałem wstać. Krzyki narastały. Usłyszałem wrzask Tanka wydającego rozkazy i czyjś głos wzywający sanitariusza, ale wszystko zagłuszał diabelski harmider.

Tank stopniowo odzyskiwał kontrolę nad sytuacją. Tu i ówdzie zapaliły się światła latarek i pomieszczenie, w którym się znaleźliśmy, rozjaśniło się ponurym blaskiem. Rozejrzałem się. Pierwsze skojarzenie, jakie mnie naszło, to obraz strażaków w World Trade Center jedenastego września. Wszyscy byliśmy pokryci grubą warstwą pyłu i popiołu i przypominaliśmy istoty z zaświatów. Wskutek wstrząsu podwieszany sufit z gipsu zamontowany w pomieszczeniu zawalił nam się na głowy. Z jakiegoś niewiadomego powodu posadzka pokryta była kilkunastocentymetrową warstwą drobnego popiołu, którą rozproszyliśmy

w powietrzu, wchodząc tak gwałtownie do pokoju. Przez obramowanie drzwi z ledwością dało się dostrzec popołudniowe słońce nad Madrytem.

Tank głośno wywoływał nasze nazwiska. Jeden po drugim odpowiadaliśmy krótkim „tak” lub stłumionym „obecny” wśród powszechnego kaszlu i kichania. Na wezwanie nie odpowiedziało siedem osób. Niewątpliwie ci, którzy szli w ariergardzie, leżeli martwi u podnóża budynku, wśród poskręcanych resztek metalowych stopni i poręczy. Jeśli któryś przeżył upadek, z pewnością zazdrościł poległym kolegom.

Prit podczołgał się do mnie z wyrazem niepokoju na twarzy i gruntownie pobielonymi wąsiskami.

– W porządku? – spytał.

– Chyba niczego sobie nie złamałem. – Obmacałem się po całym ciele.

– Krwawisz – stwierdził lakonicznie i wskazał na czoło.

– No coś ty, nie żartuj! – mruknąłem, ale kiedy dotknąłem twarzy, ręka zabarwiła mi się na żywo czerwony kolor.

Nie zauważyłem do tej pory, że z głowy ściekają mi krople ciepłej krwi. Jakiś odłamek gipsu musiał mnie dosięgnąć w zamieszaniu i niewielkie rozcięcie skóry pod włosami obficie broczyło krwią.

– Ja też czuję się świetnie, dziękuję – wtrącił gorzko Broto, kichaniem wzniecając chmurę kurzu. – Nie musicie się o mnie martwić.

– Lucía mnie zabije. – Prit zignorował informatyka i zalepił mi ranę opatrunkiem. – Przyrzekłem jej, że zwrócę cię nienaruszonego, ale jakoś udało ci się rozbić głowę tuż po wyjściu z helikoptera. Jesteś beznadziejny – zakończył, klepiąc mnie przyjacielsko po ramieniu. Potem odwrócił się w stronę Brota. – Naprawdę dobrze się czujesz? Pozwól, niech ci się przyjrzę. – Złapał informatyka za ramię i obejrzał go z bliska. Po dokładnej inspekcji podał mu swoją manierkę. – Przepłucz sobie nos i wypij łyk, ale tylko jeden. Słyszałeś? – nakazał ponuro. – Nie sądzę, żebyśmy znaleźli w budynku źródło wody, tak więc lepiej będzie racjonować tę, którą mamy.

Broto nie zwrócił na niego większej uwagi, ponieważ – jak i mnie samego – do głębi zdumiało go to, co właśnie zobaczyliśmy. Tylko cudem nie wypuścił manierki z rąk.

– Prit – szepnąłem. – Co to jest, na litość Boga?



## Teneryfa

Lucía, dysząc ciężko, wpadła do ciasnego pomieszczenia przypominającego kabinę prysznicową, o powierzchni ledwo przekraczającej dwa metry kwadratowe. Ani podłoga, ani ściany nie były jednak pokryte kafelkami, lecz syntetyczną gładką wykładziną, miękką w dotyku. Na wprost znajdowały się drzwi z maleńkim okienkiem na wysokości twarzy. Były szczelnie zamknięte. Na prawej ścianie umocowana była mała metalowa ławeczka, na lewej pulsował przerywanym światłem ogromny czerwony przycisk. Coś tykało rytmicznie.

Niewiele myśląc, Lucía nacisnęła przycisk. Nagle nad jej głową zapaliło się czerwone światło, a gdzieś spoza drzwi rozległo się buczenie. Przeraziło ją to i chciała się wycofać, ale w tej samej chwili przesuwne drzwi ukryte w ścianie zamknęły otwór, przez który weszła do środka, i pompa powietrzna hermetycznie uszczelniła kabinę. Lucía nie zdążyła się nawet zastanowić nad tym, co, do diabła, się dzieje, kiedy usłyszała wściekłe bębnienie pięściami w drzwi znajdujące się za nią.

Odwróciła się gwałtownie. Drzwi wyglądały podobnie jak te naprzeciwko i także miały maleńkie okienko na wysokości głowy. Po drugiej stronie szyby stał Basilio Irisarri. Miał zaczerwienioną twarz i usiłował złapać dech. Krzyknął coś, czego Lucía nie usłyszała.

Te drzwi całkowicie izolują, pomyślała, zafascynowana. Nie przenika przez nie żaden dźwięk.

Marynarz machał rękoma, gestami nakazując, że ma mu otworzyć.

Akurat. Jeszcze czego! Za całą odpowiedź Lucía podniosła do okienka prawą dłoń i pokazała mu środkowy palec.

Irisarri wpatrzył się w nią nieruchomym wzrokiem, a jego zimne, gadzie spojrzenie nagle nabrało diabolicznego wyrazu. Pokiwał karząco palcem wskazującym, zrobił krok do tyłu i przeładował trzymany w ręku karabin. Następnie oparł go na ramieniu i wycelował w drzwi.

– Psiakrew! – pisnęła Lucía, rzucając się na ziemię.

Drzwi były tak grube, że nie słyszała samych strzałów, natomiast odczuła głuche uderzenia pocisków w skrzydło drzwi. Nie dowierzając, podniosła głowę. Najwidoczniej drzwi były nie tylko dźwiękoszczelne, ale i pancerne.

Jedynie brzydki odprysk na szybie, tam gdzie trafiła kula, świadczył o tym, co się przed chwilą wydarzyło. Lucía bardzo ostrożnie podniosła się z ziemi. Nagle z dysz prysznicowych na suficie spłynął na nią drobny deszcz o silnym zapachu środka dezynfekcyjnego. Równocześnie, z przewodów na ścianie, wyleciał inny chemiczny środek w postaci pary pod ciśnieniem i szybko utworzył gęstą chmurę pary wewnątrz pomieszczenia. Lucía natychmiast zaczęła łzawić oczy, a w gardle poczuła okropne pieczenie.

Ten zboczeniec chce mnie zagazować – to była pierwsza myśl, jaka przyszła jej do głowy, ale zdziwione spojrzenie Irisarriego po drugiej stronie szyby wskazywało, że marynarz nie ma z tym nic wspólnego.

Wydaje się, że to jest jakiś system automatyczny, który uaktywnił się sam z siebie lub też... Lub też się uaktywnił, bo jak idiotka nacisnęłam ten guzik na ścianie, poprawiła się w myślach.

W przeblysku zdrowego rozsądku zrozumiała, że znajduje się w szczelnej kabynie odkażającej.

Gorzej, że nie ma na sobie żadnego specjalnego ubrania ani maski.

I nie ma też pojęcia, czy ten gaz, którym musi oddychać, jej nie zabije.

Irisarri stał nadal po drugiej stronie szyby i wyglądał, jakby miał dostać zawału. Zirytowany cisnął bezużytecznym już karabinem w drzwi i coś powiedział do rudego faceta.

Belg podszedł do drzwi i przylepił twarz do szyby. Z początku nie zobaczył niczego oprócz gęstej pary. W końcu dostrzegł Lucía, która patrzyła na niego bezradnie skulona na metalowej ławeczce. Jej oczy były zaczerwienione od chemicznych substancji wydobywających się ze spryskiwaczy.

Eric uśmiechnął się do niej przerażająco czułym uśmiechem, ale jego oczy pozostały lodowato zimne i martwe. Belg uśmiechał się rzadko (i niewiele osób, które kiedykolwiek widziały jego budzący grozę uśmiech, mogło potem o tym opowiedzieć), ale dzisiaj bawił się cholernie dobrze. Przez ostatnie dziesięć minut nagromadził tyle fantazji seksualnych, że – jak sobie obiecywał – starczy na masturbowanie się całymi tygodniami bez przerwy. A uwięzieniem wspaniałego dnia będzie upolowanie tej małej suczki.

W podnieceniu poczuł nagłą potrzebę przejechania językiem po szybie pancernych drzwi. Mały odprysk szkła, odłupany przez pocisk, wbił mu się w język i pozostawił na drzwiach ślad krwi, ale on nawet tego nie zauważył. Nie odrywał wzroku od wstrząsanej mdłościami od środków dezynfekcyjnych Lucía, która – zahipnotyzowana jak królik przez węża – nie mogła przestać na niego patrzeć.

W kabynie zawyła syrena, a spryskiwacze przestały działać. Z wciąż przymkniętymi, podrażnionymi oczami Lucía podniosła się i oparła o ławeczkę. Zmiana ciśnienia w uszach była dowodem, że pomieszczenie zostało

odhermetyzowane. Drzwi się otworzyły (na szczęście nie te, którymi weszła), wyrównując ciśnienie między kabiną i sąsiadującym z nią pomieszczeniem.

Chwiejąc się na nogach, przeszła przez otwór drzwiowy i wkroczyła do chronionej strefy. Właśnie przypomniała sobie, co oznacza tamten symbol na drzwiach wejściowych. Zagrożenie biologiczne.

I wtedy, po raz pierwszy od początku tego długiego dnia, Lucía zaczęła się zastanawiać, jak dużo życia jeszcze jej pozostało.

## Madryt

– No właśnie... Co to, kurna, jest? – mruknęła Pauli za moimi plecami, powtarzając pytanie, które właśnie zadał Ukrainiec.

Błądzące światła naszych latarek oświetlały salę o powierzchni jakichś trzydziestu metrów kwadratowych. Tu i ówdzie na ziemi leżały resztki gipsowych płyt z sufitu, niektóre na wpół zagrzebane w grubej warstwie popiołu pokrywającego nawet najdalsze kąty pomieszczenia. Zagłębiłem dłoń w tych pokładach i roztarłem trochę w dłoni. Był to niewątpliwie spalony papier. Gdzieś tam pozostały jeszcze resztki niezwęglonych do końca kartek, ale nic nie dawało się z nich odczytać.

– Puszczono tutaj z dymem co najmniej pół Biblioteki Narodowej – szepnąłem, wodząc wzrokiem po osmalonych ścianach oraz metalowych kanistrach pozostawionych w paru miejscach na podłodze, zapewne tam, gdzie stał ktoś, kto zajmował się tym zadaniem.

– Sprawia to raczej wrażenie pospiesznego niszczenia dokumentów. Mnóstwa dokumentów. – Broto rozgarnął butem stos popiołów zgromadzony w kącie. – Albo było im bardzo zimno i próbowali się ogrzać, albo też ktoś nie chciał, aby te papiery wpadły w ręce pierwszemu lepszemu, kto się tu nawinie.

– Nie sądzę, aby Nieumarli byli w jakikolwiek sposób zainteresowani tym, co jest napisane na papierze – zauważyłem. – Jeśli już o tym mówimy, to według mnie te przeklęte istoty nie potrafią przeczytać nawet jednej litery.

– Przypuszczam, że ten, kto palił te papiery, nie sądził, że Nieumarli będą jedynymi istotami, które tu mogą trafić – odparła Pauli, podnosząc się z miejsca. – I najwyraźniej się nie mylił. To myśmy tutaj przyszli. Prawda?

– Prawda. Dotarliśmy tu – zgodził się Prit, a następnie dodał półgłosem: – Inna sprawa, czy zdołamy wyjść stąd cało.

– Albo czy uda nam się wejść do środka. – Wskazałem ogromne metalowe drzwi wprawione w ścianę na końcu pomieszczenia.

Były to gigantyczne wrota, wysokie na dwa i pół metra i równie szerokie, wzmocnione w poprzek metalowymi sztabami. Wyglądały jak drzwi do sejfu (to SA drzwi do sejfu, poprawiłem się w myśli), które ktoś wyrwał z podziemi banku i umieścił tutaj, w grubej ścianie ze zbrojonego betonu. Kilka worków cementu i resztki drewnianych szalunków wskazywały, że ścianę wybudowano

pospiesznie, właśnie po to, żeby zainstalować drzwi.

– Zamieniono ten budynek w fortecę. Założę się, o co chcesz, że reszta wejść albo jest całkowicie zamurowana, albo zaopatrzona w zabezpieczenia podobne do tych.

Z obydwu stron drzwi pełniły straż dwa gniazda karabinów maszynowych, teraz opuszczone, ale wyposażone w pokaźne MG3, identyczne z tym, który niósł Marcelo, ustawione na workach z piaskiem. Gniazda umieszczono w taki sposób, aby kontrolować zewnętrzną część wejścia, którą przeszliśmy. Gdyby nadal pozostawały w akcji, dotarcie do drzwi wewnętrznych byłoby niemożliwe.

Tank klęczał na ziemi nad rozłożonym planem budynku oświetlonym latarką. Niemiec wyglądał na spiętego, ale nadal kontrolował sytuację.

– Jesteśmy tutaj – mówił do dwóch sierżantów, którzy słuchali go uważnie, kucając tuż obok. – Według rejestrów Bezpiecznej Strefy magazyn z lekarstwami znajduje się dokładnie dwa piętra niżej. Schody, którymi można się tam dostać, są tu, tu i tu. – Jego palec wskazał trzy punkty na mapie. – Dwie klatki schodowe są zawałone toną zbrojonego betonu, ale w trzeciej zostały zwykłe drzwi.

– A która z nich jest tą trzecią, komendancie? – spytał jeden z sierżantów.

– Nie mam pojęcia – odparł Tank. – Nie przeżyła żadna z osób, które pracowały w tym sektorze budynku, tak więc nie będziemy tego wiedzieli, póki się sami nie przekonamy.

– A co było tam? – Drugi sierżant wskazał ponad swoim ramieniem ogromne żelazne wrota.

– Na tym piętrze zgromadzili się członkowie rządu Autonomicznej Wspólnoty Madrytu wraz z kilkoma jednostkami Drugiego Pułku Łączności Sił Zbrojnych – powiedział Tank, przyjrzawszy się notatkom na planie. – Teoretycznie powinni byli zostać ewakuowani na trzy dni przed upadkiem Bezpiecznej Strefy, ale ich konwój nigdy nie dotarł na lotnisko Barajas. Z pewnością wszyscy już nie żyją.

– Dopóki żyli, chronili się doprawdy niezwykle starannie – zauważył starszy z dwóch sierżantów, twardy weteran legionista, cieszący się zaufaniem Tank. – Jak uda nam się sforsować te straszne drzwi, komendancie?

– W tym nam pomoże ten młodzieniec. – Tank wskazał na informatyka. – Panie Broto! Panie Broto, drzwi się same nie otworzą! Proszę zacząć jak najszybciej!

David Broto przełknął ślinę i podniósł się, oddychając z wysiłkiem. Nerwowym gestem przejechał ręką po twarzy, pozostawiając wokół oczu ślady popiołu, które upodobniły go do pandy. Następnie wyciągnął z plecaka laptop, długi kabel i skrzynkę z narzędziami. Małym wkrętakiem sprawnie odkręcił niewielką zaślepkę przymocowaną u podstawy drzwi i wprowadził tam kabel

podłączony do laptopa.

Na ekranie pojawiły się szeregi cyfr, w miarę jak Broto aktywował kolejne programy z twardego dysku. Ku mojemu zdziwieniu w jednym z okien pojawił się nagle obraz zamka wewnętrznego drzwi. To kamera światłowodowa, odkryłem, obserwując ze zdumieniem, jak „informatyk” operuje nią z wprost niezwykłą sprawnością.

– Kim tak naprawdę jest ten typ? – Szturchnąłem w bok Marcela.

Argentyńczyk za całą odpowiedź wzruszył ramionami, równie zdumiony jak ja sam. Za naszymi plecami zabrzmiał zabarwiony ironią głos Tanka.

– Pan Broto to prawdziwy ekspert w otwieraniu drzwi i łamaniu systemów, w powszechnej opinii nie do złamania. Było dość prawdopodobne, że natkniemy się na to – machnął lekceważącym gestem w kierunku ogromnych, pancernych wrót – a więc pomyśleliśmy, że zaproszenie pana Brota na naszą wyprawę jest dobrym pomysłem. To prawdziwe szczęście, że znajdował się pan właśnie na Teneryfie, nieprawdaż, panie Broto?

David zarumienił się i pochylił jeszcze niżej nad laptopem, kryjąc się za jego ekranem. W tej pozycji wydawał się podobny do wielkiego ptaszyska, które właśnie chce znieść ogromne jajo.

– A cóż ty właściwie robiłeś na Teneryfie, Broto? – spytał Prit niewinnie. Wiktor miał dziwny talent do zadawania z dzieciinną łatwością niewygodnych pytań. Ktoś by pomyślał, że to jedynie ciekawość połączona z brakiem taktu, ale ja wiedziałem, że Ukrainiec zbiera w ten sposób szczegółowe informacje i zachowuje je w pamięci. Był szczwany jak lis.

– Pan Broto mieszkał na Teneryfie od dwóch i pół roku... W więzieniu Tenerife II, ściśle rzecz biorąc – powolnym głosem mówił Tank. – Ostatnia jego praca nie poszła mu ściśle według planu, a więc... Zresztą niech on sam o tym opowie, jeśli to pana tak interesuje.

David Broto, nadal z pochyloną głową, wymamrotał coś niezrozumiałego i wpatrzył się w ekran laptopa. Uśmiechnąłem się na myśl, że nie tylko Prit i ja byliśmy „ochotnikami”, którzy znaleźli się tutaj wbrew własnej woli.

Po piętnastu minutach napiętego oczekiwania, w ciągu których Broto podniósł się tylko raz, aby wsadzić do otworu kolejny kabel, „informatyk” mruknął z zadowoleniem i przeciągnął się. Prawą ręką odsunął oprzyrządowanie, a lewą błyskawicznie wystukał ciąg cyfr na zamku szyfrowym pancernych drzwi. Potem po prostu odszedł trochę na bok.

– Załatwione – powiedział spokojnie, ale w jego głosie wyraźnie słychać było dumę artysty z własnej dobrze wykonanej pracy.

– Już? – Tank poderwał się z miejsca. – Świetnie. Díez, Huerga, wy dwaj otwórzcie te drzwi. Pozostali ich osłaniają. Wchodzimy.

Dwaj wskazani legionieści podeszli do ogromnych kół, które służyły jako

klamki systemu ryglującego drzwi, i poruszyli je równocześnie. Gładko, bez najmniejszego pisku ciężkie pancerne wrota poruszyły się na swych naoliwionych zawiasach i ostatnia forteca Bezpiecznej Strefy Madryt Numer Trzy stanęła przed nami otworem.

## Teneryfa

– Niech to szlag! Nie widzę tej suki! – Basilio próbował przewiercić wzrokiem szybę w poszukiwaniu sylwetki ściganej dziewczyny. – Gdzie, do ciężkiej cholery, się podziała? – pytał sam siebie z wściekłością, podczas gdy jego umysł pracował pełną parą. Nie podobało mu się to wszystko. Plan, obmyślony tak starannie, rozłaził mu się w szwach.

Już od kilku minut nie słyszeli wystrzałów na parterze, być może dlatego, że znaleźli się dość głęboko pod ziemią lub że raczej komuś w końcu udało się zapanować nad chaosem i poskromić strzelających. Zaraz strażnicy z punktu kontrolnego w korytarzu zejdą rzucić okiem na to, co się dzieje na dole. A wtedy złapią ich jak nic.

Lampka nad drzwiami nagle zmieniła kolor na zielony, czemu towarzyszył długi gwizd. Basilio złapał ochronny strój, który wisiał obok śluzy, i rzucił go Ericowi.

– Masz, włóż to, a kiedy skończysz, pomożesz mi się w to ubrać – powiedział, zdejmując z wieszaka drugi. – Wejdziemy tam za nią.

– Czy to naprawdę konieczne? – spytał Eric z podejrzliwym wyrazem twarzy. – Co tam takiego jest, do diabła, żebyśmy musieli wkładać takie coś?

– Szczepionki przeciw grypie i inne takie – zaryzykował odpowiedź Basilio, wsuwając stopę do nogawki. – Tutaj się produkuje lekarstwa, więc mają różne chemiczne świństwa, które mogą się okazać niebezpieczne. No wiesz... Kwasy i takie tam.

– Ta lisiczka weszła tam bez ubioru – upierał się Eric, nadal nieprzekonany. – I nie widziałem, żeby zaraz padła bez zmysłów.

– Rób, jak chcesz. – Basilio wzruszył ramionami. – Ale jeśli potem chuj ci zacznie odpadać po kawałku, to nie mów, że cię nie ostrzegałem.

Ten argument do reszty przekonał Belga. Zrezygnowany schylił się po strój. Nie mówiąc już ani słowa, obydwaj mordercy nałożyli krępujące ubrania. Kaski miały wąskie szczeliny, które pozostawiały bardzo zredukowane pole widzenia oraz jeszcze bardziej ograniczały słuch. Na piersiach kombinezonów były specjalne kieszonki na interkomy, ale mimo iż szukali wszędzie, nie znaleźli do nich baterii.

Basilio gestem wskazał Ericowi, że wejdą bez nich. Nie mogli tracić więcej



czasu. Kiedy znaleźli się w służbie, nacisnęli czerwony guzik na ścianie. Po kilku sekundach drobny deszczyk środków dezynfekcyjnych otulił ich mgiełką o ciężkim, słodkawym zapachu. Eric nerwowo bawił się beretą, a Basilio robił sobie gorzkie wyrzuty, że nie wziął ze sobą więcej sztuk broni palnej.

Drzwi się otworzyły. Mordercy wyskoczyli ze służby, jeden na prawo, drugi na lewo, wzajemnie zabezpieczając sobie tyły. Na środku sali, od ściany do ściany, stał długi stół, zastawiony naczyniami laboratoryjnymi i mikroskopami. W rogu mrugał monitor, oświetlając stłumionym światłem całe pomieszczenie. Z głębi dobiegało ciche brzęczenie uruchomionej centryfugi, natomiast po dziewczynie nie było nawet śladu.

Basilio wskazał Ericowi gestem, że ma zacząć poszukiwania od najdalszego końca laboratorium, sam skierował się w drugą stronę.

Wiedział, że dziewczyna gdzieś tu jest. Był tego pewien.

Ale instynkt, jego stary przyjaciel, który nieraz już mu ocalił życie, krzyczał głośno, aż do ochrypnięcia, że coś w tym laboratorium jest bardzo, ale to bardzo nie w porządku.

## Madryt

W budynku było ciemno i śmierdziało wilgocią, kurzem i rozkładem. W grupkach po trzy, cztery osoby wchodziliśmy powoli przez pancerne wrota. Światła latarek tańczyły nerwowo, celując we wszystkie strony.

– Dlaczego, do diabła, nie mamy noktowizorów? – burknęła Pauli, próbując przeniknąć wzrokiem ciemności. – Niby jesteśmy elitarną jednostką, i co z tego? Męczymy się tu ślepi jak krety w tunelu.

– Zamknij się i uważaj – upomniał ją ostro Marcelo. – I jak tylko dojrzysz jakieś paskudztwo, nafaszeruj je ołowiem.

Argentyńczyk nie musiał tego mówić. Wszyscy członkowie ekipy byli czujni – najmniejszy ruch mógł oznaczać, że jakiś Nieumarły czai się w mroku. Ktoś potknął się o kosz na śmieci i posłał go kopniakiem na drugi koniec pomieszczenia. Metalowy kosz potoczył się i odbił od szafki na dokumenty z przeraźliwym brzękiem, słyszalnym pewnie nawet na ostatnim piętrze opuszczonego przez Boga i ludzi budynku. Z gardła Tanka wydobył się wściekły syk i komendant szybko jak kobra przesunął się w pobliże nieszczęsnego sprawcy zamieszania. Ucieszyłem się w głębi duszy, że nie jestem w jego skórze. Jeśli się nie myliłem (a myślę, że nie), to Tank właśnie wybrał „ochotnika”, który będzie szedł przodem i torował drogę.

Smród w zamkniętych pokojach był tak intensywny, że aż mdliło. Zaintrygowany zauważyłem, że większość pomieszczeń, po których błądziliśmy, została zaadaptowana na biura. W prawie wszystkich stały puste biurka i wygaszone komputery, piętrzyły się góry papierów pokryte grubą warstwą kurzu.

Jeden z tych gabinetów był szczególnie niepokojący. Niewielką celkę, z biurkiem, krzesłem i szafką na dokumenty, niemal całkowicie pokrywały papierowe samolociki. Było ich jakieś trzy czy cztery tysiące, w różnych kolorach i rozmiarach. W pierwszej chwili wydało mi się to zabawne (wyobraziłem sobie leniwego urzędnika nudzącego się jak mops i przez cały dzień składającego samolociki z papieru), ale zaraz potem po plecach przeszedł mi dreszcz. To nie były wyniki pracy jednego dnia ani rozrywka znudzonego biurokraty. To było obsesyjne dzieło maniaka. Jakiś osobnik schylony w ciemnościach pod biurkiem składał kartkę po kartce, podczas gdy jego umysł pogrążał się coraz głębiej w szaleństwie.

Z dreszczem przerażenia odstaąpiłem od biurka. Odwróciłem się, szukając światła latarki Wiktora, ale nic nie zobaczyłem.

Wstrząśnięty zrozumiałem, że odłączyłem się od grupy i że jestem sam.

Usiłując zapanować nad paniką, która zaczynała właśnie kiełkować mi w żołądku, wyszedłem na korytarz. Pamiętałem, że szliśmy z prawej strony, więc skierowałem się w lewo, aż dotarłem do rozgałęzienia. Mój zmysł orientacji nigdy nie był specjalnie dobry i, jeśli mam być szczery, pozostawiłem Wiktorowi i legionistom szukanie drogi, a sam ograniczyłem się do rozglądania na boki.

Zatrzymałem się w miejscu przecięcia korytarzy, klnąc z cicha. Wydawało mi się, że słyszę jakieś głosy w pierwszym odgałęzieniu; brzmiało to jak rozkazy wydawane groźnym szeptem. Sprawdziłem bezpiecznik glocka i podążyłem korytarzem w tamtą stronę.

Po drodze mijałem całe stosy pustych opakowań po wojskowych racjach żywnościowych. Tuż za drzwiami pancernymi było ich trochę, im dalej, tym pojawiało się ich więcej.

Skręciwszy za róg, natknąłem się nagle na pierwsze ciało. Był to trup chudego mężczyzny, ubranego w wojskowe spodnie i czarną koszulkę. Na koszulce widniało godło jednostki wojskowej – pięć ściskająca wiązkę błyskawic i napis „FIERI POTES” tuż poniżej.

Wstrzymując oddech, schyliłem się, aby obejrzeć zwłoki. Stopień rozkładu wskazywał, że człowiek ten nie żyje już od wielu miesięcy. W prawej ręce trzymał papierowy kubek, a w lewej coś, czego wyraźnie nie widziałem. Powstrzymując mdłości, wyrwałem mu ten przedmiot z na wpół uschniętej dłoni. Było to zdjęcie dwojga kilkuletnich dzieci, które patrzyły z uśmiechem w obiektyw, a wiatr rozwiewał im włosy w słoneczny ranek na brzegu morza.

Ponownie przyjrzałem się ciału. Mężczyzna nie miał śladów po kuli ani widocznych ran, aczkolwiek sam widok trupa był tak ohydny, że podczas pospiesznego oglądu mogłem łatwo coś przeoczyć. Niezależnie od tego, jak zginął, byłem niemal pewien, że nie poświęcił swej ostatniej myśli temu ponuremu korytarzowi: zanim umarł, podążył pamięcią ku plaży rozświetlonej słońcem.

Machinalnie włożyłem zdjęcie do zewnętrznej kieszonki na nogawce i uważnie ominąwszy trupa, aby nie zakłócać mu spoczynku, poszedłem dalej.

W odległości jakichś pięciu metrów znalazłem jeszcze dwóch, także w wojskowych strojach. Ci z kolei siedzieli przy biurku. Jeden był w koszulce z takim samym godłem jak pierwszy trup i także ścisnął w garści papierowy kubek, drugi miał na sobie mundur pułkownika. Na jego piersi błyszczały trzy ordery, jak zapomniane klejnoty w obrabowanym grobie faraona. Obok prawej dłoni spoczywał regulaminowy pistolet z lufą noszącą jeszcze ślady krwi, która

rozprysnęła się wokół, kiedy człowiek ten odstrzelił sobie kawał czaszki.

Głosy w oddali wybiły mnie z osłupienia. Ruszyłem za odbiciem światła latarek po drugiej stronie ogromnego, centralnego szybu wentylacyjnego budynku. Z westchnieniem ulgi zdałem sobie sprawę, że omyliłem się zaledwie przy jednym skręcie. Szedłem równolegle do reszty grupy, ale po przeciwnej stronie szybu wentylacyjnego. Musiałem jedynie iść dalej wzdłuż ściany i skręcić w prawo, kiedy ściana się skończy, a wtedy natknę się na swój oddział.

Skoncentrowany na tej myśli przyspieszyłem kroku. Nieprzyjemnie jest samemu iść w pełnych ciemnościach, ale to uczucie w opuszczonym, pełnym trupów budynku było stokroć gorsze. Jakbym spacerował po nawiedzonym domu.

Wyobraźnia zaczęła mi płątać paskudne figle, kilka razy byłem bliski strzelenia w swój własny cień odbijający się na ścianach. Co rusz słyszałem szepty i wydawało mi się, że ktoś, szurając, idzie moim śladem. W moim rozgorączkowanym umyśle pojawiła się wizja oficera z orderami, który wstaje od biurka i podąża za mną po pokojach, a odznaczenia cichutko pobrzękują mu na piersi. Wyciąga wyschnięte ręce, chwyta mnie za szyję i ciągnie do pokoju z biurkiem, a tam zmusza, abym usiadł i pozostał z nim na zawsze...

Ogarniała mnie panika. Już nie szedłem, ale biegłem. Aż do tej pory usiłowałem zapanować nad lękiem, z prostego powodu – cierpiała na tym moja duma. Nie chciałem wyjść na durnia przed całą ekipą („Popatrz na tego bałwana, który zgubił się natychmiast po wejściu do budynku... To nieudacznik, który nie potrafi zrobić jednego kroku, żeby się nie posrać ze strachu. Szkoda, że nie widziałeś, jak wrzeszczał z przerażenia, kiedy się na niego natknęliśmy”), ale było mi już wszystko jedno. Biegając, wzywałem głośno Pritczenkę, Tanka, Brota i wszystkich członków ekipy, których imiona znałem. Już nie miało dla mnie znaczenia, czy wyjdę na tchórza. Jedyne, na czym mi zależało, to żeby nie być samemu w ciemnościach cuchnących śmiercią, strachem i rozpaczą.

Gdybym bardziej uważał, ominąłbym ponownie to ciało, ale byłem tak oszołomiony, że wpadłem wprost na nie i potknąłem się. Czubek mojego lewego buta zagłębił się w coś miękkiego, co pękło z lekkim sykiem, i jednocześnie odór nie do opisania uderzył mnie falą w nozdrza. Upadłem na bok i straciłem dech. Latarka wyleciała mi z rąk i ślizgała się przez dwa metry, zanim zatrzymała się, odwrócona do góry nogami obok leżącego na podłodze stosu ubrań.

Przez kilka sekund leżałem nieruchomo na podłodze, tam gdzie upadłem, usiłując znowu zaczerpnąć powietrza. Wreszcie, na czworakach, podczołgałem się do latarki, z której wydobywały się jedynie małe, lśniące widmowo promyki. Podniosłem ją z ziemi, w myślach modląc się do wszystkich świętych, żeby nie okazała się zepsuta.

Ku mojemu zadowoleniu promień światła był jasny i spokojny. Skierowałem latarkę na ciało, o które się potknąłem. Były to zwłoki kobiety w cywilnym ubraniu, potwornie napuchnięte od gazów rozkładu. Mój lewy but przedziurawił jej brzuch, który nadal się opróżniał na moich oczach. Wyglądała jak ogromna, groteskowa dmuchana lalka, w sam raz dla umyślowo zaburzonego zboczeńca. Odwróciłem wzrok ze wstrętem i przejechałem strumieniem światła po reszcie pomieszczenia. Okrzyk przerażenia, który aż do tej pory udało mi się powstrzymać, wyrwał mi się z gardła.

## Teneryfa

Lucia nie widziała zupełnie nic. Nie miała na sobie ubioru ochronnego, więc chemiczne środki w śluzie odkażającej tak jej podrażniły oczy, że ledwie mogła je otworzyć. Może nawet spaliły mi rogówkę, pomyślała z lękiem, starając się znaleźć drogę w mroku. Jak gdybym nie miała już wystarczająco dużo problemów... Najpierw poczuła lekki zapach ozonu i usłyszała pomruk maszyn oczyszczających powietrze. Kierując się raczej dotykiem niż wzrokiem, znalazła zlew. Odkręciła kurek i przemyła oczy dużą ilością wody. Pieczenie zmniejszyło się znacznie i dziewczyna doszła do wniosku, że może jednak nie straci wzroku. Niemniej jednak rzutem na taśmę udało jej się zdobyć wielodniowe, rekordowe zapalenie spojówek.

Z twarzą jeszcze ociekającą wodą podniosła głowę. Śluza była znowu zamknięta, nad drzwiami paliło się czerwone światło. Między oparami środków dezynfekcyjnych Lucia dostrzegła dwie sylwetki. Te sukinsyny nie dają za wygraną, pomyślała.

Proces dezynfekcji trwał zaledwie kilka minut. Lucia już zmarnowała połowę tego czasu na płukanie oczu, tak więc nie miała go zbyt wiele, aby zdecydować, jaki będzie jej następny ruch. Zdesperowana sięgnęła po słuchawkę telefonu zawieszoną na ścianie. W słuchawce aparatu, który nie miał klawiatury, odezwał się sygnał, ale gdziekolwiek był terminal, z drugiej strony nie było nikogo, kto odebrałby połączenie. Zawiedziona dała sobie spokój z telefonowaniem, a jej wzrok zatrzymał się na tacy z narzędziami chirurgicznymi. Z nich wszystkich wybrała niewielki lancet. Nie większy od noża do deserów nie wydawał się groźną bronią, ale zawsze to lepsze niż nic. Poczula się pewniej, trzymając go w dłoni.

Jej uwagę przyciągnęły drzwi w głębi sali. Otworzyła je. Do środka wpadał lekki prąd powietrza. Specjalista wytłumaczyłby, że znalazła się w śluzie wentylacji wymuszonej; że różnica temperatur między pomieszczeniami powoduje, że powietrze nasycone tlenem zawsze przemieszcza się do cieplejszego wnętrza, co zapobiega jego utracie. Jednak Lucia nie wiedziała nic o fizyce przepływu gazów i pomyślała, że po prostu gdzieś dalej znajduje się wyjście.

Z ufnością przekroczyła próg. Przed jej oczyma otworzył się korytarzyk oświetlony kilkoma lampami bakteriobójczymi, skąd przez duże oszklone okna

można było zajrzeć do szeregu pokoi znajdujących się po jednej jego stronie. W pierwszym pokoju mężczyzna, niemający na sobie ubrania ochronnego, pochylał się nad stołem, niezgrabnie poruszając się wokół czegoś, co kryło się za jego ciałem.

– Hej tam! Proszę pana! Pomocy! – Lucía wściekle bębniła w szklaną taflę, aby zwrócić na siebie uwagę technika. – Proszę pana! Czy pan mnie słyszy?

Mężczyzna w pokoju odwrócił się i uśmiech na twarzy Lucii zamarł. Facet miał twarz pokrytą siatką popękanych naczyń krwionośnych, a w oczach wyraz pustki, którą Lucía знаła aż za dobrze.

To była twarz Nieumarłego.

Zgniluch z jękiem rzucił się na szybę z taką siłą, że cała konstrukcja zadrżała. Przerażona dziewczyna cofnęła się o krok – szkło mogło pęknąć w każdej chwili. Jednak ci, którzy zaprojektowali celę, wykonali dobrą robotę i okno wytrzymało.

Gdzieś blisko zawyła syrena. Śluza wejściowa właśnie się otworzyła, co oznaczało, że jej dwaj prześladowcy byli już w sąsiedniej sali. Lucía spieszenie przemierzała korytarz, mijając kolejne przeszkłone cele. Zafascynowana zaobserwowała, że w każdym pomieszczeniu znajdował się jeden lub dwóch Nieumarłych w różnym stopniu rozkładu. W jednej celi, przywiązane do noszy, zobaczyła ciało składające się z głowy i torsu. W innej na półce stało kilka wielkich słoików z formaliną, w których pływały same głowy. Lucía dostrzegła ze zgrozą, że głowy otworzyły oczy i śledziły ją wściekłym wzrokiem, kłapiąc przy tym zębami.

Drzwi w głębi prowadziły do następnego laboratorium, podobnego do tego w pierwszym pomieszczeniu. Serce Lucii zabiło dziko – były zaopatrzone od środka w zamek z zasuwą. Popchnęła drzwi, zatrzasnęła je za sobą z całej siły i na koniec starannie zamknęła.

Po czym odskoczyła od nich i zrobiła parę kroków do tyłu. Raptem uderzyła biodrem w krzesło, które jakiś niedbały laborant zostawił na środku pokoju. Starła się utrzymać równowagę. Już myślała, że jej się to uda, ale szła za szybko i ze zbyt dużym rozpędem. Rozpaczliwie próbowała się czegoś uchwycić lewą ręką, sięgnęła do stojącej w pobliżu konsoli kontrolnej, ale jej palce ześlizgnęły się po przyciskach. Upadła. Lancetem, który trzymała w prawej ręce, przejechała sobie po udzie i na nogawce jej białego uniformu pielęgniarki pojawiła się cienka kreska, która natychmiast zabarwiła się na czerwono.

– Aj! Cholera! – krzyknęła z bólu, przeklinając swoją niezgrabność. Lancet, niewielki, lecz bardzo ostry, naciął jej wzdłuż mięsień na udzie. Rana nie była głęboka, ale obficie krwawiła.

Z drugiej strony drzwi dobiegały głuchoe odgłosy. Utykając i klnąc jak szewc, Lucía podniosła się jak mogła najszybciej, opierając się na konsoli kontrolnej.

Jej oczy znalazły się na wysokości guzików, które przypadkowo nacisnęła, i dziewczyna zastygła z przerażenia. Przeczytała, co było napisane na plakietce przykręconej na rogu konsoli.

Napis głosił: „System otwarcia cel”. A zduszony charkot, który słyszała zza drzwi, powiadomił ją nieomylnie, jakie to cele stanęły otworem z jej winy.



## Madryt

Okrzyk zgrozy zamarł na moich ustach dopiero wtedy, gdy zabrakło mi powietrza w płucach. Byłem pod takim wrażeniem tego, co zobaczyłem, że na kilka sekund zapomniałem o oddychaniu.

Pokój był ogromnym mauzoleum. Sprawiał wrażenie scenografii do końcowej sceny filmowego dramatu o tragicznym zakończeniu.

W pomieszczeniu spoczywały dziesiątki ciał rozmieszczonych w grupkach po kilka osób. Większość z nich była tak spęczniała jak trup, o którego potknąłem się, wchodząc, ale niektóre zwłoki wyschły całkowicie i przywodziły na myśl mumie od tysiący lat zagrzebane w pustynnym piasku. Były tu zarówno kobiety, jak i mężczyźni, mniej więcej po równo, większość w cywilnych ubraniach, choć zdarzały się zwłoki ubrane w wojskowe mundury. Wszyscy trzymali w rękach kartonowe kubki, podobne do tych, które już widziałem u dwóch poprzednich umarłych.

– Tutaj jesteś! – odezwał się za moimi plecami znajomy głos Wiktora Pritczenki, a sam Ukrainiec jak rakieta wpadł do sali. Za nim biegło dwóch legionistów, którzy zatrzymali się jak wryci na widok spektaklu.

– Jak, do diabła, się tu dostałeś? – wypytywał Ukrainiec, obmacując mi całe ciało, aby upewnić się, że jestem w jednym kawałku. – Gdyby nie to, że usłyszałem, jak się drzesz, nigdy byśmy cię nie... – Ostatnie słowo zawisło w powietrzu, gdy Prit rozejrzał się dookoła.

– Co to za koszmar? – dopytywał się jeden z legionistów.

W moim umyśle zaczynało nabierać kształtów okropne podejrzenie. Bardzo ostrożnie odsuwając jedno z ciał, podszedłem do stołu znajdującego się na środku pomieszczenia. Stał na nim ogromny wojskowy kocioł oraz dziesiątki pustych butelek po napojach. Pod stołem leżały dwie niewielkie szklane buteleczki, które musiały się tam potoczyć. Podniosłem jedną z nich i oświetliłem ją latarką. Z pomarańczowego tła etykiety spojrzała na mnie niewzruszona, uśmiechnięta trupia czaszka ze skrzyżowanymi piszczelami, pod którą widniała chemiczna formuła i logo szpitala. Ktoś dopisał ręcznie na etykiecie „Kwas cyjanowodorowy”.

– Samobójstwo zbiorowe – mruknąłem, upuszczając butelkę do środka kotła. Resztki płynu wyparowały już dawno temu, ale nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że kiedyś naczynie było wypełnione po brzegi napojem

wymieszanym z potężną trucizną.

– Co to za ludzie? I dlaczego się zabili? – pytał zdumiony Wiktor.

– Przypuszczam, że to zwłoki funkcjonariuszy rządu Autonomicznej Wspólnoty Madrytu. Tank mówił, że ich konwój ewakuacyjny nigdy nie dotarł na lotnisko Barajas. – Przebiegłem spojrzeniem po brudnych i wyschniętych zwłokach, ubranych w garnitury i pod krawatem. – Najprawdopodobniej ich konwój nigdy stąd nie wyruszył. Zapomniano o nich.

– A niech to – świsnął przez zęby ten sam legionista, który odezwał się poprzednio. – A to niefart. Wyobrażam sobie, jak się czuli, gdy odkryli, że wszystkie konwoje już odjechały.

– Pewnie czuli się tak bezpiecznie w swoim bunkrze, że wyjrzeli na zewnątrz dopiero po kilku dniach.

Zatrzymałem się przy trupie kobiety w średnim wieku, siedzącej na drogim fotelu, z rękoma opuszczonymi wzdłuż ciała i głową opartą na piersiach. Była elegancko ubrana, na szyi miała drogocenny naszyjnik z pereł, tylko częściowo widoczny spod brudnych i splątanych blond włosów. Wiedziałem, kim była. Przed apokalipsą widywałem ją miliony razy w mediach. Przeszedł mnie dreszcz.

– Pozostali tu na łasce losu, niemal bez broni i zapasów – wtrącił Prit. – Musieli wybierać między wydaniem się na pastwę tłumu Nieumarłych tam, na zewnątrz, a śmiercią głodową. – Ukrainiec cmoknął w zamyśleniu. – Najwyraźniej ci, którzy zdecydowali się nie wychodzić, wybrali trzecią drogę, aby rozstać się z życiem, szybszą i mniej bolesną.

– Mieli radionadajniki – zauważył drugi legionista, wskazując na ogromną wojskową radiostację stojącą w rogu, między dwoma ciałami. – Dlaczego jej nie użyli, żeby wołać o pomoc?

– Nie ma prądu, chłopcze. – Prit wskazał strumieniem światła latarki niedziałające lampy na suficie. – Przypuszczalnie zdali sobie sprawę, że coś źle poszło, dopiero kiedy generatory prądu wyczerpały paliwo i zgasły.

Przez chwilę staliśmy w milczeniu, wyobrażając sobie okropny lęk, który musieli odczuwać ci ludzie w swych ostatnich chwilach. Wejście Tanki w towarzystwie pozostałych siedmiu członków naszej ekipy przerwało mroczny nastrój.

– Znaleźliśmy schody! – krzyknął Niemiec, po czym na chwilę zamilkł, przyglądając się nieboszczykom. Nawet on, mimo swojej germańskiej flegmy, poblądł na widok tej masakry. Zamrugał i wezwał nas gestem.

– Idziemy, panowie. Musimy jeszcze zejść dwa piętra niżej. Jesteśmy dopiero w połowie zadania.

Potem odwrócił się i wyszedł z sali, nie mówiąc już ani słowa. Zrezygnowani, ruszyliśmy za nim powoli. Przytłaczająca atmosfera tego

budynku osłabiała już morale całej ekipy.

Klatka schodowa była usytuowana na rogu centralnego szybu wentylacyjnego. Została zamknięta wymyślnym sposobem – od wewnątrz drzwi przeciwpożarowych przewleczono grube łańcuchy. Na ten widok wymieniliśmy z Wiktorem porozumiewawcze spojrzenia. To był dokładnie ten sam system zabezpieczający, który został zastosowany w szpitalu Meixoeiro w Vigo. Prawdopodobnie pewnego dnia jakiś gryzipiórek z Ministerstwa Obrony zredagował instrukcję zachowania się w wypadku inwazji Nieumarłych, zalecającą okopanie się w budynkach urzędów publicznych. Nie miałbym nic przeciwko zamienieniu paru słówek z tym geniuszem, aby opowiedzieć mu, jakie wyniki dała jego rewelacyjna strategia.

Marcelo podszedł do drzwi i z obelżywą łatwością przeciął łańcuch obcęgami. Następnie odstał na bok, a trzech żołnierze wyszli na zewnątrz. Nie minęła sekunda, gdy usłyszeliśmy za drzwiami pojedynczy wystrzał, a po nim okrzyk: „Oczyszczono!”.

Teraz i my wyszliśmy na klatkę schodową. Dotarłszy na półpiętro, zobaczyliśmy truchło Nieumarłego broczące krwią z rany od kuli na czole. Przełknąłem ślinę.

Jeśli po tamtej stronie drzwi był jeden Nieumarły, to niewątpliwie jest ich więcej.

I to o wiele więcej.

## Teneryfa

*Przez brak hufnala koń stracił podkowę, przez brak podkowy przepadł koń, przez brak konia przegrano bitwę, przez porażkę w bitwie stracono królestwo. A wszystko przez brak hufnala w podkowie.* <sup>[2]</sup>

Przez głupi wypadek, spowodowany przez ogarniętą atakiem paniki, śmiertelnie przerażoną dziewczynę, która – ścigana przez bezlitosnych zabójców – usiłowała ocalić życie, z puszek Pandory ponownie wydobył się chaos.

Ale na razie nikt – nawet sami sprawcy – nie zdawał sobie z tego sprawy.

A im nigdy nie będzie dane się o tym dowiedzieć.

Eric Desauss i Basilio Irisarri pospiesznie przeszukali pierwsze laboratorium, zaglądając w każdy kąt. Kiedy doszli do drzwi w głębi, Basilio dał znak Ericowi, żeby stanął naprzeciw nich. Desauss skinął głową i zatrzymał się dwa metry przed drzwiami, trzymając berette w obydwu rękach. Irisarri zbliżył się ostrożnie, położył rękę na klamce i przykleił się do ściany. Jeśli ta przeklęta dziewczucha szykuje jakiś numer i czai się na nich po drugiej stronie, dostanie nauczkę.

Spojrzał na Belga i podniósł trzy palce. Nadal trzymając prawą rękę na klamce, odliczył w myślach trzy sekundy, silnie pociągnął drzwi do siebie i odskoczył na bok.

W ciągu najbliższych paru sekund mnóstwo się wydarzyło. Najpierw ktoś całkowicie nagi wyleciał jak z procy otwartymi drzwiami (coś, a nie ktoś, pomyślał śmiertelnie przerażony Eric, widząc sunącego ku sobie Nieumarłego). Nastrój Belga diametralnie się zmienił, a miłą gorączkę podniecenia seksualnego zastąpił lodowaty, kleisty strach. Z wybałuszonymi oczami Eric podniósł berette i dwa razy z przyłożenia wypalił w Nieumarłego.

Pierwszy pocisk przeszył szyję zgnilucha, z której pociekł strumień gęstej czarnej krwi. Drugi trafił go prosto w twarz, pozostawiając wielki krwawy otwór w miejscu, gdzie przed chwilą był jego nos. Nieumarły zwałił się jak wór na ziemię, ale Eric nie miał czasu na odprężenie, gdyż przez drzwi wypadło naraz trzech następnych.

Klnąc po francusku, rudzielec wycofywał się, strzelając do zgniłków, którzy

byli tuż-tuż. Z rozplątanej głowy ogromnego, dwumetrowego Afrykańczyka trysnęła krew jak z fontanny, padając na plastikową osłonę kasku ochronnego i zalewając ją całkowicie. Eric przejechał ręką w rękawicy po osłonie, ale pogorszył sprawę, gdyż przestał widzieć cokolwiek.

Czyjaś dłoń, jak szpon, złapała go za ramię. Belg odwrócił się po omacku, wymierzył mocny cios łokciem i jednocześnie strzelał na ślepo w kierunku zbliżającego się jakiegoś tobołu. Nagle poczuł, jak ktoś (coś) chwyta go za kolano od tyłu. Ostry ból, jak od oparzenia, rozszedł mu się od łydki w górę.

Belg odwrócił się i dwa razy wystrzelił do tego podstępnego paskudztwa, które obeszło stół naokoło i zaskoczyło go od tyłu. Pot strumieniami spływał mu po twarzy, a temperatura w tym przeklętym ubiorze ochronnym podniosła się mniej więcej o milion stopni. Upiorna, powleczone krwią osłona kasku ograniczała mu pole widzenia do bardzo wąskiego kąta, dlatego temu skurwysynowi udało się go podejść.

Rozdzierające wycie zmroziło mu krew w żyłach. Osaczony w kącie, bezbronny Basilio Irisarri walczył z dwoma Nieumarłymi, którzy rzucili się na niego w tej samej chwili. Z oczyma nabiegłymi krwią marynarz wymierzał im ciosy, które mogłyby powalić wołu. Nieumarli nie tylko nie wykonywali najmniejszego gestu, aby uniknąć uderzeń, ale wręcz wydawało się, że zupełnie nie zwracają na nie uwagi.

Irisarri wyprowadził morderczego haka Nieumarłemu po prawej stronie. Szczeka zgnilucha trzasnęła jak zardzewiały potrząsk i w powietrze wyleciały fragmenty uzębienia. Drugi Nieumarły wykorzystał chwilę, w której marynarz trzymał rękę wyciągniętą do przodu, i wbił zęby w przedramię Basilia. Kły potwora z łatwością przedziurawiły cienkie tworzywo ubioru ochronnego i bawełnianą koszulę pielęgniarza, które miał na sobie.

Basilio zawirował jak tornado i przyładował umarłakowi straszliwego kopa, który spotkałby się z uznaniem samego Chucka Norrisa. Potwór upadł na plecy i niezgrabnie jak żółw usiłował się podnieść, cały czas z rozkoszą przeżuwał fragment bicepsa Irisarriego, który pozostał mu w ustach.

– Eric! – Wrzask Basilia był rozdzierający. – Pomóż mi, do kurwy nędzy!

Belg, z nieobecny wyrazem twarzy, strzelił do Nieumarłego leżącego na ziemi. Potwór skonał raz na zawsze, z na wpół przymkniętymi ustami i kawałkiem ramienia Irisarriego wystającym mu z paszczy jak mały, figlarny, różowy języczek. Widok ten, nawet w takiej sytuacji, wywołał na twarzy rudzielca sadystyczny uśmiezek.

Pozostali dwaj Nieumarli rzucili się na Basilia i jeden z nich (lub zrobił to sam Basilio, tego Eric nigdy się nie dowiedział) zerwał mu kask. Belg dwa razy wystrzelił do jednego zgnilucha, który osunął się jak szmaciana lalka, ale jego kumpel był szybszy i wpił się zębami w szyję marynarza. Ze zduszonym rykiem Basilio Irisarri zdobył się na ostatni wysiłek i cisnął napastnika na stół,

zrzucając przy okazji mnóstwo próbek, szkiełek i mikroskopy, które roztrzaskały się z wielkim hukiem o podłogę.

Eric wykorzystał ten moment, aby strzelić w poskręcane ciało Nieumarłego, opróżniając magazynek beretty z ostatnich dwóch pocisków. Szybko jak kobra odwrócił się wokół własnej osi, ale w laboratorium nikt już nie stał na własnych nogach, z wyjątkiem niego samego. W sumie na ziemi leżało sześciu Nieumarłych z głowami rozwalonymi przez jego pociski.

Basilio Irisarri osuwał się powoli na ziemię i usiadł oparty plecami o ścianę. Eric obserwował zafascynowany, jak z rany na jego szyi, w regularnych impulsach zgodnych z rytmem serca, wytryskują strumienie krwi.

– Eric... – głos Basilia brzmiał dziwnie bełkotliwie. Z ust wyciekała mu na szyję krwawa piana, gdzie mieszała się z potokiem juchy, wydobywającym się spod palców uciskających ranę. – Eric... pomóż mi się podnieść... nie mogę... Eric...

Belg dotknął swojego kasku i gestami pokazał, że nie słyszy. Po czym pokręcił przecząco głową i pomachał ręką na pożegnanie.

– Nie... nie możesz... skurwielu... – wychrypiał Basilio. – Zabierz mnie...

– Nie słyszę cię, Basilio – zadudnił Eric z głębi kasku. – I nie wiem, czy ty mnie słyszysz, ale to wszystko przestało mnie już bawić. Jestem zmęczony, jest mi gorąco, mam ochotę na zimne piwo. A tę twoją małą dziwkę już pewnie pożarły te bestie... Ponadto, jeśli jeszcze nie zdałeś sobie z tego sprawy, powiem ci, że umierasz, wiesz?

Potężny marynarz wpatrywał się w niego z podłogi i nic już nie mówił. Z każdym uderzeniem serca przez potworną ranę na szyi ulatywała mu garstka życia. Eric parsknął i ponownie pokręcił głową.

– Czas na mnie, przyjacielu. – Schylił się i umieścił rozładowaną berettę w wolnej ręce Basilia, nie przestając radośnie paplać. – Nie chciałbym, żebyś sądził, że uciekam albo że nie martwię się o ciebie. Zostawiam ci to na pamiątkę. Kiedy ktoś tu przyjdzie, lepiej, żeby pomyślał, że to ty jesteś winien tego rozgardiaszu, a nie ja.

Popatrzył wokół siebie z przygnębionym wyrazem twarzy kogoś, kto ogląda zniszczenia w swoim domu po całonocnej, szaleńczej zabawie.

– Pozdrów ode mnie Szatana, stary. – Poświęcił Irisarriemu ostatnie spojrzenie, po czym odwrócił się i odszedł w stronę śluzy odkażającej. Kiedy naciskał otwierający ją guzik, usłyszał stłumiony trzask spustu beretty. Popatrzył w tył: Basilio ostatnim wysiłkiem podniósł pistolet i próbował strzelić, a teraz wpatrywał się w nienaładowaną broń z rozpaczą.

– Jesteśmy wściekłymi bestiami, Basilio – powiedział łagodnie Eric, wiedząc dobrze, że konający marynarz nie może go usłyszeć. – Rzucamy się jedni na drugich przy najmniejszej okazji i nic nie możemy na to poradzić. Popatrz,

nawet na tych pieprzonych wyspach... Co zrobili ocaleni, kiedy tylko się jakoś zorganizowali? Zaczęli się między sobą wybijać! Jesteśmy na krawędzi wojny domowej, jeśli wierzyć mediom! Te przekłete potwory ukradły nam tę odrobinę ludzkich uczuć, jaka nam jeszcze pozostała... Tak więc mógłbyś chociaż postarać się umrzeć z godnością, do diaska!

Za jego plecami otworzyły się drzwi. Parodiując salut wojskowy, Eric wszedł do kabiny. Oczy Basilia, zamglone śmiercią, śledziły go coraz bardziej niepewnie. Jego mózg, pozbawiony tlenu, umierał, ale w jego żyłach krążyły już miliardy maleńkich istotek, które wykorzystywały ciepło konającego ciała, aby mnożyć się w zastraszającym tempie.

Za kilka godzin, kiedy namnożą się wystarczająco, sprawią, że Basilio podniesie się na nowo. Ale Eric Desauss już tego nie zobaczy, przynajmniej jeśli to od niego będzie zależało.

Belg uruchomił odkażanie i całe jego ciało opłynęły strumienie płynu dezynfekcyjnego. Kiedy substancja przeniknęła do rany w nodze, poczuł ostre pieczenie. Stwierdził, że w nogawce kombinezonu ma ogromną dziurę, której brzegi ociekają krwią, i poruszyło go to do głębi. Zesztywniałymi palcami uniósł poszarpany materiał i odsłonił rząd regularnych zagłębień w mięśni łydki.

– To te pieprzone szklane naczynia, które się potłukły – przekonywał sam siebie, czując, jak zmrożony strachem pot zastyga mu na skórze. – Tak, to musi być to. Ten ostatni skurwysyn przeleciał po stole i po drodze potłukł milion tych szklanych tubek. Z pewnością któraś wyleciała jak z procy i przecięła mi nogę, właśnie tak.

Jego głos nie brzmiał tak zdecydowanie, jak by sobie życzył, ale przynajmniej – słysząc go – trochę się odprężył.

Oddychał już nieco spokojniej i cierpliwie czekał, aż skończy się dezynfekujący prysznic. Czerwone światło zgasło, Belg popchnął drzwi prowadzące na zewnątrz i wyszedł na korytarz, którym tutaj dotarli wraz z Irisarrim. Nie zdejmując ubioru ochronnego, przemknął przez drzwi pancerne, które Basilio rozwalił z HK, i spokojnie oddalił się od spustoszonego laboratorium.

Kilka metrów przed stanowiskiem kontroli napotkał urozmaiconą grupę, składającą się ze strażników, osób ubranych po cywilnemu i żołnierzy, która pędem ruszała w przeciwną stronę.

– Do laboratorium! – wskazał ręką kierunek, skąd przybywał. – Facet z pistoletem i dziewczyna! Wskoczyli tam i strzelali do wszystkich! Mnie się udało uciec, ale wewnątrz jeszcze są ludzie!

– Cholera, wszystko, tylko nie zoo. Żeby tylko nie dostali się do zoo – mruknął, blednąc, najwyższy rangą wojskowy. – Czy panu nic nie jest,

doktorze?

– Mało brakowało, a odstrzeliliby mi nogę – skłamał swobodnie Eric, wskazując na zakrwawioną łydkę. – Ale to tylko draśnięcie, jak myślę. Dobrze by było, żeby któryś z kolegów jak najszybciej to obejrzał...

– Oczywiście, doktorze, niech pan szybko idzie na piętro i da się zbadać. Frojle urządziły niezły bardak, ale już panuje spokój – odparł wojskowy i zakończył rozmowę. Po czym zwrócił się do swoich ludzi: – Idziemy. Miejcie się na baczności. Jeśli choć jedne drzwi w zoo zostały otwarte, najpierw strzelajcie, a potem pytajcie, zrozumiano?

Oddział oddalił się truchtem w kierunku laboratorium. Z uśmiechem zadowolenia Eric zdjął kask i wreszcie mógł odgarnąć z oczu przepocone kosmyki włosów. Przechodząc przez punkt kontroli, zostawił na biurku ubiór ochronny i kulejąc, przeszedł pod bramką wykrywającą metal.

Przekłeta rana na nodze bolała go coraz bardziej i pulsowała przy każdym kroku.

Dwie minuty później Eric wyszedł spokojnie na zewnątrz. Panował tu nieopisany chaos. Dziesiątki żołnierzy wchodziły i wychodziły, a na chodnikach zgromadził się ogromny tłum chorych w piżamach. Pogwizdując przez zęby, Eric ruszył w kierunku centrum miasta, lekko pociągając prawą nogą.

Chyba dobrze by było to zdezynfekować w domu – pomyślał, ale po chwili sam siebie poprawił: – A co tam, do licha, przecież to tylko głupie skaleczenie. To nie jest głupie skaleczenie i dobrze o tym wiesz, idioto. To ugryzienie – zawyla rozsądniejsza i bardziej logiczna część jego umysłu. – Gdybyś miał odrobinę zdrowego rozsądku, strzeliłbyś sobie od razu w łeb, nieszczęśniku. Nie, to z pewnością jest skaleczenie. Doskonale pamiętam, że skaleczyłem się szkłem – mówił sam do siebie z przekonaniem, kiwając głową. Kłamiesz, kłamiesz! – zawył głosik w jego głowie, ale tym razem już o wiele ciszej. (Eric od czternastego roku życia słyszał głosy i nauczył się nie zwracać na nie uwagi). Ta sprawa może zaczekać – brzmiała konkluzja.

I w tym momencie Eric zdał sobie sprawę, że wcale nie chce iść do domu, że desperacko potrzebuje łyknąć alkoholu. Wydawało się to dobrym pomysłem.

Właśnie, to po prostu świetny pomysł. To Najgenialniejszy i Najznakomitszy Pomysł w Dziejach Ludzkości, zdecydował.

Być może kilka kieliszków złagodzi ból w nodze, gdzie miliony maleńkich pastorałów właśnie mnożyły się jak szalone, mimo iż on ich nie widział.

I może przy okazji alkohol uciszy te pieprzone głosiki w głowie, które drą się i nie pozwalają mu zebrać myśli.

I może rozpuści bryłę lodu, w którą zamieniły się jego jądra.

Warto przynajmniej spróbować, do stu tysięcy par diabłów.



Przez brak hufnala zostało stracone królestwo.

Przez jeden hufnal. Po prostu jeden jedyny pieprzony gwóźdź.

## Madryt

Na niższych piętrach budynku panował bałagan kontrastujący z cmentarną powagą piętra-bunkra, przez które dostaliśmy się do środka. Ta część nie została pospiesznie przekształcona w centrum dowodzenia, jak wyższy poziom, lecz zachowała oryginalną strukturę i wygląd szpitala. Wiktor i ja w milczeniu szliśmy ramię w ramię, a w głowach kłębiły się nam wspomnienia tamtego dnia, gdy wyczerpani i bliscy agonii przeniknęliśmy do szpitala Meixoeiro. Czuliśmy się teraz jak podczas wizji lokalnej na miejscu zbrodni.

Nasz niewielki oddział szybko parł do przodu. Zatrzymywaliśmy się jedynie po to, żeby Tank mógł rzucić okiem na plan budynku, i gazem ruszaliśmy dalej. Od czasu do czasu napotykaliliśmy jakichś Nieumarłych, jednak żołnierze z awangardy załatwiali ich z morderczą sprawnością. Wiktor i ja, idąc w środku grupy, przyglądaliśmy się temu, ale nie musieliśmy ani razu użyć broni.

Wreszcie przemierzaliśmy ostatni korytarz i dotarliśmy do drzwi magazynu leków. Wiedząc, jak cennym i rzadkim dobrem są lekarstwa, wyobrażałem sobie, że chronią je ciężkie pancerne wrota, ale w rzeczywistości były to zwykłe dwuskrzydłowe drewniane drzwi z prostym zamkiem, który wyglądał tak, jakby miał się rozpaść pod naszym spojrzeniem. Idący na przedzie żołnierz przywalił im kopa bez większych namysłów i wejście stanęło przed nami otworem.

Weszliśmy do obszernego pomieszczenia zabudowanego szeregami regałów, na których zgromadzono tysiące pudeł z lekarstwami.

– Ależ to ogrom! – zaprotestowałem. – Tu są całe tony leków...! Nie możemy zabrać tego wszystkiego!

– Nie chcemy zabierać wszystkiego – wyjaśniła Pauli, mijając mnie pospiesznie. – Potrzebujemy jedynie tych, które są na liście komendanta.

– I odczynników – dodał Marcelo, przeszukując szybko regał. Rzucił mi plastikową butelkę, którą złapałem w locie. – To najważniejsze.

– Odczynniki? Po co? – Zdezorientowany ładowałem do plecaka pudła i butelki, które Marcelo podawał mi z ogromną szybkością.

– Są niezbędne do produkcji naszych własnych leków na Teneryfie – wyjaśnił. – Im więcej tych butelek weźmiemy ze sobą, tym rzadziej będziemy musieli wracać na półwysep po lekarstwa.

– To znakomity pomysł – entuzjastycznie poparł go Prit spod wąsów, ładując pudła i pudełka na spód plecaka.

Załadowanie plecaków lekarami i substancjami czynnymi nie trwało dłużej niż kwadrans. Jak się zorientowałem, na liście było trochę wszystkiego: antybiotyki, środki przeciwbólowe, nasercowe i mnóstwo specyfików zupełnie mi nieznanych. Aby nie tracić cennego miejsca, wyciągaliśmy lekarstwa z pudełek i po chwili cała podłoga apteki była pokryta pustymi kartonikami jak dywanem.

Siedząc na stosie paczek niczym Budda, David Broto wyciągał pudełka z ogromnego kosza, przyglądał im się przez moment i odrzucał je do tyłu przez ramię. Na koniec, natknąwszy się na to, czego szukał, krzyknął z radością:

– Świetnie! Już myślałem, że nie uda mi się ich znaleźć!

Zerwał się i podszedł do nas, odkręcając pokrywkę buteleczki. Wyciągnął z niej kilka zwykłych białych pastylek i wsadził jedną do ust z jawnym zadowoleniem. Następnie podsunął mi buteleczkę.

– Chcesz? – zaproponował. – Myślę, że dobrze nam zrobią.

– Co to? – zapytałem nieufnie.

– Metamfetamina. – Broto mrugnął porozumiewawczo. – Brak snu, brak głodu, brak pragnienia, a zmysły bardziej wyostrzone niż u wodza Apaczów. To bomba, przyjacielu.

Nie chciałem żadnych narkotyków, więc pokręciłem przecząco głową, ale Prit wystąpił naprzód i zdecydowanym gestem wyciągnął z buteleczki dwie pastylki. Łyknął jedną, a drugą podał mnie.

– Masz, połknij – powiedział poważnie. – I nie świruj. W tej sytuacji każde wsparcie jest na wagę złota, nawet jeśli polega na dopingu. Nie wiemy, co nas czeka w ciągu następnych paru godzin.

Ukrainiec miał niestety rację. Połknąłem pigułkę. Nie odczułem nic szczególnego, ale przypuszczałem, że efekty pojawią się po jakimś czasie.

Podniosłem się i zarzuciłem plecak na ramię. Był o wiele cięższy, niż myślałem, i westchnąłem, kiedy Prit podał mi jeszcze latarkę i glocka, które zostawiłem beztrąsko na ziemi.

– To waży tonę – zaprotestowałem. – Za pięć minut będę spocony jak ruda mysz.

– Delikacik z ciebie – stwierdził radośnie Wiktor, zarzucając sobie na ramię plecak, tak samo pękaty jak i mój. – Moja ciotka Ludmiła regularnie musiała przewalać czterdzieści czy pięćdziesiąt worków kartofli w kołchozie, w którym pracowała... No tak, moja ciotka Ludmiła ważyła sto piętnaście kilo, miała szklane oko i była brzydka jak noc listopadowa... – dodał w zamyśleniu, a potem bez najmniejszej przerwy przeszedł do zwariowanej opowieści o ciotce,

płonącej stodole i krowie, która wpadła do studni.

Słuchając nieznużonej paplaniny Wiktora, zastanawiałem się, czy jest oznaką tego, że metamfetamina zaczyna działać. Modliłem się, żeby tak nie było, bo inaczej musiałbym go udusić w ciągu następnych dziesięciu minut. – ... i wtedy mój kuzyn Siergiej, nadal na golasa, wyskoczył przez okno z widłami i... – mówił właśnie Wiktor, kiedy z drugiej strony regałów huknęły dwa strzały. Ukraińiec uciął raptownie swój beztroski słowotok. Machinalnie przeładował HK416 i bezszelestnie przemknął do miejsca, skąd dobiegły strzały. Usiłowałem za nim nadażyć, na wpół przywalony plecakiem. Marcelo odrzucił pośpiesznie bagaże, aby móc wygodniej posłużyć się swoim MG3.

W chwili gdy dotarliśmy do drzwi, ponownie rozległa się seria strzałów i usłyszeliśmy ostrzegawcze okrzyki. Trzech legionistów usiłowało powstrzymać grupę Nieumarłych, która pojawiła się przy wejściu do apteki. To znaczyło, że czas nam się kończył. Nasza obecność w budynku nie była już tajemnicą; zewsząd rozbrzmiewały odgłosy wycia, walenia w ściany lub niezgrabnego włożenia po schodach. Przegniłe istoty, przyciągane naszą obecnością, zbierały się wokół i za chwilę będzie się od nich roilo jak w ulu.

– Zwiewajmy stąd! – usłyszałem krzyk jednego z sierżantów.

– Jedyne wyjście prowadzi przez parter! – ryknął Tank, usiłując przekrzyczeć huk wystrzałów. – Na zdjęciach satelitarnych widać kilka opancerzonych pojazdów zaparkowanych z drugiej strony placu, na tyłach budynku. Musimy do nich dotrzeć i jak najszybciej odjechać! Naprzód marsz!

Jego słowa dodały nam skrzydeł. Jak podłączeni do prądu ruszyliśmy w zwartej grupie w kierunku klatki schodowej. Co parę metrów zmienacka pojawiała się grupka Nieumarłych, wyłaząc nie wiadomo skąd, ale żołnierze idący z przodu dyscyplinowali zgniluchów ciągłym ogniem i choć rozpaczliwie powoli, jednak posuwaliśmy się do przodu. Na otwartej przestrzeni nie mielibyśmy szans, ciasnota panująca wewnątrz budynku była naszym najlepszym sprzymierzeńcem. Zgnilce mogły nas atakować jedynie od przodu lub od tyłu, i to po dwa lub trzy naraz, co dawało nam fory.

Skulony w środku oddziału koncentrowałem się na tym, aby nie zmylić kroku albo nie potknąć się na jakimś pozbawionym życia ciele, które rozsiewaliśmy na swojej drodze.

Terkot broni palnej, odbijający się od ścian w wąskich korytarzach, był tak głośny, że niemal całkiem ogłuchliśmy. Za każdym razem, gdy któryś z żołnierzy idących na przedzie potrzebował amunicji, musiał się odwrócić i szturchnąć tego, który postępował za nim, ponieważ niemożliwe było porozumiewanie się słowami. Broto i ja podawaliśmy strzelcom magazynki w opętańczym tempie, a jeden z sierżantów i Pauli dokonywali cudów zręczności, ładując puste magazynki nabojami, które wyciągali z plecaka, nie przerywając marszu. Pomarańczowe błyski wystrzałów zabarwiały ciemności widmową

poświęta, strumienie światła latarek tańczyły szaleńczo po ścianach. Powietrze czuć było prochem, krwią i potem.

Legionista idący przede mną odwrócił się po magazynek. W tej samej chwili zza rogu wyłonił się Nieumarły, otoczył jego szyję rękoma i odciągnął go na bok. Usłyszałem rozpaczliwy krzyk chłopaka, ale zanim ktokolwiek zdążył coś zrobić, potworna istota zagłębiła kły w ramieniu nieszczęśnika. Nie zwalniając kroku, Tank wycelował i władował całą serię z pistoletu w Nieumarłego, powalając go na ziemię. Następnie skierował broń w stronę zranionego żołnierza.

– NIE! – tylko tyle zdążył krzyknąć ten biedak, zanim Tank rozwalił mu głowę.

To mnie całkiem załamało. Mimo iż wiedziałem, że los tego człowieka został przypieczętowany w momencie, w którym Nieumarły go zranił, nie byłem przygotowany na brutalną reakcję Tank'a. Zdawałem sobie sprawę, że alternatywa nie istniała i że – niewątpliwie – było to wyjście najbardziej humanitarne, ale i tak krew odpłynęła mi z twarzy.

Tank nachylił się do mnie i coś powiedział, ale byłem tak ogłuszony wystrzałami, że nie rozumiałem ani słowa. W bębenkach na stałe zainstalowało mi się przeraźliwe dzwonięcie, tak że nawet wystrzały dochodziły do mnie przyciszone, jakbym miał tonę waty w uszach. Ktoś mnie popchnął od tyłu i zanim się spostrzegłem, znalazłem się na czele grupy, zajmując miejsce poległego żołnierza.

Niedaleko od nas chwiała się trzech nadgniłych gości. Marcelo, idący po mojej prawej stronie, niósł MG3 przewieszony przez plecy (ukaem dawał tak duży odrzut, że niemożliwością było użyć go podczas marszu, nie opierając na czymś) i z zimną krwią strzelał z pistoletu do wszystkiego, co pojawiało się na naszej drodze. Po lewej miałem sierżanta weterana, tego z blizną na szyi. Pochylił się ku mnie i coś krzyknął. Nie musiałem słyszeć, co chce mi przekazać, bo i tak wiedziałem, co powinienem zrobić.

Zacisnąłem zęby, podniosłem karabin i zacząłem strzelać.

Nie umiałbym powiedzieć, w którym momencie sprawy zaczęły się wymykać spod kontroli. Bardzo trudno jest ocenić upływ czasu, kiedy znajdujesz się w ciemności na schodach i strzelasz do wszystkiego, co się rusza. Bogiem a prawdą mój wkład do poczynań awangardy, która przecierała drogę, był bardzo skromny. W większości przypadków albo Marcelo, albo stary sierżant wykańczali Nieumarłych, zanim udało mi się wycelować. Ponadto w tej części budynku było mniej zgnilców, a więc poruszaliśmy się coraz szybciej. Przypuszczalnie odgłos wystrzałów, odbijając się od niezliczonych zakamarków klatki schodowej i korytarzy, powodował taką kakofonię, że Nieumarłym trudno było nas zlokalizować.

Tak czy owak, i niezależnie od przyczyny, uznałem to za prawdziwe błogosławieństwo. Przez ostatnie pięć minut zużyliśmy praktycznie całą sprawną amunicję. Niektórzy żołnierze, opróżniwszy magazynki, porzucili już swoje karabiny i z malującą się w oczach desperacją rozbitków chwycili za pistolety.

– Magazynki! Choć jeden pieprzony magazynek! – usłyszałem okrzyk Marcela tuż obok.

– Proszę! – Broto, pocąc się obficie, podał mu magazynek i drżącym głosem powiedział: – To już ostatni!

Aby upewnić się, że Argentyńczyk dobrze go zrozumiał, Broto rozłożył puste ręce w bezradnym geście. Popatrzyłem w jego stronę z niedowierzaniem. Pozostał nam jeszcze jeden bieg schodów, a potem powinniśmy przejść przez cały parter, do tylnego wyjścia, przy którym były zaparkowane wozy opancerzone. Bez amunicji nie uda nam się dotrzeć nawet do drzwi wyjściowych.

Mój wzrok napotkał spojrzenie Tanka, który szedł po prawej stronie kolumny, blisko jej końca, tam gdzie Wiktor z drugim sierżantem osłaniali nasz odwrót, utrzymując na dystans nielicznych Nieumarłych, którzy się czasem pojawiali. Niemiec popatrzył na mnie i pokiwał głową z ponurym wyrazem twarzy. Jesteśmy w sytuacji bez wyjścia, mówiły jego oczy.

Dokładnie w tej samej chwili, tak jakby opatrność się nad nami zlitowała (lub przeciwnie, jakby chciała przedłużyć nasze cierpienia), bieg schodów zakończył się na półpiętrze z oknem.

Znajdowało się dość wysoko i było beznadziejnie brudne, ale jednak

niewątpliwie było to okno. Gestem wskazałem je Tankowi.

– Jesteśmy na pierwszym piętrze! – krzyknąłem, nie wiedząc, czy mnie słyszy. – Możemy wyskoczyć przez okno. Do ziemi nie jest chyba zbyt daleko!

Nigdy się nie dowiedziałem, czy Niemiec mnie usłyszał, ale jak pies owczarek zagnał naszą grupę pod ścianę, a sam stanął na takiej pozycji, aby – jak tarcza – osłaniać ostatnich ludzi, którzy docierali właśnie na półpiętro.

Odetchnąłem z ulgą. Musieliśmy bronić już tylko jednej flanki, ale i tak nasza sytuacja była naprawdę groźna. Z jedenastu ocalałych członków naszego oddziału mniej niż połowa miała jeszcze jakąś amunicję, co nie na długo wystarczy.

– Wskakuj mi na ramiona! – ryknął mi do ucha Pritczenko, tak głośno, że o mało nie uszkodził mi bębenka.

Paru towarzyszy pospieszyło, aby pozbawić mnie plecaka. Popchnięty w górę kilkorgiem par rąk znalazłem się na ramionach Wiktora, z głową na wysokości okna.

Było ono jakieś dwa metry nad podłogą i sprawiało wrażenie, że nie otwarto go ani razu od inauguracji szpitala. Zardzewiałe zawiasy wyglądały smutno i bezużytecznie, a szybę od zewnątrz pokrywała tak gruba warstwa brudu, że światło niemal nie docierało do środka.

Schwyciłem się aluminiowej ramy, aż kostki palców pobielały mi z wysiłku, i wyjrzałem na zewnątrz. Miałem widok na część małego placyku na tyłach budynku, który w swoim czasie służył zapewne jako parking dla personelu szpitala. Wymalowane pasy wyznaczające stanowiska były ledwo widoczne, a piasek, pył i spękany beton nadawały parkingowi wygląd miejsca nawiedzanego przez duchy. W głębi placyku spokojnie stały dwa ciężkie opancerzone pojazdy, pomalowane na oliwkowozielony kolor, z lufami działek obleczonymi w brezentowe pokrowce. Najważniejsze, że nie było nikogo. Domyśliłem się, że Nieumarli, którzy z pewnością zwykle się tu włóczyli, usiłują właśnie dostać się do budynku, przyciągnięci odgłosami wystrzałów. Pozostawili nam wolną drogę. Trudno o lepszą okazję.

Poruszyłem klamką, ale nie zdołałem przesunąć jej nawet o centymetr, ani w prawo, ani w lewo. Czas naglił, więc trzasnąłem w szybę kolbą mojego glocka. Szkło stłukło się z piekielnym hałasem i deszcz odłamków posypał się na zewnątrz. Pospiesznie oczyściłem, jak mogłem, brzegi ościeżnicy i wychyliłem się z okna.

Powietrze na dworze, w porównaniu z cuchnącym wnętrzem budynku, było wspaniale czyste i świeże. Po prawej, przymocowana do muru, biegła metalowa rurka brunatnego koloru. Zbyt cienka jak na odpływ rynny, przypuszczalnie była to osłona kabla lub coś w tym stylu, ale mimo to sprawiała wrażenie całkiem solidnie przytwierdzonej. Choć nie było zbyt

wysoko, pomyślałem, że lepiej będzie się po niej ześlizgnąć.

– Dobra jest, wychodzimy! – krzyknąłem do towarzyszy znajdujących się wewnątrz.

Szybko, z rąk do rąk, podano mi jedenaście plecaków napełnionych lekarami, które bez namysłu powyrzucałem przez otwór okienny. Następnie sam się przez niego precysnąłem z wdziękiem akrobaty cierpiącego na ostry atak artretyzmu, złapałem się rury i powolutku zacząłem się spuszczać w dół.

Na ziemi natychmiast rozejrzałem się z niepokojem dookoła. W magazynku glocka miałem ledwie cztery czy pięć naboji i gdyby właśnie wtedy zza rogu wyłoniła się grupa Nieumarłych, nie pozostawałoby mi nic innego niż rzucić się do ucieczki. Na szczęście wydawało się, że nie ma żadnego w okolicy, przynajmniej na razie.

Ujrzałem, jak Wiktor ześlizguje się po rurze, z nieodłącznym nożem rytmicznie obijającym mu się po nerkach. Potem pojawił się Marcelo i wkrótce po nim sierżant weteran z chustką na szyi. Kiedy przyszła kolej na Davida Brota, wstrzymaliśmy oddech, bo na krótką chwilę Broto utknął w otworze okiennym. Marcelo musiał wspiąć się po kablu, żeby pomóc koledze zejść na ziemię.

Sytuacja wewnątrz pogarszała się z minuty na minutę. Słysząc już tylko wystrzały dwóch karabinów, które z pewnością nie zdołają powstrzymać tłumu Nieumarłych. Jeden z żołnierzy, z paniką wymalowaną na twarzy, wyskoczył z okna prosto na ziemię. Przy zeskoku jego prawa kostka trzasnęła tak okropnie, że wszyscy zwróciliśmy wzrok na zwijającego się z bólu nieszczęśnika.

Strzelał już tylko jeden karabin. W oknie pojawił się Tank, błyskawicznie odwrócił się do środka i wyciągnął rękę do ostatniego wychodzącego, ciemnowłosego żołnierza z twarzą naznaczoną trądzikiem. Już trzymał go za nadgarstek, gdy nagle żołnierz krzyknął rozdzierająco i coś szarpnęło nim do tyłu.

– Aaaach! Aaaach! Boli, boli, BOLI! – darł się chłopak, rozpaczliwie usiłując przytrzymać się ręki komendanta.

Bezceremonialnie, mruknąwszy krótko „przykro mi”, Tank puścił rękę biedaka. Nie minęła sekunda, a ciało chłopaka zostało wciągnięte do środka i znikło tak, jak znika marionetka w zapadni. Krzyki agonii rozlegały się jeszcze przez chwilę, a potem zapadła cisza.

Staliśmy w milczeniu, kiedy Tank zeskoczył na ziemię i otrzepał mundur poplamiony na rękawie czyjąś krwią. Oprócz ciemnowłosego żołnierza brakowało jeszcze jednego legionisty i drugiego sierżanta. Wszyscy, tak jak i ja, liczyliśmy straty. Nikt nie odważał się odezwać ani słowem.

Z grupy osiemnastu osób, która weszła przed niespełną godziną do budynku, pozostało nas jedynie ośmioro: Marcelo, Pauli, Tank, Broto, sierżant weteran,



żołnierz ze złamaną kostką, którego imienia nie znałem, Wiktor Pritczenko i ja.

– Na co czekacie? – warknął Tank, popisując się typowo germańską wrażliwością. – Pędem do wozów, zanim się pojawi miłe towarzystwo!

Bez słowa podnieśliśmy plecaki (trzy z nich musieliśmy zostawić u stóp muru) i pobiegliśmy za Tankiem w kierunku dwóch wozów opancerzonych. Miały cztery ogromne koła z każdego boku i wieżyczkę ze sterzącą z niej nieproporcjonalnie wielką lufą. Choć zaprojektować je musiał inżynier pozbawiony elementarnej poczucia estetyki, sprawiały wrażenie bardzo solidnych.

– Cóż to takiego? – spytałem, starając się złapać dech.

– Centauro – odpowiedział sierżant weteran, odwiązując chustkę z szyi i wycierając sobie czoło. – Lekki opancerzony wóz rozpoznawczy. Wygląda paskudnie, ale to świetny sprzęt. Przed laty dowodziłem takim w Bośni.

– Jeśli nas stąd wyciągnie, uznam, że jest najlepszy na świecie – mruknąłem, nie dzieląc entuzjazmu żołnierza do tej kupy żelastwa. – Myśli pan, że będzie działać?

– O, z pewnością. – Sierżant z uśmiechem wdrapał się na wóz i otworzył właz. – To bardzo solidny sprzęt. Jeśli ma trochę paliwa, niewątpliwie ruszy z miejsca.

Sierżant pochylił się nad tablicą rozdzielczą, usiłując uruchomić wóz, a ja podszedłem do Wiktora. Ukraińiec był spocony, ale nie wyglądał na zmęczonego. Natomiast ja sam po raz tysięczny w życiu obiecałem sobie, że rzucę palenie, bo nadal nie mogłem złapać tchu.

– Jak myślisz, dlaczego je tu zostawili? – spytałem między dwoma wdechami.

– Dobre pytanie – odparł Prit. – Albo nie udało się ich odpalić, albo uznano, że nie ma sensu ich zabierać.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Przyjrzyj się im – wskazał Pritczenko. – Mają ogromną lufę, która jest całkowicie bezużyteczna w tej sytuacji, a w środku mieszczą się maksymalnie cztery osoby, i to jeszcze bardzo ściśnięte. W przypadku ewakuacji te wozy nie mogą się równać z autobusem lub wojskową ciężarówką. A może po prostu mieli mało kierowców. To logiczne.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz.

W tej samej chwili silnik centaury wydał z siebie astmatyczne kasznięcie, a potem serię mechanicznych sapnięć. Na koniec, wyrzucając niewiarygodnie wielką chmurę czarnego dymu, nabrał życia i ryknął imponująco, gdy sierżant energicznie wcisnął pedał gazu.

– Gotowe! – wrzasnął sierżant z zadowoleniem, wychylając głowę przez

właz. – Odjeżdżamy!

Z entuzjazmem poderwałem plecak z ziemi, aby wejść do wozu. Byłem już niemal na górze, gdy Broto wydał zduszony okrzyk i wybałuszył oczy.

– Nie wszyscy, sierżancie – usłyszałem głos Pauli. – Wychodźcie z wozu! Ręce do góry! Szybko!

Zdumiony podniosłem głowę. Pauli celowała w oszołomionego sierżanta ze swojego HK416, a Marcelo skierował w naszą stronę MG3, oparty o wieżyczkę centaury. Żołnierz ze złamaną kostką, który na jednej nodze doskoczył do nas, odebrał nam po kolei broń i wrzucił ją do wozu.

– Przykro mi, panowie – łagodny, ale zimny jak sztylet głos Marcela zabrzmiał jasno i wyraźnie. – Niestety, zostajecie tutaj.

## Teneryfa

– Kim jesteś? Jak się tu dostałaś? Ej, ty! Jesteś nieodpowiednio ubrana! Nie wolno tu wchodzić bez stroju ochronnego!

Słyszając za swymi plecami niewyraźne słowa, Lucía odwróciła się. Kobieta koło pięćdziesiątki, ubrana w ciężki kombinezon antybakteryjny, przyglądała jej się uważnie z głębin kasku przez plastikową, tłumiącą głos osłonę twarzy. Stała przy mikroskopie i trzymała w jednej ręce tacę z próbkami, a w drugiej notes do zapisywania wyników.

– Jesteś ranna! – nagle zawołała kobieta alarmująco, wskazując na zakrwawioną nogawkę ubioru pielęgniarki, który miała na sobie Lucía. – To strefa izolowana! Możesz się zarazić!

Zanim Lucíi udało się wtrącić choć słowo, za drzwiami rozległy się wystrzały. Obie kobiety usłyszały serię pomruków, odgłosy uderzeń i następne wystrzały. W którejś chwili dał się słyszeć gromki głos Basilia Irisarriego, krzyczącego: „Eric, pomóż mi, do kurwy nędzy!”, po czym zapadła głucha cisza.

Kobieta w stroju ochronnym podeszła do drzwi i przysunęła twarz do osadzonego w nich małego owalnego okienka. To, co zobaczyła, sprawiło, że wzdrygnęła się i błyskawicznie odskoczyła.

– Udało im się wyjść! Nieumarli są na zewnątrz! Sześć cel jest otwartych! – Odwróciła się do Lucíi, a jej wzrok miotał błyskawice. – To ty ich wypuściłaś? Odpowiadaj!

– Proszę się uspokoić, dobrze? – Dziewczyna nie dała się zastraszyć. – Tam na zewnątrz jest dwóch facetów, którzy...

– Sądząc po tym, co widziałam, raczej nikt tam już nie został – mruknęła kobieta, pospiesznie kierując się w stronę komputera. Wklepała kod i natychmiast rozległ się nagłący głos syreny alarmowej.

Z sąsiedniego biura wychylił głowę inny lekarz, także ubrany w ochronny uniform. Wydawał się skonsternowany alarmem, w rękę trzymał pistolet.

– Co tu się dzieje, Evo? – zapytał.

Jego wzrok spoczął na Lucíi, a oczy zrobiły mu się wielkie jak spodki.

– Kto to?

– Nie wiem. – Kobieta nazwana Evą zwróciła się do Lucíi: – Ale to dobre

pytanie. Kim jesteś, dziewczyno?

– Mam na imię Lucía i pracuję w tym szpitalu – odpowiedziała zapytana, po czym ciągnęła beładnie: – Kilkadziesiąt osób strzela do siebie na górnych piętrach, to istny dom wariatów... Dwóch facetów ścigało mnie aż tutaj, chcieli mnie zabić... A przedtem zamordowali siostrę Cecilię! Musicie mi pomóc!

Nawet jej samej to, co mówiła, wydawało się niezbyt zrozumiałe, ale nie potrafiła się uspokoić, gdyż właśnie zdała sobie sprawę, że o włos uniknęła śmierci.

– Już dobrze, postaraj się opanować. Niedługo przyjdą tu ludzie z ochrony i wszystkim się zajmą. Zgoda? – Eva popatrzyła na Lucię i położyła jej rękę na ramieniu. – A teraz usiądź na chwilę i odpocznij.

Na Lucię spłynęła fala ulgi. Była ocalona. Wszystko będzie dobrze.

Osunęła się na krzesło. Nagle poczuła, że jest skrajnie wyczerpana. Oparła się wygodniej, ale wtedy zapiekło ją skaleczenie, które sama sobie przypadkowo zadała lancetem. Podniosła głowę, aby poprosić tych uprzejmych ludzi o wodę utlenioną lub coś w tym stylu, jednak kobieta o imieniu Eva była odwrócona plecami.

Stała tuż przed nią i Lucía, zafascynowana, zauważyła, że jej obraz odbija się jak w lustrze w osłonie kasku drugiego lekarza, stojącego dokładnie pod lampą na suficie. Lucía już miała przemówić, kiedy Eva wykonała gest, który zamienił fascynację dziewczyny w przerażenie.

Jedną ręką dyskretnie wskazała na broń, którą trzymał lekarz, a drugą, jednoznacznym gestem, przeciągnęła po szyi.

– Wiesz co? – powiedziała w tej samej chwili. – Myślę, że będzie lepiej, żebyśmy poczekali na... Ej! Co ty wyprawiasz?

Lucía poderwała się jak na sprężynie i otoczyła ręką szyję kobiety. Trzymany w drugiej ręce lancet podniosła na wysokość jej oczu. Co powinna teraz zrobić?

– Chcę stąd wyjść – powiedziała po prostu po sekundzie zwątpienia. – Teraz.

– Uspokój się! Puść panią doktor Méndez, proszę cię! – odezwał się facet drżącym głosem, podnosząc broń.

Lucía wierzyła, że to indywiduum (jakiś pomocnik zapewne lub podwładny) nie odważy się strzelić. Trzeba mieć coś w sobie, mówił jej kiedyś Wiktor, żeby móc strzelić do człowieka, patrząc mu prosto w oczy. A Lucía była przekonana, że ten niski rangą funkcjonariusz tego nie miał, czymkolwiek to było.

Tak więc odetchnęła głęboko, ściskając silniej ramieniem szyję lekarki.

– Chcę stąd wyjść. Teraz – powtórzyła. – Albo, przysięgam na Boga, poderżnę ci gardło.

– Słuchaj, nie możesz stąd wyjść – wybełkotała doktor Méndez zduszonym

głosem. – Nieumarli z izolatek zranili cię w nogę, najprawdopodobniej jesteś zarażona... Lepiej puść mnie od razu.

– Nikt mnie nie zranił w nogę – poinformowała lakonicznie Lucía.

– Krew ci leci – niezręcznie zauważył ten drugi lekarz, jakby nie było to doskonale widoczne i całkowicie oczywiste dla wszystkich.

– Sama się niechcący skaleczyłam! Trzymałam lancet w dłoni, potknęłam się i upadłam. I wtedy się skaleczyłam. Rozumiecie? – zaprotestowała, choć miała niewielką nadzieję, że jej uwierzą.

– Oczywiście, oczywiście. Sama się skaleczyłaś, przeciskając się pomiędzy gromadą zarażonych. Milion razy słyszałam tę samą historię w Bezpiecznej Strefie w Walencji, zanim nas ewakuowano. – Eva dyszała i mówiła przerywanym głosem. – Daj... spokój... bo... mnie... udusisz...

– Jest tu drugie wyjście? – spytała Lucía, nieco zwalniając uścisk na szyi lekarki.

Nie zamierzała robić nikomu krzywdy, ale musiała się stąd jakoś wydostać. Jeśli myśleli, że jest zarażona, nie mogła mieć złudzeń co do rodzaju „terapii”, jakiej zostanie poddana.

– Jest ta druga śluza, którą się wychodzi do strefy biurowej – powiedział lekarz z wahaniem, wskazując drzwi za swoimi plecami.

– Do cholery, Andrés. Lepiej zamknij pysk i milcz – wściekle zasyczała Eva z furią w oczach.

Jednocześnie, wykorzystując fakt, że Lucía zwolniła uścisk, lekarka gwałtownie odrzuciła głowę do tyłu. Tylna ściana kasku uderzyła dziewczynę w czoło. Przez krótką chwilę widziała jedynie błyszczące różnokolorowe plamki pląsające jej przed oczami.

Na taką właśnie okazję czekała doktor Méndez. Raptownie zdzieliła Lucię łokciem w piersi, co odebrało jej dech, wyrwała się i odskoczyła na bok.

– Strzelaj, Andrés, strzelaj! – krzyknęła. – Jest zarażona!

– Nie mogę, Evo! – mówił jęklwym głosem facet o imieniu Andrés. – Nie potrafię! Sama to zrób!

– Dawaj to tu, idioto! – warknęła doktor Méndez, wrywając mu pistolet.

Ta chwilka wystarczyła, żeby Lucía jak węgorz prześlizgnęła się do ostatniego pokoju, gdzie ujrzała zachęcająco otwarte drzwi śluzy dezynfekcyjnej. Jednym skokiem wpadła do środka i usiłowała zamknąć je za sobą. W ostatniej chwili przez szparę między skrzydłem drzwi a framugą wcisnęła się męska ręka i chwyciła ją za ramię.

– Mam ją, szefowo, złapałem! – Głos pomocnika brzmiał triumfalnie do chwili, kiedy Lucía, bez najmniejszego wahania, z całej siły wbiła mu lancet w przedramię.

Puścił ją natychmiast.

– Ajjj! Zostałem zraniony, pani doktor! Chyba mnie ugryzła!

Lucia zatrzasnęła drzwi i wcisnęła guzik na ścianie. Po paru sekundach oczy znowu zaszczyły ją od środków chemicznych. Po dwóch niekończących się minutach światło zmieniło się na zielone i dziewczyna weszła do eleganckiego gabinetu zavalonego papierami i stosami książek zgromadzonymi we wszystkich kątach. Potykając się o nie, dotarła do okna, które wychodziło na słabo oświetlony szyb wentylacyjny. Zauważyła przymocowane do ściany schody przeciwpożarowe prowadzące na górne piętra. Bez chwili namysłu wspięła się po nich i dotarła na poziom parteru.

Na zewnątrz panował zamęt. Tłumy przepychały się na schodach wejściowych, potykając się i krzycząc histerycznie. Personel pielęgniarstwa bezskutecznie usiłował pomagać rannym tłoczącym się na korytarzach, ale nie dawał sobie rady, gdyż ciągle napływały nowe potoki ludzi. Ze środka szpitala od czasu do czasu dochodziły pojedyncze wystrzały. Niektórzy ochroniarze chyba jeszcze nie zrozumieli, że polują na przywidzenia.

– Hej! Ty tam! Chodź no tu!

Korpulentny ciemnoskóry pielęgniarz złapał Lucię za rękę. Przerazona usiłowała się wyrwać, ale mężczyzna był za silny.

– Uspokój się, dziewczyno, chcę ci pomóc! Pokaż no, co ci się stało.

Nim się Lucia spostrzegła, pielęgniarz zawlókł ją do przyszpitalnego ogrodu, gdzie jakiś przedsiębiorczy lekarz urządził prowizoryczny szpital polowy.

– Skaleczenie na nodze nie wydaje się głębokie, ale w głowę to ktoś cię solidnie walnął... I co, u licha, stało się z twoimi oczami? – pytał pielęgniarz, polewając jej gałki oczne wodą destylowaną. Lucia natychmiast poczuła przyjemną ulgę. – No tak. Coś mi się wydaje, że ktoś tam w środku użył gazów łzawiących!

– Dziękuję panu, już w porządku, dziękuję – jedynie tyle udało się jej z siebie wydusić.

– Tak, już w porządku. Teraz lepiej idź stąd, niech się tu trochę uspokoi. – Pielęgniarz przyglądał się jej uważnie.

Dwóch noszowych dostarczyło właśnie nosze, na których leżał dogorywający żołnierz z ogromną raną od kuli w piersiach. Wszyscy zajęli się rannym i Lucia wykorzystwała ten moment, aby wymknąć się boczną furtką ze szpitalnego ogrodu.

Przeszła kilkanaście metrów i zatrzymała się oszołomiona przed pustą witryną sklepową. W zamyśleniu przyglądała się swojemu odbiciu. Włosy miała zmierzwiłone od chemicznych natrysków, a ubranie wyglądało, jakby je porwał huragan. Nogawkę białych spodni plamiła na czerwono krew, a na środku czoła, tuż nad podrażnionymi i opuchniętymi oczami widniał ogromny guz.

Nic dziwnego, że ludzie się na mnie gapią, powiedziała sama do siebie. Dobrze chociaż, że nie uciekają przede mną w popłochu. Wyglądam jak totalnie najarana ćpunka.

Po przeciwnym chodniku zbliżała się truchtem grupa gwardzistów. W pierwszym odruchu Lucía zamierzała do nich podejść i opowiedzieć im, co się wydarzyło. Przecież zarówno siostra Cecilia, jak i Maite zostały zamordowane na jej oczach. Władze powinny coś zrobić, powinny złapać sprawców. Oni mogą gdzieś tu być. Kiedy o tym pomyślała, przeszedł ją dreszcz. Obejrzała się z lękiem dookoła.

Już miała przejść przez ulicę, gdy nagle stanęła, ogarnięta mrocznym przeczuciem. Jeśli zatrzyma gwardzistów i opowie im tę dziwną historię o zabójcach, siostrzyczkach i Nieumarłych, najprawdopodobniej zatrzymają ją na dłużej, do czasu, aż wyjaśni się cały ten bałagan („zwłaszcza że wyglądasz na wariatkę”). A nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że właśnie w tej chwili lekarze z laboratorium („z zoo, nazywają ogrodem zoologicznym to okropne miejsce”) dokładnie opisują uzbrojonej ochronie szpitala pielęgniarce o zaczerwienionych oczach, „zranioną” przez Nieumarłych.

Do tego ci lekarze też chcieli ją zabić.

Mimo że nic złego nie zrobiła, nie chcieli słuchać jej wyjaśnień, chcieli ją zabić.

Dlaczego? – pytała sama siebie, niemal płacząc. – Dlaczego?

Bo się ciebie bali, idiotko. Bo przestraszyli się, że wirus znowu się uwolnił i że to ty otworzyłaś bramy piekieł.

Ale ja nic nie zrobiłam – zaprotestowała. Nic! Nawet się nie zbliżyłam do tych Nieumarłych.

Myślisz, że to kogoś obchodzi? – zaśmiał się gorzko głos w jej głowie. – A teraz bądź mądrą dziewczynką i zmiataj stąd... dla własnego dobra.

Nie ośmielając się podnieść wzroku, Lucía minęła gwardzistów. Wzdrygnęła się zaskoczona, gdy pędząca pełnym gazem wojskowa ciężarówka zatrąbiła i ze zgrzytem hamulców zatrzymała się przed głównym wejściem szpitala. Duża grupa legionistów wyposażonych w ciężką broń wyskoczyła i popędziła do środka budynku.

Czując dreszcze na plecach, Lucía odwróciła się do nich tyłem i zaczęła biec.

I w tej samej chwili zrozumiała, że nie ma dokąd pójść. Że jest wyrzuconą poza nawias prawa uciekinierką.

## Madryt

– O co tu, kurwa, chodzi? – warknął sierżant, do tego stopnia zaskoczony, że wmurowało go w ziemię. – Dajcie sobie spokój z głupimi żartami, to nie jest śmieszne.

– To nie żarty, palancie – odpowiedział Marcelo dobitnie, niemal przeżuwając słowa. – My jedziemy, wy zostajecie. Proste.

– Czyście zwariowali? – wrzasnął Broto, straciwszy panowanie nad sobą. – Nieumarli pojawią się lada moment! Musimy stąd wypierniczać jak najszybciej!

– Oczywiście. Właśnie się stąd zabieramy, ale nie na Teneryfę. – Pauli nie spuszczała nas z oczu. – Te lekarstwa są własnością prawowitego rządu hiszpańskiego i dlatego zawieziemy je na Gran Canarię. Teraz jasne?

Tank milczał aż do tej chwili, zbyt zgnębiony, aby wydusić z siebie choć słowo, ale tego już było za wiele. Purpurowy z gniewu, podszedł do dwójki swych podwładnych stojących na wozie bojowym, nie bacząc na to, że trzymają go na muszce.

– Pieprzone frojle! Hołota frojlowska! – splunął. – Motłoch bez czci i honoru! Jesteście nędznymi zdrajcami!

– To wy jesteście zdrajcami! – wrzasnęła Pauli wzburzona. – Myśleliście, że macie prawo robić, co chcecie! Zdradziliście prawowity rząd demokratyczny, aby zaprowadzić tę parodię republiki, którą macie na Teneryfie!

– Demokratyczny rząd, jeszcze czego! – Tank aż dusił się ze złości. – Ten przekłety frojlowski rząd nie ma żadnej legitymacji prawnej! To banda wojskowych zasłaniających się imieniem dziecka, które pod pozorem monarchii demokratycznej wykorzystują dla własnych interesów!

– To dziecko jest królem Hiszpanii! To prawowity władca! Jedynie zdrajcy lub komuniści może przyjść do głowy, żeby wprowadzać rządy republikańskie za plecami ludu! – Głos Pauli łamał się z emocji.

– Nikt nie działał za plecami ludu, ty kretynko! Rząd republiki jest rządem demokratycznym!

– Demokratycznym? Gówno prawda! Kiedy odbyły się wybory? Albo referendum zatwierdzające republikę?

– A wy, w waszej przekłetej monarchii, w ogóle macie jakieś wybory, co? *Nein!* Nie macie za grosz tej prawowitości, którą się tak szczycicie!



Nagle karabin maszynowy Marcela wyrzucił z siebie hałaśliwy grad pocisków tuż ponad naszymi głowami. Przerażony rzuciłem się na ziemię, czując, że brzęczące ołowiane muchy przelatują o kilka centymetrów ode mnie. Kiedy odważyłem się podnieść głowę, ujrzałem, że Argentyńczyk przygląda się nam z wysokości centaury z oczyma pałającymi gniewem. Jedynie Tank i sierżant stali nadal jak wmurowani, nieporuszeni pod deszczem kul. Wiktor, Broto i ja uznaliśmy, że bezpieczniej będzie przytulić się do ziemi.

– Przykro mi bardzo, ale nie mamy czasu na dyskusje. Nieumarli nadchodzą... Panowie, odjeżdżamy! – Marcelo dał znak Pauli, jeszcze trzęsącej się ze złości, żeby weszła do środka. Wsiadając do wozu, na ułamek sekundy spuściła z oczu naszą grupkę, ale to wystarczyło.

Tank wyciągnął mały pistolet ukryty w cholewce prawego buta i strzelił do okulawionego żołnierza, który właśnie wspinał się na pojazd. Żołnierz zachwiał się w tył i runął na ziemię, a na jego piersi wykwitła wielka krwawa plama. Niemiec błyskawicznie, bez namysłu, dając pokaz najwyższego profesjonalizmu, zwrócił broń w stronę Marcela i strzelił dwa razy. Trafiony pierwszym pociskiem w ramię Argentyńczyk krzyknął z bólu, druga kula minęła o kilka centymetrów jego głowę. Marcelo zareagował natychmiast: schował się za stalową blachą chroniącą pozycję strzelecką na wieżyczce. Tank, nie przestając strzelać, zręcznie wspinał się na pojazd, jednak jego pociski chybiały celu i odbijały się od opancerzenia.

A wtedy Pauli, z twarzą zmienioną w maskę nienawiści, wysunęła się z wjazdu centaury niczym diabeł z odpustowej zabawki, uniosła broń i niemal z przyłożenia umieściła cztery kule w piersiach niemieckiego komendanta.

Przez chwilę Tank chwycił powietrze jak ryba wyjęta z wody, starając się odnaleźć wzrokiem spojrzenie Pauli, której twarz była tuż obok. Wreszcie, z wyrazem niedowierzania w oczach, upadł na ziemię. On, wielki Kurt Tank, który zawsze dotąd uchodził cało, zginął, i to z rąk swojego człowieka.

Po naszej lewej stronie znów rozległy się strzały. Marcelo, brocząc krwią z prawej ręki, ponownie otworzył ogień i tym razem skierował go przeciwko staremu sierżantowi, który z gołymi rękoma rzucił się do wjazdu pojazdu. Gdy dosięgły go kule, sierżant zadygotał jak marionetka i runął w pył, tuż obok ciała niemieckiego komendanta.

Cisza, która zapadła, była tak gęsta, że omal mnie nie zadusiła. Ze zgrozą ujrzałem, że Marcelo zwraca MG3 w naszą stronę, a w oczach ma śmierć.

Już po nas, zdążyłem pomyśleć. Jesteśmy martwi.

– Wstrzymaj ogień! – krzyknęła Pauli. – Marcelo, nie strzelaj! Czekaj, nie strzelaj!

Argentyńczyk wpatrywał się w nas z kamienną twarzą. Leżeliśmy na ziemi bezbronni, nie wając się nawet mrugnąć. Z tej odległości seria z MG3

przecięłaby nas na pół, zanim zdołalibyśmy wykonać najmniejszy ruch. Wreszcie Marcelo odetchnął głęboko i zdjął palec ze spustu. Uczucie ulgi było tak przemożne, że osłabłem.

– Słuchajcie! Jesteście cywilami i nie powinniście być w to zamieszani! – przemówiła Pauli, stojąc wyprostowana we władze i obserwując nas z wysokości. – Jednak żyjemy w trudnych czasach, które wymagają ogromnego poświęcenia od każdego z nas z osobna i od wszystkich razem, we wspólnej walce o wolność i przyszłość ludzkości, co was także dotyczy!

Ale ją wzięło, pomyślałem głęboko zdumiony. Właśnie nas raczy jakimś pieprzonym przemówieniem! Wyraz twarzy Wiktora był nieodgadniony, ale założyłbym się o co bądź, że zgodziłby się ze mną w całej rozciągłości. Na szczęście obydwaj byliśmy na tyle rozsądni, żeby milczeć.

– Nadszedł moment wyboru! – ciągnęła Pauli. – Albo nieprawomocna republika, albo prawowity rząd! Albo jesteście z nami, albo przeciw nam! Airbus, który czeka na Cuatro Vientos, z pewnością już znajduje się w rękach naszych ludzi. Jeśli opowiecie się za prawowitym premierem Hiszpanii i za don Froilanem, jest tam dla was miejsce. Jeśli nie... będziecie musieli radzić sobie sami!

Nie mogłem w to uwierzyć. To brzmiało tak absurdalnie, że musiało być chyba złym snem. Zdawałem sobie oczywiście sprawę z istnienia napięć politycznych na Wyspach Kanaryjskich, ale nawet w najbardziej szalonych koszmarach nie wyobrażałem sobie, że zostanę zamieszany w wojnę domową i nie będę wiedział nawet, która ze stron konfliktu jest dobra, a która zła.

O ile w ogóle byli jacyś dobrzy i jacyś źli, co nie wydawało się takie oczywiste.

– Moja żona jest na Teneryfie – powiedziałem, podnosząc się z ziemi, ponieważ Pauli ewidentnie czekała na odpowiedź. – I nasza przyjaciółka, siostra Cecilia, też tam jest, bardzo poważnie chora. Niektóre z tych lekarstw – wskazałem na plecaki – to dla niej życie lub śmierć. Nie mogę tak po prostu opuścić tych kobiet. Muszę do nich wrócić. Nie lecę na Gran Canaria.

– A ty, Pretjenko, co powiesz? – zwróciła się do Wiktora. – Ten republikański rząd usiłował wsadzić cię do więzienia. Czyż nie? To dla ciebie okazja, żeby się od niego uwolnić i zaciągnąć się w służbę prawowitych przedstawicieli ludu.

– Pritczenko, proszę pani – sprostował Ukrainiec z godnością. – Nie zaprzeczę, że to, co pani mówi, jest prawdą. Ale obie wyspy są pełne szpiegów i jeśli na Teneryfie się dowiedzą, że z wami współpracujemy, zemszczą się na naszych przyjaciółkach i, co gorsza, powiedzą, że uciekliśmy jak tchórze. Wiktor Pritczenko jeszcze nigdy nie uciekł i nie robi tego również teraz.

I znów mamy do czynienia z kodeksem honorowym słowiańskiego chłopca, pomyślałem nieco ironicznie, patrząc w ziemię, aby ukryć uśmiech dumy z

mojego przyjaciela.

– Ponadto – dodał Wiktor, obejmując mnie ramieniem i wpatrując się w Pauli swymi przeraźliwie błękitnymi oczyma – nie zostawia się przyjaciół. Jeśli on zostaje, ja też zostaję. Jesteśmy razem. Tak było i tak będzie. Towarzysze, on i ja. To proste. *Ponimajesz?*

Pauli przez krótką chwilę patrzyła na nas z trudnym do określenia wyrazem twarzy, czuła chyba coś między pogardą a zdumieniem. Na koniec mrugnęła, wygnała nas ze swoich myśli i zwróciła się do Brota, który stał tuż obok unurzany w kurzu i pyle.

– A pan, Broto? Co pan postanowił? Jedzie pan czy zostaje?

David odwrócił się w naszą stronę i wpatrywał się w nas przez parę sekund, podczas gdy jego mózg podejmował decyzję. Po chwili przełknął ślinę, odchrząknął głośno i schylił się po pistolet Tanka, który leżał na ziemi u jego stóp.

– Jesteście fajni goście i nie chcę, żebyście mnie źle zrozumieli – powiedział do nas. – Wy dwaj traktowaliście mnie w porządku, ale na Teneryfie musiałbym wrócić do celi, a na Gran Canarii nie mam nic do stracenia, a wiele do zyskania. Jadę z nimi. Przykro mi, chłopcy.

– W porządku, stary – odezwał się Wiktor bardzo poważnie i z tonem zawodu w głosie. – Nie ma sprawy.

– Starczy już tych wyznań! – zagrzemiał Marcelo. – Odjeżdżamy! Wy dwaj, dawajcie plecaki, które tam leżą. Tempo, tempo!

Posłusznie podaliśmy plecaki Brotowi, który wkładał je, jeden po drugim, przez właz. Marcelo, cały czas trzymając nas na muszce MG3, nie spuszczał nas z oka.

– Jeszcze chwila, Marcelo! – powiedziała Pauli takim tonem, jakby nagle sobie o czymś przypomniała.

Zeskoczyła z centaury i pędem pobiegła do drugiego wozu pancernego, stojącego w odległości kilku metrów. Otworzyła klapę silnika, nachyliła się i po krótkiej chwili namysłu, pomagając sobie nożem, wyrwała wiązkę kabli i schowała do kieszeni.

– No cóż. Nie chcemy, żebyście zbyt prędko za nami ruszyli – to wszystko, co powiedziała w ramach wyjaśnienia.

– To zabójstwo z zimną krwią – udało mi się wykrztusić.

Bez środka transportu byliśmy już martwi i ona wiedziała o tym tak samo dobrze jak i my.

– Nieprawda – odparła, wślizgując się ponownie do centaury. – Z pewnością gdzieś tutaj, w tym całym pierdzielniku, jest jakaś wiązka zapasowych kabli do akumulatora lub coś takiego. Ale kiedy naprawicie co trzeba, o ile wam się to

uda, my będziemy już lecieli na Gran Canarię.

– Nie mamy broni! – wtrącił się Prit.

– To nie mój problem. Dokonaliście wyboru i opowiedzieliście się przeciwko nam – wyrecytowała Pauli niemiłym tonem. – Ale co tam, żeby nie było...

Schwyciła bojowy nóż Wiktora i rzuciła go Ukraińcowi do stóp. Po czym natychmiast zamknęła klapę wjazdu nad miejscem kierowcy i ruszyła w chmurze czarnego dymu. Bezradnie patrzyliśmy, jak ciężki opancerzony pojazd oddala się i znika za rogiem. Odgłos silnika ucichł dużo później i nad Madrytem zapadła grobowa cisza.

Dźwięk silnika centaury jeszcze gasnął w oddali, kiedy zaczęło mżyć. Coraz więcej kropli pluskało o wyschnięty i zapylony asfalt. Deszcz przybierał na sile. Zanosilo się na ulewę, ale było mi to obojętne. Zostaliśmy sami, bezbronni i pozbawieni jakiegokolwiek środka transportu, porzuceni gdzieś w ogromnym, opuszczonym mieście, w którym kłębiło się od Nieumarłych. Ogarnęła mnie czarna i bezgraniczna rozpacz.

– Nie przejmuj się! – Prit przyjacielsko poklepał mnie po plecach. – Mogło być gorzej.

– Tak? – zaprotestowałem oburzony. – Jak to „gorzej”? Co? No powiedz! Wyjaśnij mi, co mogło być gorzej?!

– E tam, uspokój się – mruknął Ukrainiec, schylając się po swój nóż. – Jesteśmy razem i już nieraz udawało nam się wyjść z ciężkich sytuacji. Mam rację? Wyjdziemy i z tej, nie martw się. Wszystko, co musimy zrobić, to odpalić tego rupiecia i spadać stąd jak najszybciej. A teraz pomyślmy, skąd wziąć jakieś kable do akumulatora, zanim sprawy przybiorą zły obrót.

Za moimi plecami rozległ się nagle charakterystyczny jęk, od którego włosy stanęły mi dęba na głowie. W przerażeniu odskoczyłem, szukając wzrokiem Nieumarłego, ale w polu widzenia nie było ani jednego. Ktoś jednak jęczał. Zdezorientowany popatrzyłem w dół. Dłoń sierżanta weterana lekko się poruszyła.

– Wiktor! – krzyknąłem. – On żyje!

Nachyliłem się nad sierżantem. Miał w piersiach kilka dziur od pocisków, ale – jakkolwiek niewiarygodne mogłoby się to wydawać – nadal żył. Kiedy schwyciłem go za rękę, popatrzył na mnie. Jego oczy miały zagubiony wyraz i chwilę trwało, zanim udało mu się skoncentrować wzrok na mojej twarzy. Usiłował przemówić, ale z jego ust wydobyło się jedynie trochę krwawej piany.

– Spokojnie, przyjacielu, spokojnie – powiedziałem, patrząc na naszywkę na jego wojskowej kurtce z wypisanym imieniem i nazwiskiem „Jonás Fernández”. – Słuchajcie, sierżancie Fernández! Patrz na mnie, Jonás! Jestem przy tobie. No, proszę. Wiktor zaraz uruchomi centaury i szybko stąd odjedziemy.

– Do ciężkiej cholery! – ryknął Wiktor w napadzie furii. – Ta dziwka powyrywała kable razem z mocowaniem! Nawet gdybyśmy znaleźli jakieś inne, nie uda nam się ich podłączyć. Nie mamy narzędzi. A bez akumulatora to bydlę w życiu nie zapali. Niech to wszyscy diabli!

Z twarzy odpłynęła mi cała krew. W każdej chwili mogą się pojawić Nieumarli i co wtedy pocniemy?

– Wiktorze. – Odgarnąłem z twarzy mokry od deszczu kosmyk włosów i próbowałem odzyskać kontrolę nad głosem, aby nie dać po sobie poznać, że zdycham ze strachu. – Ten człowiek umrze, chyba że natychmiast dostanie pomoc lekarską, a i z nami będzie kiepsko, jeśli szybko czegoś nie wymyślisz... No już, szybko, co mamy robić?!

– Nic nie możemy zrobić! – Wiktor uderzył pięścią w bok centaury. – Bez akumulatora jesteście skończeni! – Ukraińiec wyprostował się i popatrzył mi w oczy. – Musimy stąd odejść...! I to szybko! Może gdybyśmy poszli tą szeroką ulicą... La Castellana, czy jak jej tam... albo tunelami metra... Jest szansa... – Umysł Ukraińca pracował na pełnych obrotach.

– Wiktorze – wskazałem na rannego sierżanta – a co, do licha, zrobimy z nim?

Za całą odpowiedź Wiktor poklepał nóż, który ponownie przytroczył do uda.

Jeśli będziemy musieli wystartować w tym samobójczym wyścigu, nie możemy rannego zabrać ze sobą, ale też nie możemy go zostawić, całkiem bezbronny, na przynętę, żeby Nieumarli zrobili sobie z niego ucztę.

Oddychałem głęboko, próbując uzbroić się w odwagę. Czym innym jest strzelanie do Nieumarłych, a czym innym świadome uśmiercenie człowieka.

– Wiktorze... – zacząłem mówić, bez najmniejszego pojęcia, jak zakończyć zdanie, ale w tej samej chwili sierżant Jonás Fernández z trudem podniósł rękę, usiłując przyciągnąć naszą uwagę.

– Pomoc... pomoc... – zakrztusił się i z kącika ust wypłynęła mu strużka jasnoczerwonej krwi.

– Tak, sierżancie – usiłowałem go uspokoić. Poluzowałem kołnierz jego kurtki, żeby mu ulżyć. – Pomoc wkrótce nadejdzie, proszę się nie martwić.

– Pomoc... pomocnicza... palancie... – W oczach sierżanta pojawił się błysk niecierpliwości. – Bateria... pomocnicza... – Zakaszlał i z ust wypłynął mu następny czerwony skrzep.

– Bateria pomocnicza? – Prit pochylił się nad nim w napięciu. – Gdzie jest?

– We... wieżyczka... – Krople deszczu mieszały się z krwią sierżanta i wokół jego ciała powiększała się czerwona kałuża. – Kompletna... pasuje...

Jeszcze nie skończył zdania, gdy Prit zręcznie jak małpa wspinał się po boku centaury i wślizgnął do wieżyczki. Nadśluchując, jak szamocze się w środku, uniosłem sierżantowi głowę, aby choć trochę ułatwić mu oddychanie. Nie wiedziałem, jak mu pomóc. Podejrzywałem przy tym, że stan sierżanta Jonasa Fernandeza jest zbyt ciężki, by myśleć o jego wyleczeniu, nawet gdybym miał odpowiednią wiedzę lekarską. On sam z pewnością także zdawał sobie z tego

sprawę, jednak stoicko znosił ból, który rozrywał mu wnętrzności.

– Mam ją! – Pritczenko wyłonił się z wieżyczki, triumfalnie unosząc prostopadłościennie pudło. – Daj mi dwie minuty, i gotowe!

Ale nie mieliśmy aż tyle czasu. Zza rogu wyłoniła się grupka trzech chwiejnie poruszających się Nieumarłych.

– Prit! – wrzasnąłem ile sił w płucach! – Pospiesz się! Musimy odjechać JUŻ!

Przerzuciłem sobie przez ramię sierżanta i jak najdelikatniej przez górny wąż wsadziłem go do środka centaury. Szczęśliwie dla siebie, Jonás Fernández, sierżant weteran Trzeciego Pułku imienia Juana de Austrii, stracił przytomność i nie mógł się skarżyć. Kiedy już znalazł się w środku, wyjrzałem i stwierdziłem, że Nieumarli pokonali połowę dzielącego ich od nas dystansu. W przypływie natchnienia pobiegłem w kierunku trzech plecaków pozostawionych po oknem. Nieumarli wahali się przez chwilę, a potem ruszyli w moim kierunku. Złapałem dwa plecaki i ciągnąc je po asfalcie, potykając się, a także od czasu do czasu rzucając badawcze spojrzenia przez ramię, wróciłem z nimi do wozu. Potwory były już sto metrów od nas.

– Wiktor! Kończ wreszcie, bo ci jaja urwą! – krzyknąłem, wrzucając plecaki do środka wozu.

– Już... prawie... gotowe... – Ukrainiec pocił się obficie, a jego ręce z diabelską szybkością poruszały się we wnętrznościach silnika. – Gotowe! *Dawaj, dawaj, dawaj!*

Jednym skokiem znaleźliśmy się w środku i zamknęliśmy hermetycznie włązy nad głowami. W ostatniej chwili. Umościliśmy się na przednich siedzeniach, tymczasem Nieumarli już uderzali rękoma w boki wozu pancernego, robiąc niewyobrażalny harmider.

– Ruszaj wreszcie, na litość boską – wrzasnąłem na Ukrainca.

– Co takiego? – Pritczenko popatrzył na mnie, jakby mi rozum odjęło. – Przecież ja nawet nie wiem, jak to dziadostwo odpalić!

– Jak to nie wiesz? – Wybałuszyłem na niego oczy. – Przecież jesteś, kurwa, pilotem!

– Pilotem śmigłowców! He-li-kop-te-rów! – ze złością odparł Ukrainiec. – A w pułku lotniczym nie mieliśmy takich pudeł na kółkach. Sądziłem, że to ty będziesz wiedział, jak tym jechać!

– Ja? – Przyszła moja pora na zdziwienie. – Wiktorze, w życiu nie siedziałem w wozie pancernym. Nigdy nie odbyłem służby wojskowej! Jestem prawnikiem, do kurwy nędzy!

– Powiedz to tym typom na zewnątrz! – Machnął ręką. – No to jak, umiesz czy nie umiesz ruszyć z miejsca?

– Nie! W żaden sposób!

Nagle przejaśniło mi się w głowie.

– Czekaj! Sierżant będzie wiedział! Hej! Hej! Jonás! Sierzancie, proszę się obudzić! Sierzancie, proszę otworzyć oczy, potrzebujemy waszej pomocy!

Trwało dobrą chwilę, zanim sierżant Fernández zareagował. Jego oddech był spazmatyczny, od czasu do czasu z ust wypływała mu krwawa ślina, mieszając się z krwią z przestrzelonej klatki piersiowej. To niewiarygodne, że wciąż jeszcze żył.

Urywaniem, drżącym głosem udzielił Ukraińcowi wyjaśnień, jak uruchomić wóz pancerny. System zapłonu był niezwykle wytrzymały (dzięki czemu po takim czasie pod gołym niebem nadal działał), ale także boleśnie skomplikowany. Wiktor pomylił się dwa razy w sekwencji ruchów i musiał zaczynać od początku. W tym czasie wokół centaury zebrały się już dziesiątki Nieumarłych. Niektórym zgniluchom nawet udało się wdrapać na górę i gramolili się teraz ponad naszymi głowami, usiłując dostać się do środka. Przeszedł mnie dreszcz zgrozy, gdy zrozumiałem, że jeśli nie uda nam się odpalić silnika, pozostaniemy tutaj na zawsze, to znaczy aż poumieramy z głodu i pragnienia. Choć pojazd ważył swoje kilka ton, pod uderzeniami Nieumarłych kołysał się z boku na bok, a hałas w środku był ogłuszający.

Z potwornym zgrzytem Wiktorowi udało się w końcu wrzucić bieg, a silnik zakaszłał po raz pierwszy od ponad roku. Centauro skoczył do przodu i zgasł.

– Staraj się ruszyć! Staraj się ruszyć, na miłość boską! – usłyszałem samego siebie i mimo całej powagi sytuacji nie mogłem powstrzymać histerycznego, niekontrolowanego śmiechu.

– Popierdoliło cię? – Wiktor spojrzał na mnie przelotnie, jakby myślał, że oszalałem. – To ci się wydaje zabawne?

Spróbował ponownie. Tym razem silnik centaury zarzęził, ale nie zgasł. Wiktor popatrzył na mnie triumfalnie i otarł pot z czoła. Nacisnął gaz i wydobył z diesla potężny ryk.

– Mruczy jak kot! – powiedział z zadowoleniem i przycisnął twarz do wizjera. – A teraz odjeżdżamy!

– Musimy dotrzeć na Cuatro Vientos przed nimi, bo jak nie, to wszystko na nic, Wiktorze. A już mają sporą przewagę.

Ale to nie był jedyny problem. Wskaźnik paliwa centaury stał na rezerwie. Nie mieliśmy najmniejszego pojęcia, na jakie przeszkody natrafimy, jadąc przez opuszczony Madryt. Nie byłem nawet pewien, czy uda mi się znaleźć drogę prowadzącą na lotnisko.

– Pieprzyć to – dodałem po chwili. – Na razie wyдостаń nas stąd najszybciej, jak możesz.

Centauru przesuwiał się śmiertelnie powoli, pchając przed sobą masę Nieumarłych, która już zdążyła zgromadzić się wokół. Przejechał kilka metrów



(oraz paru zgniluchów), gdy Wiktor nareszcie uzyskał kontrolę nad sterami, dodał gazu i udało nam się opuścić plac.

Popatrzyliśmy na siebie z Ukraińcem, kiwając potakująco głowami.

Zaczynał się wyścig z czasem.

– Prit, uważaj!

Centauro podskoczył i przechylił się na bok, w ostatniej chwili omijając stos kontenerów na śmieci zagradzających przejazd. Ze zgrzytem powrócił do właściwej pozycji i nadal jechaliśmy środkiem jezdni z maksymalną prędkością, jaką w tych warunkach udawało się rozwinąć.

Już od pół godziny przemierzaliśmy aleję La Castellana w napięciu, a raczej na granicy załamania nerwowego, ponieważ stawało się coraz bardziej oczywiste, że nie starczy nam czasu ani paliwa, aby przejechać przez cały Madryt. Ogromna aleja, ze swymi dziesięcioma pasami ruchu, była wystarczająco szeroka, aby udawało nam się wymijać grupy Nieumarłych, które pojawiały się na naszej drodze. Od czasu do czasu resztki jakiegoś pojazdu lub opuszczonego stanowiska kontrolnego zmuszały nas do jechania zygzakiem, ale w gruncie rzeczy droga była raczej pusta. Ulice podporządkowane, których wyloty dochodziły do głównej osi, przeważnie odcięto barykadami z bezładnie spiętrzonych samochodów. Niektóre z barykad zawałyły się z upływem czasu lub też zostały przewrócone przez Nieumarłych. Tysiące tych paskudnych istot włóczyło się po ulicach, zataczając się jak pijani przechodnie. Prit wymijał ich bez większego trudu, ale liczba zgniluchów wzrastała z minuty na minutę.

– Co sądzisz o tych barykadach? – spytał Ukrainiec, nie odrywając wzroku od drogi.

– Myślę, że chcieli utworzyć korytarz, aby zapewnić połączenie Bezpiecznej Strefy z wylotami z miasta – odparłem z oczyma przyklejonymi do peryskopu obserwacyjnego dowódcy wozu. – W ten sposób uzyskali dość przyzwoitą drogę ewakuacyjną.

– No to dlaczego? – Ukrainiec raptownie skręcił kierownicą, a ja boleśnie uderzyłem brodą w brzeg wizjera. – Dlaczego prawie nikt nie przeżył?

– Nie mam pojęcia. Najprawdopodobniej droga gdzieś dalej jest zablokowana. – Kląłem pod nosem, czując w ustach słonawy smak własnej krwi.

– To co zrobimy?

– Nie wiem. Pomyślimy o tym, kiedy nadejdzie czas.

Przejeżdżaliśmy właśnie obok Wież KIO. Jedna z nich spłonęła niemal w

całości i była teraz jedynie wielkim stosem skręconych metalowych belek i prętów, które wznosiły się w powietrze jak korzenie spróchniałego zęba. Centauro trząsał się jak shaker, bo Prit prowadził go po gruzach leżących na jezdni.

Dostałem gęziej skórki. Nie sposób opisać uczucia nierealności, które ogarnęło mnie podczas tej przejażdżki przez martwe miasto. La Castellana, niegdyś pełna ruchu, teraz całkiem opustoszała, tylko gdzieś tam stały wraki pojazdów. W niektórych miejscach warstwy pyłu, gruzu i popiołu całkowicie pokrywały jezdnię. Tu i ówdzie ze szpar dylatacyjnych już zaczynały wyrastać maleńkie drzewka, a w asfalcie pojawiły się pęknięcia. Ale najbardziej przygnębiająca wydawała się cisza. Centauro jechał powoli i ryk diesla był jedynym słyszalnym odgłosem. Okna budynków, częstokroć z powybijanymi szybami, patrzyły na nas ze wszystkich ścian jak czarne martwe oczy. W pewnej chwili serce zabiło mi dziko w piersi na widok grupy osób przyjacielsko zgromadzonych przy drzwiach restauracji. Jednak kiedy zbliżyliśmy się do nich, okazali się tłumkiem Nieumarłych, których coraz więcej wyłaziło ze sklepów i bram. Przyciągał ich hałas centaury.

Minęło jeszcze kilka minut i dojechaliśmy do placu Cibeles. Ktoś okaleczył posąg bogini – brakowało jej głowy. Na jej piersi drżąca ręka wypisała czerwoną farbą „Izajasz 34,35”. Misę fontanny wypełniały po brzegi szkielety pokryte strzępami szmat. Jej brzegi jakiś szaleniec ozdobił kilkudziesięcioma czaszkami, stawiając je w równym, uporządkowanym szeregu. Miałem wrażenie, że pozbawione życia oczodoły martwych czerepów groźnie śledzą nas wzrokiem.

Po chwili byliśmy już przy Gloriecie Atocha i Wiktor zatrzymał centaury, hamując tak ostro, że omal nie spadłem na ziemię.

– Co się stało, u licha? – spytałem. – Dlaczego stoimy?

– Lepiej sam popatrz – odparł Pritczenko. – Tędy nie przejeździemy.

Plac Atocha już nie istniał. Narożny budynek wysadzono w powietrze i jego ruiny zawały dużą część jezdni. Tam gdzie nie było gruzów, wykopano szerokie na kilka metrów rowy, wypełnione teraz stojącą wodą. Kilka poprzewracanych na bok ciężarówek z przyczepami tworzyło nieprzebyty mur, dzielący oś miasta na dwoje, i dopełniało obrazu zniszczenia.

– Koniec trasy – mruknął Ukrainiec. – I co teraz? Co robimy?

– Zawracaj – wydusiłem. – Musimy się cofnąć i próbować dostać do szosy M-30. Może tamtędy da się jechać dalej. Albo, jeśli to się nie powiedzie, okrążymy tę strefę bocznymi ulicami.

Sam nie wierzyłem w swoje słowa. Na szerokiej alei, takiej jak La Castellana, centauro miał jakieś szanse na powodzenie, ale na mniejszych ulicach, wąskich i zapełnionych resztkami pojazdów i gruzem ze zburzonych

budynków, utknijemy, zanim zdążymy pomyśleć. Jednak nie było innego wyjścia.

Prit posłusznie zatoczył szeroki łuk i poprowadził centaury w odwrotnym kierunku. W tej części alei La Castellana przechodzi w Prado. Ulica jest tu węższa i obsadzona zawrotną liczbą drzew po bokach i na pasie dzielącym dwie jezdnie. Prit z trudem lawirował pomiędzy pniami, gdy większa grupa Nieumarłych zmuszała go do zjechania na przeciwny kierunek ruchu.

Nie umiałbym określić, ilu Nieumarłych otaczało nas w tym czasie, z pewnością kilka tysięcy. Gdyby centauro uwiązał, byłibyśmy bez szans.

Piekły mnie oczy, które przyciskałem do gumowej okładziny wizjera peryskopu. Spłynęło mi do nich kilka kropli potu i cofnąłem twarz, aby je obetrzeć. Kiedy ponownie przysunąłem się do wizjera, moją uwagę przyciągnął refleks światła odbity od czegoś błyszczącego. Przesunąłem peryskop ku prawej stronie i krzyknąłem ostrzegawczo:

– Prit! Zatrzymaj się!

– Co się stało? – zaniepokoił się Ukrainiec.

– Zobaczyłem coś po prawej, na tym dachu. – Dałem Wiktorowi popatrzeć.

Zatrzymaliśmy się tuż przed głównym wejściem do Muzeum Prado. Pomiędzy listowiem prześwitywała kopuła głównego korpusu gigantycznego budynku, a tuż przed nią, na dachu, jakaś tafla z pleksiglasu rzucała błyski za każdym razem, gdy padał na nią promień słońca. Gdyby nie to, że okienko w chmurach otwarło się dokładnie w chwili, kiedy tamtędy przejeżdżaliśmy, z pewnością niczego nie udałoby się nam dostrzec.

– Czy to jest to, o czym myślę? – spytałem, starając się opanować rosnące podniecenie.

– Jeśli to nie kabina śmigłowca, to znaczy, że nigdy w życiu w żadnej nie siedziałem – odparł Ukrainiec po paru sekundach. – To mała maszyna, z tych, co mają kopulastą kabinę, ale do stu tysięcy par diabłów, tak, to helikopter.

Serce uderzało mi tak szybko, że o mało nie wyskoczyło z piersi. Jeśli ten ptak lata, to znaleźliśmy najlepszą drogę ucieczki z tego piekła.

– Stoi na dachu – wyjaśnił Wiktor, nie odrywając oczu od wizjera. – Wydaje się, że jest cały, ale dopóki się w nim nie znajdziemy, nie będziemy wiedzieli, czy lata.

– Musimy się dostać do budynku – zdecydowałem. – Wyważymy drzwi centaurem i poszukamy schodów na dach.

– Będzie trochę trudno przejechać między kolumnami portyku, ale nie mamy innego wyjścia – zgodził się Pritzenko po chwili namysłu. – Dobra... Zapnij pas i trzymaj sierżanta! Zatrząsie nami solidnie!

Centauro podskoczył, wjeżdżając na chodnik, po czym Wiktor skierował go

na drzwi do muzeum i ruszył całym pędem. Kiedy byliśmy o kilka metrów od prześwitu między kolumnami, zdałem sobie sprawę, że jest on niezwykle wąski, ale było już za późno na zmianę planu. Usłyszeliśmy przerażający zgrzyt, kiedy boki pojazdu otarły się o kolumny portyku. Ta po naszej prawej zwała się z niewiarygodnym hukiem i kawały granitu wielkości pralki spadły na dach naszego wozu, który na koniec rąbnął w drzwi Muzeum Prado i rozbił je w drzazgi.

Przez kilka sekund słyhać było jedynie uderzenia kamieni w różnych rozmiarach, które spadały na dach centaury. Czułem się tak, jak gdyby ktoś wywlókł mi przez usta wszystkie flaki, a potem wrzucił je byle jak z powrotem. Pas bezpieczeństwa utrzymał mnie w fotelu, ale stawiam złote monety przeciwko orzechom, że pod neoprenem miałem wspaniałego siniaka na lewym ramieniu.

– Jak tam? – ciepły głos Pritczenki zabrzmiał koło moich nóg, podnosząc mnie na duchu. Ukrainiec odpiął już pas bezpieczeństwa i czołgał się w kierunku wieżyczki.

– Świetnie – odpowiedziałem. – A ty?

– W jednym kawałku – brzmiała zwięzła odpowiedź. – Wychodźmy szybko, zanim przylezą Nieumarli.

Z najwyższą ostrożnością podniosłem przedni właz centaury i wysunąłem głowę. Uderzyliśmy w drzwi z taką siłą, że połowa pojazdu znalazła się wewnątrz głównego przedsionka, podczas gdy tylna część pozostała na zewnątrz, pogrzebana pod ogromnymi kawałami muru i resztkami zwałonej kolumny. Kawał portyku wielkości małego samochodu leżał tuż obok centaury. Odetchnąłem z ulgą. Gdyby ten gigantyczny blok granitu spadł na nasz pojazd, nawet opancerzenie nie uratowałoby nas przed zmiżdżeniem.

W muzeum panował chłodny półmrok. Ale co najważniejsze, było tam pusto. Ani śladu ocalałych ludzi, ani, co jeszcze lepsze, żadnego pieprzonego zgnilucha w zasięgu wzroku. To nie oznaczało, że żaden z nich nie włóczy się wewnątrz budynku, jednak założyłbym się o swój ostatni papieros, że w całym Prado nie było nikogo, żywego czy nieżywego. Nie należy zapominać, że ten ogromny pałac to forteca, z grubymi kamiennymi murami i drzwiami zatrzaśniętymi na głucho. Najprawdopodobniej ja i Wiktor byliśmy pierwszymi zwiedzającymi, jacy tu trafili, odkąd budynek został zamknięty na początku kwarantanny.

Nadwozie centaury i zwały głazów blokowały drogę i uniemożliwiały Nieumarłym wejście z zewnątrz, co stwierdziłem z ulgą. Odwróciłem się na fotelu i przełożyłem ramię Fernandeza przez swoje, aby go podnieść i wywlec z wozu.

– Sierzancie, proszę wytrzymać jeszcze trochę – przemówiłem zachęcająco. – Na dachu jest śmigłowiec i wkrótce nim odlecimy.

– Daj spokój – powiedział łagodnie Wiktor, podnosząc sierżantowi powiekę i obserwując uważnie jego źrenicę. – Nie żyje.

Skonsternowany ostrożnie złożyłem ciało sierżanta na siedzeniu kierowcy. Wspomniałem entuzjazm, z jakim mówił o centaury na kilka minut przed tym, nim Marcelo postanowił go zastrzelić. Zgodziłem się z nim w myślach, że istotnie, centauro to wspaniały pojazd i że najprawdopodobniej ocalił nam życie. A teraz to właśnie on stanie się jego trumną. Zapiąłem mu kołnierz kurtki, przesiąkniętej jego krwią, a potem chustką, którą nosił na szyi, wytarłem mu brud z twarzy. Ten człowiek był dzielnym żołnierzem i zasłużył na godną podróż do wieczności.

Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na ciało sierżanta, opuściłem centaury, ciągnąc za sobą ciężki plecak z lekarstwami. Wiktor stał obok wozu z drugim plecakiem u stóp i rozglądał się wokoło. O kilka metrów od nas drzemały kasy, porzucone i samotne, a na stosach folderów i przewodników zgromadziła się gruba warstwa kurzu.

– Przykro mi patrzeć, co się stało z tym miejscem – zauważył w zamyśleniu Ukrainiec. – Pewnego pięknego dnia wybuchnie pożar, spali się pół miasta, bo nikt nie będzie mógł go ugasić, a wówczas wszystko, co się tu znajduje, obróci się w popiół. Cholerna szkoda, nie sądzisz?

Przez chwilę milczałem. Nagle, powodowany nagłym impulsem, szybkim krokiem ruszyłem do wnętrza budynku. Wiktor, zdumiony, podążył za mną.

– Dokąd idziesz? Wejścia na tarasy są tam!

– Tylko na chwilę – odpowiedziałem bez wyjaśnienia. – Możesz pożyczyć mi nóż?

– Mój nóż? Tak, oczywiście. – Prit podał mi go, coraz bardziej zaintrygowany. – Ale po co?

Zastanawiałem się gorączkowo. Nie ocalimy wszystkich tych obrazów, ale możemy wziąć ze sobą przynajmniej jeden czy dwa.

Tylko które? Które z tej ogromnej kolekcji?

Weszliśmy do sal z malarstwem XVII wieku. Ze ściany patrzyły na nas smutnie panny dworskie z obrazu Velazqueza, jakby przeczuwając, że już niedługo padną ofiarą płomieni. Zniechęcony zrozumiałem, że wszystkie obrazy na tym piętrze są za wielkie, żeby je ze sobą zabrać, nawet jeśli wyjąłbym je z ram. Nagle w kącie dojrzałem mały obraz olejny.

Był to niewielki pejzaż przedstawiający ogród z cyprysami i wytwornymi arkadami z białego marmuru w głębi. Łuk arkady przegradzało niedbale zamocowane odeskowanie, z niszy po prawej grecki bożek przyglądał się widzowi z namysłem, a na pierwszym planie rozmawiało uprzejmie kilka osób. Obraz tchnął absolutnym spokojem. Autor – prawdziwy geniusz – zdołał uchwycić chwilę bezruchu i odpoczynku w upalny letni wieczór.

W otoczeniu majestatycznych, ogromnych portretów monarchów zmarłych przed wiekami ten niewielki olej pulsował własnym światłem. Miał w sobie o wiele więcej życia i siły niż którekolwiek z dzieł wiszących w tej sali. Na tabliczce widniał tytuł: *Ogród Medyceuszy w Rzymie*, a poniżej nazwisko twórcy: Diego Velázquez.

A więc to będzie ten. Zdjąłem obraz ze ściany i położyłem na ławce malunkiem w dół. W normalnych warunkach natychmiast włączyłby się alarm i nim zdążyłbym odetchnąć, otoczyłoby mnie pół tuzina uzbrojonych strażników. Teraz nie odezwał się nawet najcichszy dzwonek, kiedy końcem noża odrywałem płótno od ram. Potem zwinąłem je starannie w rurkę o długości trochę ponad czterdziestu centymetrów i grubości palca i wsadziłem do pustej pochwy na udzie, w której zwykłem nosić bełty do kuszy.

– Dziękuję bardzo. – Oddałem Wiktorowi nóż.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytał zdziwiony Ukraińiec.

– Bo musiałem. Lekarstwa, które mamy w plecakach, niewątpliwie są bardzo istotne, ale to – wskazałem bezradnie na wiszące wokół nas płótna – to jest równie ważne, Wiktorze. To nasze dziedzictwo, nasza spuścizna, suma tego wszystkiego, czym jesteśmy. Kiedy to ulegnie zagładzie, jakaś część nas samych zginie na zawsze. Kiedy przepadną te obrazy, a stanie się to niewątpliwie już wkrótce, za kilka miesięcy lub lat, światło cywilizacji przygaśnie jeszcze bardziej. Nie możemy zabrać ich wszystkich, ale przynajmniej postarajmy się ocalić jeden. Choćby tylko jeden.

– Zgoda – westchnął Ukraińiec, pociągając mnie za rękę w kierunku schodów. – Ale chodźmy już, jeśli nie chcesz, żeby nas spotkał taki smutny los jak te obrazy.

Moje spojrzenie po raz ostatni padło na słynne płótna. Z wysokości swego wierzchowca Karol V pożegnał nas z drwiącym wyrazem twarzy, jakby wiedział, że jesteśmy ostatnimi zwiedzającymi i że po nas nikt już nigdy nie wejdzie do tej sali.

Schody, którymi można się było dostać na dach, zaczynały się za budką strażnika, gdzie ukryte były drzwi wejściowe na klatkę schodową. Była wąska i dość ciemna, rozjaśniona jedynie górnym świetlikiem zarzuconym masą brudu. Wchodziliśmy niezwykle ostrożnie; Wiktor szedł przodem z nożem w ręku.

Musieliśmy silnie pchnąć, żeby otworzyć świetlik ze zbrojonego drutem grubego szkła. Wyszliśmy na dach i stanęliśmy w osłupieniu. Wokół muzeum, jak wzrokiem sięgnąć, rozciągał się gęsty tłum dziesiątków tysięcy Nieumarłych. Cofnąłem się odruchowo i poczułem, że mnie mdli.

– Boże mój... – wyszeptałem. – Jest ich całe mrowie!

Gdy podchodziliśmy do śmigłowca, całe to zgromadzenie – spostrzegłszy nas – zaczęło jęczeć pożądliwie. Choć wiedzieliśmy, że nie uda im się wejść tu, na górę, ten okropny chóralny dźwięk przyprawił nas o dreszcze.

Jak najszybciej chcieliśmy sprawdzić, w jakim stanie jest maszyna. Śmigłowiec, cały pomalowany na biało, nie miał żadnego logo ani napisu, oprócz numeru rejestracyjnego na ogonie. Nie dawało nam to żadnej informacji o tym, kim był jego właściciel, gdzie się teraz znajdował ani też dlaczego i kiedy wylądował właśnie tutaj. Nie mieliśmy jednak czasu na dociekania. Tak czy owak, jeśli już był martwy, to nie potrzebował helikoptera, a jeśli nadal żył, to cóż... nie powinien był zostawiać kluczyków w stacyjce.

– Akumulator działa. – Wiktor starannie sprawdzał kontrolki. – I mamy też jakieś sto litrów paliwa, trochę ponad ćwierć zbiornika. Ostatni pilot dbał o niego. Trzymaj kciuki, przyjacielu. Jeśli silnik jest sprawny, za pięć minut stąd odlecimy.

Łopaty śmigłowca drgnęły i nabrały życia, po czym zaczęły się powoli obracać ponad naszymi głowami. Rozległo się wycie turbiny. Kabina wydawała się bardzo krucha w porównaniu z kokpitem sokoła lub super pumy, ale Wiktor był całkiem zadowolony z nowego środka lokomocji. Popchnął dźwignię gazu, łopaty ruszyły szybciej i nagle wznieśliśmy się w powietrze.

– Udało ci się, Prit! – krzyknąłem radośnie. – Udało się! Lecimy! I gdzie jest teraz twój pieprzony fatalizm?

– Mam nadzieję, że daleko stąd – tak brzmiała prosta odpowiedź Ukraińca, okraszona zadowolonym uśmiechem spod wąsa. – Bardzo daleko. A teraz, jeśli pozwolisz, ruszamy w drogę.



Łagodnie przekręcił manetkę, śmigłowiec wzniósł się wyżej i skierował ku lotnisku Cuatro Vientos.

Nawiedzone, zrujnowane miasto zostało za nami. Oddalaliśmy się z minuty na minutę, aż staliśmy się jedynie kropką na horyzoncie, która po chwili znikła.

A wtedy nad Madrytem znowu zapadła cisza.

Airbus stał spokojnie na końcu pasa, a na jego gładkim poszyciu migotały ostatnie promienie zachodzącego słońca. Śmigłowiec przeleciał kilkakrotnie nad samolotem, ale nikt nie pojawił się na zewnątrz. Gdyby nie błyszczące blachy, można by pomyśleć, że maszyna stoi tu porzucona od bardzo dawna.

– Spójrz tam! – pokazał palcem Wiktor, zataczając spiralę w lekkim nachyleniu, abym lepiej widział.

Tuż obok pasa leżała kupka pogiętego żelastwa, z której wydobywały się jeszcze resztki dymu i płomieni.

– To jeden z buchonów! – krzyknąłem ze zdziwieniem. – Myślisz, że to frojle go zestrzelili?

– Nie sądzę. – Pokręcił głową przecząco. – Najprawdopodobniej pilot roztrzaskał się podczas próby lądowania. Te płatowce nie były łatwe w pilotażu nawet w swoich czasach. Pomyśl tylko, ile rzeczy mogło się w nich popsuć, kiedy przez pięćdziesiąt lat stały w muzeum.

– No, pilotowi raczej nie udało się ująć z życiem – mruknąłem ponuro, patrząc na gorejący pod nami stos pogrzebowy.

– Raczej nie – zgodził się Ukrainiec. – Ale najważniejsza sprawa to nie to, kto się zabił, tylko kto pozostał żywy, tam na dole.

Śmigłowiec wszedł na ostatnią prostą do lądowania i zaczął schodzić w dół. Na ziemi Wiktor zmniejszył obroty silnika, ale go nie zgasił. Jeśli okaże się, że musimy uciekać, to lepiej, żeby silnik był na chodzie.

Wyskoczyłem z maszyny i ostrożnie zbliżyłem się do airbusa. Światła w środku były zapalone, a gigantyczne turbiny działały, wyglądało na to, że samolot jest gotowy do startu. Nagle otworzyły się boczne drzwi i pojawił się w nich żołnierz. Celował do mnie z karabinu.

– Stój! – zawołał. – Kto idzie?

– Przyjaciele! – odkrzyknąłem równie donośnie.

– Przyjaciele? Jacy przyjaciele?

Z tonu głosu żołnierza wywnioskowałem, że był przeokropnie zdenerwowany, a to – zwłaszcza jeśli ktoś taki trzyma cię na muszce – nie rokuje dobrze. Tysiące ludzi, którzy stracili życie z powodu drżącego palca na spuście, podpisałoby się pod tym stwierdzeniem. Przez sekundę zastanawiałem się nad odpowiedzią. Miałem dwie możliwości i tylko jedna z nich była tą

właściwą.

– Republiki! – wrzasnąłem, stawiając wszystko na jedną kartę. – Przyjaciele republiki!

Wstrzymałem oddech, czekając na wynik mojego zakładu o życie. Jeśli frojłom, którzy przeniknęli do oddziału, udało się opanować samolot, jedyne, co mnie czekało, to grad kul i śmierć na środku pasa Cuatro Vientos. Jeśli jednak to republikanie byli na pokładzie, nadal mieliśmy jakąś szansę.

Żołnierz odprężył się widocznie i opuścił broń. Wyrzut adrenaliny w moim organizmie był tak silny, że mało nie padłem. W grze w orła i reszkę jeszcze raz udało mi się postawić właściwie. Kolejna wygrana...

– Gdzie reszta oddziału? I gdzie jest komendant? – pospiesznie wypytywał żołnierz, któremu mogłem się teraz lepiej przyjrzeć. Był młodym chłopcem, niemalże wyrostkiem. – Między nas wkradli się frojle!

– Wiemy – odpowiedziałem znużonym głosem, podnosząc jeden z plecaków, które Wiktor zdążył przywlec z helikoptera. – Tylko my ocaleliśmy. Cała reszta poległa, nawet Tank.

– Wszyscy nie żyją? – Chłopak zadławił się z przerażenia. – Tank też?

– Tak właśnie – włączył się do rozmowy Pritczenko. – Pozostało trzech silnie uzbrojonych frojlów, którzy jadą tu do nas wozem pancernym z ogromną lufą. Nie wydaje mi się, żeby było bezpiecznie nadal tu tkwić.

– O tym chyba musi zdecydować pilot – stwierdził żołnierz po namyśle.

Pospiesznie weszliśmy do kabiny. Na podłodze leżały trzy ciała przykryte poplamionymi krwią kocami. Spod jednego z nich wystawała ręka konwulsyjnie zaciśnięta w pięść.

– Było ich trzech? – spytał Wiktor.

– Nie, tylko dwóch. – Żołnierz pokręcił przecząco głową. – Ten trzeci to podporucznik Barrios. Załatwił jednego, zanim go zabili.

Z kokpitu wyszedł podpułkownik w średnim wieku. Po wyglądzie munduru domyśliłem się, że to pilot.

– Jak dobrze, że udało się wam wrócić! – powiedział, ściskając nam serdecznie ręce. – Gdybyście się spóźnili jakąś godzinę, wylecielibyśmy bez was! Usiłowaliśmy się skontaktować z Tankiem przez radio, ale od dłuższego czasu nikt nie odpowiadał. Kiedy te skurwysyny próbowały opanować samolot, domyśliliśmy się, że coś podobnego dotknęło ekipę na ziemi.

– Mniej więcej. – Przypomniałem sobie, że operator radia spadł, kiedy od budynku szpitala oderwały się schody przeciwpożarowe. – Ale w naszym przypadku frojłom udało się przejąć kontrolę. Właśnie tu jadą wozem pancernym zaopatrzonym w taką armatę, że jeśli będą mieli ochotę, rozwałą ten samolot na tysiące kawałków, panie pułkowniku.

– A więc nie traćmy czasu. – Pilot rzucił się w kierunku kokpitu. – Potem nam opowiecie, co się zdarzyło. A teraz startujemy!

Byłem tak wyczerpany, że bezwładnie opadłem na fotel. Dwaj ocalali żołnierze i pilot zamykali drzwi airbusa. Wiktor, nadal naładowany metamfetaminą, usadowił się na fotelu drugiego pilota (ten właśnie dopalał się wśród resztek buchona), oświadczywszy na tyle donośnie, aby wszyscy go dobrze słyszeli, że nie ma zamiaru znów spędzać lotu w kabinie pasażerskiej.

Parę minut później airbus kołował wolno po betonie, kierując się do najdalszego końca pasa. Podczas manewrów jedno skrzydło na chwilę znalazło się ponad ogrodzeniem, rzucając cień na setki tysięcy wściekłych Nieumarłych napierających z drugiej strony płotu. Pilot dokonywał ostatecznego przeglądu wskaźników, a ja starałem się wypatrzeć zbliżającą się po szosie sylwetkę centaury, ale widziałem jedynie niekończącą się ciżbę Nieumarłych.

To będzie gorzka pigułka dla Marcela, Pauli i Brota, kiedy odkryją, że samolot odleciał bez nich. Najprawdopodobniej oznaczało to wyrok śmierci. Nie mieli właściwie broni, zapasów, tkwili pośrodku niczego. Ich szanse były znikome. To przykre, zwłaszcza ze względu na Brota, ale miał przecież wybór. Awers czy rewers... W jego przypadku los okazał się niełaskawy.

Ma przynajmniej pocisk, który mu podarował Marcelo, pomyślałem. Może będzie miał też odwagę, aby go użyć.

Dwa silniki airbusa ryknęły, kiedy pilot zwiększył obroty do maksimum. Rozległa się symfonia hałasów i trzaśnieć, samolot przyspieszył, wstrząsnęło nim potężnie i – co graniczyło z cudem – wzniósł się w powietrze, przechodząc tuż ponad ogrodzeniem na drugim końcu pasa.

Po dziesięciu minutach samolot ustabilizował się na kursie, na wysokości pięciu tysięcy metrów nad ziemią i rozpoczął dwugodzinną podróż powrotną na Teneryfę. Byłem zbyt pobudzony przez narkotyk, aby usnąć. Rozpierała mnie euforia. Żyłem i wracałem do domu. Błądziłem myślami wokół przyjęcia, jakie nam zgotują jako bohaterom. Wiktor naprawił swoją reputację, mieliśmy dwa plecaki z lekarstwami, które wystarczyłyby do wyposażenia nieliczej apteki, a w domu czekała na mnie piękna dziewczyna. Wszystko układało się wspaniale.

Poklepałem pokrowiec na nogawce, gdzie bezpiecznie spoczywał obraz Velazqueza ocalony z Muzeum Prado. Już sobie wyobrażałem zdziwienie, które zagości na twarzy Lucíi, kiedy wręczę jej to unikatowe dzieło sztuki, aby je powiesiła na ścianie w naszym mieszkaniu. Uśmiechnąłem się do swoich myśli, z zadowoleniem moszcząc się na fotelu. Lucía będzie zachwycona.

## Teneryfa

– Oho! Co, do licha, się tam wyrabia? – te słowa wypowiedział sam do siebie młody żołnierz z trądzikiem, gdy samolot kołował na stanowisko w porcie lotniczym Los Rodeos na Teneryfie.

Lot przebiegł bez żadnych komplikacji i wylądowaliśmy szczęśliwie. Uśmiechnięci, choć strasznie zmęczeni, uścisnęliśmy się z Wiktorem serdecznie, aż nagle to zdanie, rzucone w przestrzeń, zanim jeszcze samolot się zatrzymał, przyciągnęło naszą uwagę.

– Co się dzieje? – spytałem, odpinając pas bezpieczeństwa i podchodząc do okienka na drugim boku samolotu.

Nikt mi nie odpowiedział. Wszyscy byli za bardzo zajęci wpatrywaniem się w panoramę, jaka objawiła się naszym oczom. Port lotniczy przypominał mrowisko rozwalone kopniakiem przez niegrzecznego chłopca. Dziesiątki ludzi biegało tu i ówdzie, a długi szereg wojskowych ciężarówek z otwartymi pakami wyjeżdżał z bazy. W każdej z nich kilkudziesięciu żołnierzy z napiętym wyrazem twarzy, uzbrojonych po zęby, upakowanych jak sardynki w puszcze, dokonywało ostatniego przeglądu wyposażenia.

– To nie wygląda dobrze – mruknął mi do ucha znajomy głos.

Odwróciłem się do Wiktora Pritcenki, który stojąc tuż obok mnie, zaniepokojony obserwował zamieszanie na zewnątrz.

– Może to ćwiczenia albo jakieś manewry – skomentowałem obojętnym tonem.

– Nie sądzę – odparł Ukrainiec. – Spójrz na te wszystkie ciężarówki. Przy takim niedoborze paliwa na wyspie zmobilizowanie tylu pojazdów naraz to duże nadszarpnięcie rezerw. Nie, tu się dzieje coś naprawdę poważnego.

Nie mieliśmy zbyt wiele czasu na rozważania, ponieważ do airbusa właśnie podjechały schodki i otwarto drzwi. Zanim zdołaliśmy wysiąść, do kabiny weszła grupa uzbrojonych po zęby żołnierzy ubranych w stroje antybakteryjne.

– A niech mnie, znowu! Wszystko, tylko nie to! – westchnąłem, ale uspokoilem się po chwili. Nastawienie żołnierzy nie było wrogie, wprost przeciwnie, zachowywali się raczej przyjacielsko. Po dokładnych oględzinach wszystkich obecnych (oraz upewnieniu się, że w luku bagażowym nie siedzą jacyś nadgnili i przymuleni kolesie) opuścili broń i zdjęli kaski. Wyraźnie się

odprężyli.

– Miło was znowu widzieć, chłopcy – powiedział oficer dowodzący grupą, przesuając grzbietem dłoni po czole. – Wybraliście sobie trudny dzień na powrót. Nie dosyć, że jest gorąco jak w piekle, to jeszcze mamy najwyższy stopień zagrożenia.

– A cóż takiego strasznego się dzieje? – spytał Prit.

– Według wstępnych ustaleń frojle zaatakowali szpital w centrum Teneryfy czy coś takiego – skomentował oficer swobodnie. – Sprawy są już pod kontrolą, ale podobno mamy dziesiątki zabitych.

– Wiktorze! – Złapałem przyjaciela za ramię. – Szpital! Lucía i siostra Cecilia!

– Co dokładnie się wydarzyło? – Ukrainiec gestem nakazał mi, żebym się uspokoił.

– Nikt tego dokładnie nie wie, przynajmniej nie my tutaj. – Oficer był widocznie zaskoczony tym przesłuchaniem. – Niektórzy mówią, że chodziło o laboratorium bakteriologiczne szpitala, ale ja osobiście sądzę, że to była próba napadu na aptekę. Wszyscy wiedzą, że w naszych czasach lekarstwa są na wagę złota.

Spojrzał na wypchane plecaki leżące na środku przejścia i w jego oczach zapalił się błysk chciwości.

– A jak wam się powiodło, chłopcy? Przywieźliście tylko te dwa wory? A gdzie jest ten stary łajdak Tank?

Milczeliśmy. Z twarzy oficera zniknęła zachłanność i pojawił się wyraz niedowierzania.

– Tank? Nie żyje? – wybełkotał zdumiony, kręcąc głową. – A reszta...? To znaczy, że zostaliście... tylko wy? Co tam się, do diabła, działo?

– Frojle – odparł spokojnie Wiktor. – Jak i tutaj.

– Co za draństwo! – przeklął oficer, uderzając pięścią w ściankę kabiny. – Ta przeklęta wojna domowa wykończy nas do reszty. Nie potrzebujemy do tego Nieumarłych. Żadna zaraza nie jest potrzebna, żeby wytepić rasę ludzką. My sami to lepiej załatwimy we własnym zakresie!

– Proszę mnie posłuchać, panie oficerze. – Podszedłem do niego bliżej, podczas gdy jego ludzie eskortowali resztę ekipy Tanka na zewnątrz. – Musimy jak najszybciej dostać się do domu. Moja narzeczona pracuje w tym szpitalu, a ponadto leży tam nasza przyjaciółka, więc chcemy się dowiedzieć...

– Mamy procedurę i musimy jej dopełnić – przerwał mi chłodno oficer. – Siedem dni kwarantanny dla całej ekipy, wicie bardzo dobrze. Poinformowano was o tym przed wylotem.

Usiłowałem zapanować nad niecierpliwością. Nie mogłem czekać siedmiu

dni, co więcej, nie miałem do stracenia nawet godziny. Czułem, że coś poszło okropnie źle, i musiałem jak najszybciej odszukać Lucię i siostrę Cecilię.

– Zgoda, ale proszę posłuchać. – Wzięłem go na bok. – Po prostu potrzebuję jednej godziny, aby upewnić się, że wszystko jest w porządku. Jednej króciutkiej godziny. Zanim ktokolwiek się zorientuje, powrócę do strefy kwarantanny, przysięgam na Boga.

– Wie pan, że nie mogę się zgodzić – odparł. – Mielibyśmy wielkie kłopoty, pan i ja, gdyby to się wydało.

– Nikt się nie dowie, przyrzekam – mówiłem gorączkowo, jednocześnie grzebiąc w kieszeni kurtki.

Na szczęście znalazłem to, czego szukałem: kilka opakowań antybiotyków z paczki, którą pospiesznie schowałem, kiedy wychodziliśmy z magazynu aptecznego w Madrycie. To maleńkie zawiniątko warte było na Teneryfie fortunę i oczy oficera zabłysły chciwością, kiedy wręczyłem mu je po kryjomu. Zamierzałem sprzedać lekarstwa na czarnym rynku, ale teraz pilniejsze niż wszystko inne było jak najszybsze opuszczenie tego miejsca.

– Jedna godzina, ani minuty dłużej – mruknął oficer polubownie, ładując ukradkiem opakowania do kieszeni. – Jeśli za godzinę nie wrócicie, złożę meldunek, że uciekliście, i będziecie mieli kłopoty. Będą strzelać bez pardonu, żebyście wiedzieli.

– Zaryzykuję. – Chwyciłem glocka i wsunąłem go do kabury przy pasie.

– Zaryzykujemy – dołączył Prit, łapiąc karabin HK416 i stając obok mnie.

– Prit, jestem ci wdzięczny, ale nie musisz iść ze mną – powiedziałem. – To moja sprawa. Mam przeczucie, że Lucia potrzebuje mnie zaraz, teraz, a nie za tydzień, ale przecież mogę się mylić. Jak nas przyłapią, będziemy w poważnych kłopotach, a Bóg świadkiem, że ty i tak już masz wystarczająco dużo problemów, żeby...

– Do kurwy nędzy, przestań głądzić! – przerwał mi ostro Ukrainiec. – Idę z tobą i koniec. A teraz rusz się, jeśli chcesz tu wrócić za godzinę.

Spojrzałem na Pritczenkę z wdzięcznością. Ledwo się powstrzymałem, aby go nie uściskać. Ten niewysoki facet był wielkim człowiekiem, a ponadto moim przyjacielem, wiernym po grób. To wielkie szczęście, że mogłem na niego liczyć.

Błyskawicznie opuściliśmy samolot, a oficer truchtem oddalił się w kierunku terminalu zamienionego w strefę kwarantanny. Nie miałem najmniejszego pojęcia, jaką wymówką się posłuży, aby wyjaśnić naszą nieobecność, ale byłem całkowicie pewien, że utrzyma sprawę pod kontrolą, przynajmniej przez obiecaną godzinę. Osobnicy tego typu zawsze spadają na cztery łapy.

Po pięciu minutach gorączkowych negocjacji i wydatku dodatkowych dwóch opakowań antybiotyku, które szybko zniknęły we właściwej kieszeni, Wiktor i

ja znaleźliśmy się na kupie złomu wiezionego na pace astmatycznie rżące ciężarówce jadącej w stronę miasta. Jej kierowca był nadzwyczaj zadowolony z nagłego i niespodziewanego uśmiechu fortuny.

Podróż dłużyła mi się bez końca. W miarę jak zbliżaliśmy się do centrum, mój niepokój się nasilał. Liczba kontroli wojskowych była znaczna, ale przechodziliśmy je bez najmniejszego problemu. Podczas jednej z nich podoficer dowodzący zwierzył się nam, że poszukują kobiety, agentki frojlów, która wzięła udział w napadzie na szpital, ale nie dostarczył więcej szczegółów.

– Co o tym sądzisz, Wiktorze? – spytałem swojego wiernego przyjaciela, który nagle wydał mi się zmęczony.

– Nie podoba mi się to. Wcale mi się nie podoba – odparł Ukrainiec. – Mam nadzieję, że szybko znajdziemy twoją dziewczynę. Ci wszyscy ludzie to banda paranoików i zwracam ci uwagę, jeśli sam tego nie zauważyłeś, są uzbrojeni po zęby. W najmniej spodziewanym momencie jakiemuś szaleńcowi puszcza nerwy i otworzy ogień, a wtedy dopiero zaczną się rozróżba.

– Też się tego boję. Mam nadzieję, że przynajmniej Lucía jest bezpieczna.

Po kolejnych paru minutach jazdy ciężarówka dotarła do zapory bardziej szczelnej niż poprzednie punkty kontrolne. Tym razem oprócz grupy żołnierzy i funkcjonariuszy Gwardii Cywilnej zauważyli dwie tankietki, a nawet gniazdo karabinów maszynowych.

– Koniec podróży – oznajmił kierowca ciężarówce po krótkiej rozmowie z oficerem dowodzącym. – Cała strefa wokół szpitala w promieniu kilometra została ewakuowana i nie pozwalają tam wchodzić.

– Dlaczego? – zdziwiłem się. Zeskoczyłem na ziemię. – Co takiego, u diabła, się dzieje?

– Nie mam pojęcia. – Szofer był wyraźnie przestraszony. – Frojle napadli na laboratorium medyczne albo coś w tym stylu i jest podejrzenie, że mógł się uwolnić jakiś zarazek. Czy to, co się stało ze światem, niczego ludzi nie nauczyło? Trzeba być kompletnym imbecylem, żeby napadać na laboratorium po tym wszystkim z TSJ, na Boga!

Odłożył na fotel ulotkę, którą dostał od oficera dowodzącego zaporą, i drżącą dłonią zapalił papierosa, wyrzekając i mamrocząc pod nosem. Z okropnym uczuciem déjà vu schwyciłem kartkę.

Była to nieco rozmazana, wykonana w pośpiechu fotokopia zdjęcia paszportowego. Pod zdjęciem grubymi czarnymi literami napisano: POSZUKIWANA, a niżej widniało ostrzeżenie, głoszące, że ktokolwiek zobaczy tę osobę, ma się do niej nie zbliżać i powiadomić siły zbrojne.

Machinalnie podałem ulotkę Wiktorowi. Po plecach spływały mi strugi zimnego potu. Dopadło mnie wszechogarniające poczucie beznadziei.

Osobą, która widniała na ulotce, była Lucía.



Nie pamiętam, w jaki sposób oddaliliśmy się od punktu kontrolnego. Mój umysł był całkowicie sparaliżowany, nie zdawałem sobie sprawy z tego, co się wokół dzieje.

Lucia agentką frojlów. To przecież zupełnie niemożliwe, do jasnej cholery! Moja dziewczyna wykazywała całkowitą obojętność na polityczne zawirowania na wyspie. Niech mnie diabli porwą, jeśli w ogóle wiedziała, o co chodzi w tej historii z frojlami i republikanami, a co dopiero mówić o jej zaangażowaniu po którejś stronie. Przecież jeśli coś by było na rzeczy, to chyba bym o tym wiedział, prawda?

– Hej! Tu jestem!!! – Wiktor pstryknął mi palcami przed oczyma. – Rozumiem, że cię to przytłoczyło, ale jeśli naprawdę chcesz pomóc Lucii i siostrze Cecilii, to lepiej czym prędzej się ogarnij. Potrzebują nas obydwu, i to w dobrej formie. Dotarło?

– Tak, oczywiście – odpowiedziałem, ale najpierw odetchnąłem głęboko. – Oczywiście, że tak. Pieprzyć to wszystko i do dzieła. Co powinniśmy zrobić?

– Najpierw, oczywiście, musimy odnaleźć Lucię – wyliczał Ukrainiec – a potem starać się wyjaśnić całe to straszliwe nieporozumienie. O ile nam się uda.

– A jak zamierzasz ją znaleźć w tym zamieszaniu? – Wskazałem na punkt kontrolny, do którego właśnie podjechała ciężarówka sił porządkowych. – Połowa mieszkańców wyspy jej teraz poszukuje, a druga połowa z pewnością sra ze strachu, że lada moment zacznie się inwazja frojlów.

– Dlaczego nie zacząć od naszego mieszkania? – podsunął Wiktor. – To najbardziej oczywiste miejsce.

Nie wpadliśmy na lepszy pomysł, więc się zgodziłem. Początkowo kierowca ciężarówki nie chciał słuchać o podwiezieniu nas do byłego hotelu przekształconego w dom mieszkalny. Jednak po krótkiej pogawędce z Wiktorem, z dala od niedyskretnych oczu, stał się nadspodziewanie skłonny do współpracy. Niewykluczone, że małe zadraśnięcie nożem, które pojawiło się na jego szyi, miało coś wspólnego z tą nagłą zmianą nastawienia.

Nie byłem zaskoczony widokiem wojskowego pojazdu URO, stojącego przed drzwiami naszego budynku. Dwóch żołnierzy pochylonych nad otwartą maską grzebało w silniku, a trzeci siedział na fotelu kierowcy i czytał wymięte, brudne czasopismo.

– Pilnują – szepnąłem do Prita, kiedy ciężarówka się zatrzymała. – Niemożliwe, aby Lucía tu gdzieś była i udało jej się wymknąć.

– Oczywiście, że pilnują. A co ty myślałeś? – Ukrainiec wyskoczył z ciężarówki. – Nie sądziłeś chyba, że Lucía siedzi sobie spokojnie na kanapie i czyta Tołstoja, ty idioto. Ale nadal uważam, że tam na górze znajdziemy jakieś wskazówki, które pomogą nam stwierdzić, na czym stoimy.

Udało nam się wejść przez bramę, nie zwracając na siebie uwagi żołnierzy, którzy ograniczyli się do rzucenia na nas okiem. Poszukiwali przecież siedemnastoletniej brunetki, a nie dwóch facetów – tyczkowatego z udręczoną miną i niskiego wąsatego blondyna.

Kiedy przechodziliśmy obok portierni, ktoś raptownie otworzył drzwi i wychylił się na zewnątrz. Miałem tylko tyle czasu, aby schwycić Pritczenkę za koszulę i wciągnąć go za zakurzoną donicę, z której wyrastał ogromny, zdziczały krzak oleandra, wystarczająco wielki, aby nas zakryć. Z otwartych drzwi wydobył się prostokąt światła, któremu towarzyszył silny odór gotowanej kapusty.

Rozpoznałem dozorczynię bloku, starą plotkare, która zawsze spoglądała na nas podejrzliwie. Kobieta (Rosaura czy Rosario, czy jakoś tak) krótkowzrocznymi oczyma próbowała przeniknąć półmrok panujący w holu wejściowym (większość żarówek już od miesiący była przepalona, a o nowych nawet nikt nie marzył).

– Jest tam kto? – krzyknęła skrzypiącym głosem.

Wstrzymaliśmy oddech. Jeśli to wścibskie babsko nas dostrzeże, rozpęta alarm i będziemy musieli się tłumaczyć (czego zrobić nie możemy) uzbrojonej straży stojącej na zewnątrz.

Po chwili pełnej napięcia dozorczyńni odwróciła się i – mamrocząc coś pod nosem – na powrót wlaźła do swej nory. Odetchnąłem z ulgą. Mało brakowało.

Opuściliśmy hol i weszliśmy po schodach, starając się nie zwrócić na siebie niczyjej uwagi. Obecność uzbrojonych żołnierzy najwyraźniej tak wystraszyła sąsiadów, że na zwykle uczęszczanej klatce schodowej nie było żywej duszy.

Nie byłem zaskoczony widokiem wyważonych drzwi do naszego mieszkania. Jego wnętrze wyglądało, jakby przeszedł przez nie huragan. Ktoś dokładnie i bezceremonialnie przeszukał i porzrzucał wszystko, co tylko się dało. Nic nie leżało na swoim miejscu, porozpruwano nawet materace i poduszki w poszukiwaniu Bóg wie czego. Stojąc pośród tego obrazu zniszczenia, poczułem się całkowicie bezradny. Jeśli nawet Lucía zostawiła jakąś wskazówkę lub ślad po sobie, z pewnością już to znaleźli.

Kątem oka uchwyciłem szybki ruch przy drzwiach. Instynktownie wyciągnąłem glocka i wycelowałem w kierunku wejścia, szykując się do obrony przed potencjalnym napastnikiem. Rozpaczliwe miauknięcie, jakie wydał z

siebie spory rudy kłębek sierści, sprawiło, że natychmiast opuściłem broń.

– Lukullus! – krzyknąłem radośnie, a perski kot jednym susem znalazł się u moich stóp.

Hultaj wyglądał znakomicie i kiedy wziąłem go na ręce, odniosłem wrażenie, że nawet trochę się spał. Podrapałem go po brzuszku i natychmiast zaczął mruzczyć z wyrazem ekstazy na pyszczku.

Nagle zaprzestałem drapania, co poskutkowało karcącym spojrzeniem Lukullusa. Przyjrzałem się dokładniej kociej obróżce. Przez te wszystkie lata, które Lukullus ze mną spędził, nosił zwykłą czarną przeciwpchelną obrożę. Natomiast teraz miał na szyi pasek z czerwonej skóry, który bardzo dobrze znałem.

Znałem go dobrze, bo nie był to żaden pasek, lecz bransoletka, którą dawno temu podarowałem Lucii.

Trzęsąc się z emocji, zdjąłem ją z kociej szyi i zacząłem obracać w rękach, czemu Pritczenko uważnie się przyglądał.

Po wewnętrznej stronie skórzanej bransoletki coś zostało napisane znanym mi charakterem pisma. Było to tylko jedno słowo, które zrozumieć mógł jedynie Wiktor Pritczenko lub ja sam.

Na bransoletce Lucja napisała „KORYNT”.

# 51

Prawie dwie godziny zajęło nam dotarcie do portu Santa Cruz de Tenerife. Przede wszystkim musieliśmy dokonać istnych cudów zręczności, aby opuścić budynek przez nikogo niezauważeni. Następnie nadłożyliśmy sporo drogi, żeby uniknąć kontroli. Wiktor uważał, że jest jedynie kwestią czasu, aby ktoś skojarzył Lucię z nami i zaczął rozpowszechniać także nasze zdjęcia.

Musiałem się z nim zgodzić. Ponadto godzina, kupiona od oficera na lotnisku, już dawno minęła. Technicznie rzecz biorąc, byliśmy teraz wraz z Wiktorem dezertkami i uciekinierami. Nie miało to nic wspólnego z triumfalnym powitaniem, które sobie wyobrażałem podczas powrotnego lotu z Madrytu, ale przynajmniej nadal byliśmy żywi i wolni.

Kiedy wreszcie znaleźliśmy się w porcie, mieliśmy już opracowany plan działania. Podejrzewaliśmy, że Lucía schroniła się na którymś z jachtów zakotwiczonych na redzie (jedynie my dwaj wiedzieliśmy, że „Korynt” to nazwa żagłówki, którą dotarłem do Vigo, gdzie poznałem Wiktora), ale nie mieliśmy najmniejszego pojęcia na którym z nich. Nie wątpiłem, że moja dziewczyna okaże się na tyle sprytna, by gdzieś jeszcze pozostawić następny trop, po którym do niej trafimy, i że nie będzie to coś oczywistego dla wszystkich.

Nasze nadzieje niestety wzięły w łeb. Morska bryza kołysała dziesiątkami ogromnych, rdzewiejących transportowców i okrętów wojennych, a za pirsami chroniły się setki jachtów żaglowych, którymi w swoim czasie przybyły na Teneryfę rzesze uchodźców. Kiedy zaczęło brakować paliwa do kutrów, władze zarekwirowały żagłówki i zorganizowały z nich niewielką flotyllę rybacką, która codziennie rano wypływała w morze, aby zdobywać zaopatrzenie dla wygłodniałych tłumów tłoczących się na wyspie.

Dla takiego miłośnika jachtingu jak ja pogrzebanie szlachetnych jachtów pełnej krwi pod sieciami, kosztami rybackimi i innym sprzętem do połowów było profanacją, ale rozumiałem, że to jedyne wyjście, jeśli chce się zapobiec klęsce głodu. A teraz, mimo najszczerszych chęci, nie byłem w stanie zlokalizować łódki podobnej do „Koryntu”.

– I co robimy? – nerwowo zapytał Prit, śledząc ruchy pracowników portowych z naszej kryjówki, pomiędzy dwoma stosami kontenerów porzuconych na nabrzeżu pirsu. – Na której z nich się schowała?

– Gdybym wiedział, nie siedzielibyśmy tutaj i nie tracili czasu – burknąłem,

starając się jakoś utrzymać Lukullusa, który nie przestawał się wyrywać.

Mój umysł pracował na pełnych obrotach, oczyma przeszukiwałem nabrzeża w nadziei, że znajdę jakiś znak. Ale mimo wysiłków nadal nie widziałem nic, co by mi przypominało „Korynt”.

Już dawałem za wygraną, kiedy moje spojrzenie padło na niewielką żaglówkę zakotwiczoną na najdalszym końcu portowego basenu. Parę razy zamrugałem, aby się upewnić, że widzę to, co widzę. A potem uśmiechnąłem się sam do siebie.

Na szczycie głównego masztu żaglówki powiewał zamiast flagi stary, spłowiały skafander z neoprenu.

Stara jednomasztowa żaglówka o długości ośmiu metrów nosiła nazwę „Krokodyl II”. Dawniej musiała być prawdziwym klejnotem, ale kiedy podpłynęliśmy do niej szalupą, dostrzegliśmy, że od tamtych czasów sporo przecierpiała. Jej pierwotny właściciel niewątpliwie był zapalonym żeglarzem, dbającym o wygląd swojej łódki, czego jeszcze można było się domyślić po wykończeniach z drewna tekowego i eleganckich stalowych okuciach, ale długie miesiące, które jacht spędził, służąc jako łódź rybacka w rękach niechlujnych użytkowników, odbiły się dramatycznie na jego wyglądzie.

Takielunek był w stanie godnym pożałowania, a naciąg olinowania tak niestaranny, że prawdziwego żeglarza przyprawiłby o mdłości. Całą część dziobową zawałowała gruba warstwa sieci o różnej grubości i wielkości oczek. Żaglówka wydzielala przenikliwy odór popsutej ryby. Jeśli Lucía postanowiła ukryć się właśnie tutaj, to wybrała doskonale. Każdy raczej wolałby znaleźć się jak najdalej od tej pływającej kupy śmieci niż na nią zamustrować.

Ostatnim ruchem wiosł przybiliśmy do burty jachtu i weszliśmy na pokład. Panował tam przerażający bałagan. Przednia część kabiny została przekształcona w ładownię. Od drzwi widoczne były jedynie sterty białych plastikowych skrzynek, rzuconych byle jak jedna na drugą, oraz obrzydliwie brudny materac leżący na podłodze.

– Tu nie ma nikogo. – Prit był zawiedziony. – Nie myślę, żeby...

Ale zanim zdążył dokończyć zdanie, Lukullus zeskoczył mi z rąk na pokład i wślizgnął się pomiędzy plastikowe pojemniki zagradzające tył kabiny. Usłyszeliśmy stłumiony okrzyk zaskoczenia i nagle dobrze mi znana dłoń popchnęła stos skrzynek.

A chwilę potem cała i zdrowa Lucía stała przed nami z uradowanym Lukullusem w ramionach, a w jej oczach błyszczały łzy ulgi.

Poszukałem rękoma jej dłoni i mocno je uścisnąłem, a ona w milczeniu oddała mi uścisk. Przez kilka sekund staliśmy nieruchomo, zbyt rozemocjonowani, aby cokolwiek powiedzieć. Prit chrząknął.

– Przykro mi przerywać wasze powitanie, ale mamy mnóstwo do roboty – powiedział z napięciem w głosie. – Poszukują nas, a ponadto nie wiemy nic o losie siostry Cecilii. Być może powinniśmy...

– Wiktorze. – Lucía puściła moje dłonie i serdecznie objęła Ukraińca. Głos jej się załamał i przeszedł w szloch, słyhać w nim było szczery ból. – Wiktorze,

tak mi przykro... Oni ją zabili, zabili na moich oczach... To było straszne...

– Spokojnie... już dobrze... – udało się wykrztusić Pritcencie. Poklepywał lekko Lucię po plecach, ale pobił jak płótno, a jego źrenice przypominały dwie czarne szklane kulki. Znałem dobrze swojego przyjaciela i zrozumiałem, że ktokolwiek zabił zakonnicę, właśnie zyskał sobie śmiertelnego wroga.

Lucia odsunęła się od Wiktora i nadal łkając, zaczęła bezładną opowieść o swojej odysei, od momentu wejścia do szpitala do chwili, kiedy uciekając na oślep przed siebie, postanowiła schronić się na tym jachcie.

– Skąd wiedziałaś, że nikt cię tu nie znajdzie? A załoga łodzi? – wypytywałem, mocno ściskając ją w objęciach.

– Leżą w szpitalu. Zatruli się jadem kiełbasianym, bo zjedli przeterminowane konserwy – wyjaśniła Lucia, zachłystując się szlochem. – Byli pacjentami w moim skrzydle szpitalnym. Wiedziałam, że co najmniej przez dwa tygodnie tutaj nie wrócą.

– A gdybyśmy cię nie odnaleźli? Co byś zrobiła?

Lucia przestała płakać i jej smutną twarz rozjaśnił uśmiech. Ponownie schwyciła moje dłonie i wycisnęła mi na ustach długi pocałunek.

– Wiedziałam, że wrócicie – powiedziała ze spokojem, spoglądając mi w twarz. – Tego jednego byłam całkowicie pewna. Nie ma na świecie nikogo, kto zdołałby was wykończyć. Ani żywego, ani Nieumarłego. Wiedziałam, że mnie znajdziecie.

Gorąco uściskałem swoją dziewczynę, a w sercu rozpętała mi się burza uczuć. Za nic nie pozwolę, żeby coś się jej stało. Zrobię wszystko, by ją chronić.

Odwróciłem się do Wiktora. Ukraińiec siedział zgarbiony na progu kabiny z opuszczonymi rękoma i wyrazem porażki na twarzy. Nie tylko stracił swoją najlepszą przyjaciółkę, ale i odebrano mu możliwość zemsty. Dla niego ta rozgrywka zakończyła się gorzkim finałem.

– Wiktorze. – Przyklęknąłem koło niego. – Nie załamuj się teraz. Potrzebujemy cię, stary przyjacielu. Jesteśmy towarzyszami. Pamiętasz?

Ukraińiec podniósł na mnie szkliste oczy. W głębi jego spojrzenia powoli odradzał się płomień życia.

– Fatalizm – powiedział z gorzkim uśmiechem na ustach. – Jest, jak jest.

– Fatalizm – powtórzyłem, także krzywiąc usta w półuśmiechu. – Może i tak, ale przysięgam ci, że wkrótce jakoś temu zaradzimy.

O porannej zorzy flota rybacka Teneryfy podniosła kotwicę, aby udać się na pobliskie łowiska położone w odległości zaledwie kilku mil morskich. Dla kogoś, kto patrzyłby z nabrzeża, setki jachtów stawiających żagle na morzu w świetle świtu stanowiłyby niezapomniany widok.

Doświadczony obserwator zauważyłby, że jeden z jachtów trzyma się z wybranymi żaglami po stronie zawietrznej, jakby szykując się do startu w regatach, a jego załoga krząta się po pokładzie, napinając szoty.

Kiedy po dwóch godzinach flota dotarła na łowiska, ta jedna żaglówka nie zarzuciła sieci. Zamiast tego złapała wiatr w żagle i pchana poranną bryzą wydymającą spiner na dziobie wzięła kurs na Gran Canarię. Na żadnym z pozostałych jachtów nikt nie zwrócił uwagi, że żaglówka się oddala.

Z minuty na minutę robiła się coraz mniejsza.

Aż w końcu zniknęła za horyzontem.



## Gdzieś na wodach przybrzeżnych Senegalu

Marcel Mbalo miał dwanaście lat, a jego kuzyn Yayah czternaście. Wypłynęli na połów bardzo wcześnie, aby wykorzystać poranny pasat. Ich długa piroga była wprawdzie wyposażona w stary i hałaśliwy zaburtowy silnik, ale wuj zabronił im go używać, chyba że w przypadku absolutnej konieczności, ponieważ w wiosce kończyły się zapasy benzyny. Tak więc obaj chłopcy musieli każdego ranka wiosłować co siłą, aby oddalić się od przyboju na plaży, a potem rozpinali żagle i płynęli w miejsca, gdzie były ryby.

Marcel uważał takie życie za wspaniałe. Jeszcze przed rokiem mężczyźni z wioski nie pozwoliliby, żeby dwóch wyrostków samotnie wybierało się na połów na bezcennej łodzi rybackiej, ale teraz nie było innego wyjścia. Kiedy demony uwolniły się z piekła i zawładnęły duszami żyjących, większość mężczyzn została na siłę wcielona do wojska, a ponieważ żaden z nich nie powrócił, we wsi prawie nie było dorosłych zdolnych do pracy.

Ci nieliczni, którzy pozostali, utrzymywali stałą straż na małym mostku przerzuconym przez bagna, jedynej drodze na półwysep N'Gor, gdzie leżała wioska. Wuj Marcela mówił, że takie oddalenie to błogosławieństwo Allacha, ale Marcel i Yayah nie mogli zrozumieć, jakie zalety ma mieszkanie w tak zapadłym miejscu, setki kilometrów od najbliższego miasta. Wieś liczyła nieco ponad dwustu mieszkańców – mężczyzn, kobiet i dzieci – a źródłem utrzymania były połowy i uprawa okolicznych pól. Ludzie nie cierpieli głodu, ale nie mogli też pozwalać sobie na zbytek. Noce spędzali wszyscy razem w budynku, w którym dawniej mieściła się szkoła, co chłopcom wydawało się bardzo zabawne.

Yayah trzymał rumpel, a Marcel napinał mały łaciński żagiel, który napędzał pirogę. Nagle wydało mu się, że w oddali widzi poruszającą się białą plamę. Wkrótce plama zamieniła się w żaglówkę, która najwyraźniej szybko się ku nim zbliżała.

Marcel pokazał Yayahowi, co zobaczył. Gdyby w takich okolicznościach znalazł się roztropny dorosły człowiek, oddaliliby się na pełnych żaglach od nieznanego jednostki, ale Marcel i Yayah byli jedynie nastolatkami i nie rozumieli, co znaczy niebezpieczeństwo, tak więc powodowani ciekawością pozwolili, żeby ich piroga powoli dryfowała w kierunku żaglówki.

Kiedy znajdowali się jakieś sto metrów od niej, Marcel odruchowo chwycił w

dłoń *gri-gris*, amulet przeciwko demonom, który nosił zawieszony na szyi. Przestraszył się tego statku.

Żaglówka najwyraźniej miała za sobą przeprawę w potwornej burzy. Maszt był złamany w połowie, a kokpit na rufie wypełniała morska woda. Ster, pozostawiony samemu sobie, wychylał się to w jedną, to w drugą stronę miotany falą. Na pokładzie nie było żywej duszy.

Marcel krzyknął parę razy, ale nikt nie wyszedł na pokład. Yayah przybił do burty żaglówki, a Marcel wskoczył na jej pokład, mocno ściskając w ręku małą maczetę, której używał do obcinania rybom głów.

Młody rybak wolałby jak najprędzej opuścić tę ponurą zrujnowaną łajbę, ale jego starszy kuzyn obserwował go uważnie. Gdyby Marcel pokazał, że się boi, musiałby potem znosić drwiny innych dzieci z wioski. Przełykając ślinę, popchnął wolną ręką uchylone drzwi.

Kabina sprawiała wrażenie opuszczonej. Na stole leżał czarny karabin, a obok niego wielki nóż. Chłopak stąpał ostrożnie po warstwie stłuczonego szkła pokrywającego podłogę. Na koi leżał obraz, który przyciągnął jego uwagę. Był na nim jakiś ogród z posągami oraz biali ludzie rozmawiający między sobą. Ponieważ obraz wydał się bardzo brzydki, zlekceważył go i upuścił na podłogę zalaną morską wodą, gdzie ten pozostał, pływając malunkiem w dół.

Chłopak dokładnie zlustrował całą kabinę i stwierdził, że jest pusta. Wychodząc, wziął ze sobą karabin i nóż. Był zadowolony z łupu. Ale Yayah się zdziwi, kiedy to wszystko zobaczy, pomyślał. Odwrócił się, aby po raz ostatni rzucić okiem na wnętrze opuszczonego jachtu.

W kącie kabiny, na wieszaku przyczepionym do sufitu, wisiał stary skafander z neoprenu i kołysał się w rytmie fal.

KONIEC...

*Pontevedra, lipiec 2009 r.*

# Podziękowania

Bardzo trudno jest w paru liniijkach wspomnieć o tych wszystkich, którzy w taki lub inny sposób wzięli udział w przygodzie o nazwie *Apokalipsa Z*. To, co z początku było jedynie krótkimi wpisami publikowanymi na nikomu nieznaną stronę internetową, przekształciło się w serię książek. Jej drugi tom, drogi Czytelniku, trzymasz właśnie w rękach. Wiele osób przyczyniło się do tego, aby ta seria powstała.

Przede wszystkim wdzięczny jestem mojej żonie i mojej rodzinie – za ich nieskończoną cierpliwość, miłość i zrozumienie w chwilach, kiedy utykałem na jałowych skałach niepewności.

Oczywiście towarzyszył mi Juan Gómez-Jurado, kolega pisarz, ale przede wszystkim przyjaciel. To on otworzył przede mną drzwi i wytyczył drogę, które – gdyby nie on – pozostałyby ukryte. To on prowadził mnie za rękę na najtrudniejszych etapach. Dług, który mam wobec niego, jest tak wielki, że z trudem uznaję go któregoś dnia za spłacony. To on był moim osobistym Pritczenką w tej podróży (choć nie ma wąsów, nie jest też blondynem).

Jakże mógłbym nie wspomnieć o Emilii Lope z Random House Mondadori. Dziękuję jej nie tylko za sympatię, cierpliwość i zrozumienie, ale także za wiarę w ten projekt i za jego zdecydowane poparcie. Emilio, jesteś wspaniała i bez Ciebie nic nie byłoby możliwe.

Dziękuję też Wam, żeglującym po internecie setkom tysięcy Czytelników online. Byliście świadkami narodzin tej opowieści na blogu, towarzyszyliście jej wzrastaniu i oczekiwaliście w napięciu, jak i ja sam, na przekształcenie jej w książkę. Przez cały czas wspieraliście mnie Waszą gorącą zachętą. Ta książka, jak i poprzednia z tej serii, jest równie moja, jak i Wasza.

[1] *Biblia Jerozolimska*, Poznań 2006, Wydawnictwo Pallottinum (przyp. tłum.).

[2] Z legendy o Ryszardzie III (przyp. tłum.).

MUZA SA

ul. Marszałkowska 8

00-590 Warszawa

tel. 22 6211775

e-mail: [info@muza.com.pl](mailto:info@muza.com.pl)

Dział zamówień: 22 6286360

Księgarnia internetowa: [www.muza.com.pl](http://www.muza.com.pl)

Konwersja do formatu EPUB: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz